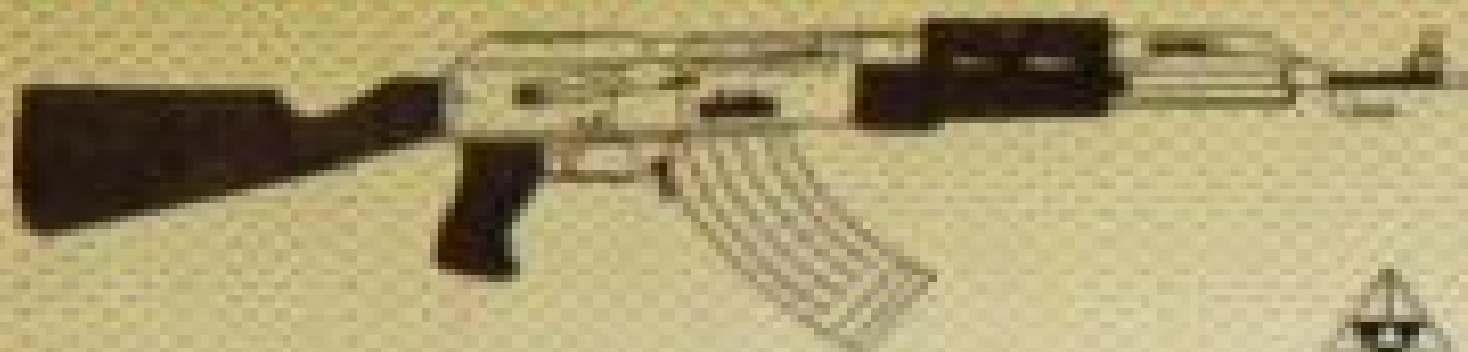


PIERWSZE WYBANIĘ W POLSCE!

ALISTAIR
MACLEAN
ŚMIERTELNA PUŁAPKA



ALASTAIR MacNEILL

MACLEAN ALISTAIR
Smiertelna Pułapka

ALISTAIR MACLEAN

Alastair Macneill

Alistair MacLean

Nieżyjący autor szkocki niezwykle popularnych powieści przygodowych i wojennych, które weszły już do kanonu literatury tego gatunku. Urodził się w 1923 roku; w wieku osiemnastu lat wstąpił do Marynarki Królewskiej; ponad dwa lata służył na pokładzie krążownika. Po wojnie, po ukończeniu z wyróżnieniem Glasgow University, pracował jako nauczyciel w gimnazjum dla chłopców.

Powieść wojenna "H.M.S. Ulisses" (1955) ukazująca bardzo realistycznie przejścia załogi krążownika uczestniczącego w konwoju przewożącym broń i wyposażenie do radzieckiego Murmańska przyniosła pisarzowi uznanie krytyków, niezależność finansową oraz popularność w Wielkiej Brytanii. Druga książka "DziałaNawarony" (1957) uczyniła z MacLeana autora światowej sławy; doczekała się też nie mniej sławnej ekranizacji z aktorami tej miary co Gregory Peck i David Niven.

W następnych latach MacLean wyspecjalizował się w pisaniu książek przygodowych i thrillerów, stając się szybko najchętniej czytany autorem tego gatunku na świecie. Jego utwory przetłumaczono na kilkadziesiąt języków, a wiele z wydanych przez niego dwudziestu ośmiu powieści zostało sfilmowanych. Oprócz "Dział Nawarony" do najgłośniejszych ekranizacji należały "Tylko dla orłów" z Richardem Burtonem i Clintem Eastwoodem, "Komandosi z Nawarony" z Harrisonem Fordem, "Stacja arktyczna Zebra" z Rockiem Hudsonem, "Czterdzieści osiem godzin" z Anthonym Hopkinsem, "Przełącz Złamanego Serca" z Charlesem Bronsonem.

Przez kilkanaście lat MacLean mieszkał w jugosłowiańskim Dubrowniku. Tam powstały jego późniejsze, słabsze powieści, m.in.: "Partyzanci" (1982), "San Andreas" (1984) i ostatnia, "Santorini" (1986).

Pisarz zmarł w Szwajcarii na atak serca w lutym 1987 roku.

Alastair MacNeill

Urodził się w Szkocji w 1960 roku. Mając sześć lat wyjechał wraz z rodziną do Afryki Południowej; powrócił do Wielkiej Brytanii w 1985 roku. Od najmłodszych lat interesował się pisaniem; uczestniczył w konkursach literackich. W 1988 roku nawiązał współpracę z wydawnictwem Collins (angielskim wydawcą MacLeana); tam zaproponowano mu rozbudowanie pozostawionych przez MacLeana scenariuszy filmowych o przygodach agentów fikcyjnej organizacji antyterrorystycznej UNACO do rozmiarów pełnych powieści (dwie pierwsze książki z tego cyklu, "Wieżę zakładników" i Air Force One Is Down, napisał wcześniej John Dennis). MacNeill podjął się zadania. W 1989 roku ukazał się "Pociąg śmierci", apotem jeszcze pięć książek, m.in.: "Czas zabójców" (1991), "Śmiertelna pułapka" (1992), "Łamacz kodów" (1993).

Alistair MacLean & Ira Levin SLIVER

BEZKRESNE MORZE

Alistair MacLean & Simon Gandolfi

ZŁOTA DZIEWCZYNA

ZŁOTA SIEĆ

ZŁOTA ZEMSTA

Alistair MacLean & Alastair MacNeill

CZERWONY ALARM

CZAS ZABÓJCÓW

ŚMIERTELNA PUŁAPKA

POCIĄG ŚMIERCI*

NOCNA STRAŻ*

ŁAMACZ KODÓW*

A. W. Mykel

DZIEDZICTWO STRACHU

Pierre Quелletto

DEUS MACHINE*

Richard North Patterson

STOPIEŃ WINY

OCZY DZIECKA*

Wilbur Smith

BOG NILU

PIEŚŃ SŁONIA*

Trevarian SHIBUMI

SANKCJA NA EIGERZE

OSTATNIA SANKCJA*

F. Paul Wilson

**WYBRAŃCY HIPOKRATESA
PRIMA 1994/1995
LITERATURA
SENSACYJNO-PRZYGODOWA**

Jeffrey Archer

**ZŁODZIEJSKI HONOR
12 FAŁSZYWYCH TROPÓW**

James Cameron & Duane DeMamico

PRAWDZIWE KŁAMSTWA

Robin Cook

**STAN TERMINALNY
DOPUSZCZALNE RYZYKO***

**Michael Crichton
ŚMIERĆ BINARNA**

WYŻSZA KONIECZNOŚĆ

Nelson DeMille

**KATEDRA
CÓRKA GENERAŁA
NAD RZEKAMI BABILONU
STRZELEC WYBOROWY
RĘKA BOGA**

Allan Folsom

POJUTRZE

Payne Harrison

ZDOBYĆ INTREPIDAI

CZARNY SZYFR*

Jack Higgins

**MODLITWA ZA KONAJĄCYCH
KLUCZE DO PIEKIEŁ
NOC LISA
NOCNA AKCJA NA SINOS
ZAPŁAĆ DIABŁU
OKO CYKLONU
SABA**

Stephen Hunter

**DZIEŃ PRZED PÓLNOCĄ
PUNKT TRAFIENIA**

Geoffrey Jenkins

**TAJEMNICZA WYSPA
DIAMENTOWA RZEKA
HORROR**

James Herbert

**PORTENT*
DUCHY ZE SLEATH***

Stephen King

**GRA GERALDA
DOLORES CLAIBORNE
CUJO
NOCNA ZMIANA
SKLEP Z MARZENIAMI*
CARRIE*
MARZENIA I KOSZMARY
BEZSENNOŚĆ***

Graham Masterton

**DRAPIEŻCY
ZAKŁĘCI
DUCH ZAGŁADY
BEZSENNI
CIAŁO I KREW
ZEMSTA MANITOU
DWA TYGODNIE STRACHU
ZJAWA***

Przełożył JACEK MANICKI

Tytuły oznaczone "*" ukażą się w 1995 roku.

**Wszelką korespondencję do Wydawnictwa PRIMA prosimy kierować pod adres:
skr. pocztowa 55, 02-792 Warszawa 78; tel./fax (22)406-184**

PRIMA

Tytuł oryginału: ALISTAIR MACLEAN'S DEAD HALT

Copyright (c) Devoran Tmstees 1992

**Copyright (c) for the Polish edition by Wydawnictwo PRIMA 1994 Copyright (c) for
the Polish translation by Jacek Manicki 1994**

Opracowanie graficzne okładki: Adam Olchowik

Redakcja: Lucyna Lewandowska

Redakcja techniczna: Janusz Festur

ISBN 83-85855-56-4

Wydawnictwo PRIMA

Warszawa 1994. Wydanie I

Objętość: 19 ark. wyd., 19 ark. druk.

Skład: Zakład Poligraficzny "Kolonel"

Druk i oprawa: Wojskowa Drukarnia w Łodzi

Prolog

We wrześniu 1979 roku sekretarz generalny Organizacji Narodów Zjednoczonych zwołał nadzwyczajne posiedzenie z udziałem czterdziestu sześciu delegatów reprezentujących niemal wszystkie kraje świata. Porządek dzienny obrad obejmował tylko jeden punkt: eskalację międzynarodowej przestępczości. Postanowiono powołać do życia międzynarodowe siły szybkiego reagowania, które działałyby pod egidą Rady Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych jako Organizacja Walki z Przestępczością, czyli UNACO. Do jej zadań miało należeć "zapobieganie międzynarodowej przestępczości oraz zwalczanie, ściganie oraz eliminowanie osób i grup prowadzących międzynarodową działalność przestępczą". Każdy z delegatów wysunął jedną kandydaturę na stanowisko dyrektora UNACO, a ostatecznego wyboru dokonał sekretarz generalny.

Tajna działalność UNACO rozpoczęła się 1 marca 1980 roku.

1

–Na miłość boską, długo już tu nie wytrzymamy! – zawołał Earl Reid. – Robi się coraz gorzej. Wracajmy do portu, póki jeszcze można. To nasza jedyna szansa.

Rory Milne wiedział, że Earl ma rację. Reid był doświadczonym zejmanem i znał te wody jak własną kieszeń. Ale choć to Reid był właścicielem "Ventury", sześćdziesięciometrowego żaglowego szkunera, decyzja, czy będą dalej walczyć z burzą, czy schronią się do najbliższego portu, należała do Milne'a. Reid zawsze miał obiekcje co do tego układu, lecz pieniądze, które mu płacono, pomagały uspokoić sumienie. Teraz jednak nie miał wątpliwości, że jego obawy są uzasadnione. Ale wszystko zależało od zgody Milne'a, czekał więc w napięciu na jego decyzję...

Wczesnym popołudniem straż przybrzeżna nadała komunikat o zagrożeniu sztormowym w pobliżu przylądka Cod. Dziesięć stopni w skali Beauforta, prędkość

wiatru do pięćdziesięciu pięciu węzłów. Nadprzylądek sztorm miał nadciągnąć o dziesiątej wieczorem. Reid był pewien, że sobie poradzą. "Ventura" nie z takich już opresji wychodziła. Ale kiedy się zaczęło, od razu zrozumiał, że nie jest to zwykły sztorm. Szybkość wiatru dochodziła w porywach do osiemdziesięciu węzłów, fale sięgały sześciu metrów. Wokół szalał huragan. A wiatr z każdą chwilą się wzmacniał. "Ventura" kładła się na burtę pod naporem żywiołu i Reid zdawał sobie sprawę, że szkuner lada chwila może pójść na dno. Musieli czym prędzej wziąć kurs na wybrzeże Nantucket. A czas biegł nieubłaganie...

Reid nie mógł dłużej czekać na decyzję Milne'a. Zakręcił kołem sterowym na sterburtę. W głowie zaczął mu świtać pewien plan.

W tych warunkach nie było większych szans, by "Ventura" zdołała schronić się do Madaket Harbor; chyba że wykorzystałby ogromny potencjał gór wodnych i przy ich pomocy wmanewrował szkuner do portu. Czegoś takiego jeszcze nigdy nie próbował. Pamiętał dokładnie dzień, kiedy będąc ośmioletnim chłopcem obserwował przez okno swej sypialni, jak ojciec z pomocą sztormu szalejącego koło Martha's Vineyard wprowadza do portu swój uszkodzony trawler rybacki. Podprowadził szkuner na kurs olbrzymiej fali i ta wepchnęła go wprost w wejście do Edgartown Harbor. Ale wówczas trawler ojca znajdował się znacznie bliżej portu, a tamten sztorm nawet w przybliżeniu nie był tak groźny, jak ten obecny; niemniej jednak Reid zdawał sobie sprawę, że to ostatnia deska ratunku. Ryzyko było olbrzymie, ale musiał je podjąć.

Zawracał właśnie szkuner ku pełnemu morzu, kiedy niebotyczna fala wyrzuciła "Venturę" na moment w powietrze, a potem cisnęła nią do podnóża kolejnej nadciągającej fali, która załamując się nad dziobem stateczku rozbiła okienko sterówki i przemoczyła obu mężczyzn do suchej nitki. Milne wyrznął plecami o ścianę i w tym samym momencie odłamek szkła przeciął mu policzek. Reid uczeplił się kurczowo koła sterowego i przez głowę przemknęła mu rozpaczliwa myśl, że chyba trzeba zwrócić szkuner ku wybrzeżu Nantucket. Milne podźwignął się na nogi i potarł grzbietem dłoni zakrwawiony policzek. Oczy miał rozszerzone z przerażenia. Reid rzucił mu przelotne spojrzenie, ale nic nie powiedział. Ciekaw był, czy sam też wygląda na tak przestraszonego. Pływał już czternaście lat, jednak nigdy jeszcze w takich fatalnych warunkach.

–Popatrz! – zawołał Milne, przekrzykując wycie wichru.

Reid spojrzał w kierunku, który wskazywał Milne. Z początku nie widział tam niczego szczególnego, ale po chwili to dostrzegł. Błyskające światelko w oddali. Latarnia morska nie opodal Madaket Harbor. Reid ustalił jej położenie. Znajdowała się jakieś czterdzieści pięć stopni na prawo od dziobu. Reidowi zdawało się do tej pory, że płynie w jej kierunku. Z początku być może płynął, ale później fale musiały znieść szkuner z kursu.

–Kieruj się na latarnię! – wrzasnął Milne.

–Zwariowałeś?! – odkrzyknął Reid. – Płynę do portu. To nasza ostatnia nadzieja.

–Gdzie jest to...

Słowa Milne'a utonęły w huku następnej rozbijającej się o pokład fali, która zalała kaskadami wody sterówkę. Milne'a cisnęło plecami na drzwi z takim impetem, że wyważył je i jak wystrzelony z procy wypadł na zewnątrz, a wiatr porwał jego krzyk. Przez pokład przewaliła się kolejna fala i Milne, uczepony rozpaczliwie relingu, czuł, jak potoki wody zmywają go za burtę. Reid złapał mikrofon interkomu i szorstkim tonem wezwał spod pokładu trzech pozostałych członków załogi. Przez chwilę stał przed dylematem: gdyby porzucił teraz ster i pośpieszył Milne'owi na ratunek, szkuner mógłby jeszcze bardziej zboczyć z kursu, a co gorsza ustawić się bokiem do porywistego wichru i rozszalałych fal. Ale jeśli załoga nie zdąży przyjąć z pomocą jego towarzyszowi? Milne był kluczową postacią całej operacji. Nawet gdyby udało im się dotrzeć do portu, bez niego trzeba by odwołać całą akcję. W takim zaś układzie Reid mógłby się pożegnać z resztą honorarium. A przecież była to kupa forsy...

Zablokował ster. Kiedy brnął do drzwi, szkunerem wstrząsnęło uderzenie kolejnej fali. Padł na deski ścięty z nóg. Rozejrzał się za Milne'em. Przez moment nic nie widział. Dopiero po chwili spostrzegł parę rąk uczeponych kurczowo słupków relingu tuż nad pokładem. Milne, trzymający się ostatkiem sił, wisiał za burtą. Reid wiedział że Milne nie wytrzyma dłużej niż kilka sekund. Próbował do niego krzyknąć, ale kiedy otworzył usta, wiatr wyrwał mu z nich słowa. W tym momencie parę kroków dalej na pokładzie zauważył rozwiniętą drabinkę sznurową. Przełazi na czworakach przez próg sterówki, dopelzył do niej, złapał i dla bezpieczeństwa owinął sobie jedną z lin wokół przedramienia. Padł na brzuch i zaczął się czołgać do relingu. Próbował chwycić rękaw sztormówki Milne'a, ale materiał wyslizgiwał mu się ze zgrabiących palców. Podczołgał się bliżej, sięgnął ręką za burtę i złapał Milne'a za kołnierz. Poczuł, że śliski materiał znowu wysuwa mu się z rąk, ale zaraz przyszedł mu z pomocą jeden z członków załogi i obaj, cal po calu, zaczęli windować Milne'a do góry. Po chwili dołączył do nich trzeci mężczyzna i wspólnymi siłami wciągnęli Milne'a na pokład. Czarne włosy lepiły mu się do bladej jak kreda twarzy, a z rozcięcia pod lewym okiem spływała krew. Kiedy podniósł głowę i wyciągnął rękę, by chwycić się relingu, ujrzeli, że oczy ma oszalałe z przerażenia.

Odwracali się właśnie od relingu, kiedy przez pokład "Ventury" przewaliła się olbrzymia fala, zmywając wszystkich za burtę. Reid, również zmieciony z pokładu, krzyknął z bólu uderzając twarzą o kadłub. Uratowała go owinięta wciąż wokół ramienia lina

drabinki sznurowej. W migotliwej poświacie lamp pokładowych widać było Milne'a walczącego o utrzymanie się na powierzchni kilka stóp od statku. Reid wyciągnął do niego rękę. W tym samym momencie o burtę statku uderzyła następna fala, a kiedy opadła i głowa Reida znowu znalazła się nad wodą, Milne'a już nie było. Trzeci członek załogi, który przywiązał się liną do pachołka, zdołał wspiąć się po przechylonym pokładzie. Wychylił się za burtę, złapał za drabinkę sznurową i zaczął wyciągać Reida ze spienionej morskiej kipieli. Znalazłszy się na pokładzie, Reid oparł się plecami o ścianę nadbudówki i odgarnął z oczu mokre kosmyki włosów. Z rozcięcia na czole spływała mu po twarzy krew, ale był tak skostniały z zimna, że nie

czuł bólu. Podźwignął się na nogi, powlókł chwiejnym krokiem do sterówki, chwycił koło sterowe i rozejrzał się nerwowo za latarnią morską. Nie było jej nigdzie widać. Sprawdził ponownie kurs statku. Szkuner płynął na południowy wschód. Reid był kompletnie zdezorientowany i nie wiedział już, gdzie jest. Otarł krew z oczu i rozglądał się dalej, kiedy do sterówki wtoczył się człowiek z załogi. Widząc pytający wzrok Reida pokręcił głową, jakby w odpowiedzi na pytanie, którego Reid nie zdążył zadać. Teraz pozostało tylko ich dwóch. Nagle przed dziobem "Ventury" znowu przesunęło się światło latarni morskiej, tym razem w odległości niespełna kilkuset stóp. Reid gwałtownie zakręcił kołem, próbując tym rozpaczliwym manewrem uchronić szkuner od rozbicia się o skały. Wiedział jednak, że statek zdany jest teraz na łaskę i niełaskę morza.

Chwilę później "Venturą" targnął potężny wstrząs – to podwodne skały pruły poszycie kadłuba. Reid wrzasnął do ostatniego ocalałego członka załogi, że opuszczają statek, ale w tej samej chwili kolejna ogromna fala jeszcze raz cisnęła szkunerem o skały. Marynarz krzyknął i w jednej chwili został zmyty za burtę. Reid patrzył bezradnie, jak załamuje się nad nim następna fala i nieszczęśnik znika w morskich odmętach. "Ventura" nabierała niebezpiecznego przechyłu i lada chwila mogła się przewrócić do góry stępką i pójść na dno. Czepiając się obiema rękami poręczy relingu, Reid ruszył ku łodzi ratunkowej. Nad szkunerem ponownie zabłysło światło latarni morskiej. Reid oszacował, że znajduje się teraz najwyżej sto jardów od niej. Mógł spróbować dopłynąć tam szalupą. Nagle dziób "Ventury" zanurkował pod fale i Reida ścięło z nóg. Kiedy usiłował wstać, na szkuner runęła kolejna fala, rozplątała kadłub na dwoje i wyrzuciła Reida w kipieli rozszalałego morza. Po chwili desperackiej walki z żywiołem udało

mu się wystawić głowę ponad wodę, ale ledwie zdążył zaczerpnąć powietrza w płuca, już następna fala cisnęła nim wściekle o wrak, z powrotem pozbawiając tchu.

Snop światła z latarni morskiej prześlizgnął się po wodzie, wyłuskując na moment z mroku jedno z kół ratunkowych "Ventury", podrygujące na falach w odległości zaledwie kilku stóp. Reid rzucił się rozpaczliwie w jego kierunku.

Przy następnym obrocie latarnia morska wyłowiała z ciemności już tylko puste koło ratunkowe dryfujące ku pełnemu morzu.

Huragan całkowicie zaskoczył mieszkańców Nantucket Island. Na szczęście musnął tylko swoim wąsem sam brzeg wyspy i odleciał gdzieś nad Atlantyk, nie wyrządzając większych szkód. Gdyby jednak zmienił kurs, zniszczenia mogły być dużo większe, toteż mieszkańcy wyspy żądali od centrum meteorologicznego wyjaśnień, dlaczego zapowiadano tylko zagrożenie sztormowe.

Podczas gdy rodzice pochłonięci byli dyskusją z władzami, dzieci znacznie bardziej interesowało przeczesywanie plaż i zatok w poszukiwaniu różnych rzeczy, które morze mogło wyrzucić na brzeg. Dziesięcioletni Richard Stegmeyer zaraz po przebudzeniu zadzwonił do swoich dwóch najlepszych kolegów, Andrew Mulgrew i Tony'ego Stylesa, i umówił się, że wyskoczą razem na Surfside Beach. Przy śniadaniu, które przelykał w pośpiechu, matka powiedziała mu, że ma zabrać ze sobą siedmioletnią siostrę, Sally. Włos mu się zjeżył na głowie, gdy to usłyszał, ale jego

protesty nie wpłynęły na zmianę decyzji mamy. Jeśli chce jechać na Surfside Beach, musi zabrać ze sobą Sally. Tak więc, kiedy zjawili się Andrew i Tony, cała czwórka wskoczyła na rowery i popedałowała co sił w nogach na plażę. Sally od początku wlokła się w ogonie, ale Richard nie pozwalał jej zostawać za bardzo z tyłu. Raz już dostał szlaban za to, że nie pilnował siostry jak należy.

Nie jechali na główną plażę. Pewnie przeczesali ją już inni. Podobnie jak większość dzieciaków w ich wieku, mieli swój własny teren. Dojechawszy na miejsce zostawili rowery w kępie drzew i zbiegli na plażę. Andrew natychmiast popędził do skałki sterczącej wśród piasku sto jardów dalej, ale Richard musiał się powstrzymać od pobiegnięcia za nim, bo matka surowo zakazała mu włączyć na skały. W normalnych okolicznościach nie usłuchałby polecenia, teraz jednak był pewien, że Sally by naskarżyła. Tony

spojrzał na niego, wzruszył ramionami i puścił się biegiem za Andrew. Richard patrzył posępnie za oddalającymi się kolegami. Nagle mała rączka pociągnęła go za koszulkę.

–Co to jest? – spytała Sally, wskazując paluszką na jakiś przedmiot zagrzebany w piasku za skałkami.

Richard podszedł bliżej i rozpoznał koło ratunkowe. Uklęknął na mokrym piasku i przewrócił je na drugą stronę. Czarne litery na obwodzie koła układały się w napis: "Ventura-Milford". Richard wiedział, że Milford to mały port rybacki na wybrzeżu Connecticut, jakieś sto mil na południe od Nantucket Island. Krzyknął na Andrew i Tony'ego, a kiedy wyjrzeni zza skałek, uniósł koło ratunkowe nad głowę i pomachał nim triumfalnie. Chłopcy przeleźli przez skałkę, zeskoczyli na piasek i podbiegli do niego.

–Gdzie to znalazłeś? – wysapał Tony.

–Tutaj – odparł Richard uśmiechając się od ucha do ucha.

–Ja pierwsza to zobaczyłam – wtrąciła Sally, ale chłopcy nie zwrócili na nią uwagi.

–Myślisz, że przyniósł je sztorm zeszłej nocy? – spytał Tony.

Richard wzruszył ramionami.

–Możemy zadzwonić do komendanta portu Milford, kiedy moi rodzice pójdą do pracy. Może będzie wiedział coś o "Venturze".

–Dobry pomysł – kiwnął głową Tony.

Sally znów pociągnęła Richarda za koszulkę. Odsunął jej rączkę, ale dziewczynka nie dawała mu spokoju.

–Czego chcesz? – burknął.

–Co to takiego, tam? – spytała.

Coś kołysało się na płyciźnie koło skałek. Tony spojrzął na Andrew, po czym, zrzucając sandały, popędził w stronę wody. Andrew też zrzucił buty i puścił się biegiem za kolegą.

–Zostajesz tu – rozkazał Richard dziewczynce.

–Czemu?

–Bo tam może być niebezpiecznie – odparł Richard, rzucając

tenisówki na piasek.

–Ale ty tam schodzisz.

–Jestem starszy – uciął Richard. – Na razie masz tu zostać. Jeśli krzyknę, że jest bezpiecznie, to możesz do nas zejść.

–Obiecujesz?

–Tak, tylko teraz stój tutaj – krzyknął przez ramię zbiegając po piasku do wody. – Co to takiego? – spytał kolegów.

–Jakaś skrzynia – stęknął Tony przez zaciśnięte zęby, wlokąc wraz z Andrew znalezisko na plażę. – Jezu, ale ciężka.

–No, nie stój tak! – ofuknął Richarda Andrew.

Po paru próbach chłopcy uchwycili wreszcie nieporęczną, drewnianą skrzynię i postępując z wysiłku wytaszczyli ją na plażę.

–I co teraz? – wykrztusił Tony padając bez tchu na piasek.

–Jak to co? Otwieramy – burknął Andrew.

–Ale jak? – spytał Tony.

–Musi tu być coś, czym można by się posłużyć – powiedział Richard rozglądając się dokoła.

–Spróbuj scyzorykiem – poradził Tony.

–Za słaby – odparł Richard. – Ostrze by się złamało.

Skoczcie rozejrzeć się koło skałek. Na pewno coś tam znajdziecie.

Ja tu poczekam.

–Mogę już tam zejść? – zawołała z góry Sally, kiedy Tony i Andrew odeszli ku skałom.

Richard skinął na nią ręką nie odrywając oczu od skrzyni. Miała na oko ze cztery stopy długości i dwie szerokości, ale na żadnej ze ścianek nie było napisu, który by świadczył o jej pochodzeniu.

–Może to jakiś skarb – odezwała się zza pleców Richarda Sally.

–Tak, na pewno – prychnął wzgardliwie.

Andrew i Tony wrócili po chwili ze znalezionym wśród skał kawałkiem drewna, który morze wyrzuciło na brzeg. Andrew z trudem wcisnął drewnienko pod wieko skrzyni i zaciskając zęby podważył je w końcu na tyle, że w powstałą szparę Richard i Tony mogli wsadzić palce. Podważał dalej wieko, a Richard i Tony szarpali je rękami. Ustąpiło wreszcie i Richard wydał okrzyk tryumfu. Zawartość skrzyni owinięta była płachtą czarnego brezentu. Andrew wyjął scyzoryk, wbił ostrze w brezent, rozpruł go i rozchylił na boki. Oczom chłopców ukazał się rząd drewnianych pudeł, każde długości jakichś czterdziestu cali, zapakowanych w plastikową folię. Andrew wyjął jedno pudło, położył je na piasku i ostrożnie poluzował scyzorykiem gwoździe na wieczku. Potem wcisnął pod nie palce i oderwał je.

–Co tam jest? – niecierpliwiła się Sally.

–To karabiny – oświadczył Richard i podniósł powoli wzrok na Andrew. – Myślisz, że w innych pudłach też są karabiny?

–Skąd mam wiedzieć? – mruknął Andrew.

Wyjął drugie pudło i otworzył je szczyrykiem. W tym również znajdował się karabin owinięty w folię.

–Co robimy? – zapytał nerwowo Tony.

–Trzeba zawiadomić gliny – zdecydował Richard. – Zaczekajcie tu. Skoczę do najbliższego automatu.

Andrew pokiwał głową.

–Powkładajcie pudła z powrotem do skrzyni -przykazał na odchodnym Richard. – I pilnujcie ich jak oka w głowie.

–Możesz na nas liczyć – zapewnił go Andrew.

Richard odwrócił się i pobiegł plażą do miejsca, gdzie zostawił rower.

–Jesteśmy, panie szanowny – powiedział taksówkarz zatrzymując samochód. – Hotel Crescent.

C.W. Whitlock spojrział przez ociekającą deszczem szybę na budynek. Z bielonych ścian odłaziła płatami farba. Neon nad obrotowymi drzwiami obwieszczał w krzykliwych kolorach nazwę hotelu.

–Na pewno tutaj pan chciałeś? – upewnił się kierowca, obrzucając znaczącym spojrzeniem drogi garnitur od Armaniego, który miał na sobie Whitlock.

–Tutaj, tutaj – uśmiechnął się Whitlock płacąc za kurs.

Kierowca wzruszył ramionami. Whitlock wziął swoją dyplomatkę, wysiadł w deszcz i zatrzasnąwszy za sobą drzwiczki przebiegł przez chodnik do wejścia. Znalazłszy się w foyer strzepnął z marynarki kropelki deszczu i podszedł do kontuaru recepcji. Nikogo tam nie było. W pokoiku na zapleczu przy centralce telefonicznej siedziała kobieta w średnim wieku. Skinęła mu głową na znak, że go zauważyła, po czym powróciła do przerwanej rozmowy.

Whitlock postawił dyplomatkę na wyświechtanym dywanie i zaczął bębnić niecierpliwie palcami po drewnianym blacie. Miał czterdzieści cztery lata i był Keńjczykiem o jasnej karnacji skóry i ostrych rysach twarzy, złagodzonych nieco przez starannie przystrzyżony wąsik, który nosił od dwudziestu paru lat. Studiował w Anglii, a po ukończeniu Oksfordu powrócił do Kenii, gdzie służył najpierw w wojsku, potem w wywiadzie i po utworzeniu UNACO został jednym z jej pierwszych agentów.

UNACO, której centrala mieściła się w gmachu Organizacji Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku, zatrudniała dwustu

dziewięciu etatowych pracowników rozlokowanych po całej kuli ziemskiej. Było wśród nich trzydziestu znakomitych agentów operacyjnych, których organizacja pozyskała z armii, policji i służb wywiadowczych całego świata. Każda z dziesięciu grup nosiła nazwę "Zespołu Operacyjnego" i miała swój indywidualny numer. Wszyscy członkowie przechodzili intensywne szkolenie obejmujące między innymi sztukę walki wręcz oraz umiejętność posługiwania się wszystkimi znanymi typami broni palnej. Whitlock dowodził Trzecim Zespołem Operacyjnym, ale kiedy dyrektor UNACO, Malcolm Philpott, z powodu złego stanu zdrowia odszedł na wcześniejszą emeryturę i nowym dyrektorem został jego dotychczasowy zastępca, Siergiej Kolczynski, Whitlock zgodził się objąć zwolnione przez niego stanowisko. Propozycję

tę przyjął wyłącznie ze względu na żonę, Carmen, która nie chciała, by pracował w terenie. Pomogło to jakoś załatać rysę, która zaczęła powstawać w ich małżeństwie, ale w głębi duszy Whitlock wciąż pragnął powrócić w teren.

–Czym mogę służyć? – zawołała kobieta z centralki, zakrywając dłonią mikrofon słuchawki.

–W którym pokoju mieszka pan Swain, jeśli wolno spytać?

Zajrzała do leżącego przed nią notatnika.

–Numer dwadzieścia sześć – oznajmiła i powróciła do przerwanej rozmowy.

Whitlock westchnął i zapukał głośno w kontuar, by ponownie zwrócić na siebie jej uwagę.

–Czy mogłaby mi pani, z łaski swojej, powiedzieć, na którym to piętrze?

–Na drugim – padła nonszalancka odpowiedź.

Whitlock obrzucił nieufnym wzrokiem zdezelowaną windę i zdecydował, że jednak skorzysta ze schodów. Odnalazł pokój Swaina i zapukał. Drzwi otworzyły się natychmiast.

–Czołem, C.W. Wchodź – powiedział stojący w progu mężczyzna i zaprosił gościa gestem ręki do środka.

W pokoju było jeszcze dwóch mężczyzn.

Dave Swain dowodził Siódmym Zespołem Operacyjnym. Był wysokim, krzepkim mężczyzną pod czterdziestkę. Kiedyś był członkiem osobistej ochrony prezydenta. Zanim zwerbował go Philpott, pracował przez dziesięć lat w tajnych służbach FBI. Oprócz niego w skład zespołu wchodził jeszcze dwaj ludzie: Alain Mosser, Francuz o niewyparzonej gębie, również pod czterdziestkę,

który przed wstąpieniem do UNACO, co miało miejsce przed dwoma laty, pracował dla Direction de la Surveilliance du Territoire, oraz trzydziestoletni Jason Geddis, który przez osiem lat służył w kanadyjskich służbach wywiadowczych. W UNACO był dopiero od czterech miesięcy.

–Od kiedy jesteś w Londynie? – spytał Swain.

–Od jakiejś godziny – odparł Whitlock. – Potwierdziłem rezerwację w hotelu i przyjechałem prosto tutaj.

–Dzięki, C.W., że przywiozłeś ze sobą deszcz – uśmiechnął się Geddis wstając, by podać Whitlockowi rękę.

–Zawsze do usług – odparł Whitlock, po czym odwrócił się do Mossera. – Alain, jak ci leci?

–Dałoby się wytrzymać, gdybym nie musiał siedzieć w tym cholernym chlewie – parsknął Mosser.

–Czemu wybraliście akurat ten hotel? – zapytał Whitlock Swaina.

–W takiej norze dużo łatwiej wtopić się w otoczenie – oświadczył Swain.

–Jeden Francuz i dwóch Amerykanów. Fakt, świetnie wtapiamy się w otoczenie – odparł Mosser kręcąc głową. – Z przyjemnością się stąd wyrwę.

–Jeden Francuz, jeden Amerykanin i jeden Kanadyjczyk – poprawił go Geddis.

–Nie chciałbym przerywać tej lekcji geografii, ale może przeszlibyśmy do interesów? – wtrącił się Whitlock. – Czego dowiedzieliście się od waszego informatora?

–Jeszcze się z nim nie widzieliśmy – odparł Swain. – Byliśmy umówieni dziś rano w Hyde Parku, ale na godzinę przed spotkaniem odwołał je.

Whitlock usiadł na stojącym za nim krześle.

–Postawiłem wszystko na jedną kartę, każąc brygadzie anty terrorystycznej Scotland Yardu aresztować Seana Farrella, kiedy będzie wracał z kontynentu. Zapewniłem ich, że mamy dosyć dowodów, by posadzić go do końca życia. Tak mi mówiliście. I co mam im teraz powiedzieć? Żeby puścili go wolno? Żeby pozwolili odejść znanemu dowódcy komórki IRA, pozwolili mu wrócić jak gdyby nigdy nic do Europy i dalej prowadzić kampanię terroru?

–Mamy się z nim spotkać wieczorem – powiedział Swain. – O północy, na terenie wielopoziomowego parkingu w Hammersmith.

–A jeśli znowu odwoła spotkanie? – spytał Whitlock. – Nie byłby to pierwszy raz. Mówiliście chyba, że macie do niego pełne zaufanie?

–Bo mamy – odparł Geddis. – Rozpracowujemy tę sprawę już trzy miesiące, C.W. Ani nam w głowie puścić teraz wolno Farrella. Za dużo włożyliśmy w to wysiłku. Nasz informator nie zawiedzie.

Whitlock westchnął ciężko.

–Mam nadzieję, że się nie mylisz, Jason. Dla UNACO to prestiżowa sprawa. Teraz, po odejściu pułkownika Philpotta, wywiady całego świata bacznie się nam będą przyglądać. Wszyscy są ciekawi, jak poradzimy sobie z nowym zespołem. Nie możemy dać im do ręki broni, której mogliby później użyć przeciwko nam.

–Bez obawy, C.W. Wieczorem facet stawi się w umówionym miejscu – powiedział Swain. – Jutro rano będziesz miał swój dowód.

–A czemu przełożył to poranne spotkanie? – zapytał Whitlock.

–Twierdzi, że zeszłej nocy wydawało mu się, że ktoś z grupy Farrella obserwuje jego mieszkanie – wyjaśnił Swain. – Ale kiedy wyszedł to sprawdzić, tamten gdzieś zniknął.

–To pewnie fałszywy alarm – wtrącił Geddis. – Dla IRA facet jest poza wszelkim podejrzeniem. To jeden z ich najważniejszych łączników w Londynie.

Whitlock spojrział na zegarek.

–Do spotkania macie jeszcze sześć godzin. Trzeba by je jakoś wypełnić. Jedliście już coś?

–Zamierzaliśmy przekąsić coś później u McDonalda – powiedział Geddis.

–Żarcie to tu mają straszne – wtrącił Mosser, krzywiąc się z obrzydzeniem. – Odkąd tu jesteście, karmimy się samymi pizzami i hamburgerami.

–Wpadnijcie wieczorem do mnie i zjemy razem – zaproponował Whitlock wstając z krzesła. – Wliczy się to w koszty.

–Zgoda – uśmiechnął się Swain. – Gdzie się zatrzymałeś?

–W Churchill przy Portman Square.

–Proszę, proszę – gwizdnął cicho Swain.

–Zasiadanie w zarządzie ma też swoje dobre strony – powiedział Whitlock. Przy drzwiach zatrzymał się. – A jeżeli wasz informator będzie chciał się jeszcze z wami skontaktować i nikogo tu nie zastanie?

–Noszę ze sobą pager – uspokoił go Swain. – W razie czego wywoła mnie przez niego.

–W porządku. A więc o siódmej trzydzieści u mnie. Zamówimy sobie coś do pokoju. Tam będziemy mogli swobodnie porozmawiać. –

Whitlock otworzył drzwi i obejrzał się jeszcze

w progu. – Aha, panowie, przed spotkaniem doprowadźcie się jakoś do porządku. Komu jak komu, ale wam chyba nie trzeba tłumaczyć, jak ważne jest wtopienie się w otoczenie, prawda?

Kiedy dojechali do wielopoziomowego parkingu w Hammer-smith, była jedenasta czterdzieści pięć. Deszcz przestał już padać, ale chmury nadal sunęły na północ, a nad stolicą hulał porywisty wiatr z południowego wschodu. Geddis zatrzymał wypożyczonego forda przed opuszczonym szlabanem zagradzającym bramę wjazdową. Zapłacił i szlaban uniósł się automatycznie. Jak to było wcześniej uzgodnione z informatorem, zjechał do podziemi, zaparkował na pierwszym wolnym stanowisku po lewej i zgasił silnik. Swain, rozparty na siedzeniu pasażera, odpiął pas bezpieczeństwa i wysiadł z wozu. Rozejrzał się wokół, zaskoczony rzęsistością oświetlenia, jakiego próżno by się spodziewać na krytych parkingach w Nowym Jorku. Tam kradli nie tylko samochody, ale i sprzęt oświetleniowy. Wyjął z kieszeni paczkę marlboro i zapalił.

–Ale cicho, co? – mruknął Mosser stając za nim.

–Pewnie dlatego wybrał właśnie to miejsce – odparł Swain częstując Mossera papierosem. Mosser wziął jednego i zapalił.

–Strzeżonego Pan Bóg strzeże – mruknął.

Obaj mężczyźni rozeszli się w przeciwnych kierunkach, by przeszukać cały poziom. Upewniwszy się, że są na nim sami, powrócili do samochodu. Geddis czekał oparty o wóz.

Swain spojrzął na zegarek. Jedenasta pięćdziesiąt sześć.

–No dobra, czas zająć pozycje. Jason, trzymaj silnik na

chodzie na wypadek, gdybyśmy musieli się stąd szybko zmywać.

Geddis skinął głową, usiadł za kierownicą i zapuścił silnik. Wszyscy trzej byli uzbrojeni. W przeciwieństwie do wielu innych agencji wywiadowczych UNACO nie obstawała przy tym, by jej agenci operacyjni używali jednego, szczególnego typu broni. W tej kwestii każdemu pozostawiano wolną rękę. Swain uzbrojony był w colta delta elite 10 mm, nową wersję M1911, którego używał swego czasu w tajnych służbach, Mosser miał francuski rewolwer

9 mm PA15, a Geddis berettę 92, najpopularniejszy wśród agentów operacyjnych UNACO pistolet. Mosser zajął stanowisko przy filarze, skąd mógł obserwować zarówno windę, jak i drzwi prowadzące na klatkę schodową. Swain podszedł do ściany przy drzwiach. Zaciągnął się po raz ostatni papierosem, po czym cisnął niedopałek na ziemię i rozdeptał go czubkiem buta. Ze swojego stanowiska widział Mossera i samochód, ale miał poza zasięgiem wzroku drzwi, windę i prowadzącą do wyjścia pochylnię. Ponownie spojrzął na zegarek. Jedenasta pięćdziesiąt osiem.

Mosser zgasił papierosa, poluzował krawat i rozpiął koszulę pod szyją. Nie cierpiał garniturów, ale Swain nalegał, by ubrali się elegancko. Jedzenie było wyśmienite. Swain jak zwykle zamówił befsztyk z polędwicy. W ciągu tych paru tygodni obaj mężczyźni bardzo się zaprzyjaźnili i w przeciwieństwie do większości członków innych zespołów operacyjnych, utrzymywali ze sobą kontakty również na gruncie towarzyskim. Spotykali się zwykle przy różnie w domu Swaina na Long Island. Żona Swaina i dwie kilkunastoletnie córki traktowały Mossera jak członka rodziny. Wszystko to bardzo pomogło Mosserowi złagodzić cios, jakim był dla niego rozwód przeprowadzony kilka miesięcy przed przyjazdem do Ameryki. Wstąpienie do UNACO było najlepszym posunięciem, jakiego kiedykolwiek dokonał, i nie wyobrażał sobie życia poza organizacją.

Drzwi uchyliły się odrobinę i Mosser instynktownie poderwał dłoń do kabury rewolweru. Przez chwilę nic się nie działo, a potem zza krawędzi drzwi wysunęła się ostrożnie czyjaś głowa. Mosser odetchnął głęboko i opuścił rękę. Mężczyzna, który wyłonił się zza drzwi, miał pociągłą, bladą twarz i długie, czarne włosy, które opadały mu niechlujnymi strąkami na ramiona. Ubrany był w brązową kurtkę lotniczą i wypłowiałe, rozdarte na kolanach dżinsy. Gerard McGuire był od czterech lat londyńskim łącznikiem Seana Farrella i przez połowę tego okresu informatorem UNACO. Kiedy Swain go werbował, McGuire postawił jeden warunek – będzie pracował tylko ze Swainem. Z doświadczeń innych zespołów współpracujących z działaczami IRA operującymi na terenie Wielkiej Brytanii wynikało, że taki układ nie jest zbyt fortunny, ale McGuire uporczywie obstawał przy swoim. Ufał tylko Swainowi, i nikomu więcej. Pociągało to za sobą konieczność częstego odrywania Swaina od bieżących zadań i wysyłania

go do Londynu na spotkania z McGuire'em, jednak przekazywane przez niego informacje okazywały się tak bezcenne, że zarówno wcześniej Philpott, jak i teraz Kolczynski godzili się na narzucane przez McGuire'a reguły gry.

McGuire cicho zamknął za sobą drzwi i zerknął płochliwie w stronę samochodu. Geddis, siedzący z rękami opartymi na kierownicy, powitał go uniesieniem palca.

McGuire spojrział pytająco na Mossera. Ten poprowadził go do stojącego pod ścianą Swaina, po czym wrócił na swoje stanowisko obok windy.

Nagle rozległ się ryk silnika ruszającego z miejsca samochodu i zza węgła wypadł biały rover montego z zapalonymi światłami. Skręcił z piskiem opon i skierował się wprost na nich. Swain patrzył przerażony, jak z opuszczonego tylnego okna wysuwa się lufa uzi z tłumikiem i jak jego seria ścina Mossera. Geddis jednym szarpnięciem wrzucił wsteczny bieg.

–Wskakuj! – krzyknął Swain pociągając McGuire'a za ramię, by wepchnąć go na tylne siedzenie.

McGuire wyrwał mu się i pognął do drzwi prowadzących na klatkę schodową. Swain popędził za nim. Geddis oddał strzał w kierunku pędzącego rovera montego, a w chwilę później seria z uzi podziurawiła przednią szybę ford. Dwa z pocisków trafiły Geddisa w głowę. Beretta wysunęła mu się z palców, a on sam osunął się na kierownicę. Pozbawiony kierowcy ford wyrwał na pełnym gazie do tyłu. Kiedy McGuire dopadł drzwi, seria pocisków podziobiła ścianę tuż przy framudze. McGuire potykając się wpadł przez drzwi na klatkę. Swain usłyszał pędzący na niego samochód, ale gdy się odwrócił, było już za późno. Wóz rąbnął kufrem w drzwi, wyrwał je z zawiasów i zmiażdżył go między nimi a ścianą.

Kierowca rovera przygasił światła i z samochodu wyskoczyło dwoje zamaskowanych ludzi. Wyższy, mający ponad sześć stóp wzrostu, ściskając wciąż w rękach uzi podbiegł do ford i przekręcił kluczyk w stacyjce.

–Leć za McGuire'em! – zawołał do swego towarzysza głosem zabarwionym wyraźnym irlandzkim akcentem. – A ja się upewnię, czy ci trzej nie żyją.

Kierowca rovera, również zamaskowany, zawrócił wóz i pomknął z powrotem w stronę rampy licząc na to, że skosi McGuire'a, zanim ten zdoła dotrzeć do ulicy.

W tej samej chwili z windy wysiadła jakaś roześmiana para.

Dziewczyna krzyknęła ze strachu na widok zamaskowanego mężczyzny z uzi.

–Nie! – zaprotestował jego kompan zbijając mu lufę do dołu. Był to kobiecy głos. – Zmywamy się!

Wbiegli na schody. Kobieta ściągnęła z głowy kominiarkę. Fiona Gallagher była atrakcyjną jasnowłosą dziewczyną o błękitnych oczach i przystrzyżonych na jeża włosach. Kiedy dopadli drzwi prowadzących na ulicę, jej kompan również ściągnął kominiarkę. Liam Kerrigan dobijał już do czterdziestki, miał krótkie czarne włosy i twarz boksera. Sięgnął do klamki, ale Fiona błyskawicznie zablokowała dłonią drzwi i gniewnym wzrokiem wskazała na uzi. Liam ukrył szybko broń za pazuchą kurtki i oboje wyszli na ulicę. Przed drzwiami czekał już zaparkowany samochód. Hugh Mullen również zdążył pozbyć się kominiarki. Był dwa lata starszy od Fiony, miał brązowe kręcone włosy i nosił okulary w drucianej oprawie.

–Zwiął – stwierdził Mullen. – Mógł skręcić w którąś z tych bocznych uliczek. Szukamy go?

–Nie, trzeba się stąd czym prędzej zmywać – pokręciła głową Fiona. – Na dole została para świadków. Lada moment wezwą

policję.

–A nie pozwoliłaś mi ich załatwić – warknął Kerrigan.

–Nie zabijamy przechodniów – odparła i zajęła w wozie miejsce obok Mullena.

Kerrigan zajął tylne siedzenie i zatrzasnął za sobą drzwiczki. Popatrzył na dziewczynę spode łba, ale nic nie powiedział. Wrzucił bieg i ruszył, uważając, by nie przekroczyć dozwolonej prędkości. Będzie jeszcze okazja, żeby dopaść McGuire'a. A on już wiedział, jak go wytropić...

Siergiej Kolczynski wchodził właśnie do mieszkania, kiedy zadzwonił telefon. Był to Whitlock. Marszcząc brwi, Kolczynski wysłuchał relacji Whitlocka o zasadzce w Londynie. Swain zginął na miejscu, Geddis zmarł w drodze do szpitala, a Mosser leżał w poważnym stanie na oddziale intensywnej terapii w Charing Cross Hospital. Operujący go lekarz powiedział Whitlockowi, że nawet jeśli się z tego wyliże, to nie ma wielkich nadziei, by mógł jeszcze sprawnie chodzić. UNACO traciła już w przeszłości agentów operacyjnych, ale nigdy nie straciła całego zespołu. Whitlock i Kolczynski zdawali sobie sprawę, że jest to woda na młyn przeciwników organizacji, domagających się jej rozwiązania. Niektóre rządy od jakiegoś czasu upatrywały w UNACO czegoś więcej niż grupy działających poza prawem zapaleńców. Głosy krytyki nasiliły się wyraźnie po odejściu Philpotta. Jego następcą nie zdążył jeszcze zagrozić miejsca na nowym stanowisku, a już stanął przed najpoważniejszym problemem w swojej zawodowej karierze.

Kolczynski był pięćdziesięciodwuletnim Rosjaninem z nadwagą, o wiecznie zbolalej minie i czarnych, przeredzających się włosach. Cieszył się opinią wybitnego taktyka. Błyskotliwa kariera, jaką robił w KGB, została przerwana, kiedy odważył się zaprotestować przeciwko nieludzkim metodom stosowanym podczas przesłuchań więźniów. Po dwunastu latach pełnienia funkcji attache wojskowego w licznych radzieckich ambasadach na Zachodzie powrócił do papierkowej roboty na Łubiance. Kiedy zastępca Philpotta, były agent KGB, został wydalony do Rosji pod zarzutem szpiegostwa, wśród kandydatur na brakujące stanowisko znalazło się nazwisko Kolczynskiego i Philpott bez namysłu wybrał właśnie jego. Kolczynski był zastępcą Philpotta przez trzy lata, a potem awansował na stanowisko dyrektora UNACO. Jednak w tej chwili najchętniej powróciłby do papierkowej roboty na Łubiance.

–Wracaj tu jak najszybciej, C.W. – powiedział do słuchawki, sięgając po paczkę papierosów leżącą na stojącym przed nim stoliczku. – Jak pewnie wiesz, czeka mnie cała seria spotkań z ambasadorami rozmaitych państw.

–Zarezerwowałem już sobie bilet na jedenastą rano czasu brytyjskiego – odparł Whitlock. – Będę w Nowym Jorku na śniadanie.

–Świetnie. Wątpię, czy w ogóle wpadnę jutro do biura. Wszystko wskazuje na to, że większość dnia zejdzie mi na omawianiu ostatnich wydarzeń z sekretarzem generalnym. Mógłbyś przesłać faksem do centrali możliwie najdokładniejszy opis tego, co tam się stało? Miałbym się czego trzymać podczas rozmowy.

–Zaraz to zrobię – odparł Whitlock. – Jaką grupą chcesz zastąpić Siódmy Zespół Operacyjny?

–Jest tylko jedna, której mogę powierzyć prowadzenie tej sprawy – powiedział Kolczynski przypalając sobie papierosa. – Twoja dawna grupa. Trzeci Zespół Operacyjny.

–Ja też postawiłbym na Mike'a i Sabrinę. Ale co z Fabio

Paluzzim? Nie był jeszcze z nimi na żadnej akcji.

–Fabio jest dobry. Udowodnił to podczas okresu próbnego z Piątym Zespołem Operacyjnym. Da sobie radę.

–Byłby to dla niego chrzest bojowy – zauważył Whitlock.

–Musi kiedyś zacząć – uciął Kolczynski, zerkając na stojący na kominku zegar. Było prawie wpół do dziewiątej. – Zadzwoń do oficera dyżurnego z centrali i powiem mu, żeby ich zawiadomił. Kod Czerwony. O której chcesz im jutro zrobić odprawę?

–Może o dziewiątej trzydzieści? Tak na wszelki wypadek, żeby nie musieli na mnie czekać.

–W porządku. A więc dziewiąta trzydzieści.

–Zajmiesz się powiadomieniem rodzin?

–To należy do moich obowiązków – westchnął ponuro Kolczynski. – Zadzwoń do Ann Swain zaraz po wydaniu dyspozycji oficerowi dyżurnemu. Jason, o ile mi wiadomo, nie był żonaty?

–Nie, tylko zaręczony. Jego narzeczona mieszka chyba gdzieś w Albercie.

–Szczegółów dowiem się od oficera dyżurnego. No dobra, zobaczymy się, jak się zobaczymy.

–Dobranoc, Siergiej.

Kolczynski odłożył słuchawkę i zanim wykręcił numer oficera dyżurnego z centrali UNACO, nalał sobie mocnego burbona.

–Sam nie wiem – bąknął Fabio Paluzzi. – A co ty o tym myślisz?

–Zdecyduj się – odparła Claudine Paluzzi patrząc z rozpaczą na męża. – Który z tych dwóch kolorów wolisz? Kremowy czy błękitny?

Paluzzi popatrzył na dwie ukośne smugi farby, namalowane przez żonę na ścianie, i wzruszył ramionami.

–Wiesz, że nie celuję w doborze kolorów.

–Nie pytam o dobór kolorów. Chcę tylko wiedzieć, który kolor wolisz.

–Chyba błękitny.

–Chyba?

–Błękitny. Na pewno. Zadowolona?

Westchnęła ciężko, ale nie odpowiedziała. Fabio poszedł do kuchni, otworzył lodówkę i wyjął sobie piwo.

Był trzydziestosześcioletnim Włochem krępej postury. Miał krótko przystryżone brązowe włosy i pociągłą twarz z szerokimi ustami i wydatną szczęką. Podobnie jak jego ojciec, ukończywszy szkołę wstąpił do carabinieri i spędził tam kilka lat, zanim został zwerbowany przez Nucleo Operativ Centrale di Sicurezza, elitarną włoską brygadę antyterrorystyczną. Miał wtedy dwadzieścia siedem lat. W wieku trzydziestu trzech doszedł do rangi majora. Był wybitnym ekspertem od Czerwonych Brygad i

brał swego czasu udział w jednej z operacji UNACO we Włoszech. Wtedy właśnie po raz pierwszy zwrócił na niego uwagę Malcolm Philpott i zaproponował mu przejście do UNACO. Paluzzi ochoczo podjął to nowe wyzwanie.

Przez pierwsze kilka miesięcy po przyjeździe do Nowego Jorku mieszkał wraz z żoną i dziesięciomiesięcznym synkiem Dario w małym domku należącym do organizacji. Rozglądali się z żoną za jakimś własnym kątem, ale nie mogli znaleźć niczego, co przypadłoby im do gustu. Wówczas jeden z kolegów z UNACO powiedział mu o mieszkaniu na dolnym East Side. Należało do jego przyjaciela, który chciał je jak najszybciej sprzedać. Claudine pokochała je od pierwszego wejrzenia, więc przeprowadzili się tam trzy dni później.

Fabio podszedł do drzwi i popatrzył na żonę. Klęczała na gołej drewnianej podłodze i czytała instrukcję na puszcze farby. Pracowała kiedyś jako stewardesa w Air France i była od niego pięć lat młodsza. Miała ładną twarz o regularnych rysach i długie brązowe włosy spięte z tyłu głowy w koński ogon.

Podniosła na niego oczy i zatrzymała wzrok na butelce, którą trzymał w ręku.

–Które to już piwo dzisiaj?

–Nie rozumiem? – spytał zaskoczony.

–Chyba czwarte, prawda?

–No i co z tego? – obruszył się.

–Nigdy tyle nie piłeś, kiedy mieszkaliśmy we Włoszech – powiedziała wstając.

–Nigdy tyle nie zrzędziłaś, kiedy mieszkaliśmy we Włoszech – odparował gniewnie.

Jego podniesiony głos obudził Dario.

–Zajrzę do niego – rzucił Paluzzi.

–Nigdzie nie zajrzesz – ucięła kategorycznie Claudine i zniknęła w sypialni małego.

Cztery piwa, a ona zachowuje się, jakby był nałogowym alkoholikiem nie rokującym żadnej nadziei. Kiedy to ostatni raz był pijany? Na wieczorze kawalerskim, dwa lata temu. Nie, tu nie chodziło o piwo. Przyczyna była znacznie poważniejsza. Wiedział, że Claudine tęskni za krajem. Nigdy mu tego wprawdzie nie powiedziała, ale jej zachowanie w ciągu ostatnich miesięcy wyraźnie na to wskazywało. Zastanawiał się nawet, czy rzeczywiście chciała przeprowadzić się do nowego mieszkania. Może pragnęła po prostu wyrwać się za wszelką cenę z małego, ciasnego domku, gdzie o byle błahostkę dochodziło między nimi do awantur. Teraz znowu się to zaczynało...

Deskami podłogi wstrząsnęła nagle niska, dudniąca wibracja. W jednym z sąsiednich mieszkań włączono stereo. Czekał, aż hałas przycichnie, przypuszczając, że może ktoś niechcący nastawił swój sprzęt za głośno. Ale hałas jeszcze się nasilił. W progu stanęła Claudine kołysząca w ramionach Dario.

–Pewnie któryś z naszych sąsiadów urządza imprezę –

stwierdził Paluzzi. – Najwyższy czas pójść i się przedstawić.

–Daj spokój, Fabio.

–A co z Dario?

–Ależ z ciebie obłudnik! Kiedy budzisz go swoim krzykiem, wszystko jest w porządku, ale jak przeszkadza mu ktoś inny, od razu wstępujesz na wojenną ścieżkę.

–To mój syn – odparł Paluzzi.

Claudine popatrzyła na Dario.

–Za chwilę znowu zaśnie. Zamknę drzwi od sypialni i nie będzie nic słyszał.

Paluzzi odstawił piwo i ruszył do drzwi.

–Nie martw się, zaraz zrobię z tym porządek.

Wiedziała, że nie ma sensu go zatrzymywać.

–Tylko na miłość boską nie wszczynaj żadnej awantury.

Pamiętaj, że dopiero co się wprowadziliśmy.

Paluzzi wyszedł na korytarz i cicho zamknął za sobą drzwi. Hałas dochodził z jednego z sąsiednich mieszkań. Zapukał do drzwi. Otworzył mu młody człowiek. Spoglądając ponad jego ramieniem, Paluzzi zauważył kłębiący się w mieszkaniu tłum małych. Wszyscy ubrani byli w dżinsy i ćwiekowane czarne skórzane kurtki z wypisanymi na plecach nazwami ulubionych zespołów.

–Czego? – burknął chłopak.

–Moja żona i ja właśnie wprowadziliśmy się do jednego z mieszkań na piętrze. Pod siedemnastką. Mamy małego synka, nie skończył jeszcze roku. Muzyka go obudziła. Będę wdzięczny, jeśli ściszyście ją tak, by mógł z powrotem zasnąć.

–Odwal się, człowieku, nie będziemy niczego ściszać – odparł z szyderczym uśmiechem młodzieniec. – To Ameryka, wolny kraj. Możemy robić co chcemy, kiedy chcemy i gdzie chcemy.

Kapujesz?

Paluzzi zacisnął pięści opuszczonych rąk, ale trzymał nerwy na wodzy. Mógłby załatwić chłopaka jedną ręką, jednak to nie było żadne wyjście. Claudine miała rację. Nie mógł sobie pozwolić na wdawanie się w bójkę. Nie tylko wyrobiłby sobie złą opinię w sąsiedztwie, ale na dodatek zwróciłby na siebie niepożądaną uwagę, co mogło zagrozić jego pozycji w UNACO. Trzeba to było załatwić inaczej.

–Dobra, w takim razie mam propozycję. Albo ściszyście muzykę, zanim wrócę do siebie do mieszkania, albo wzywam gliny.

Coś mi się zdaje, że byliby zainteresowani zawartością tych skrętów, które palisz ty i te dupki w środku. Choćbyście je wrzucili do klopa i spuścili wodę, to smród i tak zostanie, prawda? –

Paluzzi podniósł palec. – I spróbuj wyjaśnić glinom, że to Ameryka.

Możesz robić co chcesz, kiedy chcesz i gdzie chcesz. Jestem pewien, że to zrozumieją.

Muzyka ścichła, zanim młody człowiek zdążył zamknąć za Paluzzim drzwi. Claudine już na niego czekała.

–Jestem pod wrażeniem. Delikatna perswazja. Wyraźnie złagodniałeś na stare lata.

–Jak tam Dario?

–Chyba zasnął.

Paluzzi wziął z powrotem swoje piwo i już miał pociągnąć łyk, kiedy zorientował się, że Claudine na niego patrzy.

–No dobra, nie będę więcej pił. Wiesz, z dnia na dzień stajesz się coraz bardziej podobna do swojej matki...

Zadzwoił telefon. Claudine podniosła słuchawkę i bez słowa położyła na stole. Paluzzi podniósł ją. Oficer dyżurny poprosił o jego numer identyfikacyjny, który otrzymał wstępując do UNACO. Tym samym numerem opatrzone były jego akta personalne trzymane pod kluczem w biurze dyrektora UNACO. Paluzzi wyrecytował swój numer.

–Masz Kod Czerwony – zakomunikował oficer. – Odprawa odbędzie się jutro, punkt dziewiąta trzydzieści w biurze dyrektora. – Połączenie zostało przerwane i Paluzzi zamyślony odwiesił słuchawkę. Miała to być jego pierwsza akcja z Mike'em Grahamem i Sabriną Carver po przeniesieniu go do Trzeciego Zespołu Operacyjnego. Współpracował z nimi we Włoszech, kiedy służył jeszcze w NOCS, ale to było co innego. Teraz byli jego partnerami. Będzie musiał wypełnić lukę po Whitlocku. Trudna sprawa, ale wiedział, że sobie poradzi.

Sabrina Carver nienawidziła randek w ciemno. Zwłaszcza gdy partner okazywał się kompletnym świrem.

Zgodziła się na czwartą do towarzystwa tylko dlatego, że wiedziała, jak bardzo na tym zależy jej przyjaciółce, Simone Forrest. Simone, jedna z najlepszych nowojorskich modelek, zadzwoniła do niej poprzedniego wieczoru i powiadomiła, że Steve Rutheford, kanadyjski fotograf, którego poznała w tym miesiącu na sesji zdjęciowej w Toronto, wpadł z krótką wizytą do Nowego Jorku. Ale był pewien szkopuł. Razem z nim przyjechał jego najlepszy przyjaciel, Doug Keeble. Chciał mieć tego wieczoru jakąś partnerkę i Simone zaoferowała się, że zaprosi kogoś w sam raz dla niego...

Rutheford spodobał się Sabrinie od pierwszego wejrzenia. Był dokładnie taki, jak mówiła Simone. Ułożony, kulturalny i bardzo przystojny. Jak to się stało, że miał takiego przyjaciela jak Doug Keeble? Wprawdzie Keeble też był przystojny, ale na tym kończyło się jego podobieństwo do Rutheforda. Mówił głośno i miał uciążliwy nawyk pchania wszędzie łap. Już nawet nie liczyła, ile razy musiała odrywać jego dłoń od swojego kolana. Zwróciła mu dyskretnie uwagę, ale on po prostu obrócił to w żart. Później, kiedy Rutheford zapłacił rachunek, Simone obwieściła, że wybierają się do klubu nocnego. Sabrina wiedziała, że Simone pragnie zostać sam na sam z Ruthefordem. Ale niech ją diabli, jeśli z tego powodu ona przez resztę wieczoru będzie musiała męczyć się z Keeble'em...

–To dokąd idziemy? – spytał Keeble, kiedy Rutheford i Simone opuścili restaurację. Wsunął jej rękę pod ramię. – Ty znasz Nowy Jork.

Sabrina wyrwała mu się.

–Nigdzie nie idziemy. Wracam do domu. Jutro czeka mnie dużo pracy.

–Jeszcze wcześniej. Możemy strzelić gdzieś parę drinków, a potem wykręcić jakiś numerek... – Wyszczrzył zęby. – Już ja dopilnuję, żebyś na czas znalazła się w łóżeczku.

Sabrina wciągnęła powietrze przez zaciśnięte zęby. Z trudem utrzymywała nerwy na wodzy. Najbardziej nie cierpiała, gdy ktoś traktował ją protekcjonalnie. A już zwłaszcza ktoś taki, jak Keeble. Z podobnym szowinizmem zetknęła się przed dwoma laty, po przejściu z FBI do UNACO. Wiedziała, że jako jedyny agent operacyjny płci pięknej w całej organizacji będzie traktowana protekcjonalnie, ale mimo wszystko wkurzało ją to. W końcu swoją zaciętą determinacją zdołała zjednać sobie oponentów. Dziś wszyscy traktowali ją jak równą sobie. Nikt spoza organizacji, nie licząc jej rodziców, nie wiedział, że jest członkiem Trzeciego Zespołu Operacyjnego. Dla znajomych była tłumaczką w Organizacji Narodów Zjednoczonych. Działalność UNACO zasadała się na tajności.

–Chodź, idziemy – nie dawał za wygraną Keeble i znów sięgnął po jej rękę.

Wyszarpnęła mu ją i wstała piorunując go wzrokiem.

–Gównu mnie obchodzi, dokąd się wybierasz. Ale jedno wiem na pewno: nie ze mną. Dotarło?

Odwróciła się na pięcie i pomaszerowała do drzwi. Odprowadzały ją spojrzenia wszystkich obecnych na sali mężczyzn. Była piękną dwudziestoosmioletnią kobietą; miała ciemnoblonde włosy sięgające ramion i niemal idealną figurę, co podkreślała obcisła sztruksowa sukienka. Wyszła na ulicę i przystanęła, by wyciągnąć z torebki kluczyki od samochodu.

–Ej, poczekaj – wysapał Keeble wypadając za nią z restauracji. – Co jest, u licha?

Obejrzała się na niego.

–A niby co ma być? Wracam do domu.

–A co ze mną? Przecież Steve zabrał samochód.

–To weź taksówkę – odparowała Sabrina. – Może ja mam ci ją złapać?

–Co cię napadło? – zdziwił się Keeble. – Jesz za darmo i proszę, jak się odwdzięczasz. Najpierw robisz mi wstyd przed ludźmi, a potem wypadasz jak rozkapryszony dzieciak. Może zdecyduj się wreszcie, o co ci chodzi?

Sabrina popatrzyła na Keeble'a. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale rozmyśliła się. Jaki sens ma wdawanie się w dyskusję z kimś takim? Facet wciąż twardo tkwił w średniowieczu. Lepiej po prostu odejść.

–Nie odwracaj się plecami, kiedy do ciebie mówię – warknął chwytając ją za ramię.

Z łatwością wyswobodziła się z jego uścisku, powstrzymując pokusę rozciągnięcia go na chodniku. Nie byłoby to trudne, w karate miała czarny pas, ale dla takiego typka szkoda było zachodu. Poprzestała na ostrzegawczym wymierzeniu w niego palca.

–Dotknij mnie jeszcze raz, a spędzisz resztę nocy na komisariacie.

–Przynajmniej towarzystwo miałbym sympatyczniejsze – stwierdził Keeble.

–Jak dla ciebie, to chyba rzeczywiście masz rację – odparowała, odchodząc do zaparkowanego na końcu ulicy mercedesa 500 SEC w kolorze białego szampana.

Keeble zaklął pod nosem, ale dał w końcu za wygraną i złapał taksówkę.

Sabrina patrzyła, jak wtapia się w ruch uliczny. Potem uruchomiła samochód i wróciła na Manhattan, do domu. Kiedy wchodziła do wyłożonego czarnymi i białymi kafelkami foyer, pogrążony w lekturze czasopisma portier podniósł na nią wzrok i uśmiechnął się. Odwzajemniła mu uśmiech, otworzyła drzwi swojego małego mieszkania i znalazła się w skromnie umeblowanym pokoju. Zrzuciwszy buty na wysokim obcasie podeszła do półki, na której stała w rzędzie imponująca kolekcja płyt kompaktowych z nowoczesnym jazzem, wybrała ostatni album Boba Berga i włożyła krążek do odtwarzacza. Nastawiła w kuchni czajnik i weszła do łazienki, by zmienić sukienkę. Właśnie miała wyjąć z szafki szary kostium, kiedy zadzwonił telefon. Przynajmniej wiadomo, że to nie Doug Keeble. Nie miał jej numeru. Usiadła na krawędzi łóżka i już miała podnieść słuchawkę, kiedy poraziła ją myśl, czy nie poprosił Simone o jej numer. Chyba by mu go nie dała, prawda? Był tylko jeden sposób, by to sprawdzić. Podniosła słuchawkę.

–Panna Carver? – spytał jakiś męski głos.

–Przy aparacie – odpowiedziała.

–Tu Llewelyn and Lee – powiedział mężczyzna.

Odetchnęła z ulgą. "Llewelyn and Lee" było wymyślonym przez

Philpotta kryptonimem dla trzydziestu zastrzeżonych linii UNACO. Dzienny recepcjonista lub oficer dyżurny w nocy stawali się bardziej rozmowni dopiero wtedy, kiedy podało się swój numer identyfikacyjny albo ustalone hasło. Sabrina podała swój ID i oficer dyżurny powtórzył przeznaczoną dla niej wiadomość.

–Stawię się – zapewniła Sabrina. •

–Nie wie pani przypadkiem, gdzie jest pan Graham? – spytał po chwili oficer dyżurny. – Nie można złapać go przez telefon, na wezwanie przez pager też nie odpowiada.

–Wiem, gdzie go szukać – powiedziała. – Zostaw to mnie, przekażę mu wiadomość.

–Byłbym wdzięczny. Mogłaby pani do mnie potem przekręcić, żebym zrobił wpis do książki?

–Jasne. Aha, tylko nie wspominaj panu Kolczyńskiemu, że nie udało ci się z nim skontaktować.

–Niestety nie mogę, panno Carver. Dyrektor wyraźnie mnie prosił, żebym notował agentów, którzy nie odpowiadają na wezwanie.

–Tylko ten jeden raz – poprosiła cicho. – Obiecuję, że się z nim rozmówię. A jeśli to się powtórzy, możesz meldować.

–Myślę, że wszystko będzie w porządku – powiedział po

chwili. – Byle tylko wiadomość do niego dotarła.

–Dotrze. Dzięki.

–Drobiazg – odparł oficer dyżurny i połączenie zostało przerwane.

Sabrina odłożyła słuchawkę i znów podeszła do szafki. Wybrała parę modnych dżinsów i luźną białą koszulkę. Wiedziała, że zastanie Grahama w Manion Hotel w Yorkville. Co środa przyjeżdżał z Vermont, gdzie mieszkał, by złożyć świeże kwiaty na grobie żony i syna, a potem zatrzymywał się na noc właśnie w Manion. Do domu wracał następnego dnia. Wetknęła wąskie nogawki dżinsów w brązowe buty za kostkę, z wieszaka przy drzwiach zdjęła skórzaną kurtkę i opuściła mieszkanie.

–Wybacz pan, panie Mitchell, ale kończy nam się burbon.

Peter Mitchell podniósł wzrok znad szachownicy i skinął głową.

–W porządku, Leo, sam zejść do piwnicy – powiedział do barmana i spojrzał na siedzącego naprzeciw człowieka. – Zaraz wracam, Mike.

Mike Graham wzruszył ramionami.

–Nie musisz się śpieszyć, Mitch. Coup de grace może poczekać.

–Coup de grace? – zachnął się Mitchell. – Chwilowy kryzysik, i tyle.

–Czyżby? – spytał Mike ze znaczącym uśmiechem.

Mitchell machnął ręką, wstał i poszedł za Leo do baru. Graham

pociągnął łyk perriera i rozejrzał się niespiesznie. W środowy wieczór był tu spory ruch. Odwiedzał Windmill Tavern od pięciu lat, odkąd dowiedział się, zresztą zupełnie przypadkowo, że właścicielem lokalu jest Mitchell. Obaj mężczyźni zaprzyjaźnili się podczas wspólnej służby w Wietnamie, ale utracili ze sobą kontakt, kiedy Mitchell został ranny w walce i wrócił do Stanów na leczenie. O tym, że Mitchellowi amputowano prawą rękę, Graham dowiedział się dopiero po wojnie, kiedy znów się z nim spotkał.

Mike Graham odstawił szklankę i opadłszy na oparcie krzesła czekał na powrót Mitchella. Był atletycznie zbudowanym, trzydziestoosmioletnim mężczyzną o młodzieńczej przystojnej twarzy i zmierzwionych kasztanowatych włosach, które opadały w nieładzie na kołnierz koszuli. Był rodowitym nowojorczykiem. Po ukończeniu wydziału nauk politycznych na UCLA spełnił marzenie z dzieciństwa wstępując na początku lat siedemdziesiątych do drużyny New York Giants. Miesiąc później powołano go do wojska i wysłano do Wietnamu, gdzie został ranny w ramię, co przekreśliło jego obiecującą karierę futbolisty. W ostatnim roku wojny był blisko powiązany z CIA i po powrocie do Stanów zwerbowano go do elitarniej jednostki Delta.

Jedenaście lat później awansował na dowódcę Oddziału B. Podczas swojej pierwszej misji musiał przedostać się wraz z jednostką do Libii i zniszczyć tam bazę szkoleniową terrorystów. Kiedy byli już gotowi do ataku, otrzymał wiadomość, że jego żona Carrie i pięcioletni syn Mikey zostali uprowadzeni spod drzwi ich nowojorskiego mieszkania przez zamaskowanych mężczyzn. Pozwolono mu przerwać misję, ale nie skorzystał z tego. Baza szkoleniowa została zniszczona,

jednak Salimowi Al-Makes-howi i Jean-Jacquesowi Bernardowi, którzy byli głównym celem operacji, udało się zbiec. Rozpoczęto poszukiwania jego rodziny, ale nie natrafiono na najmniejszy ślad. Graham odszedł z Delty na własną prośbę, lecz dowódca przesłał jego akta do UNACO. Sekretarz generalny zapoznawszy się z orzeczeniem psychiatrycznym

odrzucił kandydaturę Grahama, Philpott jednak podjął decyzję o jego przyjęciu do organizacji.

Przez swoje skłonności do chadzania własnymi ścieżkami Graham szybko popadł z przełożonymi w konflikt, który nasilił się, gdy podjął na własną rękę poszukiwania Bernarda – człowieka, którego posądzał o udział w uprowadzeniu swojej rodziny. Chociaż Bernard został później zabity, Grahamowi udało się ustalić, że rozkaz porwania wydał ktoś z wyższych kręgów CIA, by stworzyć Bernardowi, który dla niego pracował, możliwość ucieczki. Odnalazł również miejsce, gdzie pogrzebano zwłoki Carrie i Mikeya, ekshumował ich szczątki i przeniósł je na cmentarz przy kościele, w którym brali z Carrie ślub. Kiedy sekretarz generalny wystąpił o zwolnienie Grahama ze służby, Philpott ponownie mu się sprzeciwił. Ale Graham nie miał najmniejszych wątpliwości, że jeżeli jeszcze raz przeciągnie strunę, zostanie usunięty. I wiedział, że tej groźby nie należy lekko traktować.

Mitchell wrócił i zajął swoje miejsce przy stoliku. Przyjrzał się sytuacji na szachownicy i zafrasowany podrapał się w głowę.

–Rzeczywiście nie wygląda to najlepiej. Powiedziałbym nawet, że fatalnie.

–Jedyne co ci pozostało, to położyć króla i wypłacić mi te dwadzieścia dolców, o które się założyliśmy.

–Czyli poddać się bez walki? – podsumował Mitchell. –

Dobrze wiesz, Mike, że to nie w moim stylu.

–Wiem, że kiedy przychodzi do płacenia, stajesz się skąpym skurczybykiem – odciął się z uśmiechem Mike.

Mitchell wykonał ruch, którego Mike się spodziewał. W odpowiedzi Graham zaszachował mu króla.

–To nie było ładne... – Mitchell urwał i gwizdnął cicho, spoglądając ponad głową Grahama. – Niezła sztuka.

Graham obejrzał się i zaklął pod nosem. W wejściu, z rękami w kieszeniach skórzanej kurtki, stała Sabrina i szukała go wzrokiem po sali. Odwrócił się z powrotem do Mitchella.

–To moja znajoma.

–Wybacz, Mike, nie wiedziałem.

–Nie ma sprawy – mruknął Mike. – Twój ruch.

–Nie dasz jej żadnego znaku? Najwyraźniej cię szuka.

–Znajdzie mnie. No, ruszaj się, Mitch.

W końcu Sabrina dostrzegła Grahama i ruszyła w jego stronę. Nagle czyjaś dłoń złapała ją za ramię i obróciła.

–Przyszłaś się zabawić, mała? – spytał mężczyzna nie rozluźniając chwytu.

–Mógłbyś puścić moją rękę? – poprosiła grzecznie.

–Siadaj – odparł i skinął na jednego z dwóch kumpli, by przyniósł jej krzesło.

Mitchell obserwował całe zajście ponad głową Grahama.

–Mike, kłopoty.

Graham obejrzał się z irytacją. Trzej młodzi mężczyźni, prawdopodobnie miejscowi chuligani.

–Niech się sama o siebie troszczy – powiedział wzruszając obojętnie ramionami i wskazał na szachownicę. – Cały czas czekam na twój ruch, Mitch.

–Przecież nie możemy jej tak zostawić! – wybuchnął Mitch. – Trzech na jedną.

Chciał się zerwać z miejsca, ale Graham przytrzymał go za ramię.

–Powiedziałem, że sobie poradzi. Zapomnij o niej i rusz się wreszcie albo kończ grę.

Sabrina uwolniła rękę. Pchnięte gwałtownie krzesło uderzyło ją od tyłu w nogi. Zdołała utrzymać równowagę, ale kiedy chciała odejść od stolika, napastnik zerwał się i zastąpił jej drogę.

–Gdzie ci się tak śpieszy? Siadaj i napij się z nami – powiedział, wskazując na krzesło.

–Zechciałbyś mnie przepuścić? – warknęła. – Drugi raz już nie poproszę.

–Ale się przestraszyłem – powiedział mężczyzna uśmiechając się do kumpli. – Siadaj!

Chwył Sabrinę za nadgarstek, by siłą usadzić ją na krześle. Dziewczyna szarpnęła rękę do siebie i gwałtownym ruchem poderwała ją do góry, odginając natrętowi kciuk i zmuszając go, by ją puścił. Na koniec kopnęła go mocno w kolano. Krzyknął z bólu i upadł na podłogę. Jeden z jego kumpli rozbił o kant stołu butelkę piwa i zerwał się na nogi. Graham doszedł do wniosku, że najwyższy czas wkroczyć do akcji. Wstał i podszedł do Sabriny, która gotowała się do odparcia ataku.

–W porządku, Mike, poradzę sobie – mruknęła nie odrywając wzroku od stłuczonej butelki.

–Wiem. Ale czy oni to wiedzą? – Graham spojrzał na dwóch mężczyzn. – Ona da wam obu radę z zamkniętymi oczami, i to tak, że wylądujecie na pół roku w szpitalu. Weźcie to pod uwagę, zanim zrobicie coś nieprzemyślanego.

Drugi z mężczyzn podniósł rękę.

–Mnie się to nie uśmiecha. Ja się nie mieszam. Idziesz, Joe?

Joe popatrzył na Grahama i Sabrinę, odrzucił butelkę i ściągnął kurtkę z oparcia krzesła.

–Nie zapomnijcie zabrać tego śmiecia – dodał Graham, wskazując na mężczyznę, który wciąż zwijał się z bólu na podłodze.

Koledzy podźwignęli go na nogi i na wpół niosąc, na wpół wlokąc, wytaszczyli z

lokalu.

–W porządku, przedstawienie skończone – obwieścił Mitchell.

Ktoś wrzucił monetę do szafy grającej i z głośników popłynęła muzyka Dire Straits. Po kilku chwilach mało kto pamiętał o całym zajściu.

–Sabrino, przedstawiam ci Petera Mitchella – powiedział Graham wskazując na stojącego za nim mężczyznę. – Wiele razem przeszliśmy.

–Przykro mi z powodu tamtych trzech, zwykle nie miewamy u nas takiej klienteli – oświadczył Mitchell.

–Fakt, zwykle bywają tu o wiele gorsi – dodał Graham.

–Mów za siebie – odparł pogodnie Mitchell. – Co ci podać do picia, Sabrina? Na koszt firmy. Przynajmniej tak ci mogę wynagrodzić to, co tu przed chwilą zaszło.

–Nic, ale dziękuję za dobre chęci. – Odwróciła się do Grahama. – Moglibyśmy zamienić słówko na zewnątrz?

Skinął głową i wyciągnął rękę do przyjaciela.

–Dawaj te dwadzieścia dolców.

–Gra jeszcze nie skończona – zaprotestował Mitchell.

–Mał w dwóch posunięciach. Dobrze o tym wiesz. – Graham pstryknął palcami. – Forsa, Mitch.

Mitchell wyjął z kieszeni dwa dziesięciodolarowe banknoty i wręczył je Grahamowi.

–Odegram się, Mike.

–W następną środę znowu będę w Nowym Jorku. Ta sama godzina, to samo miejsce?

–W porządku. Jesteśmy umówieni.

–Do zobaczenia, Mitch.

Mitchell poklepał Grahama po ramieniu i uśmiechnął się do Sabriny.

–Miło było cię poznać.

–Mnie również – odparła i wyszła za Grahamem z baru.

–Skąd wiedziałaś, że tu będę? – spytał Mike, gdy tylko znaleźli się na ulicy.

–Pojechałam do Manion i recepcjonista powiedział mi, gdzie mam szukać.

–Coś nie w porządku?

–Jesteśmy na Kodzie Czerwonym.

–Kiedy go zarządzono?

–Jakieś pół godziny temu – odparła Sabrina. – Ale ty oczywiście o tym nie wiesz. Znowu robisz te swoje stare numery,

–Niby jakie?

–Nie odpowiadasz na wezwanie przez pager.

–Nawet nie pisnął! – zachnął się Graham.

–Znamy się nie od dziś, Mike. Znam już wszystkie twoje triki. No więc, gdzie go masz? W hotelu?

–Tutaj – odparł poklepując się po kieszeni kurtki.

Ale pagera tam nie było. Graham przetrząsnął pozostałe kieszenie, nie było go jednak w żadnej z nich.

–Nie masz go przy sobie? A to ci niespodzianka!

–Mogłabyś sobie darować ten sarkazm.

–Przecież od kiedy C.W. cię awansował, jesteś dowódcą A to oznacza, że powinieneś świecić przykładem.

–Miałem go po południu, jadąc na cmentarz. Musiał zostać w kieszeni garnituru. Słowo daję, wydawało mi się, że go przełożyłem.

Sabrina westchnęła.

–Przepraszam, że tak na ciebie najechałam – powiedziała. – Miałam ciężki wieczór.

–Siergiej mnie zabije, jeśli przeczyta w książce oficera dyżurnego, że musiałaś się tu fatygować osobiście, żeby mnie powiadomić o zarządzeniu Kodu Czerwonego. W okólniku, który puścił

–Wiesz, że było wyraźnie powiedziane, że agenci operacyjni mają nie rozstawać się z pagerami. Nie dowie się, że tu przyjechałam – uspokoiła go Sabrina.

–Oficer dyżurny zgodził się nie wspominać o tym w raporcie.

–No to jedziemy.

–Możemy się zabrać moim wozem – zaproponowała Sabrina wyciągając z kieszeni kluczyki.

–Gdzie zaparkowałaś?

–Niedaleko stąd. – Wsunęła Grahamowi rękę pod ramię. – Chodź, pokażę ci.

–Dzięki, jestem ci winien drinka.

–Postaw mi kawę i będziemy kwita.

–Umowa stoi – zgodził się Graham.

–Masz na myśli jakieś konkretne miejsce?

Warren siedział nieruchomo na tylnym siedzeniu samochodu między dwoma mężczyznami, którym materiał luźnych, przewiewnych marynarek wypychały kolby tkwiących w kaburach pod pachami rewolwerów. Na oczach miał ściśle przylegającą opaskę. Wiedział, że nic mu nie grozi, ale mimo to bał się. Odegnął niepokojące myśli i przywołał z pamięci wydarzenia minionego dnia.

Kiedy rankiem opuszczał swoje nowojorskie mieszkanie, by udać się na lotnisko Johna F. Kennedy'ego, padał deszcz. Rzęsisty, ulewny deszcz ograniczający widoczność na drodze do kilku stóp. Na lotnisko dotarł z zapasem paru minut, ale w boeingu 747 tuż przed startem nastąpiła awaria silnika i pasażerowie musieli się przesiąść do innej maszyny. Lot do Bogoty w Kolumbii opóźnił się ostatecznie o dwie godziny. Pięć godzin później wylądowali na lotnisku El Dorado, gdzie czekała już wycarterowana cessna, którą poleciał do Medellin.

Dojechał taksówką do International Hotel. Miał rezerwację na nazwisko Warren, które figurowało w jego paszporcie, choć nie było to jego prawdziwe nazwisko. Musiał podjąć wszelkie środki ostrożności. W recepcji czekał na niego list. Otworzył go w swoim pokoju. Znowu złe wieści. Jednego z mężczyzn, z którym miał się

spotkać po południu, interesy zatrzymały poza miastem na dłużej i nie da rady wyrobić się na czas. Proponuje przełożenie spotkania na ósmą wieczorem.

Postępując wedle otrzymanych wskazówek, opuścił hotel o siódmej trzydzieści i pojechał taksówką do Ogrodów Botanicznych. Tam czekał na niego mercedes, który miał go zabrać na umówione

spotkanie. Przed wyruszeniem w drogę ochroniarze założyli mu na oczy opaskę; obie strony miały zbyt wiele do stracenia, a na taki środek ostrożności gotów był się zgodzić. Od tamtej chwili minęło już dwadzieścia minut, może więcej. Stracił rachubę czasu. Zresztą i tak nie miał pojęcia, dokąd jadą.

Wreszcie mercedes stanął, drzwiczki otworzyły się i ktoś pomógł mu wysiąść z samochodu. Padł rozkaz po hiszpańsku i zdjęto mu opaskę. Stał przed jakąś chatą z drewnianych bali, na polanie otoczonej gęstą dżunglą. Na obwodzie polany naliczył ośmiu strażników, każdy uzbrojony w uzi. Kolejni dwaj strażnicy stali po obu stronach drzwi chaty. Jeden z nich zapukał w nie. Otworzył śniady, krępy mężczyzna po trzydziestce. Spod marynarki wystawała mu kolba automatycznego pistoletu tkwiącego w kaburze pod pachą. Nazywał się Miguel Cabrera i był starszym synem Jorge Cabrery, przywódcy jednej z najpotężniejszych rodzin narkotykowych w Kolumbii. W ciągu ostatnich pięciu miesięcy obaj mężczyźni spotykali się już kilkakrotnie. Cabrera zbliżył się z uśmiechem do Warrena i wyciągnął na powitanie rękę.

–Na wstępie muszę przeprosić za sposób, w jaki cię tu dostarczono – powiedział bezbłędną angielszczyzną. – Ale sam chyba wiesz, że nie możemy sobie pozwolić na niepotrzebne ryzyko.

–Tak, oczywiście.

–Przepraszam też za przełożenie spotkania, ale jak wyjaśniłem w liście, pewne sprawy zatrzymały mnie w Manizales. – Cabrera wskazał na otwarte drzwi chaty. – Proszę przodem.

Warren wszedł do środka. W małej izdebce większość miejsca zajmował mahoniowy stół. Wokół niego ustawionych było osiem takich samych krzeseł; dziewięte, u jego szczytu, miało skórzane obicie. Przy stole siedzieli dwaj mężczyźni. Ramon Cabrera miał dwadzieścia parę lat i długie, czarne włosy zebrane z tyłu głowy w kucyk. Bracia stanowili całkowite swoje przeciwieństwo: Ramon był mięśniami, Miguel mózgiem. Układ ten doskonale wpisywał się w organizację kartelu. Miguel, wykorzystując swój handlowy spryt, prowadził liczne interesy na całym świecie. Nie było tajemnicą, że przygotowywano go, by po śmierci ojca poprowadził dalej rodzinę. Z kolei Ramon od pięciu lat odpowiadał za bezpieczeństwo kartelu i przez ten czas stał się jednym z najbardziej nienawidzonych i wzbudających postrach ludzi w kraju. Pomimo swojej odmienności bracia byli nierozłączni.

Ważący sto czterdzieści kilo Jorge Cabrera był ogromnie dumny ze swoich synów. Siedział u szczytu stołu z chusteczką w jednej ręce i cygarem w drugiej. Osuszył chusteczką spoconą twarz, oparł cygaro na popielniczce, i gestem ręki zaprosił Warrena do izby. Miguel zamknął drzwi i dokonał zwyczajowej

prezentacji. Ramon z niechęcią wymienił z Warrenem uścisk dłoni, a Jorge Cabrera udał, że nie widzi wyciągniętej ręki gościa.

–Proszę, może usiądziesz? – zachęcił Warrena Miguel wskazując mu krzesło. – Podać ci coś do picia?

–Burbona, jeśli macie – odparł Warren siadając.

Miguel wyjął z kredensu karafkę, szczodłą ręką napełnił kieliszek i postawił go przed Warrenem. Potem zajął miejsce po prawej stronie ojca. Ramon, siedzący dokładnie naprzeciw Miguela, pochylił się do przodu i mruknął coś pod nosem. Ojciec rąbnął gniewnie pięścią w stół i kazał mu być cicho.

Miguel spojrzał na Warrena.

–Mój brat ci nie ufa.

Warren nerwowo przełknął ślinę. Miguel uśmiechnął się z ironią.

–Nie przejmuj się, on nikomu nie ufa. Czasem mam wątpliwości, czy ufa nawet mnie.

Jorge Cabrera, nie odrywając wzroku od twarzy Warrena, wygłosił jakąś krótką przemowę po hiszpańsku; skończywszy, wsadził z powrotem cygaro do ust i osuszył czoło wilgotną chusteczką.

–Mój ojciec wita cię w Kolumbii. Mówi, że odkąd usłyszał o twojej propozycji, nie mógł się doczekać tego spotkania.

Jorge Cabrera pokiwał głową, jak gdyby zrozumiał, co powiedział syn, po czym znów wyrzucił z siebie potok hiszpańskich słów. Ilekroć ojciec przerywał, by zaciągnąć się cygarem, Miguel śpieszył z tłumaczeniem.

–Decyzję przystąpienia do rozmów handlowych z nami uzasadniłeś tym, że uważasz nas za najpotężniejszą obecnie rodzinę zaopatrującą w narkotyki Europę i Amerykę. Ale co przez to rozumiesz? Naszą kondycję finansową? Wpływy, jakie mamy na rząd? Liczebność naszej gwardii przybocznej? Rzeczywiście jeśli chodzi o przetwórstwo i dystrybucję kokainy nasza rodzina nie ma sobie równych. W gruncie rzeczy jest to obecnie jedyny towar, jaki eksportujemy. Haszysz i barbiturany pozostawiamy innym rodzinom. Żadna z nich nie handluje kokainą na taką skalę.

Powiem ci o czymś... za tę informację wasza Agencja do Walki z Narkotykami dałaby bardzo wiele. W zeszłym roku prawie

pięćdziesiąt procent całej kokainy, jaka trafiła na wasz rynek z Medellin, pochodziło właśnie od nas. Z tym, że większość towaru przerzucono przez Florydę, co naraziło nas na poważne straty, ponieważ wasza DEA tropi nasze szlaki przerzutowe, a przez Florydę prowadzi ograniczona liczba takich szlaków. Dlatego twój plan jest dla nas jak łyk świeżego powietrza. Udostępni nam szlak omijający Florydę i tylko my będziemy z niego korzystać. Założyliśmy już w okolicy sieć dystrybucji. Można ją bez problemów powiększyć. Teraz czekamy jedynie na twoje hasło i możemy wysłać pierwszą partię towaru.

Warren pociągnął łyk burbona i obrócił powoli kieliszek w dłoni. Podniósł wzrok na Jorge Cabrere.

–Jeśli o nas chodzi, możecie zaczynać choćby zaraz.

Miguel przetłumaczył to ojcu. Jorge Cabrera pokiwał głową i szepnął coś do Miguela, który odwrócił się z powrotem do Warrena.

–Mój ojciec pyta, czy przed twoim odlotem do Nowego Jorku ustalimy termin.

–Liczyłem, że odlecę dziś w nocy.

–To niemożliwe – pokręcił głową Miguel.

–Dlaczego? – zaniepokoił się Warren.

–Lotnisko jest czynne tylko w dzień. Medellin leży wśród gór. Start lub lądowanie nocą byłoby zbyt niebezpieczne. Osobiście dopilnuję, by zarezerwowano ci miejsce na pierwszy lot jutro rano. Ale dziś wieczór jesteś moim gościem. Lubisz owoce morza?

–Owszem.

–Zatem zjemy kolację w Las Lomas. Serwują tam najlepsze owoce morza w mieście. Niektórzy nawet twierdzą, że najlepsze w kraju. Podczas posiłku będziemy mogli jeszcze porozmawiać.

Jorge Cabrera skinął głową na Ramona. Ten wstał, wziął z kredensu dyplomatkę, położył ją przed Warrenem i z powrotem usiadł.

–Otwórz – polecił Miguel.

Warren odblokował zamek teczki i podniósł wieko.

–Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Wszystko w nie znaczonych banknotach – poinformował Miguel. – Potraktuj to jako gest dobrej woli z naszej strony.

Warren wyjął jedną paczuszkę banknotów, przeliczył ją i podniósł wzrok na Jorge Cabrerę.

–Gracias.

Jorge Cabrera skinął głową, po czym zdusił niedopałek cygara, dając tym samym do zrozumienia, że uważa spotkanie za zakończone. Miguel wstał i odprowadził Warrena do drzwi.

–Przykro mi, ale w drodze powrotnej do hotelu znów będziesz musiał mieć opaskę na oczach. Przyślę po ciebie samochód o dziewiątej trzydzieści. Podwiezie cię pod restaurację.

–W porządku.

–No to do zobaczenia – powiedział Miguel potrząsając ręką Warrena.

Warren uśmiechnął się do siebie. Wszystko szło zgodnie z planem.

Graham zostawił swojego białego poobijanego forda furgona rocznik 78 na parkingu pod gmachem głównym Organizacji Narodów Zjednoczonych i udał się do budynku Sekretariatu. Przy wejściu okazał strażnikowi przepustkę, przeszedł przez foyer do wind i nacisnął guzik dwudziestego drugiego piętra. Jego wytarte niebieskie dżinsy, biała koszulka, czarna sportowa kurtka i czapka baseballowa drużyny New York Yankees przyciągały pogardliwe spojrzenia tradycyjnie ubranych mężczyzn jadących razem z nim w kabinie. Od samego początku służył w UNACO Philpott

wypominał mu niekonwencjonalny styl ubierania się, ale Graham był nieprzejednany – nie będzie przychodził na odprawy w garniturze i pod krawatem. Philpott nie nalegał, ale przez upór Grahama miał trudności z przypasowaniem mu wiarygodnej legendy dla jego zatrudnienia w ONZ. Whitlockowi i Sabine dobrano legendy pasujące do ich kwalifikacji i życiorysu. Whitlock uchodził za attache przy kenijskiej delegacji, a Sabrina, która ukończyła w Wellesley katedrę romanistyki, była oficjalnie tłumaczką zatrudnioną przy Zgromadzeniu Ogólnym. Graham, z uwagi na ukończony wydział nauk politycznych i wojskową przeszłość, dostał ostatecznie fikcyjny etat doradcy do spraw Ameryki Środkowej przy ambasadorze amerykańskim w ONZ.

Na dwudziestym drugim piętrze wysiadał tylko on. Zaczekał, aż zasuną się za nim drzwi windy, doszedł do samego końca korytarza i zatrzymał się przy drzwiach nie opatrzonych żadną tabliczką. Wystukał kod cyfrowy na tarczy wpuszczonej w ścianę przy framudze; po chwili rozległ się metaliczny szczęk i droga stanęła otworem. Graham wszedł do małego, skąpo umeblowanego pokoju i zamknął

za sobą drzwi. Znajdował się w sekretariacie kwatery głównej UNACO. W boazerię z tekowego drewna, pokrywającą ścianę naprzeciwko wejścia, wkomponowanych było dwoje niewidocznych na pierwszy rzut oka rozsuwanych drzwi, które uruchamiało się za pomocą miniaturowego nadajnika akustycznego. Drzwi po prawej prowadziły do Centrum Dowodzenia, gdzie zespoły analityków przy użyciu najnowocześniejszego sprzętu najwyższej klasy przez dwadzieścia cztery godziny na dobę monitorowały na bieżąco wahania sytuacji międzynarodowej. Przez drzwi po lewej wchodziło się do prywatnego biura dyrektora.

Powitała go Sarah Thomas. Była atrakcyjną trzydziestoletnią kobietą o krótkich blond włosach. Funkcję osobistej sekretarki dyrektora pełniła od pięciu lat.

–Czyżbym był pierwszy? – zdziwił się Graham spoglądając na zegarek. – A myślałem, że się spóźniłem.

–Bo się spóźniłeś – powiedziała z uśmiechem Sarah. – Ale nie przejmuj się, kurtyna jeszcze nie poszła w górę. Sabrina i Fabio są w Centrum Dowodzenia.

–A co tam robią?

–Zabijają czas, czekając na C.W. Powinien tu być lada moment.

Chcesz do nich iść? – spytała wskazując na ścianę po swojej prawej ręce.

Graham pokręcił głową i usiadł na obitej ciemnoczerwona tkaniną sofie.

–Może podać ci kawę?

–Nie, dzięki – powiedział Graham. – Dostyc wypilem w nocy.

–To samo usłyszałam od Sabriny – uśmiechnęła się Sarah.

–Tak? – zdziwił się Graham. – A co ci konkretnie powiedziała?

–Że siedzieliście oboje do drugiej nad ranem w jakimś klubie w Greenwich Village. Można z tego wnioskować, że miło spędzaliście czas.

–Tak, faktycznie – bąknął niechętnie Graham. – Byliśmy w "Sweet Basil's". To klub jazzowy na Bleecker Street. Znasz go?

–Ze słyszenia – odparła Sarah. – Nie przepadam za jazzem. Drzwi prowadzące do Centrum Dowodzenia rozsunęły się. Do biura weszli Sabrina z Paluzzim i drzwi zasunęły się za nimi z powrotem. Paluzzi podał Grahamowi rękę.

–No i jak tam było zeszłej nocy?

–Świetna muzyka – odparł szybko Graham, zerkając spode łba na Sabrinę.

–Chyba się jednak skuszę na tę kawę – powiedziała Sabrina do Sarah. Podniosła rękę widząc, że Sarah wstaje. – Siedź. Sama się obsłużę. Tobie też zrobić? •

–Nie, dziękuję – odparła Sarah.

–Fabio? Mike?

–Ja dziękuję – pokręcił głową Paluzzi. – Pijam wyłącznie świeżo zmieloną. Takiej lury nie tykam.

–Patrzcie go, jaki wybredny – powiedziała Sabrina z krzywym uśmiechem. – A ty, Mike?

Graham potrząsnął przecząco głową i podszedł do dystrybutora, przy którym się krzątała.

–Musiałś roztrąbić po całym świecie, że byliśmy we dwoje w "Sweet Basil's"? – syknął przez zaciśnięte zęby.

–Sarah i Fabia trudno chyba nazywać całym światem, nie uważasz? – odparowała.

–Po coś im o tym mówiła?

–Nie rozumiem, o co ta awantura. Poszliśmy razem do klubu jazzowego, i tyle. Nie oznacza to przecież, że umawiamy się na randki.

Graham zerknął na Sarah i Paluzziego. Byli pochłonięci rozmową. Odwrócił się do Sabriny.

–Tego typu sytuacje mogą być rozmaicie interpretowane. A tak właśnie rodzą się plotki.

–Nie pękaj, Mike. Daję ci słowo, że to się więcej nie powtórzy.

A to dlatego, że od tej chwili będziemy się widywać wyłącznie w pracy. Tym sposobem uniknie się rozmaitych interpretacji. Zadowolony?

Zanim zdążył odpowiedzieć, do biura wszedł Whitlock. Powitał ich i za pomocą miniaturowego pilota otworzył przesuwane drzwi, prowadzące do sanktuarium dyrektora.

–Rozgośćcie się – zachęcił swoich podwładnych, wskazując na dwie czarne sofy stojące pod ścianą. Obszedł biurko Kolczyńskiego, zasiadł za nim i korzystając ponownie z miniaturowego pilota zamknął drzwi.

Sabrina usiadła obok Paluzziego i uśmiechnęła się do Whitlocka.

–Wciąż nie mogę przywyknąć do oglądania cię za biurkiem, C.W. Zawsze zasiadałeś wśród nas.

–No to lepiej przywyknij – odciął się Whitlock. Podniósł przeprasząco rękę. – Wybacz, Sabrina. Mam za sobą ciężką noc. Dopiero co przyleciałem z Londynu.

–Gdzie Siergiej? – spytał Graham.

–U sekretarza generalnego. I zabawi u niego cały dzień. Jutro i pojutrze prawdopodobnie też będzie u niego siedział. Stoimy przed jednym z najpoważniejszych kryzysów w historii UNACO. Kto wie, czy nie najpoważniejszym.

–To stąd ten Kod Czerwony? – spytał Graham.

Whitlock pokiwał głową.

–Wybrano Trzeci Zespół Operacyjny, ponieważ ty i Sabrina jesteście najlepszymi agentami operacyjnymi, jakimi dysponuje UNACO. Żeby rozgryźć sprawę, będziecie musieli dać z siebie wszystko. – Zerknął na Paluzziego. – Będzie to dla ciebie ciężki chrzest bojowy, Fabio, ale jestem pewien, że dasz sobie radę.

–Przywykłem już, że rzucają mnie od razu na głęboką wodę – wzruszył ramionami Paluzzi.

Whitlock otworzył leżącą na biurku teczkę.

–Tego, o czym wam teraz powiem, nie zakomunikowano jeszcze żadnemu z pozostałych zespołów operacyjnych. Agentów, którzy aktualnie nie mają przydzielonych zadań, zaprosiłem na popołudnie na specjalną odprawę. Pozostali zostaną powiadomieni we właściwym czasie. – Popatrzył na leżącą przed nim kartkę i znów podniósł na nich wzrok. – Wczorajszej nocy, w Londynie, Siódmy Zespół Operacyjny wpadł podczas wypełniania zadania w zasadzkę. Dave Swain i Jason Geddis zginęli na miejscu, natomiast Alain Mosser zmarł w szpitalu dziś rano.

–Straciliśmy cały zespół? – wymamrotał Graham.

Whitlock pokiwał ponuro głową.

–W przeszłości traciliśmy pojedynczych agentów operacyjnych, ale nigdy całego zespołu naraz. Właśnie takiego argumentu potrzeba naszym oponentom, którzy naciskają na sekretarza generalnego, by rozwiązał UNACO.

–W gorszym momencie nie mogło się to zdarzyć. – Sabrina pokręciła głową. – Miejsce za tym biurkiem nie zdążyło jeszcze dobrze ostygnąć po pułkowniku Philpotcie, a tu masz...

–Dostanie nam się za to z Siergiejem – przytaknął Whitlock. –

Ale to już nie wasza sprawa. I tak macie dosyć na głowie. Nie dość, że musicie przejąć zadanie Siódmego Zespołu Operacyjnego, to jeszcze dochodzi wam rozliczenie ich zabójców.

–Rozliczenie? – warknął wściekle Graham. – Z zimną krwią zastrzelili trzech naszych kolegów...

–Mnie też szlag trafia na myśl o tym, co się wczoraj stało, Mike – powiedział Whitlock. – Byli dobrym, zgranym zespołem, byli też naszymi przyjaciółmi. Nie możemy sobie jednak pozwolić, by emocje wzięły górę nad rozsądkiem. Pamiętajcie o tym. Jesteśmy stróżami prawa, a nie jakimiś postrzeleńcami, którzy rwą się do wyrównywania rachunków.

Poza tym nie ma wątpliwości, że sekretarz generalny będzie monitorował każdy ruch, jaki wykonacie w tej sprawie. Jeśli zdołacie dostarczyć ich żywych, postawi to nas od razu w korzystniejszym świetle, kiedy przyjdzie do odpierania ataków oponentów.

–Jaki mamy punkt wyjścia? – spytała Sabrina.

–Siódmy Zespół Operacyjny rozpracowywał tę sprawę od trzech miesięcy – odparł Whitlock przerzucając leżące przed nim papiery. – Zostawili wiele materiału, na którym będziecie się mogli oprzeć.

–Na przykład? – zainteresował się Graham.

–No więc, chyba wiemy, kto ich zabił – odparł Whitlock podnosząc rękę, zanim Graham zdążył mu przerwać. – Chwileczkę, Mike, wszystko w swoim czasie. Spójrzmy najpierw na sprawę z pewnej perspektywy, zgoda?

Graham skinął głową i założył ręce na piersi.

–Sprawa, którą rozpracowywali, dotyczyła dowódcy jakiejś komórki IRA. Nazywa się Sean Farrell.

–Farrell? – mruknął Paluzzi.

–Znasz go? – spytał Whitlock.

–Ze słyszenia. To nazwisko pierwszy raz obito mi się o uszy jakieś osiemnaście miesięcy temu, kiedy NOCS prowadziło dochodzenie w sprawie ewentualnych powiązań Czerwonych Brygad z Irlandczykami. Słyszałem nawet, że upatruje się w nim przyszłego lidera IRA.

–Jeśli się postaramy, to nic z tego nie wyjdzie – powiedział Whitlock. – Dwa dni temu, kiedy Farrell wracał z kontynentu do Wielkiej Brytanii, został aresztowany przez brygadę antyterrorystyczną Scotland Yardu. Kazałem go aresztować, bo Dave Swain zapewnił mnie, że ma informatora, dzięki którego zeznaniom będzie można posadzić Farrella do końca życia.

–Czy to przypadkiem nie chodzi o McGuire? – zainteresowała się Sabrina. Whitlock skinął głową.

–Owszem. Siódmy Zespół Operacyjny wpadł w zasadzkę właśnie podczas spotkania z tym facetem. Kiedy jednak policja przybyła na miejsce, po McGuire'em nie było już śladu.

–Co to za człowiek? – spytał Paluzzi.

–Jest jednym z ważniejszych informatorów UNACO-poinformował

go Whitlock. – Wie o IRA wszystko. Ale godził się współpracować tylko z Dave'em Swainem. O nikim innym nie chciał nawet słyszeć.

–To znaczy, że ci, którzy skasowali Siódmy Zespół Operacyjny, musieli wiedzieć, że on jest informatorem – skonkludował Paluzzi.

–Tak, musimy przyjąć taką hipotezę – przyznał Whitlock.

–Ale McGuire nie będzie chciał z nami rozmawiać – powiedziała Sabrina. – Zwłaszcza teraz, kiedy Dave Swain nie żyje.

–Nie wiadomo, czy on sam jeszcze żyje – zauważył Paluzzi.

–To właśnie musicie ustalić. Ale jeśli go znajdziecie, trzeba go nakłonić do mówienia, bo bez jego zeznań Farrell jeszcze w tym tygodniu wyjdzie na wolność. Nie jest to jednak jedyny powód, dla którego musimy odnaleźć McGuire'a, zanim zrobi to IRA. – Whitlock wyjął z teczki następną kartkę i położył ją na biurku. – Zeszłej nocy udało mi się porozmawiać z Alainem, zaraz po tym, jak przywieźli go do szpitala. Zanim stracił przytomność, zdołał zdać mi pobieżną relację z przebiegu całego zajścia. Nie będę wam jej teraz czytał. W swoich aktach znajdziecie kopie. Jednak jest w niej jeden istotny punkt, który muszę poruszyć już teraz. Chociaż Alain nie mógł słyszeć, co mówił Dave'owi McGuire, był przekonany, że w rozmowie padło nazwisko Jack Scoby.

–Jack Scoby, ten sam, którego właśnie wybrano senatorem stanu Nowy Jork? – zdumiała się Sabrina.

–Musimy założyć, że właśnie jego miał na myśli – odparł Whitlock. – Dzisiaj rano zadzwoniłem do jego biura i dowiedziałem się, że pod koniec tygodnia ma lecieć do Londynu z nieoficjalną wizytą w Zjednoczonym Królestwie. W programie przewidziana jest podróż do Irlandii, gdzie pochowani są jego dziadkowie.

–I myślisz, że IRA knuje coś przeciw niemu? – spytała Sabrina.

–Znajdźcie McGuire'a, a będziecie mieli odpowiedź – odparł Whitlock. – Do tego czasu musimy zakładać wszystko, co najgorsze. Mam się dzisiaj spotkać ze Scobym. Postaram się nakłonić go do odłożenia wizyty do czasu, kiedy upewnimy się, że jego życiu nie zagraża już żadne niebezpieczeństwo. Ale prawdę mówiąc, nie mam wielkiej nadziei, że cokolwiek wskóram. Scoby potrafi być uparty jak osioł.

–Nie rozumiem, co mogłaby mieć IRA do amerykańskiego senatora – odezwał się Graham. – I to tak popularnego jak Scoby. Popsuliby tylko swój wizerunek poza granicami Zjednoczonego Królestwa, a to odbiłoby się niekorzystnie na dotacjach

od ich sympatyków z całego świata. Przecież to nie ma najmniejszego sensu.

–Ale w tej chwili jest to nasza jedyna poszlaka – obstawał przy swoim Whitlock. – Klucz do rozwiązania tej zagadki spoczywa w rękach McGuire'a. Znajdźcie go, to połowę niewiadomych będziecie mieli z głowy.

–A ta druga połowa? – podchwycił Graham. – Ci, którzy rozwalili Siódmy Zespół Operacyjny? Wspominałeś coś, że jesteście prawie przekonani, iż znacie ich nazwiska.

–Na miejscu zdarzenia znalazło się paru naocznych świadków – wyjaśnił Whitlock. – Mówili o dwóch zabójcach. Mieli kominiarki i luźne ubrania. Jednym z nich prawdopodobnie była kobieta.

–No i...? – niecierpliwił się Graham.

–Podejrzewamy, że mogła nią być Fiona Gallagher. Jest kochanką Farrella i zarazem jego zastępczynią w komórce IRA. Nie mogą się bez siebie obejść. Jego aresztowanie było dla niej dotkliwym ciosem. Jest gotowa pójść na całość, byle tylko go uwolnić.

–Miła dziewczynka – mruknął Paluzzi.

–Nie lekceważ jej, Fabio. Jest profesjonalistką w każdym calu. Nie spocznie, dopóki nie odnajdzie McGuire'a i nie uciszy go raz na zawsze.

–No a ten drugi?

–Drugi zabójca to bez wątplenia Liam Kerrigan. Z opisu świadków wynika, że miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i utykał na prawą nogę. Kerrigan ma metr dziewięćdziesiąt i osiem lat temu został postrzelony w prawą nogę. Musieli też mieć kierowcę;

przypuszczamy, że był nim Hugh Mullen. Gallagher zwerbował go do IRA, kiedy studiowali razem na Bristol University. Obaj mężczyźni działają w komórce Farrella. Wszystko przemawia więc za tym, że to właśnie oni stanowią jego zespół egzekucyjny.

Whitlock wyjął z szuflady trzy szare koperty. Każda z nich zawierała szczegółowe instrukcje, które należało zniszczyć zaraz po przeczytaniu, bilety lotnicze, mapy ostatecznego miejsca przeznaczenia, pisemne potwierdzenia rezerwacji miejsc w hotelu, krótkie charakterystyki osób, z którymi mieli się skontaktować, oraz pewną sumę pieniędzy w walucie kraju, na którego terenie mieli działać. Prócz tego każdy agent operacyjny posiadał na wszelki wypadek dwie najpopularniejsze karty kredytowe. Suma pieniędzy, jaką wolno im było wydać podczas wypełniania zadania, nie była wprawdzie ograniczona, ale po powrocie do Nowego Jorku musieli się rozliczyć ze wszystkich wydatków. Whitlock wręczył koperty Grahamowi i Sabrinie.

–Wewnątrz znajdziecie zdjęcia Kerrigana i Mullena. Fotografii Fiony Gallagher niestety nie mamy. Podczas misji będziecie

współpracowali z brygadą antyterrorystyczną Scotland Yardu. Waszymi kontaktami w Londynie będą inspektor Keith Eastman oraz jego zastępca, sierżant John Marsh. Zajmują się tą sprawą od samego początku.

–A co ze mną? – spytał Paluzzi wskazując na trzecią kopertę, która leżała wciąż na stole.

–Ty podejdziesz do sprawy od innej strony – wyjaśnił Whitlock. – Najchętniej dołączyłbym cię do Mike'a albo Sabriny z uwagi na fakt, że to twoje pierwsze zadanie z Trzecim Zespołem Operacyjnym, ale w tych okolicznościach jest to niemożliwe. Przynajmniej na razie. Mike i Sabrina stanowią zgrany zespół i przy grze o tak wysoką stawkę nie chcę zakłócać ich współpracy.

–Rozumiem – powiedział Paluzzi. – Ale co w takim razie oznacza ta "druga strona"?

–Przedwczorajszej nocy podczas sztormu u wybrzeży Nantucket Island zatonął szkuner "Ventura". Nantucket to wysepka jakieś dwieście mil na północny wschód stąd – dodał Whitlock widząc po minie Paluzziego, że ta nazwa nic mu nie mówi. – Nikt nie ocalał. Szczątki statku morze wyrzuciło na brzeg. Była wśród nich skrzynia zawierająca nowiutkie karabiny Armalite.

Nie znamy wielkości przesyłki i wątpię, czy kiedykolwiek ją poznamy, ale wiemy na pewno, że szkuner płynął do Irlandii. Konkretnie do Sligo Bay. Stamtąd broń miała być pewnie przemycona do Irlandii Północnej. Normalnie nie zajmowalibyśmy się czymś takim. To sprawa FBI. Ale tą konkretną przesyłką zajmował się człowiek o nazwisku Rory Milne, nowojorczyk powiązany z Noraid, amerykańską organizacją sympatyzującą z IRA. Tak się składa, że był on również głównym kontaktem Farrella w Ameryce. Nie figurował na liście załogi szkunera. Dowiedzieliśmy się o nim poprzez wtyczkę FBI w Noraid. Na razie udało nam się utrzymać w tajemnicy przed prasą zarówno to, że na pokładzie znajdował się Milne, jak i fakt odnalezienia broni, ale nie możemy zatajać tego w nieskończoność. Musimy się dowiedzieć, kto stoi za tą przesyłką. Gdyby udało nam się udowodnić bezpośrednie powiązania Farrella z tą sprawą, mielibyśmy w ręku więcej atutów, kiedy znajdzie się w końcu w sądzie. – Whitlock wręczył trzecią kopertę Paluzziemu. – Szkuner płynął z Milford, portu położonego sześćdziesiąt mil na południe stąd. Proponowałbym, żebyś stamtąd właśnie zaczął. Przed budynkiem stoi zaparkowany jeden z naszych samochodów. Jest do twojej dyspozycji. Kluczyki ma Sarah.

–No to w drogę – powiedział Paluzzi wstając.

–O której mamy lot do Londynu? – spytała Sabrina.

–O dwunastej z JFK – odparł Whitlock.

Sabrina zerknęła na zegarek i spojrzała na Grahama.

–To my też będziemy się zbierać.

–Tak – mruknął Graham i również wstał.

–Oczekuję od was regularnych raportów z przebiegu misji – zaznaczył na odchodnym Whitlock.

–Regularnych, to znaczy jakich? – spytał Graham.

–Macie meldować się co najmniej trzy razy dziennie. W ten sposób będziemy mogli na bieżąco informować sekretarza generalnego. –

Whitlock wziął z biurka miniaturowy nadajnik i przesunął wzrokiem po wszystkich obecnych. – Siergiej i ja ręczyliśmy dziś rano głowami, że jesteście najlepszym zespołem w organizacji.

Macie teraz dowieść, że się nie myliliśmy. Bo wszystko wskazuje na to, że jeśli wam się nie powiedzie i nie wykryjecie tej komórki IRA, UNACO przestanie istnieć.

Paluzzi i Sabrina opuścili gabinet. Graham przystanął w progu i spojrzał na Whitlocka.

–Rozpracujemy to, C.W. Możesz na nas liczyć.

Whitlock popatrzył mu w oczy, ale nic nie odpowiedział. Kiedy Graham zniknął w sekretariacie, zamknął za nim drzwi i odłożył nadajnik na biurko. Miał nadzieję, że Graham się nie myli. Bo w przeciwnym wypadku...

Nowojorskie biura Jacka Scoby'ego mieściły się na ostatnim piętrze Melrose Building, jednego z najwyższych drapaczy chmur w sercu finansowej dzielnicy miasta. Whitlock, przebrnąwszy przez gęste sito punktów kontrolnych systemu ochrony obiektu, siedział w recepcji i czekał na przybycie senatora. Rozglądał się niespiesznie po pomieszczeniu. Ściany ozdabiał rząd oprawionych w ramki plakatów z ostatniej kampanii wyborczej. Przed wyborami Whitlock wiele z nich widział na mieście. Przypomnił sobie bezkompromisowe i porywające przemówienia senatora. Scoby krytykował w nich łagodne wyroki wymierzane przestępcom, zwłaszcza za wykroczenia mające związek z narkotykami, i chociaż popadł przez to w konflikt z ludźmi o liberalnych zapatrywaniach, którzy rozwiązanie problemu widzieli raczej w terapii, mimo wszystko zwyciężył zdecydowaną większością głosów. Jego zwycięstwo nie miało precedensu w historii dotychczasowych wyborów w stanie Nowy Jork i wypromowało go z dnia na dzień do politycznej elity, a prawe skrzydło partii obwołało go swoim bohaterem. Po Capitol Hill krążyły już pogłoski, że wystartuje w przyszłych wyborach prezydenckich.

Miał wszystkie atrybuty niezbędne do odniesienia sukcesu na arenie politycznej. Dzięki fotogeniczności i charyzmie zjednał sobie rzesze telewidzów; swoimi odważnymi, nierzadko kąśliwymi przemówieniami oczarował konserwatystów ze średnich i wyższych klas. Większość politologów była przekonana, że któregoś dnia stanie na czele swojej partii. Pozostawało tylko pytanie, kiedy to nastąpi.

–Jestem Jack Scoby – przedstawił się senator Whitlockowi.

Nietrudno było zrozumieć, dlaczego cieszył się takim powodzeniem. Był przystojnym, czterdziestoletnim mężczyzną o czerstwej cerze i gęstych, czarnych włosach przyprószonych na skroni lekką siwizną.

–C.W. Whitlock – powiedział Whitlock, potrząsając dłonią Scoby'ego.

–Może przejdziemy do mnie? – zaproponował gospodarz, wskazując na swoje biuro.

Było to przestronne pomieszczenie, w którym pyszniło się masywne biurko z drewna tekowego i trzy obite skórą fotele, ustawione w równej odległości od siebie pod sąsiednią ścianą. W rogu pokoju wisiała amerykańska flaga państwowa.

Mężczyzna, który siedział na jednym z foteli, ujrawszy Whitlocka wstał i uśmiechnął się. Dobijał czterdziestki, miał przerzedzające się brązowe włosy i okulary w drucianej oprawie. Whitlock domyślił się, kto to jest, zanim Scoby zdążył dokonać prezentacji.

–Panie Whitlock, przedstawiam panu Raya Tillmana. Jest moją prawą ręką i mózgiem kampanii wyborczej.

Tillman bez słowa wymienił z Whitlockiem uścisk dłoni. Scoby zamknął drzwi.

–Proszę spocząć, panie Whitlock. – Zaczekał, aż obaj mężczyźni zajmą miejsca na fotelach, po czym obszedł biurko i również usiadł. – To, że pan przybył dzisiaj do mnie, jest szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Właśnie zanotowałem sobie w terminarzu,

żeby w tym tygodniu zadzwonić do UNACO i przedstawić się. Płyniemy przecież tą samą łodzią, prawda? Nowy zespół u steru. Ale z pewnością niełatwo będzie zastąpić takiego nawigatora, jakim był pułkownik Philpott.

–Znał pan pułkownika? – zaciekawiał się Whitlock.

–Spotkałem go parokrotnie na bankietach z udziałem korpusu dyplomatycznego – odparł Scoby. – Ale lepiej znam go z jego reputacji. A przecież dopiero to naprawdę się liczy, prawda? Jego następcą, Siergiej Kolczyński, dla ludzi spoza UNACO jest absolutną niewiadomą.

–Z tonu wnioskuje, że nie jest pan zachwycony jego mianowaniem – powiedział Whitlock ściągając brwi.

Scoby splótł palce spoczywających na biurku dłoni.

–Jest byłym pułkownikiem KGB z czasów zimnej wojny.

A teraz stoi na czele międzynarodowej organizacji do walki z przestępczością z centralą w Stanach Zjednoczonych. Trochę trudno mi się z tym pogodzić.

–Lojalność Siergiej a wobec UNACO nie podlega dyskusji – odparował Whitlock.

–Z pewnością – powiedział bez wielkiego przekonania

Scoby. Zaraz jednak obdarzył Whitlocka jednym ze swych

ujmujących uśmiechów i dodał: – Oczywiście Siergiej Kolczyński będzie miał moje poparcie tak długo, jak długo pozostanie dyrektorem UNACO. I mam nadzieję, że w niedalekiej przyszłości będę miał przyjemność się z nim spotkać. Może po moim powrocie ze Zjednoczonego Królestwa wybierzemy się we trójkę na lunch?

–Pomówię z nim o tym, gdy tylko się zobaczymy – zapewnił

Whitlock. – Prawdę mówiąc, moja wizyta tutaj związana jest

właśnie z pańską podróżą do Anglii podczas weekendu. Otrzymaliśmy pewne informacje, które być może skłonią pana do poniechania wyjazdu.

Scoby zmarszczył brwi.

–A cóż to za informacje?

Whitlock opowiedział, co zdarzyło się w Londynie poprzedniej nocy. Nie pominął żadnego szczegółu, wiedział bowiem, że Scoby i tak otrzyma precyzyjny raport z przebiegu zajścia.

Kiedy skończył, Tillman pochylił się do przodu i zapytał:

–Jakie są szanse, że ta komórka IRA zostanie zdjęta, zanim senator wybierze się do Londynu?

–Tego nikt nie wie – odparł Whitlock, po czym przeniósł

wzrok na Scoby'ego. – Właśnie dlatego prosiłem o spotkanie z panem. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by ich wytropić, ale jeśli do końca tygodnia będą wciąż na wolności, postąpiłby pan rozsądnie przekładając tę podróż.

–Mowy nie ma – uciął kategorycznie Scoby. – Nie dam się zastraszyć. Lecę w piątek do Londynu, niezależnie od tego, czy znajdziecie tych terrorystów, czy nie.

–Opinia pana senatora na temat IRA jest dobrze znana, ale mimo to nie rozumiem, dlaczego mieliby planować na niego jakiś zamach – odezwał się Tillman. – Popsuliby tym sobie swój wizerunek w świecie. Zwłaszcza tutaj, w Stanach.

–Nie wiemy, czy planują zamach, panie Tillman – powiedział Whitlock. – Dlatego właśnie poruszamy niebo i ziemię, żeby odnaleźć tego informatora. Naturalnie będę powiadamiał panów na bieżąco o rozwoju wypadków.

–Doceniam to – odparł Scoby.

–Czas już chyba na mnie – westchnął Whitlock wstając z fotela.

–Dziękuję, że się pan do mnie pofatygował. – Scoby odprowadził Whitlocka do drzwi. – Na wypadek, gdyby pan dzwonił i mnie nie zastał, wydam instrukcje, żeby łączono pana z Rayem.

–Doskonale – odparł Whitlock. – Mam nadzieję, że uporamy się z tym przed pańskim wyjazdem do Londynu.

–Wiem, że zrobicie wszystko, co trzeba. – Scoby otworzył drzwi i jeszcze raz potrząsnął ręką Whitlocka. – Miło mi było pana poznać. Porozmawiamy jeszcze przy lunchu, kiedy wrócę z weekendu.

Whitlock uśmiechnął się i opuścił gabinet. Scoby zamknął za nim drzwi i spojrzał na Tillmana.

–No i...?

–To nie ma najmniejszego sensu. Podejmując taką operację IRA nic nie zyska, za to bardzo wiele straci.

Scoby przygryzł z zadumą wargę.

–Być może. Ale jeśli to nie IRA?

–Whitlock wyglądał na przekonanego, że to komórka IRA – odparł Tillman.

–Ja jestem tego pewien – podchwycił szybko Scoby. – Ale jeśli to jakaś zdegenerowana komórka, której chodzi tylko o pieniądze? O pieniądze, za które chcą sobie kupić nowe tożsamości i rozpocząć nowe życie gdzieś, gdzie IRA nigdy ich nie odnajdzie? – Przeszedł przez pokój, przysiadł na krawędzi biurka i założył ręce na piersi. – Spójrzmy prawdzie w oczy. Nie wspominając już o demokracjach, we własnej partii również mam wystarczająco wielu wrogów, którzy najchętniej by mnie uciszyli.

I to na zawsze.

–Myślisz, że cała ta operacja mogła zostać zaplanowana na Capitol Hill?

**–A czemuż by nie? – refleksyjnie pokiwał głową Scoby. –
Czy można sobie wymarzyć lepszy sposób, niż wynajęcie do tej
roboty komórki IRA w Wielkiej Brytanii? Po prostu jadę i nie
wracam.**

–Może zlecić komuś, by dokładniej zbadał sprawę?

Scoby pokręcił głową.

**–Zostawmy to UNACO. Od tego są. Mają środki i kontakty,
by dojść prawdy, a co ważniejsze, Kolczynski i Whitlock uczynią
wszystko, by zatrzeć złe wrażenie, jakie zrobiła na sekretarzu
generalnym utrata całego ich zespołu w Londynie. A jeśli okaże
się, że intryga uknuta została na Capitol Hill, gazety będą miały
o czym pisać. Już ja o to zadbam.**

**–I przy okazji wyjdiesz na ofiarę zakulisowych rozgrywek,
co przysporzy ci głosów w nadchodzących wyborach prezydenckich?**

–Właśnie – odparł Scoby ze znaczącym uśmiechem.

**–Zapominamy tylko o jednym – powiedział Tillman. – Że
ta komórka cały czas gdzieś tam jest. Dopóki nie zostaną ujęci,
twojemu życiu zagraża niebezpieczeństwo.**

**–To ryzyko, które muszę podjąć. Wyobraź sobie, jak zareagowałyby
prasa dowiedziawszy się, że przełożyłem podróż w obawie
przed terrorystycznym zamachem. – Scoby uśmiechnął się
do siebie. – Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.
Umocnię tylko swoją pozycję, zarówno tutaj, jak i za granicą.**

–O ile wszystko ułoży się po naszej myśli.

–Jestem pewien, że się ułoży, Ray. Jestem pewien.

Paluzzi zaparkował przed biurem kapitanatu i wysiadł z samochodu. Podróż z Nowego Jorku do Milford zabrała mu godzinę. Zamknął samochód, wsunął kluczyki do kieszeni, wszedł do budynku i skierował się do recepcji. Za kontuarem naprzeciw wejścia siedział dwudziestoparoletni młodzieniec. Dokończył wpisywanie czegoś do dziennika, wstał i podszedł do Paluzzi ego.

–Dzień dobry – powiedział bez specjalnego entuzjazmu. –
Czym mogę służyć?

Paluzzi wyjął z kieszeni podrobioną legitymację prasową i pokazał ją młodzieńcowi. Wynikało z niej, że nazywa się Franco Pasconi i jest dziennikarzem z włoskiej gazety La Repubblica. Znalazł ją w kopercie, którą otrzymał w Nowym Jorku od Whitlocka.

–Chciałbym zadać kilka pytań na temat "Ventury".

Przez twarz młodzieńca przemknął cień niepokoju.

–Nie mam panu nic do powiedzenia.

–Jestem gotów zapłacić za informację – nie dawał za wygraną Paluzzi. Wyciągnął z kieszeni kurtki kopertę, w której było dwadzieścia studolarowych banknotów. Wyjął dwa, przedarł je na pół i wetknął sobie między palce. – To jak?

Na widok pieniędzy młodemu człowiekowi zabłyśły oczy, ale szybko się opanował.

–Powiedziałem, że nie mam panu nic do powiedzenia. Jestem zajęty.

–W czym problem? – spytał Paluzzi pochylając się ku młodzieńcowi. –
Czego się boisz?

–Niczego – odburknął młodzieniec.

–Możesz mi chociaż powiedzieć, gdzie cumowała "Ventura",
kiedy stała w porcie? Zainkasujesz za to stówę.

Recepcjonista spojrzał na banknoty, sterczące Paluzziemu spomiędzy palców.

–Dwie.

–Niech będą dwie – przystał Paluzzi.

Młody człowiek wyciągnął spod lady rejestr i przerzucając pozaginane stronicę odnalazł stosowny wpis.

–Nabrzeże Trzy.

–Jak długo tam stała? – spytał Paluzzi.

–Miałem tylko powiedzieć...

–Mam jeszcze forszę – kusił Paluzzi.

Młodzieniec łypnął na niego spode łba i zajrzał jeszcze raz do rejestru.

–Zacumowała w poniedziałek o siódmej czterdzieści rano
i odpłynęła tego samego dnia o piątej po południu. – Zamknął
rejestr, wyciągnął rękę i wyrwał Paluzziemu banknoty spomiędzy
palców.

Kiedy Włoch zniknął mu z oczu, powrócił za kontuar i wykręcił trzycyfrowy numer. Słuchawkę z tamtej strony podniesiono niemal natychmiast.

–Jess?

–Tak, a kto mówi?

–Billy.

–Czego chcesz? – burknął głos.

–Właśnie wyszedł stąd jeden facet, który pytał o "Venturę".

Miał legitymację prasową czy coś takiego. Zagraniczny akcent.

–Jaki?

–Skąd mam wiedzieć? – zachnął się Billy.

–A na jakie nazwisko była legitymacja prasowa?

–Nie przyjrzałem się jej.

–Co mu powiedziałeś?

–Nic, słowo, Jess. Skierowałem go na Nabrzeże Trzy.

–Czyś ty na łeb upadł?

–I tak by się nie dał odprawić z kwitkiem. Pomyślałem, że najlepiej będzie, jeśli sam z nim pogadasz. Powiedziałem mu, że "Ventura" cumowała przy Nabrzeżu Trzy. Trzymaj się tego.

–Niech lepiej nie kopie za głęboko, bo to się może dla niego źle skończyć – powiedział Jess. – Cześć.

Połączenie zostało przerwane.

Paluzzi wrócił do samochodu i ze schowka na rękawiczki wyjął berettę. Załadował do kolby magazynkę i wsunął pistolet do kabury, którą nosił z tyłu spodni. Wolałby nie zabierać ze sobą broni, ale nie mógł sobie pozwolić na żadne ryzyko. Zaniepokoił go strach, jaki ujrzął w oczach recepcjonisty, kiedy wspomniał o "Venturze". Nie ulegało wątpliwości, że ktoś kazał mu trzymać w tej sprawie język za zębami. Ale kto? Tego właśnie musiał się dowiedzieć...

Wsunął na nos okulary przeciwsłoneczne i pomaszerował do pobliskich doków. Pierwszego napotkanego człowieka spytał o drogę na Nabrzeże Trzy. Dotarłszy tam, przystanął i rozejrzał się. Pięćdziesiąt jardów przed nim wyrastał ogromny dźwig opuszczający drewniane skrzynie do ładowni małego frachtowca. Po prawej stał magazyn. Na ścianie budynku oraz na jego dachu z blachy falistej wymalowane było wielkie "3". Tuż przy drzwiach, na pustej skrzyni przysuniętej do samej ściany, siedziało dwóch mężczyzn. Obaj mieli na sobie podarte dżinsy i poplamione smarami koszulki.

–Dzień dobry – powiedział Paluzzi zbliżając się do nich.

Wyjął z kieszeni legitymację prasową i pokazał ją. – Franco

Pasconi. Jestem dziennikarzem z włoskiej gazety La Repubblica.

Chciałem zadać kilka pytań dotyczących "Ventury". Podobno tu cumowała, zanim wypłynęła w poniedziałkowy wieczór

Jeden z mężczyzn wzruszył obojętnie ramionami i zaciągnął się papierosem. Drugi przesunął dłonią po spoconej twarzy, a potem wytarł ją o podkoszulek.

–Ja tam nie wiem – burknął.

–Przecież musieliście ją widzieć? – nie dawał zbić się z tropu

Paluzzi.

–Tyle łajb się tu widuje – powiedział człowiek z papierosem.

–Nie jesteście zbyt rozmowni – zauważył Paluzzi. – "Ventura" była zarejestrowana właśnie tutaj, w Milford. Załoga pochodziła stąd.

–To fakt – odparł człowiek z papierosem. – Nasi ludzie.

Nasi kumple. Co nie, Randy?

–Racja – mruknął Randy.

–Dobrze znaliście Earla Reida? – indagował dalej Paluzzi.

–A co pana, u licha, obchodzi Earl? – wybuchnął Randy.

–Ciekaw jestem, jaki był – wyjaśnił Paluzzi.

Człowiek z papierosem wycelował weń palcem.

–Pilnuj pan swojego nosa. Earl był naszym kumplem. Więcej nie musisz pan wiedzieć.

–A reszta załogi? Znaliście ich?

–Znaliśmy – odparł lakonicznie Randy. – Prawda, Tom?

–Prawda. Dostyc tych pytań. Zbieraj pan lepiej dupę w troki, póki ją jeszcze masz. Nie lubimy, jak obcy wściubiają nosa w nasze sprawy. Szczególnie w takim momencie.

–Dlaczego wszyscy tu coś kręcą? – zniecierpliwiał się Paluzzi. – Co wy ukrywacie?

Tom zdusił papierosa na ścianie skrzyni i wstał.

–Mówiłem chyba, żebyś zbierał dupę w troki. Głuchyś?

–Chodzi mi tylko o kilka faktów... – Paluzzi cofnął się, bo w tym momencie Tom wydobyl z tylnej kieszeni nóż sprężynowy.

–Spokój!

Paluzzi obejrzał się, zaskoczony okrzykiem, który dobiegł zza jego pleców.

Zobaczył mężczyznę pod czterdziestką o gęstych piaskowych włosach i ogorzalej twarzy. Facet miał na sobie džinsy i białą, rozpiętą pod szyją koszulę, którą zdobił poluzowany krawat.

–To jakiś gryziپیórek. Wypytuje o Earla – wyjaśnił Randy. –

Mówimy mu, żeby się odwalił, a on dalej swoje.

–Wracajcie do roboty – rozkazał mężczyzna. Spojrzał na nóż w dłoni Toma. – I schować mi to. Później pogadamy.

Tom zmierzył Paluzziego wściekłym wzrokiem, po czym wsunął nóż z powrotem do kieszeni i zniknął w magazynie. Randy splunął Włochowi pod nogi i ruszył za Tomem.

–Dzięki – powiedział Paluzzi wyciągając do mężczyzny rękę. – Nazywam się Franco Pasconi.

–Jess Killen. Jestem kierownikiem nabrzeża – odwzajemnił się mężczyzna, ostentacyjnie wpychając dłonie do kieszeni. –

Dlaczego wypytuje pan o Earla?

–Zbieram materiały do artykułu, który chcę napisać.

–Do artykułu? O czym? Jasny gwint, przecież przy Nantucket bez przerwy toną jakieś statki. Co takiego szczególnego w "Venturze"?

Mózg Paluzziego zaczął pracować na najwyższych obrotach. Kierownik nabrzeża.

To oznaczało, że niemal na pewno wiedział o wszystkim, co się dzieje w porcie. W tym również o załadunku karabinów Armalite na "Venturę". Musi zagrać asem, którego trzymał w zanadrzu.

–Zna pan człowieka nazwiskiem Milne? Rory Milne?

Żrenice Killena zwęziły się nieznacznie. Pokręcił głową.

–Nie, nie przypominam sobie. A powinienem?

Paluzzi wyczuł, że tamten kłamie.

–Był na "Venturze", kiedy szła na dno. Ale na oficjalnej liście pasażerów nie figurował. Nie było go też na liście załogi. Myślałem, że może od pana się dowiem, dlaczego znajdował się na pokładzie?

–Nie mam pojęcia.

–Rory Milne był członkiem Noraid. Czy ta nazwa coś panu mówi?

–Nic.

Paluzzi był przekonany, że Killen znowu kłamie, ale zdecydowanie drążył dalej:

–Noraid to amerykańska organizacja wspomagająca finansowo IRA. O IRA chyba pan słyszał?

–Pewnie, że słyszałem – obruszył się Killen dotknięty sarkazmem Paluzziego. Przez moment wpatrywał się w ziemię, po czym znów podniósł wzrok na Włocha. – Earl Reid był moim przyjacielem. Resztę załogi też dobrze znałem. Wszyscy byli przyzwoitymi, ciężko pracującymi ludźmi. I wszyscy mieli rodziny.

Ale to was, pismaków, chyba nie interesuje, prawda? Wy polujecie na wystrzałowy temat, nieważne czy mający oparcie w faktach, czy wyspany z palca. Tutaj nie znajdzie pan takiego tematu. Earl płynął do Irlandii z transportem zboża. Rejsy z takim ładunkiem odbywał co kilka miesięcy od ośmiu lat. Niech pan spyta w zarządzie portu w Sligo Bay, potwierdzą moje słowa. Słyszał pan chyba o Sligo Bay?

Paluzzi skinął głową.

–No nic, dziękuję za poświęcony mi czas, panie Killen. Coś mi się widzi, że będę musiał poszukać materiału do mojego reportażu gdzie indziej.

–Proszę się trzymać z dala od Milford – ostrzegł Killen celując w Paluzziego palcem. – Bo jeśli usłyszę, że nachodzi pan Sheilę Reid czy kogokolwiek z rodziny, to osobiście dopilnuję, żeby pan nic więcej w życiu nie napisał. – Odszedł kawałek, po czym odwrócił się i utkwiał we Włochu chłodny wzrok. – Nie jesteś tu pan mile widziany, więc wynocha, pókim dobry. – Obrócił się na pięcie i odmaszerował. Paluzzi westchnął głęboko i pokręcił głową. Killen zadba już

o to, żeby nikt z nim nie rozmawiał. Istniała szansa, że jeden z zatrudnionych tu ludzi, skuszony odpowiednią sumką, zechce

puścić parę z gęby, ale skąd miał wiedzieć, którego z nich zagadnąć? Mógł złożyć Whitlockowi raport i poprosić, by sprawdził pracowników nabrzeża i wyszukał takiego, jednak to by trochę potrwało.

Noga za nogą powlókł się z powrotem do samochodu zaparkowanego przed budynkiem kapitanatu. Wyjął z kieszeni kluczyki

i miał już wsiadać, kiedy w drzwiach pojawił się Billy. Sprawiał wrażenie podekscytowanego. Rozejrzał się nerwowo i machnął na Paluzzi. Włoch wsunął kluczyki z powrotem do kieszeni i podszedł do niego. Billy chwycił go za ramię i wciągnął do środka. Wyjrzał jeszcze raz na zewnątrz i upewniwszy się, że nikt ich nie zauważył, zamknął drzwi.

–O co chodzi? – spytał Paluzzi przesuwając nieznacznie dłoń do kolby beretty.

–Mogę ci powiedzieć wszystko, co chcesz wiedzieć na temat "Ventury". Byłem tam. Ale to będzie kosztowało.

–Ile?

–Dziesięć tysięcy dolarów.

Paluzzi pokręcił głową.

–Nie mam tyle.

–To się postaraj, jeśli chcesz wiedzieć, kto zapłacił Killenowi za załadunek tych karabinów na "Venturę".

–Skąd ta nagła zmiana frontu? – spytał podejrzliwie Paluzzi. – Przecież to oczywiste, że po rozmowie ze mną dałeś cynk Killenowi.

–Musiałem – rzucił Billy. – Gdybym mu nie powiedział, a on by odkrył, że tu byłeś, nabrałby podejrzeń.

–Więc informujesz go na bieżąco o wszystkim, co się tutaj dzieje?

Billy skinął głową.

–Słuchaj, nie możemy tu rozmawiać. Gdyby Jess lub któryś z jego ludzi dowiedział się, że z tobą gadam, byłoby po mnie. Spotkajmy się dziś w nocy na tyłach magazynu przy Nabrzeżu Trzy. I przynieś forszę.

–Powiedziałem już, że nie zdobędę takiej sumy.

–Chcesz wiedzieć, to przynieś forszę. Jeśli nie będziesz miał forsy, nie przychodź.

–Mógłbym wskrobać z pięć kawałków, ale tyle ci pewnie nie wystarczy – wzruszył ramionami Paluzzi i ruszył do drzwi.

–Zaraz, poczekaj! – krzyknął za nim Billy.

Paluzzi zatrzymał się przy drzwiach, opierając dłoń na klamce. Obejrzał się powoli.

–No?

–Niech będzie siedem i pół.

–Pięć – uciął kategorycznie Paluzzi. – To moje ostatnie

słowo. Tyle przyniosę w nocy. Twoja sprawa, czy przyjdiesz, czy nie.

Billy przełknął nerwowo ślinę i skinął głową.

–Przyjdę. A forsa niech będzie w używanych banknotach.

–Dostaniesz ją, ale dopiero jak się upewnię, że mówisz prawdę.

Nie wyobrażaj sobie, że uwierzę ci na słowo.

–Na wszystko, co powiem, mam podkładkę w dokumentach – zachnął się Billy. –

A teraz zmywaj się stąd, zanim ktoś

cię zauważy.

Paluzzi wyszedł z biura i wszedł do samochodu. Zapalając silnik uśmiechnął się do siebie. Pięć tysięcy dolarów. Dla UNACO to pestka. W razie potrzeby Whitlock bez mrugnięcia okiem wyłożyłby i dziesięć tysięcy. Ale nie będzie, cholera, rozpuszczał pazernego szczeniaka. Niech chłopak wie, że nie ma lekko. Wrzucił bieg i odjechał. Popołudnie zapowiadało się obiecująco.

Kiedy Tom i Randy weszli do biura Killena, ten rozmawiał właśnie przez telefon. Skinął im na powitanie głową i powrócił do konwersacji. Przed jego biurkiem stały dwa fotele, ale żadnemu z mężczyzn nie przemknęło nawet przez myśl, by je zająć. Mieli również świadomość, że Killen też im tego nie proponuje. Podwładnych traktował z pewnym dystansem, był twardym zwierzchnikiem i trzymał doki żelazną ręką, ale szczerze nagradzał lojalność. Ludzie tacy jak Tom czy Randy przy okazji jego nielegalnych transakcji zarabiali kupę szmalu.

Killen odłożył słuchawkę, zapalił papierosa i oparł nogi na biurku.

–No, co jest?

–Mamy problem, Jess – powiedział Tom. – Poszliśmy za tym reporterem, jak wracał do samochodu, i Billy zaproponował mu, że za dziesięć kawałków wyśpiewa wszystko, co wie o "Venturze".

Killen zaciągnął się papierosem i wydmuchnął w sufit kłąb dymu.

–Dziesięć kawałków? To za dużo forsy jak na Billy'ego.

–Reporter stargował na pięć – odparł Tom. – Mają się spotkać przy Nabrzeżu Trzy. Opółnocy.

–Billy? Traktowałem go jak własnego syna. – Killen pokręcił ze smutkiem głową. – No nic. Przyjdźcie do mnie o dziewiątej trzydzięci wieczorem.

–Co zamierzasz zrobić z reporterem? – zainteresował się Randy.

–Ostrzegłem go, żeby wynosił się z Milford, pókim dobry.

Teraz jest już za późno. – Killen ponownie zaciągnął się papierosem. – Zapamiętaliście może tytuł gazety, dla której pracuje?

–Cholera, przecież mówił – wybąkał Randy czochrając się po zmierzwionej brązowej czuprynie. – A ty pamiętasz, Tom?

–Coś jakby "Republica". – Tom wzruszył niepewnie ramionami. – Wybacz, Jess, tylko tyle pamiętam.

–Nie ma sprawy – pocieszył ich Killen i wskazał na drzwi. –

Jeszcze pogadamy, chłopaki. Muszę zadzwonić w jedno miejsce.

Randy i Tom opuścili gabinet, pamiętając, by zamknąć za sobą drzwi.

Killen znów podniósł słuchawkę i wykręcił numer, który znał na pamięć. Po tamtej stronie odebrano natychmiast.

–Tu Killen – rzucił.

–Mówiłem, żebyś nie dzwonił do mnie nigdy pod ten numer, chyba że w sytuacji awaryjnej – wypomniał mu mężczyzna.

–Właśnie jest taka sytuacja – powiedział Killen. – Zna pan jakąś włoską gazetę, która miałaby w tytule republikę?

–La Repubblica – padła natychmiastowa odpowiedź. – To jedna z najpoczytniejszych rzymskich gazet. A bo co?

–Był tu przed chwilą jakiś facet, który podawał się za dziennikarza z tej gazety. Zadawał różne niewygodne pytania na temat "Ventury".

–Na przykład jakie?

–Wiedział o Milne'em.

–Ile? – spytał głos z wyraźnym niepokojem.

–Tego nie wiem – przyznał Killen.

–Co mu powiedziałaś?

–Nic – odparł Killen. – Niech go pan lepiej prześwietli.

Trzeba sprawdzić, czy jest tym, za kogo się podaje. Mówił, że nazywa się Franco Pasconi.

–Pas-co-ni – przesylabizował mężczyzna zapisując sobie nazwisko.

–Dziś o północy ma się tu spotkać z jednym z moich ludzi.

–Ty mu go podstawisz?

–Nie. Chłopak stał się nagle chciwy na pieniądze. Bez obawy, załatwię to. Nikt nie będzie robił w konia Jessa Killena.

–Rób co chcesz z tym swoim człowiekiem, ale ani mi się waży tykać dziennikarza, dopóki go nie sprawdzę. Zrozumiano?

–Jak pan sobie życzy – wzruszył ramionami Killen. – Ale jak trzeba go będzie uciszyć, to nie za darmo.

–Czy kiedyś było inaczej? – padła sarkastyczna odpowiedź.

–Jeśli chce się mieć czyste ręce, trzeba płacić – mruknął Killen.

–Pamiętaj, nie ruszaj dziennikarza, chyba że ja zdecyduję inaczej. – Połączenie zostało przerwane.

Killen odłożył słuchawkę, zdusił papierosa, zdjął nogi z biurka i poszedł szukać Toma i Randy'ego.

Kiedy Kolczynski powrócił wreszcie do swojego nowojorskiego mieszkania w East Tremont, dochodziła już dziewiąta. Rzucił dyplomatkę na krzesło w przedpokoju, przeszedł do kuchni i wyjął sobie z lodówki schłodzonego budweisera. Przełał piwo do szklanki, zabrał ją ze sobą do pokoju i rozsiadł się wygodnie w swoim ulubionym fotelu przed telewizorem. Nie sięgał jednak po leżące obok na stole pilota. Zamknął

oczy, delektując się ciszą.

Zabrzączał dzwonek u drzwi.

Kolczyński jęknął i przetaił ze znużeniem oczy. Przez chwilę kusilo go, by nie otwierać. Wiedział jednak, że nie wolno mu tak postąpić. Odstawił szklankę na stolik, podźwignął się na nogi i powlókł do drzwi.

–Malcolm? – wykrztusił zaskoczony.

–Cześć, Siergiej – powitał go Malcolm Philpott.

–Wchodź – zaprosił gościa Kolczyński otwierając drzwi na oścież.

Philpott miał pięćdziesiąt parę lat, wychudłą twarz i rzedniejące rude włosy. Utykał wyraźnie na lewą nogę, co było efektem wybuchu szrapnela, który zranił go w ostatnich dniach wojny koreańskiej. Chodził teraz o lasce.

Kolczyński wprowadził go do pokoju i gestem ręki zaprosił do zajęcia miejsca na kanapie.,

–Podać ci coś do picia?

–Cokolwiek, byle nie kawę. Czekaając na ciebie wypilem trzy w tej knajpcie na dole. – Philpott usiadł i oparł laskę o ścianę. – Nie odmówiłbym jednak whisky, jeśli ją masz.

Kolczyński podszedł do barku w kącie pokoju.

–Myślałem, że bawisz z wizytą u siostry w Szkocji.

–Wytrzymałem u niej dziesięć dni. Wróciłem niecały tydzień temu.

–Powiedziałaś to tak, jakbyś był na przymusowym zesłaniu – zauważył Kolczyński wręczając Philpottowi szklankę.

–Żebyś wiedział – odparł Philpott. – Oboje z mężem mieszkają w małym domku jakieś dziesięć mil od Edynburga. To jedno z tych miejsc, gdzie diabeł mówi dobranoc. Dla wielu ludzi byłoby pewnie rajem, ale ja mało nie dostałem fiola. Nie mogłem się doczekać powrotu do Nowego Jorku.

–Ileż bym dał, żeby znaleźć się teraz w takim małym domku – westchnął Kolczyński siadając.

–Rozumiem cię. Słyszałem, co się przytrafiło Siódmemu Zespołowi Operacyjnemu – rzekł ponuro Philpott.

–Skąd? – spytał zaskoczony Kolczyński. – Przecież to informacja zaliczana do ściśle tajnych.

–Mam jeszcze kontakty w ONZ. – Philpott pokręcił głową. – Kogo wprowadziłeś na ich miejsce?

–Przecież wiesz, Malcolm, że nie mogę z tobą o tym rozmawiać.

–Chyba nie posądzasz mnie, że prosto od ciebie polecę do najbliższej gazety?

–Nie w tym rzecz. Nie jesteś już członkiem organizacji – odparł Kolczyński.

Philpott podniósł szklankę, ale zatrzymał ją kilka cali od ust.

–Trzeci Zespół Operacyjny, zgadłem?

Kolczynski milczał.

–Tak myślałem – pokiwał głową Philpott. – Też bym na nich postawił.

–Ja tego nie powiedziałem – bronił się Kolczynski.

–Ale i nie zaprzeczyłeś. Jak tam Mike i Sabrina?

–W porządku – rzucił sucho Kolczynski.

–A Fabio Paluzzi? Jak się aklimatyzuje?

–Dobrze.

Philpott uśmiechnął się.

–C.W. też pewnie ma się dobrze?

Kolczynski skinął głową.

–Zrozum, Malcolm, nie chciałbym być niegrzeczny, ale mam za sobą ciężki dzień. Dziesięć godzin bez wytchnienia w jednym pokoju, wśród zgrai ambasadorów, biorących mnie na spytki w sprawie zeszłocznego wypadku w Londynie.

–Nawet nie masz pojęcia, Siergjej, jaki z ciebie szczęściarz – stwierdził Philpott.

–Szczęściarz? – Kolczynski nie wierzył własnym uszom. – Nie minął jeszcze miesiąc, odkąd objąłem tę posadę, a już UNACO staje przed bardzo poważnym kryzysem. Mówi się nawet o rozwiązaniu organizacji. Nieźle to będzie wyglądało w moim curriculum vitae, nie uważasz?

–Dobrze wiesz, że UNACO nie zostanie rozwiązana – odparł Philpott.

–Nie byłbym tego taki pewien, Malcolm -powiedział Kolczynski. – Szkoda, że nie słyszałeś tych ambasadorów. Gdyby to od nich zależało, UNACO już przeszłaby do historii.

–To politycy, Siergjej. Dużo gadają, i tyle, ale nie mają na to wpływu, prawda? Ostateczna decyzja należy do sekretarza generalnego. Ja zaś wiem, że on jest za tobą i organizacją.

–Rozmawiałeś z nim?

–Z kimś z jego najbliższego otoczenia – uściślił Philpott.

Kolczynski wyjął z kieszeni marynarki paczkę papierosów.

–Palisz dalej? – spytał.

–Nie, ale zawsze noszę przy sobie moją ulubioną fajkę – odparł Philpott poklepując kieszeń marynarki. – Dla uspokojenia nerwów. Ten atak serca był ostrzeżeniem, którego potrzebowałem, by rzucić palenie.

–I co robisz, odkąd nie pracujesz?

–Nic – westchnął Philpott. – Absolutnie nic. Sam nie wiem, jak długo jeszcze tak wytrzymam.

–Powinieneś znaleźć sobie jakieś hobby.

–Wyobrażasz sobie mnie hodującego orchidee albo wstępującego

do jakiegoś amatorskiego teatryku? UNACO była całym moim życiem, Siergiej. Czymś, co trzymało mnie na chodzie. To właśnie miałem na myśli mówiąc, jaki z ciebie szczęściarz. Sprzedałbym duszę diabłu, żeby zamienić się z tobą rolami.

–Chętnie poszedłbym na taką wymianę – powiedział Kolczyński ze znużonym uśmiechem. – Ty wracasz, a ja idę na wcześniejszą emeryturę.

–Nie miałbym nic przeciwko temu, ale wątpię, czy mój lekarz by się na to zgodził. – Philpott dopił whisky, sięgnął po laskę i podźwignął się na nogi. – Dzięki za drinka i towarzystwo.

Zostawiam cię, żebyś trochę odpoczął. Widać, że ci tego potrzeba. Kolczyński również wstał i odprowadził Philpotta do drzwi.

–Wiesz, że jesteś tu mile widziany o każdej porze dnia i nocy, Malcolm. Mówię serio.

–Wiem – odparł Philpott, poklepując Kolczyńskiego po ramieniu. – A z twojej oferty może jeszcze skorzystam. Kiedy sytuacja znów się ustabilizuje.

Kolczyński zamknął za Philpottem drzwi, wrócił do pokoju i znowu opadł na fotel. Włączył telewizor i załapał się na ostatnie pięć minut wiadomości. Usnął, zanim dobiegły końca.

Przełot concordem z Nowego Jorku do Londynu trwa trzy godziny i czterdzieści pięć minut.

Pierwsza godzina lotu upłynęła Grahamowi i Sabrinie na zapoznawaniu się z zawartością kopert, które Whitlock wręczył im w gmachu ONZ. Potem Graham odłożył swoje akta do podręcznej torby i natychmiast zapadł w sen. Sabrina, choć również zmęczona, oparła się pokusie drzemki. Z doświadczenia wiedziała, że obudziłaby się jeszcze bardziej wyczerpana, zabrała się więc do lektury książki, którą kupiła na JFK.

Kiedy concorde podchodził do lądowania na lotnisku Heathrow, o szybę bębnił deszcz. Sabrina zamknęła książkę i popatrzyła na roztaczającą się za oknem panoramę oświetlonego Londynu. Przywoływała tyle wspomnień. Miłych wspomnień. Kiedy miała dziesięć lat, jej ojciec został mianowany ambasadorem USA w Wielkiej Brytanii i razem z rodzicami spędziła w Londynie osiem szczęśliwych lat. Potem powróciła do Stanów. Nowy Jork był jej ulubionym miastem, ale Londyn plasował się zaraz po nim.

Spojrzała na Grahama i uśmiechnęła się lekko. Z głową przytuloną do jej ramienia wydawał się taki spokojny. Potrząsnęła nim delikatnie. Drgnął, wymamrotał coś pod nosem, nie otworzył jednak oczu. Potrząsnęła nim jeszcze raz. Uchylił powieki, wyprostował się gwałtownie i spojrzał zmieszany na jej ramię. Jego wyraźne zażenowanie ubawiło ją. Uśmiechnął się do niej z przymusem, ale sprawiał wrażenie wyluzowanego bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Sabrina czuła, że przestają go wreszcie dręczyć wyrzuty sumienia po utracie rodziny i zaczyna powoli wychodzić z psychicznego dołka.

Kiedy przeszli odprawę celną, było już piętnaście po dziewiątej wieczorem, lecz inspektor Keith Eastman z brygady antyterrorystycznej Scotland Yardu, który miał ich spotkać, jeszcze się nie pojawił. Graham zostawił Sabrinę, by czekała na Eastmana, i poszedł odebrać bagaż. Kiedy wrócił, zjawił się i Eastman. Był wysokim, chudym mężczyzną po czterdziestce, miał bladą cerę i krótkie brązowe włosy.

–Wybacz pan, panie Graham, że nie wymienię uścisku dłoni – przeprosił podnosząc rękę w czarnej rękawiczce. –

Przy rozbrajaniu ładunku wybuchowego domowej roboty straciłem dwa palce i kawałek kciuka.

–Czytałem o tym w pańskich aktach – odparł Graham. –

Przed wstąpieniem do brygady antyterrorystycznej Scotland Yardu był pan podobno człowiekiem od bomb.

–Wolimy, gdy nazywają nas ATO. Specjaliści od Materiałów Wybuchowych. Służyłem pięć lat w Artylerii Królewskich Sił Zbrojnych i w tym czasie zaliczyłem trzy wypadki do Irlandii Północnej. Poznałem tam trochę metody działania IRA i dlatego po przejściu w stan spoczynku zostałem zwerbowany przez brygadę antyterrorystyczną.

–Wiadomo już, co z McGuire'em? – spytała Sabrina, kiedy szli w stronę wyjścia.

–Dziś po południu odnaleziono w Dover jego porzucony samochód. Sierżant John Marsh pojechał tam z grupą dochodzeniową. Być może to tylko podstęp mający na celu zasugerowanie IRA, że McGuire prysnął na kontynent. Więcej dowiemy się dopiero po powrocie Johna.

–Kiedy można się go spodziewać? – spytał Graham.

Eastman wzruszył ramionami.

–Wszystko zależy od tego, co tam znajdą. A oto i mój samochód.

Podeszli do białego forda sierra i załadowali walizki do bagażnika.

–Po drodze do hotelu chciałbym zatrzymać się w pewnym miejscu – powiedział Eastman. – W Soho jest pub, w którym McGuire często bywał. Kazałem obserwować lokal dzień i noc, ale jak dotąd McGuire nie pokazał się. Nie miałem bynajmniej złudzeń, że zaryzykuje. Bardziej interesują mnie jego dwaj kumple, z którymi tam popijał, Frank Roche i Martin Grogan. Obaj są wydalonymi z ojczyzny Irlandczykami i mają silne powiązania z republikanami. Mnie ani nikomu z moich ludzi nic nie powiedzą, ale z wami może zechcą porozmawiać.

–Zechcą albo nie zechcą – odparł Graham.

–Warto spróbować – powiedział Eastman patrząc na odbicie twarzy Grahama we wstecznym lusterku. Uruchomił silnik i ruszył w stronę wyjazdu.

Zanim dojechali do Soho, przestało padać. Eastman otworzył schowek i wyjął dwie beretty 92Fs.

–Proszono mnie, żebym je wam dał. Kabury zostaną dostarczone do mojego biura jutro rano.

–Czy Grogan i Roche są niebezpieczni? – zapytał Graham, biorąc od Eastmana berettę.

–Grogan siedział za napad z bronią w ręku, ale wątpię, żeby teraz czegoś próbował – odparł Eastman. – Jednak ostrożności nigdy za wiele.

–Pewnie – przytaknęła Sabrina, wpychając swoją berettę do kieszeni skórzanej kurtki.

–Chcecie rzucić jeszcze raz okiem na ich fotografie? – spytał Eastman, wskazując palcem kopertę leżącą na desce rozdzielczej. Pokręcili głowami.

–Dobra, zaczekam tu na was -powiedział Eastman. – Pub jest obstawiony przez moich ludzi, więc jeśli Roche i Grogan będą chcieli się zmyć, przyskrzynimy ich.

Graham i Sabrina wysiedli z samochodu.

–Obserwuj tylne wyjście – polecił Sabine Graham. – Słyszałaś, co mówił Eastman. W środku jest pełno podpitych facetów.

Jeśli tam wejdiesz, zaraz cię obleżą, zaczną proponować drinki i Bóg wie co jeszcze. Nie będziesz miała szansy pogadania z Groganem i Roche'em na osobności.

–No dobrze, stanę przy tylnym wyjściu.

–Dam ci znać, kiedy będzie po wszystkim.

Zniknęła w bocznej uliczce obok pubu. Graham zasunął suwak kurtki, by ukryć wetkniętą za pasek spodni berettę, i wkroczył do środka. Ze stojącej przy drzwiach szafy grającej leciał akurat przebój Roberta Palmera. Graham rozejrzał się niespiesznie po lokalu, a potem precyzyjnie się między gośćmi do baru. Natychmiast wyrosła przed nim barmanka.

–Co podać, kochanie?

Graham stronił od alkoholu, ale teraz zamówił piwo.

–Jesteś z Ameryki? – spytała z uśmiechem barmanka.

–Tak – mruknął Graham.

–Jak chcesz, to mamy budweisera.

–Może być – odparł Graham przesuwając wzrokiem po otaczających go twarzach. Ani śladu Grogana i Roche'a.

–Skąd jesteś? – spytała barmanka, wracając z kuflem i butelką budweisera.

–Z Nowego Jorku. Szukam dwóch facetów, Martina Grogana i Franka Roche'a. Nie wiesz czasem, czy ich tu nie ma?

–Martin dzisiaj nie przyjdzie. A Frank siedzi tam, gdzie zawsze – odparła wskazując tłum gości.

–Co pija?

–Guinnessa – odparła barmanka.

–To daj mi jeszcze kufel guinnessa.

Zapłacił za piwa i dzierżąc w dłoniach kufle zaczął przeciskać się ostrożnie przez ciżbę. Przy stoliku w kącie spostrzegł Roche'a.

–Frank Roche? – upewnił się stając przy stoliku.

Roche podniósł natychmiast wzrok.

–A kto pyta?

–Jestem przyjacielem Gerarda McGuire'a – odparł Graham, postawił przed Roche'em guinnessa, przysunął sobie krzesło i usiadł. Roche zerknął odruchowo na drzwi.

–Frontowe i tylne wejście mam obstawione – pozbawił go złudzeń Graham. Rozpiął suwak kurtki, żeby Roche mógł zobaczyć berettę. – A poza tym najpierw musiałbyś się uporać ze mną.

–Czego chcesz? – wykrztusił Roche ocierając z czoła pot.

–W kieszeni mam dla ciebie pięćset funtów. Ale to, czy je otrzymasz, zależy wyłącznie od ciebie.

–Co masz na myśli? – bąknął Roche.

–Jeśli wyrazisz chęć współpracy, przekażę ci forszę pod stołem. Jeśli nie, zadbam, by wszyscy tu obecni dowiedzieli się, że to zapłata za informację dla glin. Nie byłiby chyba zbyt zachwyceni faktem, że mają w swoim gronie kapusia?

–Nie jestem żadnym kapusiem – obruszył się Roche.

–Spróbuj wyjaśnić to im – odparł Graham, wskazując szerokim gestem na salę.

–Jeśli twierdzisz, że jesteś kumplem Gerry'ego, to dlaczego cię nie znam?

–Widocznie obracamy się w innych kręgach – odparł Graham. – No to gdzie on jest?

Roche wzruszył ramionami.

–Wiem tyle, co ty.

–Lepiej dla ciebie, żebyś wiedział więcej.

–Naprawdę nie mam pojęcia, gdzie on jest.

–No to wybiła twoja godzina – powiedział Graham sięgając do kieszeni kurtki.

–Czekaj! – syknął Roche. – Nie widuję Gerry'ego już od paru dni. Obiło mi się o uszy, że zeszłej nocy opuścił w pośpiechu miasto. Ale nic więcej nie wiem.

–Ma na kontynencie jakichś przyjaciół?

–Nie znam jego wszystkich kumpli. Ciebie na przykład nie znałem, prawda?

–Tacy bliscy kumple to my nigdy nie byliśmy – odparł Graham, po czym odsunął budweisera i pochylił się nad stołem. – Ale nie odpowiedziałeś mi na pytanie. Czy istnieje taka

osoba, do której mógłby się zwrócić, gdyby miał kłopoty?

–A ma? – spytał Roche.

–Ma.

–Z prawem?

–Z IRA – wyjaśnił Graham.

–Jezu – jęknął Roche i przetarł dłońmi twarz. Podniósł wzrok na Grahama. – Nie mam ci nic więcej do powiedzenia, koleś. Nie chcę zadzierać z Provo.

–Trochę na to za późno. Jeśli dojdą ich słuchy, że kablujesz...

–To kłamstwo – zaperzył się Roche.

–Oni będą innego zdania.

–Dobra, powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć. Ale potem zostawisz mnie w spokoju.

–Umowa stoi – zgodził się Graham.

–Ma siostrę, mieszka gdzieś w Belgii – zaczął Roche. – Nie wiem dokładnie, gdzie. Ma też paru kumpli we Francji.

–Nazwiska?

–Nie znam. Jeden mieszka koło Paryża. Jest budowlańcem. To wszystko, co wiem.

–A reszta?

Roche wzruszył ramionami.

–Nie wiem. Słowo daję, że nie wiem.

–No a tutaj, w Anglii?

–Martin był jego najbliższym kumplem.

–Martin Grogan?

–Tak. Są jak bracia. Martin mieszka w Stroud Green. Granville Road. – Roche rozejrzał się nerwowo. – Dobra, wywiązałem się ze swojej części umowy. Teraz kolej na ciebie. Zmywaj się stąd i zostaw mnie w spokoju.

–Ostatnie pytanie – powiedział Graham. – Gdzie znajduje się tak zwany bezpieczny dom, o którym wiecie tylko wy troje? Roche pobladł.

–Skąd o nim wiesz?

–Mam swoje źródła. Tylko że z nich się nie dowiem, gdzie to dokładnie jest.

–Przez sześć miesięcy udawało nam się utrzymać jego lokalizację w ścisłej tajemnicy. Przed glinami i przed Provo. Wolałbym, żeby tak pozostało.

–Jak sobie chcesz. Porozumiem się ze swoim kontaktem w Belfaście. Czeka tylko na słówko, żeby cię wystawić. Jeśli przeżyjesz tydzień, zanim wykończą cię ludzie z Provo, będziesz mógł mówić o dużym farcie.

–To mieszkanie w Leyton – puścił farbę Roche. – Mews

Heighst pięćdziesiąt sześć. Langthorne Road. Koło cementarza.

–No widzisz, to wcale nie było takie trudne – powiedział

Graham, sięgając do kieszeni po pieniądze.

–Nie chcę twojej forsy, człowieku – odparł Roche z obrzydzeniem.

–Wiem, że nie sypniesz się przed IRA o naszej rozmowie.

Miałbyś zbyt wiele do wyjaśniania. Ale może ci wpaść do głowy, żeby ostrzec Grogana. Niech mnie tylko dojdą słuchy, że się z nim kontaktowałeś, to jeszcze tej nocy Provo otrzymają anonim z informacją, że jesteś policyjnym kablem.

–Wynoś się – warknął Roche.

Graham wstał, przelawirował między stłoczonymi na sali gośćmi i wyszedł z lokalu. W cieniu zaułka po drugiej stronie ulicy Eastman z kimś rozmawiał. Graham był ciekaw, kto to może być, ale najpierw skręcił w boczną uliczkę, żeby poszukać Sabriny. Siedziała na krawędzi kubła na śmieci ustawionego obok tylnych drzwi baru.

–No i jak? – spytała wstając.

–Pogadałem sobie z Roche'em. Być może Grogan wie, gdzie ukrywa się McGuire.

–To Grogana nie było?

–Nie, ale mam jego adres. – Przeszli przez ulicę do zaparkowanego forda. – Z kim rozmawiałeś, kiedy wychodziłem z baru? – spytał Eastmana, kiedy wsiedli do samochodu.

–Z jednym z kolegów. Mówiłem wam, że mam tu swoich ludzi, którzy przez okrągłą dobę obserwują pub. Są zziębnięci, zmęczeni i nieźle wkurzeni, że McGuire się nie pojawia. – Eastman uruchomił samochód. – Poszczęściło ci się z tym bezpiecznym domem? Graham podał Eastmanowi adres i ruszyli w stronę Leyton.

Martin Grogan był pijany. Na stoliczku obok fotela stała butelka whisky. Była prawie pusta. Nalał sobie resztkę, wziął do ręki pilota i zaczął skakać po kanałach telewizji. Jak zwykle nic godnego obejrzenia. Zaklął głośno wybierając w końcu Channel 4, na którym leciał koncert popowy. Nienawidził muzyki pop, ale hałas działał na niego dziwnie uspokajająco.

Cały dzień pił, żeby zapomnieć. Czuł się rozdarty. Nie mógł zdecydować, co ważniejsze: przyjaźń czy sprawa. McGuire był od ponad trzydziestu lat jego najlepszym przyjacielem. Razem dorastali w slumsach Belfastu. Jako nastolatkwowie wstąpili do IRA i przez osiem lat służyli w tej samej jednostce. Kiedy przed pięciu laty McGuire postanowił przenieść się do Londynu, Grogan również się tam przeniósł. To były stare, dobre czasy...

Przyjaciół zadzwonił do niego poprzedniego wieczora. Był roztrzęsiony, poruszony i wyraźnie bał się o życie. Komórka IRA dopiero co próbowała go zabić. Grogan nie uwierzył. No, przynajmniej nie od razu. Po cóż IRA miałyby zabijać jednego z najlepszych agentów operacyjnych działających w Brytanii? Wówczas McGuire mu to powiedział. Przez dwa ostatnie lata był kablem i właśnie odkryto jego zdradę. Błagał Grogana o pomoc. Widział w nim ostatnią deskę ratunku. Grogan,

choć zdruzgotany wyznaniem McGuire'a, dał mu trochę pieniędzy i ubranie na zmianę. Ale dalej McGuire miał już sobie radzić sam. Przyjaźń była skończona...

Rozległo się pukanie do drzwi.

Grogan zaklął wściekle i stanął z trudem na chwiejnych nogach. Cisnął pilota na krzesło i potoczył się przez pokój do drzwi.

–Kto tam? – burknął niewyraźnie.

–Frank, Frank Roche – padła odpowiedź.

–Boże, Frank, czego chcesz o tej porze?

–Otwórz, Martin!

Grogan pogmerał przy klamce i odryglował zamek. W chwili gdy otwierał drzwi, potężny kopniak wymierzony w nie od drugiej strony odrzucił go do tyłu. Upadł na dywan. Do pokoju wpadł Kerrigan i poderwawszy Grogana z powrotem na nogi, rąbnął go pięścią w żołądek z taką furją, że Grogan osunął się na kolana.

Zamroczony, ścisnął się obiema rękami za brzuch. Kerrigan chwycił go za włosy, jednym szarpnięciem odchylił mu głowę do tyłu i już mierzył pięścią w odsłoniętą twarz, kiedy w progu stanęła

Fiona.

–Wystarczy! – Rozejrzała się po pustym korytarzu, potem weszła do mieszkania i zamknęła za sobą drzwi.

–Chyba nie kontaktuje – mruknął Kerrigan, puszczać włosy Grogana.

–Podnieś go.

Kerrigan poderwał Grogana na nogi.

–Gdzie Gerry McGuire? – rzuciła Fiona.

–Wyjechał – wymamrotał Grogan. Potrząsnął głową, desperacko próbując dojść do siebie.

–Dokąd? – pytała Fiona.

–Byle dalej od was – odparł z szyderczym uśmiechem Grogan.

Kerrigan porwał ze stolika pustą butelkę po whisky i roztrzaskał ją o bok jego głowy. Grogan zawył z bólu i złapał się za ucho. Spomiędzy palców pociekła mu krew.

–Dokąd? – powtórzyła spokojnie Fiona.

–Nie wiem – zaskamlał Grogan. – Jezu, nie wiem.

W tym momencie zatrzeszczała krótkofalówka, którą Fiona nosiła u paska. Odpięła ją i uniosła do ust.

–Co jest, Hugh?

–Mamy towarzystwo – zakomunikował Mullen. – Być może gliny.

–Dobra, zmywamy się. Podjedź na tyły i tam na nas czekaj. –

Przymocowała radio z powrotem do paska. – Przecież musiał coś na odchodnym powiedzieć.

–Nic nie mówił – zaklinał się rozpaczliwie Grogan. – Dałem

mu dwieście funtów, ciuchy na zmianę, i już go nie było.

–Opisz te ciuchy – warknął Kerrigan.

–Dżinsy. Biała koszula. Skórzana kurtka.

–Kolor? – spytał Kerrigan.

–Brazowa.

Kerrigan spojrzął na Fionę. Skinęła głową. Powtórnie rąbnął Grogana w żołądek i pchnął go na fotel. Następnie wyjął z kieszeni walthera P88, przykręcił do lufy tłumik i strzelił Groganowi prosto w serce.

–Spływamy – rzuciła Fiona.

Otworzyła drzwi i wyjrzała na korytarz. Był wciąż pusty. Kerrigan wsunął pistolet do kieszeni i wyszedł za nią.

Kiedy zamykał za sobą drzwi, w końcu korytarza rozległ się dzwonek windy.

–Maski – syknęła Fiona wyjmując z kieszeni kominiarkę.

Naciągnęła ją na głowę, wyszarpnęła z kieszeni automat Heckler Koch i pobiegła do wyjścia ewakuacyjnego. Kerrigan, wkładając po drodze kominiarkę, puścił się pędem za nią.

Z windy pierwsza wyłoniła się Sabrina. Kerrigan strzelił do niej, po czym dał za Fioną nura na klatkę schodową. Pocisk odłupał kawał tynku kilka stóp od Sabriny. Wyszarpując z kieszeni berettę rzuciła się w pogoń; tuż za nią biegli Graham i Eastman. Dopadłszy do wyjścia ewakuacyjnego przywarła plecami do ściany, po czym sięgnęła powoli ręką do klamki, jednym szarpnięciem otworzyła drzwi i wykonując półobrót omiotła lufą schody. Ani żywej duszy. Wpadła na klatkę.

–Sprawdź mieszkanie! – krzyknął Graham do Eastmana i zaczął zbiegać za Sabriną po schodach.

Dotarli do podestu na drugim piętrze i Sabrina przystanęła przy drzwiach ewakuacyjnych, które jeszcze powoli się zamykały. Wymienili spojrzenia. Czy tamci uciekli tym korytarzem? Może to podstęp mający im zasugerować, że właśnie tę drogę wybrali? Graham wskazał na drzwi. On się nimi zajmie.

Sabrina ruszyła dalej schodami. Zbliżając się do podestu na półpiętrze usłyszała kroki. Dochodziły z parteru. Potem jej uszu dobiegł huk uderzających o ścianę drzwi. Zbiegła na dół akurat w chwili, gdy Kerrigan miał dać susa przez próg.

–Stać! – rzuciła celując z beretty w jego plecy.

Kerrigan stanął jak wryty, a drzwi przed nim powolutku się zamknęły.

–Rzuć broń, ale już! – rozkazała Sabrina schodząc powoli po kilku ostatnich stopniach. – Twarzą do ściany, ręce szeroko.

Kerrigan wypuścił z palców walthera i pistolet upadł z łoskotem na posadzkę.

Fiona Gallagher, która chwilę wcześniej skręciła w drzwi prowadzące na korytarz pierwszego piętra, stanęła na podeście tuż za Sabriną.

–A teraz ty rzuć swoją broń – warknęła mierząc z heckler kocha w plecy Sabriny. – I bez żadnych głupstw. Z takiej odległości nie chybiam.

Sabrina zaklęła wściekle pod nosem i niechętnie wypuściła berettę z dłoni. Kerrigan natychmiast podniósł swojego walthera, a berettę wcisnął za pasek. Fiona

przesunęła się obok Sabriny trzymając ją wciąż na muszce heckler kocha. Cofnęła się tak aż do podnóża schodów, ale drzwi nad nią odskoczyły wyważone potężnym kopniakiem i na podest w niskim przysiadzie wypadł Graham. W wyciągniętych rękach trzymał berettę, bał się jednak strzelać, by nie trafić przypadkiem Sabriny. Kerrigan wygarnął dwa razy z walthera, a potem Fiona chwyciła go za ramię i wypchnęła przez drzwi wyjściowe na dwór. Wskoczyli oboje do samochodu i Mullen ruszył z przeraźliwym piskiem opon. Zanim Graham wyskoczył przed budynek, wóz był już poza zasięgiem strzału. Graham zaklął siarczyście i wsunął berettę z powrotem do kabury.

–Wszystko w porządku? – spytał odwracając się do Sabriny.

–Jasne.

–Zabrali ci pistolet?

Skinęła ponuro głową.

–Aż nie mogę uwierzyć, że tak łatwo dałam się podejść. Niech to szlag!

–Nie obwiniaj się – powiedział Graham kładąc jej rękę na ramieniu. – W naszym fachu zawsze istnieje takie ryzyko, przecież wiesz. Chodź, teraz już nic nie poradzimy.

Wrócili na górę do mieszkania Grogana. Sabrina zastanawiała się, dlaczego Fiona Gallagher, mając taką okazję, nie wpakowała jej kulki w plecy. Chciała ją wziąć jako zakładniczkę? A może zabiłaby ją jednak, gdyby nie pojawił się Graham? Istniała również trzecia możliwość, wydawała się jednak mocno nieprawdopodobna: czyżby Fiona celowo pozostawiła ją przy życiu? Nie, to nie miało żadnego sensu. Wątpliwości tego rodzaju przez cały czas chodziły jej po głowie, ale postanowiła nie wyrażać ich na głos. Uznała, że najlepiej zatrzymać je dla siebie.

Kiedy weszli do mieszkania, Eastman rozmawiał właśnie przez telefon. Ciało Grogana było przykryte kocem. Graham ukucnął nad zwłokami i uniósł róg koca. Profesjonalny strzał. Zakrył z powrotem twarz trupa i wstał.

Po chwili Eastman odłożył słuchawkę.

–No i jak tam?

Opowiedzieli mu wszystko.

Eastman podszedł do okna i wyjrzał na dziedziniec.

–Muszę tu poczekać i wyjaśnić sprawę z miejscowym oficerem dyżurnym. Załatwię kogoś, kto odwiezie was do hotelu.

–Kto jeszcze wiedział, że tu jedziemy? – spytał Graham.

Eastman zmarszczył brwi.

–Tylko my troje.

–Nie wspominałeś o tym nikomu ze swojego zespołu inwigilacyjnego? – upewnił się Graham.

–Jak miałem wspomnieć? Nie mogłem przecież wiedzieć, czy zdobędziecie w pubie ten adres. Ten numer z łapówką był majstersztykiem. Niestety przybyliśmy za późno.

–Właśnie – podchwycił Graham. – O tym mieszkaniu wiedzieli

tylko McGuire, Roche i Grogan. Tak powiedział mi Roche. Czy zatem nie wydaje ci się nieco dziwne, że IRA zjawiała się tutaj kilka chwil przed nami?

–Do czego zmierzasz? – spytał Eastman.

–No, skoro nie mówiłeś nikomu ze swoich ludzi, że się tu wybieramy, to pozostają tylko dwa logiczne wytłumaczenia: albo ktoś słyszał, jak rozmawiam z Roche'em w barze, w co wątpię, albo masz samochód na podsłuchu.

–To absurd! – zachnął się Eastman. – Nasze samochody każdego ranka są sprawdzane przez zespół specjalistów. To rutynowy środek ostrożności.

–Czy w zakres tej kontroli wchodzi odpluskwanie?

–Wszystko – odparł Eastman, wytrzymując wzrok Grahama. – Tworzymy bardzo zgrany zespół, panie Graham. Ufamy sobie nawzajem.

–Miło to słyszeć. Ale to nie wyjaśnia, w jaki sposób IRA mogła się dowiedzieć o tym miejscu równocześnie z tobą.

–Jutro z samego rana weźmiemy Roche'a na przesłuchanie – ustąpił w końcu Eastman.

–I sprawdzicie samochód.

–Sam się tym zajmę – burknął Eastman i wyciągnął do Grahama rękę. – Albo jeszcze lepiej, sprawdzimy go razem. Może to cię zadowoli?

–Mike wcale nie twierdzi, że ktoś z twoich ludzi koniecznie musi być w zмовie z IRA – wtrąciła się Sabrina, próbując rozładować narastające między mężczyznami napięcie. – Ale spójrzmy prawdzie w oczy. Zdobycie informacji, kto prowadzi dochodzenie w sprawie morderstwa, okazało się dla IRA pestką. Jeśli więc w samochodzie założono podsłuch, jest więcej niż prawdopodobne, że pluskwę podrzucono po porannej kontroli.

–Niech mnie pan źle nie zrozumie, inspektorze – dodał Graham. – Staram się tylko spojrzeć na sytuację z praktycznego punktu widzenia.

Eastman westchnął głęboko.

–Wiem. Przepraszam, jeśli się trochę uniosłem. Ale za swój zespół dałbym sobie rękę uciąć. To wspinała paczka. I wiem, że wszyscy bez wyjątku są bezgranicznie lojalni wobec jednostki.

–Nawet przez chwilę w to nie wątpiłem – zapewnił szybko Graham.

–Wieczorem każę odstawić wóz na parking strzeżony. Do rana nikt się do niego nie zbliży. – Eastman podszedł znów do telefonu. – Lepiej zadzwonię po samochód, którym pojedziecie do hotelu. Dzisiaj nic już tu po was.

Kiedy wrócili do pensjonatu w Cricklewood, Fiona wzięła długie, gorące prysznic,

potem włożyła szlafrok, owinęła głowę ręcznikiem i poszła do pokoju. Zamknęła za sobą drzwi, usiadła na brzegu łóżka i przetarła dłońmi twarz. Rada Armii, która odpowiadała za kierowanie operacjami militarnymi IRA, powierzyła jej dowództwo jednostki na czas pozostawania Farrella za kratkami. Zaufali jej. Rozkaz był zwięzły i jednoznaczny: uciszyć McGuire'a. Nie mogła ich zawieść. Zresztą wcale nie czuła skrępowań. Za dużo wiedział...

Rozległo się pukanie do drzwi.

–Kto tam? – spytała.

–Liam – padło z drugiej strony.

Kerrigan. Mężczyzna, który wzbudzał w niej odrazę. Czasami nie mogła się sobie nadziwić, jakim cudem tak długo z nim wytrzymuje.

–Czego? Kładę się spać.

–Chcę porozmawiać, Fiona – krzyknął Kerrigan.

Po jego głosie zorientowała się, że jest pijany. Miał opinię tęgiego opoja, ale Rada Armii nigdy się go o to nie czepiała. Nawet kiedy wypił, umiał trzymać język za zębami, a im o nic więcej nie chodziło.

Wiedziała, że nie odejdzie, zanim z nią nie pogada. Zawiązała szlafrok, podeszła do drzwi i otworzyła je.

Mijając ją, wtoczył się do pokoju. W dłoni ścisnął butelkę brandy. Zawsze bardzo ją dziwiło, jak Irlandczyk, i to taki zagorzały patriota jak Kerrigan, może nie cierpieć whisky. W przeszłości Farrell nieraz mu to wypominał, ale tylko jemu coś takiego uchodziło płazem. Nikt inny nie odważyłby się krytykować Kerrigana, a już na pewno nie w oczy.

–Czego chcesz, Liam? – burknęła zamykając za nim drzwi. – Już późno, chcę się położyć.

–Napijesz się? – spytał podtykając jej butelkę.

–Wal swoją kwestię i wynocha! – warknęła z wściekłością.

–Moją kwestię? – powtórzył Kerrigan, po czym opadł na drewniane krzesło przy oknie. – Czemu nie zabiłaś tamtej dziwki?

Fiona trzymała nerwy na wodzy. Kerrigan próbuje ją podpuścić. Ale niech ją diabli, jeśli da mu się sprowokować.

–Bo nie było takiej potrzeby – odparła zgodnie z prawdą. –

Dostaliśmy wytyczne od Rady Armii. Odnaleźć McGuire'a, zanim uczynią to władze. I to właśnie mamy zrobić. W sposób możliwie bezkrwawy.

–Zawsze cię miałem za babę bez ikry. Oto dowód.

–Na twoim miejscu, Liam, uważałabym, co mówię. Postąpiłeś już wbrew rozkazom zabijając zeszłej nocy tych dwóch gliniarzy w cywilu. Tego nie było w planie operacji. Możesz być pewien, że odnotuję to w raporcie. Gdybym cię nie powstrzymała, załatwiłbyś jeszcze tamtą parę. Zdajesz sobie sprawę, Liam, że jesteś psychopatą? Myślisz, że czemu Rada Armii odprawiła cię z kwitkiem, gdy zaoferowałeś się, że na czas nieobecności Seana staniesz

na czele komórki? Bo nie wierzyli, że będziesz trzymał się ściśle ich rozkazów i wypełnisz misję bez rozlewu krwi.

–Wiem, że Sean by tak nie spanikował. Bez namysłu wpakowałby jej kulę w plecy.

–Nie jestem Seanem – powiedziała cicho. – Ale dowodzę komórką i dopóki on nie powróci, będziesz robił dokładnie to, co ci każę, bo inaczej staniesz pod zarzutem niesubordynacji. Nie muszę ci chyba mówić, jakie jest stanowisko Rady Armii wobec buntu w jej szeregach. A teraz się wynoś.

Kerriganowi, kiedy podnosił się powoli z krzesła, z wściekłości trzęsły się ręce. Stał dokładnie twarzą w twarz z Fioną.

–Myślisz, żeś taka ważna? Ładna buźka. Dyplom uniwersytecki. Pieprzysz się z niebieskookim chłoptasiem z Rady. Seana mogłaś otumanić, ale mnie takie, jak ty nie zawracają w głowie. Nawet na chwilę.

–Takie jak ja?

–A jak nazwałabyś kogoś, kto toruje sobie drogę do zaszczytów poprzez łożka ludzi z dowództwa? Po mojemu taki ktoś to zwyczajna dziwka.

Poderwała zniecka kolano i uderzyła go w pachwinę. Kiedy jęcząc z bólu zgiął się wpół, wymierzyła mu łokciem cios w policzek. Wyrznął o komodę i padając na podłogę wypuścił z ręki butelkę.

Mullen usłyszał hałas przez ścianę. Wskoczył na korytarz, wpadł do sąsiedniego pokoju, potrącił w biegu Fionę i zatrzymał się przy leżącym Kerriganie.

–Zamroczyło go – stwierdził podnosząc wzrok na dziewczynę. – Co się stało?

Opowiedziała mu.

Mullen usiadł wolno na krześle i przygryzł niespokojnie wargę.

–Co zamierzasz zrobić? Zastąpić go kimś innym?

Pokręciła głową.

–Znasz rozkazy. Z Radą Armii mamy się kontaktować tylko w sytuacjach krytycznych. Wątpliwe, by taki wniosek ich zachwyił, prawda? Nie, zwrócę się o zastąpienie go, kiedy będzie już po wszystkim.

Ktoś zapukał.

Mullen rzucił nerwowo okiem na Kerrigana, a potem na Fionę. Podeszła do drzwi i otworzyła je. Na korytarzu stał kierownik pensjonatu.

–Co tu się dzieje? – spytał próbując zajrzeć przez jej ramię do środka. – Kilku gości skarży się, że z tego pokoju dochodzą jakieś hałasy.

Uśmiechnęła się z zakłopotaniem, odstąpiła krok na bok i wskazała na Kerrigana.

–Z okazji jego urodzin wypiliśmy parę drinków. Trochę przeholował i urwał mu się film. Rąbnął o komodę. Ale nie ma obaw, impreza skończona. Przepraszam za zakłócenie spokoju innym gościom.

–Nic mu nie będzie? – zaniepokoił się kierownik mierząc wzrokiem leżącego.

–Ma twardą głowę – zapewniła go Fiona. – Rano będzie zdrów jak ryba.

–W każdym razie byłbym wdzięczny, gdybyście już więcej nie hałasowali – powiedział kierownik zerkając na Mullenę.

–Nie będziemy – obiecał Mullen.

Fiona zamknęła drzwi i obejrzała się na Mullenę.

–Ocuć go i zabierz stąd.

Mullen podszedł do zlewu w kącie pokoju, napełnił plastikowy kubek wodą i chlusnął nią Kerriganowi w twarz. Upłynęła jeszcze minuta, zanim tamten oprzytomniał na tyle, by usiąść prosto. Na policzku, w miejscu, gdzie Fiona rąbnęła go łokciem, zaczynał już wykwitać siniec.

–Idziemy – powiedział Mullen wyciągając rękę, żeby pomóc mu wstać.

–Poradzę sobie – burknął Kerrigan, ale kiedy próbował się podnieść, poczuł przenikliwy ból w pachwinie. Wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby, podźwignął się powoli na nogi i podszedł ostrożnie do drzwi. Tam przystanął, zacisnął palce na klamce i obejrzał się na Fionę.

–Nie myśl sobie, że to koniec.

–Na dzisiaj tak – odparła. – A teraz precz!

Zaryglowała za mężczyznomi drzwi i wyjęła z torby heckler

kocha. Zamyśliła się na chwilę. Kerrigan jest profesjonalistą i chyba nie zrobiłby niczego, co odbiłoby się niekorzystnie na operacji? Ale czy aby na pewno? Wsunęła rewolwer pod poduszkę. Tak czuła się bezpieczniej. Nie mogła sobie pozwolić na żadne ryzyko...

Paluzzi zaparkował samochód tak, żeby nie było go widać ze stoczni. Ze schowka w desce rozdzielczej wyjął berettę, wsunął ją do kabury pod pachą, wziął z siedzenia obok czarną torbę i wysiadł z wozu. Spojrzał na fosforyzującą tarczę zegarka. Dwudziesta trzecia siedemnaście. Zjawił się punktualnie. Ominął główne wejście, pilnowane przez uzbrojonego strażnika, ruszył wzdłuż okalającego plac płotu i zatrzymał się na wysokości tylnej ściany

magazynu przy Nabrzeżu Trzy. Otworzył torbę i wyjął parę nożyc do cięcia drutu. Wycięcie w płocie dziury dostatecznie dużej, by mógł się przez nią przecisnąć, zajęło mu zaledwie kilka sekund. Ukrył nożyce w kępie chwastów przy płocie, wyciągnął berettę i zaczął posuwać się ostrożnie w stronę magazynu. Na drogę skręcił jakiś samochód i kiedy przejeżdżał obok, Paluzzi instynktownie przypadł do ziemi. Odczekał, aż warkot silnika ucichnie w oddali, po czym wstał i w kilku susach pokonał ostatnie dziesięć jardów dzielące go od tylnej ściany magazynu. Wychylił głowę zza węgła i rozejrzał się. Trawler rybacki, który po południu cumował przy nabrzeżu, już odpłynął. Paluzzi przesunął się powoli po ścianie ku frontowi magazynu. Pojedyncza lampa nad drzwiami budynku oświetlała opustoszałe nabrzeże przeładunkowe. Spojrzał znów na zegarek. Dwudziesta trzecia dwadzieścia dwie. No, teraz pozostawało tylko czekać.

Miał się już wycofać z powrotem na tyły magazynu, kiedy usłyszał za sobą szelest. Odwrócił się gwałtownie, wyciągnął rękę z berettą, ale w mroku nic nie zobaczył. Noga za nogą przesunął się z powrotem wzdłuż ściany. Dotarłszy do jej końca obrócił się na pięcie, omiatając teren wokół siebie lufą beretty. Nic. Nerwy. Zaklął cicho pod nosem. Weź się w garść, powiedział sobie. Postawił na ziemi torbę. Nagle znowu usłyszał jakiś hałas. Tym razem był to trzask nadepniętej gałązki. Skierował berettę na krzaki po prawej.

–Wychodź powoli – rozkazał. – Mam broń, więc nie próbuj żadnych głupstw.

Z krzaków wyłoniła się jakaś postać. Twarz była skryta w mroku, ale Paluzzi od razu rozpoznał tę sylwetkę. Jess Killen.

–Dobry wieczór – powiedział tamten wynurzając się z ciemności.

Uśmiechnął się nieznacznie, najwyraźniej nie przejmując się zupełnie wymierzoną w jego pierś berettą. – Tylko mi nie mów, że wybrałeś się na spacer i zabłądziłeś.

–Wyjmij łapy z kieszeni, bardzo powoli, i połóż je na głowie. No!

Killen wzruszył ramionami, wysunął dłonie w rękawiczkach z kieszeni i podniósł je do góry, by pokazać Paluzziemu, że nie ma broni. Potem rzucił:

–Teraz twoja kolej. Jeśli obejrzysz się za siebie, bardzo powoli, zobaczysz Toma i Randy'ego. Są uzbrojeni. Pamiętaj Tom i Randy'ego, prawda?

Paluzzi, z nagłym skurczem żołądka, obejrzał się powoli przez ramię. Dwadzieścia jardów za nim stali Tom i Randy, obaj uzbrojeni w mini-uzi. Podobnie jak Killen, nosili

skórzane rękawiczki.

–Jeśli lubisz ryzyko, to odwróć się i spróbuj sprzątnąć ich obu – powiedział Killen. – Jeśli nie, będę ci zobowiązany, jak rzucisz pistolet.

Paluzzi był pewien, że jednego by sprzątnął. Ale obu? Uzbrojonych w mini-uzi, po dwadzieścia nabojów w magazynku każdy? Musiałby być cholernie szybki i nie mieć instynktu samozachowawczego. Rzucił berettę na ziemię.

–Rozsądne posunięcie – pochwalił Killen. – Jeśli zechcesz pójść za Randyem, zaprowadzi cię do magazynu. Tam sobie pogadamy.

Randy cofnął się i ruchem lufy mini-uzi dał Paluzziemu do zrozumienia, że ma iść przodem. Paluzzi zastosował się do tego milczącego polecenia. Tom podniósł torbę oraz berettę i wręczył je Killenowi, po czym poszedł otworzyć drzwi. Paluzziego wprowadzono do skąpo oświetlonego magazynu i Randy wskazał mu drewniane krzesło stojące pośrodku betonowej posadzki. Paluzzi usiadł, przenosząc na przemian wzrok to na Toma, to na Randy'ego. Celowały w niego lufy obydwu mini-uzi. W progu pojawił się Killen, rzucił na podłogę torbę i zamknął za sobą drzwi. Z wewnętrznej kieszeni wyjął paczkę papierosów, wetknął jednego między wargi i przypalił.

–Chcesz? – zaproponował podtykając paczkę Paluzziemu.

Paluzzi nie zareagował.

Killen wzruszył ramionami i rzucił paczkę Randy'emu, który poczęstował się skwapliwie.

–Więc nazywasz się Pasconi? Franco Pasconi, niezależny reporter z La Repubblica. Zgadza się?

Paluzzi milczał jak zakłęty.

Tom postąpił krok naprzód, by uderzyć Paluzziego, ale Killen powstrzymał go machnięciem ręki.

–Dobra, to już wiemy. Sprawdziłem cię po południu. Niepokoi mnie jednak, dlaczego reporter nosi przy sobie coś takiego. –

Podniósł berettę. – Nie jest to raczej standardowy sprzęt zagranicznego korespondenta, prawda?

–Moim zdaniem zależy to od tematu, który ma się w danej chwili na warsztacie – odparł chłodno Paluzzi.

–Od tematu? Oczywiście. Sądzę, że Billy opowiedziałby ci wszystko za pięć kawałków. Prawie darmo. No, ale w końcu targowałeś się z nim. Przypuszczam, że pieniądze są tutaj. – Killen wskazał na torbę. – Billy też tu jest, ale nie powie ci już nic

o "Venturze".

–Jaki znowu Billy? – spytał Paluzzi wytrzymując bez mrugnięcia okiem spojrzenie Killena.,

Killen, zamyślony, obrócił w dłoniach berettę.

–Powiedz, skąd dowiedziałeś się o Rorym Milne?

Paluzzi milczał.

–Miałeś kontakt w Noraid? – dociekał Killen.

Cisza.

–Osobiście nie zależy mi szczególnie na tym, by Tom i Randy wzięli cię w obroty. Widywałem ich już przy robocie, i nie był to widok dla ludzi o słabych nerwach. – Killen spojrzał na Toma i Randy'ego. – Dawajcie tu Billy'ego.

Dwaj mężczyźni weszli do małego biura na końcu magazynu. Po chwili ukazali się znowu na wpół niosąc, na wpół wlokąc między sobą nieprzytomnego chłopaka. Ręce miał związane na plecach. Rzucili go na posadzkę przed Paluzzim. Killen ukucnął, chwycił Billy'ego za włosy i uniósł mu głowę. Na widok jego twarzy Paluzzi skrzywił się. Billy miał złamany nos, kilka zębów wybitych, a pod maską zaschniętej krwi widać było wyraźnie parę odbarwionych siniaków.

–Niezbyt przyjemny widok, co? – Killen wyjął z kieszeni Billy'ego zakrwawioną chusteczkę i odwinął jej brzegi. Paluzzi wzdrygnął się z przerażenia. Na chusteczce leżał język. – Jeśli rusza ci się ząb, wyrywasz go. A więc taka sama zasada powinna chyba obowiązywać w przypadku nazbyt ruchliwego języka, prawda?

Paluzzi zakrył dłońmi twarz, powstrzymując się z całych sił przed wymiotowaniem. Zanim doszedł jako tako do siebie i znów podniósł wzrok, Killen zdążył już wepchnąć chusteczkę z powrotem do kieszeni Billy'ego.

–No, może teraz doczekamy się od ciebie chęci do współpracy – powiedział Killen wstając. – Kim jesteś?

–Przecież wiesz – odparł Paluzzi.

–Wiem, za kogo się podajesz – sprostował Killen. – Za Franco Pasconiego, pracującego dla La Repubblica. Wiemy o nim tyle, że aktualnie jest za granicą.

–Jestem Pasconi – upierał się Paluzzi.

–Może bym i uwierzył, gdybyś wcześniej nie przymierzył się do mnie z tego – odparł Killen podnosząc berettę.

–Jestem Franco Pasconi, niezależny reporter z La Repubblica – powtórzył z uporem Paluzzi.

–Dobra, załóżmy dla świętego spokoju, że jesteś Pasconi.

Skąd dowiedziałeś się o Milne'em?

Paluzzi milczał, myśląc gorączkowo. Musiał ułożyć na poczekaniu jakąś wiarygodną historyjkę. Ale jaką? Za długo się zastanawiał. Killen skinął na Toma. Tamten postąpił krok naprzód, zamachnął się i rąbnął Paluzziego kolbą mini-uzi w bark tak mocno, że ten spadł z krzesła. Wylądował kilka cali od Billy'ego i zainkasował od Killena bolesnego kopniaka w nerki.

Killen popatrzył na leżącego Paluzziiego.

–Spróbujmy jeszcze raz. Skąd dowiedziałeś się o Milne'em?

–Niech cię szlag – wycodził Paluzzi przez zaciśnięte zęby.

Killen szarpnął Paluzziiego za włosy, odchylił mu głowę do tyłu

i przystawił do czoła lufę beretty.

–Jeszcze jedna zła odpowiedź i pociągnę za spust. Skąd dowiedziałeś się o Milne'em?

–Mam kontakt w Noraid – zmyślił na poczekaniu Paluzzi.

–Nazwisko – rzucił Killen.

–Nie znam jego nazwiska – odparł Paluzzi.

–Zła odpowiedź...

–Czekaj! – krzyknął rozpaczliwie Paluzzi. – Znam tylko pseudonim. Wiem o nim od pięciu lat.

–Od pięciu lat? – parsknął wściekle Killen. – Co to za pseudonim?

–Hawana. – Paluzzi rzucił pierwsze słowo, jakie przyszło mu na myśl. Hawana? Dlaczego akurat to? Nigdy w życiu tam nie był.

–Czemu Hawana? – spytał podejrzliwie Killen.

–Skąd mam wiedzieć? Nie ja mu go wybierałem – odciął się Paluzzi.

–Skąd jest?

–Chyba z Nowego Jorku. Tam się kontaktujemy.

–Widziałeś go?

–Nie, kontakt odbywa się za pośrednictwem skrytki w Grand Central. Obaj mamy do niej klucze. Wkładam tam forszę, a on ją zabiera zostawiając w zamian kopertę. Wiedział, że Milne był na pokładzie "Ventury", ale nie miał pojęcia, kto stoi za przesyłką karabinów. Właśnie po to tu przyjechałem. Szukam tematu.

–No to jeden już masz – powiedział Killen. Skierował lufę beretty na Billy'ego i zabił go strzałem w głowę.

Paluzzi otarł z policzka plamę krwi i z niedowierzaniem popatrzył na Killena. •

–Oszalałeś. Wszyscy oszaleliście.

–Wręcz przeciwnie – odparł z uśmiechem Killen. – To część naszego scenariusza. Billy nie żyje. Dostał z twojego pistoletu. Są na nim twoje, nie moje odciski palców. Więc jeśli gliny znajdą kiedykolwiek wasze ciała, wydedukują, że zabiłeś Billy'ego podczas kłótni o pieniądze. Jechaliście wtedy samochodem, on prowadził, wóz spadł z mola i obaj utonęliście.

–A stan twarzy Billy'ego? I brak języka? Policja chyba nie przymknie na to oczu?

–Język mógł sobie odgryźć, kiedy samochód wpadł do wody.

A siniaki? Mógł przecież wyrznąć głową o szybę. Zresztą wszystko jedno, jak to sobie wytłumaczą gliny. Dość na tym, że nie ma żadnych podstaw, by któregoś z nas trzech powiązać ze sprawą. I na tym właśnie polega cały urok tego wszystkiego.

Paluzzi chwycił desperacko berettę tkwiącą w rękę Killena. Nagle pociemniało mu w oczach.

Tom, który uderzeniem pistoletu pozbawił Paluzziego przytomności, schował mini-uzi do kabury pod pachą i spojrzął na zegarek.

–Pete powinien już tu być z samochodem Billy'ego. Chryste, przecież był zaparkowany paręset jardów stąd.

–Bez nerwów – uspokoił go Killen. Wyjął z kieszeni paczkę papierosów i zapalił jednego.

Zabrzącał dzwonek i Randy otworzył drzwi.

–Co tak długo, Pete?

–Ktoś zatrzymał się przy bramie i spytał o drogę, kiedy wsiadałem akurat do samochodu.

Randy wziął od niego kluczyki.

–W porządku, wsadźcie ich do wozu – rozkazał Killen.

Ciało Billy'ego usadzono z przodu poobijanego forda cadillaca,

Paluzziego zaś ulokowano na tylnym siedzeniu. Killen podrzucił mu berettę, a Randy cisnął na fotel pasażera jego torbę. Zadowolony Killen zatrzęsął tylne drzwiczki i skinął na Toma, który usiadł za kierownicą i przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik

zacharczał i zgasł. Spróbował jeszcze raz. Skutek był podobny. Klnąc na czym świat stoi, Killen obszedł wóz, stanął przy drzwiczkach kierowcy i zajrzał przez szybę. Tom wzruszył bezradnie ramionami i dalej walczył z zapłonem.

–To na nic – rzucił wreszcie, rąbiąc ze złością pięścią w deskę rozdzielczą.

–Trzeba go będzie zepchnąć tutaj – zdecydował Killen przywołując ręką Randy'ego.

–Tutaj? – zdziwił się Tom podnosząc wzrok na Killena. – Myślałem, że zrzucimy go gdzieś dalej.

–Ja też – odparł ze złością Killen. – Lepiej wysiadaj i pchaj.

Tom zwolnił hamulec ręczny i wysiadł. Dopchali z mozołem wóz do krawędzi mola. Samochód runął maską w dół do wody i zaczął powoli pogrążyć się w mrocznej toni. Kiedy wreszcie pod powierzchnią zniknął bagażnik, woda zabulgotała złowrogo. Randy odczepił od paska latarkę i zaczął przeczesywać snopem światła powierzchnię wody.

Killen odczekał parę minut, po czym poklepał Randy'ego po ramieniu.

–Nie żyje. Chodź, wracamy do magazynu. Nie skończyliśmy jeszcze tej partyjki pokera.

Randy zgasił latarkę, wszedł za Killenem i Tomem do magazynu i zamknął za sobą drzwi.

Paluzzi odzyskał przytomność, gdy przez otwarte okna samochodu do kabiny wtargnęła woda. Wokół panowały egipskie ciemności. Woda była lodowato zimna. Siłą woli walczył z ogarniającą go paniką. Przypieczętowałaaby jego los. Zaczął szukać po omacku klamki. O twarz otarła mu się dłoń Billy'ego, a potem jego ramię.

Zamachał na oślep rękami w rozpaczliwej próbie odepchnięcia od siebie ciała zabitego. Tylko bez paniki, powtarzał sobie w duchu. Musiał wziąć się w garść. Ponownie wyciągnął rękę, szukając tym razem drzwiczek. Gdyby je namacał, odnalazłby i klamkę. Po chwili, która zdawała się rozciągać w nieskończoność, natrafił wreszcie na drewnianą płytę drzwi. Sunąc wzdłuż niej palcami dotarł do metalowej klamki. Szarpnął za nią i desperacko pchnął drzwiczki stopami, usiłując je wyważyć. Jak długo będzie w stanie wytrzymać pod wodą? Drzwiczki uchyliły się powoli. Wygramoliwszy się stopami do przodu przez szparę, odbił

się i popłynął ku powierzchni. Zbliżając się do niej spostrzegł sunący po wodzie snop światła. A więc wciąż tam są, czekają. Rozsadzało mu płuca. Jedyna szansa, jaka mu pozostała, to dopłynąć do mola. Pod nim byłby bezpieczny. Płynął, dopóki nie poczuł, że wskutek braku tlenu zaczyna mu się kręcić w głowie. Ale czy dotarł już pod osłonę mola? Nie widział sunącego po powierzchni wody światła. Musiał zaryzykować i wynurzyć się po łyk powietrza. Podpłynął do góry i bezszelestnie przeciął taflę wody. Udało się. Uczepiwszy się kurczowo jednej z drewnianych belek pod mołem, próbował zaczerpnąć powietrza. Czaszkę rozsadzał mu potworny ból. Pomacał palcami tył głowy i wyczuł krew. Pozostał w swojej kryjówce, dopóki tamci nie znikli z powrotem w magazynie, po czym podpłynął ostrożnie do metalowej drabinki i wspiał się po niej na nabrzeże. Upewnił się, czy jest sam, i zgięty w pół puścił się biegiem do stojącego dwadzieścia jardów dalej rzędu metalowych bębnow. Przypadł za nimi do ziemi i odetchnął głęboko. Co dalej? Killen i jego kumple są przekonani, że jest martwy, a on nie miał najmniejszego zamiaru wyprowadzać ich z błędu. To zaś oznaczało, że nie będzie mógł skorzystać ponownie z samochodu. Musi dotrzeć do jakiegoś automatu telefonicznego i zadzwonić do kwatery głównej UNACO. Przyślą po niego wóz. Do tego czasu zdąży się pewnie nabawić zapalenia płuc, ale czy jest inne wyjście?

Miał właśnie zrzucić kurtkę, kiedy nabrzeże omiotła para reflektorów. Schylił się natychmiast. Czarny mercedes zatrzymał się, zanim snopy reflektorów dosięgły bębnow. Kierowca przygasił światła, wysiadł z samochodu i otworzył tylne drzwiczki. Paluzzi zerknął przez lukę między bębnami na twarz mężczyzny, który wysiadał z wozu. Było jednak za ciemno. Nagle drzwi magazynu otworzyły się gwałtownie, oświetlając twarz przybysza. Paluzzi nigdy go przedtem nie widział: po trzydziestce, czarne włosy sięgające kołnierza, głęboko osadzone oczy. Miał na sobie brązowy garnitur i kremową koszulę rozpiętą pod szyją.

–I jak? – spytał mężczyzna zwracając się do Killena.

–Załatwione.

–Były kłopoty?

Killen pokręcił głową i odpowiedział również pytaniem:

–Przywiozłeś forszę?

Mężczyzna wyjął z kieszeni szarą kopertę i podał ją Killenowi.

–Z pozdrowieniami od szefa.

Killen rozdarł kopertę palcem i zajrzał do środka.

–Robienie z wami interesów to prawdziwa przyjemność.

–Będziemy w kontakcie – odparł mężczyzna wsiadając z powrotem do mercedesa.

Mercedes zaczął zawracać, zalewając na moment bębny potokiem światła, i Paluzzi ponownie się schylił. Kiedy wóz odjechał, Killen wszedł z powrotem do magazynu i zamknął za sobą drzwi.

Paluzzi zerknął na zegarek. Dochodziła północ. Marzył o zmianie przemoczonego ubrania i gorącej kąpieli, ale nie mógł wrócić do hotelu. Najpierw musiał zadzwonić do Nowego Jorku. Klepnął się po tylnej kieszeni. Przynajmniej portfel tkwi dalej na miejscu. Wyprostował się powoli, rozejrzał szybko po nabrzeżu, pobiegł co sił w nogach w stronę płotu i wygramolił się przez wycięty wcześniej otwór. Nad ulicą powiał leciutki wiaterek, a jego przeszedł dreszcz. Czy to wszystko przydarzyło mu się naprawdę? Claudine miała rację. Chyba zwariował, że wybrał sobie taki fach. Odegnął od siebie tę myśl. Musi jak najszybciej znaleźć automat telefoniczny. Najlepiej zrobi, kierując się z powrotem w stronę centrum: prędzej czy później na jakiś natrafi.

Zadzwonił telefon.

Graham przekręcił się na łóżku i sięgnął ręką w mrok. Namacał kant szafki nocnej i błądząc palcami po jej blacie trafił w końcu na aparat. Podniósł słuchawkę.

–Mike?

–Mhm – burknął zaspany. – Kto mówi?

–Tu Keith Eastman. Chyba znaleźliśmy Gallagher i jej dwóch kumpli.

Graham usiadł na łóżku jak pchnięty sprężyną i zapalił nocną lampkę.

–Gdzie?

–W pensjonacie w Cricklewood. Właśnie tam jadę. Przyślę po was samochód. Powinien być pod hotelem za jakieś dziesięć minut.

–Powiem Sabrinie – odparł Graham tłumiąc ziewnięcie.

–Świetnie. Do zobaczenia niebawem.

Połączenie zostało przerwane. Graham wziął z szafki zegarek. Dwie minuty po siódmej. Zadzwonił do pokoju Sabriny, potem wyskoczył z łóżka i poszedł do łazienki. Nienawidził zimnego prysznica, zwłaszcza na dzień dobry, ale był to jedyny sposób na szybkie rozbudzenie. Wszedł do kabiny i zaciskając zęby przekręcił sterczący ze ściany kurek zimnej wody.

Eastman czekał na Grahama i Sabrinę w cichej bocznej uliczce w Cricklewood.

–Czołem – rzucił z uśmiechem na powitanie, otwierając tylne

drzwiczki wozu. – Wsiadajcie, w środku będziemy mogli swobodniej porozmawiać.

Jasnowłosego mężczyznę siedzącego za kierownicą Eastman przedstawił im jako swojego zastępcę, sierżanta Johna Marsha. Potem wyjął ze schowka berettę i podał ją Sabrinie.

–W zamian za stary. Niedługo może się przydać.

Wzięła od niego pistolet, sprawdziła magazynek i wsunęła broń do kabury pod płową bluzką.

–Gdzie ten pensjonat?

–Następny budynek – odparł Eastman. – Pomyślałem, że najlepiej będzie dojść tam pieszo.

–Jak ich znalazłeś? – spytał Graham.

–Nie mamy stuprocentowej pewności, że to oni – uściślił Eastman. Wziął z deski rozdzielczej egzemplarz Timesa i podał go Grahamowi.

Graham rozpostarł gazetę. Na pierwszej stronie widniały zdjęcia Kerrigana i Mullena. Napis pod spodem głosił: ODDZIAŁ EGZEKUCYJNY IRA.

–Dlaczego nie zostaliśmy powiadomieni, że zamierzacie to opublikować? Kto na to zezwolił?

–Komendant Palmer, szef brygady antyterrorystycznej, i wasz Kolczyński – odparł Eastman.

–Siergiej? – zdziwiła się Sabrina. – Czemu nic mi nie powiedział wczoraj wieczorem, kiedy rozmawiałam z nim przez telefon?

–Decyzję o puszczeniu artykułu podjęli w nocy, w ostatniej chwili przed zamknięciem numeru – wyjaśnił Eastman. – Mnie powiadomili około północy. Nie widziałem powodu, żeby dzwonić do was do hotelu. Oboje wyglądaliście na niewyspanych.

–Jak to miło z twojej strony – mruknął z przekąsem Graham składając gazetę. Oddał ją Eastmanowi. – Stanowimy zespół i mamy ze sobą współpracować. Następnym razem racz o tym pamiętać.

–Nic takiego się nie stało – odezwał się Marsh.

–Tym razem na szczęście nie – odparł Graham.

–Kto złożył doniesienie? – zmieniła temat Sabrina, chcąc jakoś rozładować napięcie.

–Kierownik – powiedział Eastman. – Zeszłej nocy poszedł w jakiejś sprawie na górę. Rozmawiał z mężczyzną i kobietą. Jest przekonany, że facetem był Mullen.

–A Kerrigan? – podchwycił Graham. – Co z Kerriganem?

–Leżał nieprzytomny na podłodze – odparł Eastman. – Kobieta wcisnęła kierownikowi jakiś kit, że obchodził akurat urodziny i za dużo wypił.

–Przecież Kerrigan ma podobno łeb nie od parady – wtrącił Marsh.

–A jeśli już przeglądali prasę?, – zaniepokoił się Graham.

–Wątpliwe – uspokoił go Eastman. – Kazałem kierownikowi pochować wszystkie gazety do czasu naszego przybycia. Musieliby wyskoczyć na miasto. A dziś rano żadne z nich nie opuszczało hotelu.

–Chciałeś powiedzieć, że żadne z nich nie przechodziło koło recepcji – uściślił Graham.

–Czy po gazetę wychodzi się wyjściem ewakuacyjnym? –
odciął się Eastman.

–Zależy od okoliczności – odparł Graham.-A co z obstawą?

–Na dachu magazynu na tyłach pensjonatu mam dwóch
snajperów z karabinami.

–I to wszystko? – zdziwił się Graham.

–Musimy wziąć ich przez zaskoczenie. Nie możemy zastawiać
całej ulicy policją. Parę bloków dalej czeka w pogotowiu następny
zespół ubezpieczający. Wezwę ich, jak tylko przyskrzynimy tę
komórkę. Dałem też znać chłopakom z tego rewiru, ale nie będą
się tu kręcić, dopóki ich o to nie poprosimy. – Eastman otworzył
drzwiczki. – Idziemy.

Cała czwórka opuściła samochód i pomaszerowała do oddalonego o pięćdziesiąt
jardów pensjonatu.

–Sabrino, ty z Johnem do wyjścia ewakuacyjnego – zarządził
Eastman. – Mike i ja wchodzimy od frontu. Spotkamy się przed
ich pokojami.

Sabrina skinęła głową i skierowała się za Marshem na tyły budynku. Eastman i
Graham ruszyli wąskim chodniczkiem prowadzącym do frontowego wejścia. Weszli
do środka i cicho zamknęli za sobą drzwi.

Eastman podszedł do kobiety siedzącej za recepcyjną ladą.

–Dzień dobry, czy mogę rozmawiać z panem Fieldsem?

Kobieta skinęła głową i zniknęła w wewnętrznym biurze. Po
chwili wróciła z kierownikiem.

–Pan Fields? – spytał Eastman.

–Tak – odparł zaskoczony Fields.

–Inspektor Keith Eastman. Dziś rano rozmawiałem z panem
przez telefon o fotografiach w gazecie.

–Ma pan legitymację? – spytał Fields.

Eastman pokazał mu dokument. Kierownik przeniósł wzrok na Grahama.

–Jest ze mną – wyjaśnił Eastman.

Fields pokiwał głową, po czym przełknął nerwowo ślinę.

–Dam głowę, że to oni, inspektorze. Co do Mullena nie mam

wątpliwości. Temu na podłodze nie przyglądałem się za bardzo.

Gdybym wiedział, że to terroryści, za nic w świecie bym ich tutaj
nie zakwaterował.

–Nie mógł pan wiedzieć, kim są – próbował go uspokoić

Eastman. – Już my się wszystkim zajmujemy.

–Nie będzie tu chyba żadnej... strzelaniny? – przestraszył
się Fields.

–Mam taką nadzieję – odparł szczerze Eastman. – Dziękujemy
za szybkie powiadomienie. Doceniamy to.

Fields zaciskając nerwowo dłonie patrzył, jak odchodzą korytarzem ku schodom.

Eastman zwlekał z dobytciem broni do chwili, kiedy znaleźli się na szczycie schodów, skąd nie było go już widać z recepcji, i dopiero tam z kabury pod pachą wyciągnął browninga. Spojrzał na Grahama i zaraz potem obrócił się błyskawicznie na pięcie, mierząc z trzymanego w wyciągniętych rękach pistoletu w głąb korytarza. Marsh i Sabrina zajęli już swoje stanowiska w drugim jego końcu. Marsh dał im znak unosząc kciuk. Eastman skinął na Grahama. Kiedy podeszli do drzwi dwóch sąsiadujących ze sobą pokoi, podniósł rękę.

–Sabrina i ja bierzemy jeden pokój – szepnął Graham. –

Wy dwaj drugi.

–Zgoda – przystał Eastman.

–Stop! – syknęła nagle Sabrina. – Który pokój jest jej?

–To nie wendetta...

–Który? – przerwała Sabrina Marshowi.

Eastman wskazał palcem na drzwi, przed którymi stała.

–Tylko żadnego strzelania, chyba że w ostateczności.

Graham spojrział na Marsha i obaj jak na komendę wyważyli

kopniakami sąsiadujące ze sobą drzwi. Pierwsza wpadła do pokoju Sabrina z

berettą w wyciągniętej ręce. Graham zapalił za jej plecami światło i zaklął z

wściekłością, opuszczając rękę, w której ścisnął broń. Pokój był pusty. Sabrina

odsunęła zasłony. Okno było otwarte.

–Chodź – rzuciła. – Może Eastman i Marsh coś mają.

Wybiegli na korytarz i natknęli się tam na policjantów wychodzących

właśnie z drugiego pokoju. W odpowiedzi na nieme pytanie Sabriny Eastman

pokręcił przecząco głową.

–Skąd się dowiedzieli? – mruknęła Sabrina.

–Ktoś ich ostrzegł, i tyle – burknął ponuro Graham. – Bo

jak to inaczej wytłumaczyć?

Graham i Sabrina wrócili do pokoju, który przed chwilą przeszukali. Eastman

wszedł za nimi.

–Musieliśmy się spóźnić dosłownie kilka minut.

–Już drugi raz w ciągu dwunastu godzin spóźniamy się o kilka

minut – zauważył Graham oglądając się na Eastmana. –

Przypuszczam, że znowu zwalisz wszystko na zbieg okoliczności?

–Nie zwalę tego na nic, dopóki nie będę miał okazji do

przeanalizowania faktów – odciął się Eastman. – A tobie, jeśli

nie masz rzeczywistych dowodów, że któryś z moich ludzi kabluje

dla IRA, radziłbym zatrzymać te insynuacje dla siebie.

–Wy, gliny, jesteście zawsze tacy sami – wycedził Graham

nie kryjąc nawet oburzenia. – Najważniejszy jest wasz interes.

Zanim Eastman zdążył odpowiedzieć, do pokoju wszedł Marsh. Między palcem

wskazującym a kciukiem trzymał egzemplarz Guardian'a.

–Szefie, znalazłem to pod łóżkiem w drugim pokoju. Dzisiejsza.

Graham przyglądał się przez chwilę widniejącym na pierwszej stronie zdjęciom

Mullena i Kerrigana, po czym wypadł wściekły z pokoju.

–Co go ugryzło? – spytał Eastman Sabrinę.

Wyjrzała przez okno na opustoszałą boczną uliczkę.

–Chyba wiesz, że rodzinę Mike'a zamordowali terroryści?

–Tak, wyczytałem to w jego aktach. Ale co to ma wspólnego z obecnym dochodzeniem?

–Kilka minut po porwaniu Carrie i Mikeya FBI dostała od swego informatora cynk, gdzie są przetrzymywani. Oficer FBI prowadzący sprawę przeszło godzinę zwlekał z wykorzystaniem tej informacji, a przez ten czas Carrie i Mikey zostali już przeniesieni w inne miejsce. Być może żyliby dzisiaj, gdyby FBI zareagowało wtedy szybciej. To nastawiło Mike'a sceptycznie do wszelkich instytucji czuwających nad przestrzeganiem prawa. Nie ufa żadnej z nich. Przed nikim nie zdradza się ze swoimi podejrzeniami i postępuje według własnych zasad. Taki już jest i nie ma na to rady.

–I dlatego mam siedzieć cicho, kiedy on insynuuje, że ktoś z mojego zespołu pracuje dla IRA?

–Podejrzenia Mike'a rzadko kiedy się nie potwierdzają – odparła.

–Cóż, wygląda na to, że tym razem intuicja go zawiodła, nie uważasz?–Eastman wskazał gazetę leżącą na rozmamłanym łóżku.

–Na twoim miejscu miałabym oczy i uszy otwarte – powiedziała Sabrina wychodząc z pokoju. U szczytu schodów natknęła się na Grahama. Siedział na stopniu. – Wszystko w porządku?

–Tak – mruknął nie odwracając się. – Ale Eastman to prawdziwy dupek, i tyle. Chryste, przecież to jasne jak słońce, że ktoś daje im cynk.

–Być może – odparła wymijająco.

–Daj spokój, Sabrina...

–To tylko twoje podejrzenie – ucięła. – I dopóki go nie uzasadnisz, przestań się człowieka czepiać. I tak ma ciebie serdecznie dosyć.

–Ja jego też.

–Musisz to jakoś przełknąć. UNACO jest w krytycznej sytuacji. Potrzebujemy wszystkich sprzymierzeńców, jakich możemy wokół siebie zebrać. W tym również Eastmana. Wyznaczono go do prowadzenia tej sprawy, bo jest najlepszy. Weź to pod uwagę.

–Znalazła się nauczycielka – prychnął pogardliwie Graham. Zignorowała jego sarkazm i powiedziała odwracając się:

–Chodź, mamy na głowie masę roboty.

–Sabrina! – krzyknął za nią. – A co ty o tym myślisz?

–Mam oczy i uszy otwarte – odparła i zniknęła w najbliższych drzwiach.

–A miej, miej – mruknął Graham.

Podźwignął się na nogi i ruszył za nią.

–Czołem, C.W. – rzucił Kolczynski wkraczając do swego gabinetu.

–Cześć, Siergiej – odparł Whitlock podrywając się z miejsca za biurkiem Kolczynskiego.

–Ja tylko na chwilę – powiedział Kolczynski. – Wpadłem po najświeższe meldunki z Londynu, żeby podczas śniadania z sekretarzem generalnym zdać mu z nich relację.

Whitlock wręczył Kolczynskiemu teczkę. W środku znajdował się tekst ostatniego raportu Grahama, przekazanego przez telefon.

–Mike mówił, że zezwoliłeś na opublikowanie w prasie zdjęć Kerrigana i Mullena.

Kolczynski skinął głową i usiadł na jednej z obitych czarną skórą sof.

–Dziś nad ranem zadzwonił do mnie komendant Palmer, szef brygady antyterrorystycznej Scotland Yardu. Z jego słów wynikało, że podjął już decyzję o puszczaniu zdjęć do gazet. Nie miałem nic przeciwko temu.

–Mike trochę się wkurzył, że nic mu nie powiedziałaś.

–Palmer mówił, że Eastman mu powie.

–Powiedział. Dziś rano.

–To w czym problem?

Whitlock wskazał na trzymaną przez Kolczynskiego teczkę.

–Wygląda na to, że między Mike'em i Eastmanem objawił się pewien konflikt osobowości. Mike jest zdania, że powinieneś mu to sam powiedzieć, a nie posługiwać się Eastmanem.

–Coś podobnego! – zachnął się Kolczynski. – Kiedy będzie się z tobą kontaktował następnym razem, powiedz mu, żeby przestał stroić fochy. A jeśli nie potrafi pracować z Eastmanem, każę go kimś zastąpić.

–Już z nim rozmawiałem – uspokoił go Whitlock. – Ale pomyślałem sobie, że o tym powinieneś wiedzieć na wypadek, gdyby Palmer coś na ten temat wspominał.

–Dzięki – mruknął Kolczynski pocierając ze znużeniem twarz. – A Fabio? Jak mu poszło?

–Jego raport jest w tezcze.

Kolczynski otworzył teczkę i przekartkował czterostronicowy raport Paluzziego.

–Streść mi go. Przed wizytą u sekretarza generalnego nie będę miał czasu, żeby się z tym zapoznać.

Whitlock opowiedział, co wydarzyło się poprzedniego wieczoru w Milford.

–W jaki sposób wrócił? – spytał na koniec Kolczynski.

–Zadzwonił do oficera dyżurnego i poprosił, żeby przysłali po niego samochód. Aż dziw, że nie dostał obustronnego zapalenia płuc.

–Gdzie jest teraz?

–W Centrum Dowodzenia. Ślęczy nad identografem i próbuje

skojarzyć jakieś nazwisko z człowiekiem, który zeszłej nocy płacił Killenowi.

–Co macie na tego Killena?

–Czyste konto. Jak dotąd, żadnych wpisów.

–A jego wspólnicy?

–Randolph Woods i Thomas Natchett. Tylko Natchett jest notowany. Pięć lat za napad z bronią w ręku.

–A ten, który zginął?

–Billy Peterson? Jako nastolatek był nałogowym hazardzistą. Wisiał na prawie cztery tysiące dolców u bukmacherów w Milford i Nowym Jorku. Pieniędzmi, które miał od nas dostać, mógłby pospłacać długi.

–Gdzie są teraz te pieniądze? – spytał podejrzliwie Kolczynski.

–Na dnie portu w Milford – odparł Whitlock.

–Wspaniale – mruknął Kolczynski kręcąc powoli głową. – Pięknie to będzie wyglądało w naszym bilansie wydatków.

–Odzyskamy tę forszę, kiedy wydobędzie się samochód.

Drzwi rozsunęły się i do pokoju wszedł Paluzzi. Drzwi zasunęły się z powrotem.

–No proszę, w samą porę – stwierdził Kolczynski.

Whitlockowi przemknęło przez myśl, że pewnie będzie wałkował sprawę utraconych pieniędzy. To byłoby dla niego typowe, Whitlock z własnego doświadczenia wiedział, jak pedantyczny potrafi być Kolczynski w rozliczaniu agentów operacyjnych z ich wydatków.

–Właśnie miałem wychodzić. Powiodło się z identografem? – spytał Kolczynski ku wielkiej uldze Whitlocka.

Paluzzi podał Kolczynskiemu trzymany w ręku wydruk komputerowy.

–Właśnie tego faceta widziałem zeszłej nocy, jak płacił Killenowi.

Kolczynski przyglądał się przez chwilę twarzy, po czym przebiegł wzrokiem zamieszczony obok tekst.

–A to ciekawe.

–Co to za jeden? – zainteresował się Whitlock.

–Anthony Varese – odparł Kolczynski, podając wydruk Whitlockowi. – Prawa ręka Martina Navarro.

–Navarro to jeden ze starszych poruczników w rodzinie Germino – mruknął Whitlock oglądając fotografię.

–A to wiąże nowojorską mafię z zabójstwem Billy'ego Petersona – skonkludował Paluzzi.

–To wiąże z tym zabójstwem Varese – skorygował Kolczynski. –

Nie mamy w tej chwili wystarczająco wiele dowodów, by aresztować Navarro. A jego naprawdę chciałbym mieć, zwłaszcza jeśli się okaże, że to on stał za przesyłką broni do Irlandii.

–Może by więc skompletować te dowody? – zasugerował Paluzzi.

–Nie da rady – odparł Kolczyński. – Przynajmniej na razie. Przymykając któregoś z nich, moglibyśmy poważnie zaszkodzić sprawie. Pamiętaj, że w ich przekonaniu jesteś martwy.

Jeśli zaczniesz węszyć koło Navarro i Varese, to wszystko tylko się skomplikuje. Każę wziąć ich pod lupę innemu zespołowi operacyjnemu.

–A mnie co zlecisz? – spytał Paluzzi.

–Opiekę – odparł Kolczyński wstając.

–Nad kim?

–Nad Jackiem Scobym – powiedział Kolczyński zmierzając do drzwi.

– Od tej chwili jest oficjalnie twoim podopiecznym.

C.W., wypuść mnie. Za dziesięć minut mam być w biurze sekretarza generalnego.

–Siergiej! – krzyknął za nim Paluzzi, kiedy drzwi się rozsuwały. –

Czy Scoby o tym wie?

–Jeszcze nie – odpowiedział z uśmiechem Kolczyński.

Whitlock zamknął za Kolczyńskim drzwi za pomocą leżącego na biurku nadajnika.

–Zadzwoń do Scoby'ego i umówię cię z nim na spotkanie.

Paluzzi stłumił ziewnięcie i zakłopotany uśmiechnął się do Whitlocka.

–Wybacz, położyłem się dzisiaj dopiero o czwartej.

–Umówię cię na późne popołudnie – zdecydował Whitlock. –

Idź do domu i wyśpij się.

–To zbyteczne – zapewnił Paluzzi. – Parę filiżanek kawy i...

–Do domu – uciął Whitlock. – To rozkaz. Masz tu być

o trzeciej. Ze Scobym musisz się spotkać rześki i wypoczęty.

Musisz wyrzeć dobre wrażenie na naszym nowym senatorze.

Martin Navarro był mężczyzną po czterdziestce o imponującej posturze, z upodobaniem do garniturów na miarę oraz drogiej biżuterii. Siedział za masywnym dębowym biurkiem w swoim gabinecie na ostatnim piętrze budynku West Side Electronics, jednej ze swoich legalnych nowojorskich firm, których zadaniem było pranie wielomilionowych dochodów z rozprowadzania narkotyków. Dzięki tej sieci Carmine Germino stał się jednym z najpotężniejszych i najbardziej szanowanych Capo w kraju. Słono jednak zapłacił za swą potęgę. Przed czterema laty latynoski gang

zamordował jego najstarszego syna. Dwa lata później najmłodszy syn Germino podczas próby przejęcia kontroli nad rodziną wywołał krwawą strzelaninę w restauracji na Rhode Island. Navarro uratował Capo życie i za lojalność został nagrodzony honorowym miejscem w rodzinie. Wyróżnieniu temu towarzyszył awans na stanowisko przywódcy syndykatu rozszerzającego wciąż sieć handlu narkotykami. W rezultacie w hierarchii rodziny plasował się obecnie na drugim miejscu, zaraz po Carmine Germino. Zabrzączał interkom i Navarro wcisnął guzik na

konsolocie.

–Słucham, Martha?

–Przyszedł pan Varese i chce się z panem zobaczyć.

–Wpuść go.

Wyłączył interkom i zerknął odruchowo na fotografię w ramce stojącą na biurku obok telefonu. Jego siedmioletnia córeczka, Angela. Wierna kopia matki. Julia była piękną kobietą. Małżeństwem byli przez jedenaście lat, w końcu jednak, z powodu jego niewierności, jej cierpliwość się wyczerpała i odeszła zabierając ze sobą Angelę. Mieszkały teraz obie na Florydzie, gdzie Julia powróciła do pracy w zawodzie krupierki. Nigdy nie prosiła go o pieniądze, a na kontakt z Angelą pozwalała tylko podczas szkolnych ferii. Jednak pomimo faktu, że wiedziała o nim wystarczająco wiele, by posłać go do końca życia za kratki, odmawiała jak dotąd współpracy z władzami, które chciały postawić Navarro przed sądem.

–Dzień dobry.

Navarro podniósł wzrok na stojącego w progu Varesego, odstawił fotografię na biurko i gestem ręki zaprosił gościa do pokoju.

–No i jak?

–Signor Pasconi nie przysporzy nam już więcej problemów – odparł Varese i opowiedział, jak Killen wywiązał się z powierzonego mu zadania.

–Wygląda na to, że facet odwała kawał dobrej roboty – stwierdził Navarro. – Jest lojalny i niezawodny. Podziwiam takich ludzi.

–Płacisz mu takie pieniądze, że lojalność i niezawodność masz zapewnione.

Navarro uśmiechnął się cierpko.

–Czasami potrafisz być bardzo cyniczny, Tony.

–Taki już jestem. – Varese wstał i nalał sobie kawy ze stojącego na kredensie ekspresu. – Napijesz się?

–Nie. – Navarro opadł na oparcie fotela i splótł dłonie.

Złożył palce wskazujące w stożek i zadumany zaczął uderzać nimi w podbródek. – Teraz, kiedy mamy to już z głowy, możemy skupić całą uwagę na następnym małym problemie. A może należałoby powiedzieć: na następnym dużym problemie? Senator Jack Scoby.

Varese. pociągnął łyk kawy i odstawił filiżankę na stoliczek obok fotela.

–Zamierzasz rozprawić się z nim osobiście?

Navarro pokręcił głową.

–Zadzwoń do jego sługusa, Tillmana, i umówię się z nim na spotkanie, zanim odlecą jutro rano do Londynu.

–Co mu powiesz? – spytał Varese pochylając się do przodu i opierając łokcie na kolanach.

Przez opaloną twarz Navarro przemknął znaczący uśmiezek.

–Wystarczy go zaniepokoić, ale nie na tyle, by poddał się bez walki.

–Wejść – rzucił Eastman w odpowiedzi na ostre pukanie do drzwi biura.

Do gabinetu wkroczył Marsh, skinął głową Grahamowi i Sabine, po czym spojrzał na Eastmana.

–Nic, szefie. Czyściutki.

–Poprosiłem Johna, żeby dobrał sobie zespół i przejrzał samochód, którym jeździliśmy zeszłej nocy – wyjaśnił Grahamowi Eastman. – Słyszałeś werdykt. Czysty.

–Sprawdziliśmy go cał po calu – dorzucił Marsh. – Gdyby było tam jakieś urządzenie podsłuchowe, na pewno byśmy je znaleźli.,

Graham milczał.

–Pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli John osobiście obejmie nadzór nad zespołem prowadzącym przeszukanie. Jako niezależny obserwator, że tak powiem – powiedział Eastman. W jego głosie pobrzmiwała wyraźna satysfakcja z wyniku oględzin.

–Tak, jasne – zgodził się niechętnie Graham.

Znow rozległo się pukanie do drzwi. Marsh otworzył, odebrał przez próg jakąś teczkę i przekazał ją Eastmanowi. Ten przerzucił szybko zawartość.

–Z analizy odcisków palców zdjętych w obydwu pokojach wynika ponad wszelką wątpliwość, że w pensjonacie nocowali wczoraj Kerrigan i Mullen.

–Tyle to już wiemy – powiedział Graham.

–Do tej pory tylko podejrzewaliśmy, ale nie mieliśmy dowodu – sprostował Eastman przypalając sobie papierosa. – Teraz dowód jest. Wiemy już na pewno, że to komórka Farrella.

–Jest coś o Fionie Gallagher? – spytała Sabrina.

Eastman usiadł z powrotem na krześle.

–Nie ulega wątpliwości, że są tam jej odciski, ale nie możemy tego potwierdzić. Jak już wiecie ze swoich materiałów, nie posiadamy żadnych jej danych. Żadnych zdjęć ani odcisków palców.

Mówi się o niej, że co kilka miesięcy zmienia swój wygląd, tak że tworząc jej portret pamięciowy nie możemy nawet polegać na relacjach naocznych świadków. Jest dobra, trzeba jej to przyznać.

–Farrell świetnie ją wyszkolił – dodał Marsh.

Eastman skinął głową.

–To nie tajemnica, że przekazał jej całą swoją wiedzę na temat terroryzmu i anty terroryzmu. A ma w IRA opinię eksperta od tych spraw.

–Gallagher jest również bardzo inteligentna – powiedział Marsh. – Była jedną z najlepszych studentek na uniwersytecie

w Bristolu. Ukończyła go z wyróżnieniem. Farrell postępuje schematycznie, dzięki czemu można czasem przewidzieć jego posunięcia.

Ona nigdy, i przez to właśnie jest groźniejsza.

–To czemu na czele komórki stoi Farrell, a nie ona? –
zdziwił się Graham.

–Jest lepszym przywódcą – wyjaśnił Marsh. – Doskonale się uzupełniają i właśnie to stanowi o ich skuteczności.

–Zatem obecna sytuacja nam sprzyja – stwierdziła Sabrina i zauważywszy zdziwienie na twarzy Eastmana dodała: – Chodzi mi o to, że bez Farrella będą osłabieni. Skoro Fiona nie jest zbyt dobrym przywódcą, mogą popaść w tarapaty. Mogą popełniać błędy, może też dojść wśród nich do jakiegoś konfliktu, zwłaszcza z Kerriganem. Z jego akt wynika jasno, że dopóki nie pojawiła się Fiona, był z Farrellem bardzo blisko. Może się mylę, ale wątpię, by darzył ją zbytnią sympatią. A teraz musi słuchać jej rozkazów. Nie sądzicie, że szlag go przez to trafia?

Eastman spojrzał na Marsha i obaj zgodnie pokiwali głowami.

–Logiczne rozumowanie – przyznał Eastman. – Ale ma też swoje słabe strony. Kerrigan to zatwardziały Provo, maniak na punkcie zasad. Dlatego właśnie żyli z Farrellem w takiej komitywie. A to oznacza, że bez względu na swój stosunek do Fiony jako dowódcy komórki będzie jej posłuszny.

–Každy ma swój słaby punkt – zauważył Graham. – Również Kerrigan. Zadzwoił telefon.

–Przepraszam – powiedział Eastman i podniósł słuchawkę. W miarę jak słuchał, coraz bardziej zwężały mu się oczy. Ze stojącej na biurku podstawki wyciągnął pióro i zaczął coś gorączkowo bazgrać w spoczywającym obok łokcia notatniku. – Nie, niech pan nic nie robi. Postaramy się być tam jak najprędzej. – Słuchał przez chwilę kiwając głową. – Tak, byłbym wdzięczny, gdyby przygotował pan wszystko ze swoimi ludźmi. Kiedy już u was będziemy, nie chcemy żadnych opóźnień. Dziękuję za tak szybkie powiadomienie.

–Co tam? – spytał podniecony Marsh, kiedy Eastman odłożył słuchawkę.

–To komisarz szwajcarskiej policji. McGuire zaszył się pod Lozanną ze znanym sympatykiem IRA. – Eastman wyrwał kartkę i podał ją Marshowi. – Zarezerwuj cztery miejsca na najbliższy lot do Szwajcarii.

Marsh wepchnął kartkę do kieszeni kurtki i wybiegł z pokoju.

–Teraz możemy mieć tylko nadzieję, że IRA nie dopadnie go pierwsza – powiedział ponuro Graham.

–Tym razem to wykluczone – odparł pewnym tonem Eastman. O tym, że McGuire tam jest, wie oprócz szwajcarskiej policji tylko nas czworo. Coś mi się zdaje, że szczęście wreszcie zaczyna się do nas uśmiechać.

Fiona Gallagher stała przy oknie i patrzyła nieobecny wzrokiem na samochody sunące oddaloną dwieście jardów od domu autostradą A1. Tam, w pensjonacie, niewiele już brakowało. Bardzo niewiele. Gdyby nie wcześniejsze ostrzeżenie, wszyscy by teraz siedzieli. Dobrze, że mieli wtykę w brygadzie antyterrorystycznej...

Wczesnym rankiem obudził ją pager, z którym nigdy się nie rozstawiała. Odzywał się tylko i wyłącznie w razie niebezpieczeństwa. W automacie na korytarzu wykręciła natychmiast ustalony numer i dowiedziała się, że na zdjęciach udostępnionych poprzedniego wieczoru prasie kierownik pensjonatu rozpoznał Kerrigana i Mullen. Obudziła obu mężczyzn i cała trójka opuściła w pośpiechu pensjonat na kilka chwil przed przybyciem policji. Pojechali na północ, jak najdalej od centrum.

Samotny dom w stylu Tudor na peryferiach Hatfield wypatrzył Mullen. Budynek stał w pewnej odległości od drogi i był otoczony dębowym lasem. Przez pewien czas mógł im posłużyć za bezpieczną kryjówkę. Ponownie naciągnęli na twarze kominiarki i Mullen podjechał pod dom. Na ganku od tyłu zastali starszą parę jedzącą właśnie śniadanie. Kerrigan machnął na nich groźnie uzi, ale Fiona szybko go poskromiła i kazała Mullenowi zabrać oboje staruszków do foyer. Tam Mullen związał im nadgarstki. To wszystko wydarzyło się godzinę temu...

Drzwi za jej plecami otworzyły się. Miała już wciągnąć z powrotem kominiarkę, ale stwierdziła, że to Mullen. Zamknął za sobą drzwi i zerwał z twarzy swoje nakrycie.

–Jezu, ale gorąco – westchnął ocierając rękawem spoczone czoło.

Pokiwała głową, podeszła do krzesła i usiadła.

–Jak się sprawują staruszkowie?

–Bez zarzutu – zapewnił Mullen. – Okazało się, że stary bierze jakieś pigułki na serce. Kiedy mu je przyniosłem, nie chciał ich połknąć, ale stara zbesztła go trochę i w końcu wziął, jak grzeczny chłopczyk. Od tamtej pory nie było żadnych problemów.

Fiona uśmiechnęła się i zerknęła na drzwi.

–A Liam?

–Wyżarł już pół lodówki. – Mullen wzruszył ramionami. – Dobrze, że nie dobrał się jeszcze do alkoholu.

–Jeszcze – podkreśliła Fiona.

–Nieźle go wczoraj nastraszyłaś. Nie sądzę, żeby po tym wycisku wrócił szybko do picia.

Westchnęła głęboko, po czym wstała i wróciła do okna. Dłonie wepchnęła głęboko w kieszenie wojskowych spodni.

–O czym myślisz? – spytał cicho Mullen zza jej pleców.

–Na kominku stoją rodzinne fotografie – powiedziała wskazując na drzwi prowadzące do sąsiedniego pokoju, gdzie Kerrigan pilnował staruszków. – A większość dzieci utrzymuje kontakt z rodzicami. Co będzie, jeśli któreś zadzwoni i nikt nie odbierze? Natychmiast zjawi się tu cała rodzina. I co wtedy? Zaprosimy ich

na herbatkę i ciasteczka?

–Jeśli ktoś zadzwoni, każ odebrać starszej pani – poradził Mullen. – Z nich dwojga wydaje mi się bardziej chętna do współpracy. A będzie jeszcze bardziej, gdy Liam przyłoży staruszkowi lufę uzi do głowy.

–Jesteś pewien, że nie chcesz tu trochę podowodzić? – spytała półzartem.

–Raz mi wystarczy – odparł Mullen unosząc ręce w obronnym geście.

–Nie wiedziałam, że kierowałaś kiedyś komórką IRA – zdziwiła się Fiona.

–Niezupełnie komórką. Parę lat temu Rada Armii powierzyła mi dowództwo nad trzyosobowym zespołem. Naszym celem był emerytowany oficer RUC w Newry. Wprowadziłem ich prosto w zasadzkę SAS. Tylko ja uszedłem z życiem.

–Nigdy o tym nie wspominałeś.

–A ty byś wspominała? Nie ma się czym chwalić.

Drzwi ponownie się otworzyły i do pokoju zajrzał Kerrigan.

–Mógłby ktoś tu na chwilę przyjść? Muszę się odlać.

Mullen wciągnął na twarz kominiarkę i ruszył ku drzwiom.

W tym momencie zapiszczał pager, który Fiona nosiła u paska, i obaj mężczyźni obejrzeli się.

–To "Prorok". Lepiej od razu do niego zadzwonię.

–Prorok? – spytał zaskoczony Kerrigan.

–Kontakt Rady Armii w brygadzie antyterrorystycznej.

–Ten gość, który nam dzisiaj ocalił dupy? – spytał Kerrigan.

–Ten sam.

–"Prorok"? – mruknął Kerrigan i zachichotał pod nosem. –

Dobłą sobie wybrał ksywkę. Wiesz, co to za jeden?

–Chyba żartujesz. Jego tożsamość znają tylko wyżsi rangą członkowie Rady Armii. – Podeszła do telefonu i wykręciła numer. Słuchawkę z tamtej strony podniesiono już po pierwszym sygnale. – Tu "Rebeliantka" – odezwała się.

–"Prorok" – usłyszała w odpowiedzi. – Namierzono McGuire'a w Szwajcarii. Masz pod ręką coś do pisania, żeby zanotować adres?

–Mhm – mruknęła biorąc do ręki leżące przy telefonie pióro.

Zapisała adres w notatniku, oddarła górną część kartki i wepchnęła ją do kieszeni. – Ile mamy czasu?

–A ile potrzebujecie?

–Chyba wystarczy parę godzin – powiedziała bez przekonania.

–No to je macie – odparł rozmówca.

–Jak chcesz to zorganizować?

–Już moja w tym głowa. Jeśli chodzi o samą podróż, to w ciągu najbliższych paru godzin są dwa loty do Szwajcarii. Oba

z Heathrow. Jeden to Swissair, prosto do Zurychu. Na ten mamy już rezerwację my. Odlatuje później, ale jest szybszy. Drugi to British Airways do Rzymu, z międzylądowaniami w Paryżu i Zurychu. Odlatuje w południe. Bierzcie ten. Wiem, że w ten sposób nie pozostaje wam wiele czasu, ale tylko tam mają jeszcze miejsca.

–Załatwione – rzuciła gryzmołąc coś w notatniku.

W słuchawce zaległa cisza.

–Ktoś idzie – powiedział po chwili "Prorok". – Muszę kończyć. Zadzwoń po powrocie.

–Zadzwonię – zapewniła.

Połączenie zostało przerwane. Odłożyła słuchawkę i wskazała na drzwi.

–Mieście na oku tamtych dwoje. Muszę trochę podzwonić.

–Przepraszam – przerwała ciszę Doris Matthews, zwracając się do Fiony. – Mój mąż potrzebuje następnej tabletki.

Fiona skinęła na Mullen. Ten zdjął z kominka fiolkę i wytrząsnął z niej na dłoń jedną pigułkę. Wziął z kredensu szklankę wody i podszedł do krzesła, na którym siedział staruszek. Herbert Matthews łypnął ponuro na niego, ale nie próbował już, jak poprzednim razem, odwracać głowy, kiedy Mullen wpychał mu tabletkę do ust. Popił lekarstwo łykiem wody, po czym utkwiał wzrok w jakimś punkcie na ścianie. Doris Matthews widziała w oczach męża gniew. Gniew, który i ona podzielała. Wtargnięto do ich domu. Podeptano ich prywatność. Ich życie nigdy już nie będzie takie jak dawniej...

Obróciła wzrok na trzy zamaskowane postacie szepczące coś między sobą w progu. Ten duży przerażał ją. Przywodził na myśl słowo "psychopata". Była pewna, że sprowokowany może się okazać śmiertelnie niebezpieczny. Mniejszy wydawał się bardziej opanowany, bardziej na luzie. Kiedy po raz pierwszy usłyszała głosy obu mężczyzn, od razu skojarzyła ich sobie z IRA. Wiedziała, że może się mylić, jednak mając za sobą trzydziestoletni staż nauczycielski w szkole teatralnej w Londynie, doskonale znała się na akcentach. Ten duży miał bardzo silny irlandzki akcent. U niższego nie było to już takie wyraźne, choć sposób, w jaki wymawiał poszczególne słowa, również zwracał uwagę. Najbardziej jednak intrygowała ją kobieta. Jej akcentu w ogóle nie dawało się określić. Głos miała spokojny i kojący, a przy tym władczy. Doris czuła, że dopóki ta kobieta będzie razem z nimi w pokoju, ani jej, ani mężowi włos nie spadnie z głowy.

Fiona odłączyła od mężczyzn i przykucnęła przy Herbercie Matthewsie.

–Będziemy musieli pożyczyć pański samochód, panie Matthews.

–Skąd znasz moje nazwisko? – zdziwił się staruszek.

–Przeczytałam na kopercie, która leży na stole w hallu – odparła zgodnie z prawdą.

–Nie mamy samochodu – burknął.

–Proszę sobie ze mnie nie kpić, panie Matthews. Niebieski rover montego, zaparkowany w garażu na tyłach domu. Gdzie kluczyki?

–Idź do diabła – syknął Matthews.

Fiona wskazała za siebie, na Kerrigana.

–Jeśli mu pozwolę, załatwi pana jednym uderzeniem. Czy samochód jest tego wart?

–Kluczyki wiszą na stelażu przy tylnych drzwiach – wtrąciła szybko Doris Matthews. Z jej oczu popłynęły łzy. – Zabierzcie samochód, tylko zostawcie nas w spokoju. Błagam, odejdźcie.

–Podprowadź wóz przed dom – rzuciła Fiona do Mullena. Spojrzała na Kerrigana. – Wyjmij wszystkie manatki z drugiego samochodu i przelóż je do rovera.

–A co z nimi? – spytał podejrzliwie Kerrigan.

–Jazda! – ponagliła go Fiona.

Mullen szarpnął Kerrigana za ramię i wyprowadził go z pokoju.

–Małe ostrzeżenie – zwróciła się Fiona do pary starszków. –

Kiedy odjedziemy, nie próbujcie się szamotać z pętami.

Są zawiązane w taki sposób, że im bardziej będziecie się szarpać, tym mocniej się zacisną. Mogą się stać bardzo niewygodne. Dopilnuję, żeby oswobodzono was w ciągu godziny. – Ruszyła do drzwi, ale w progu odwróciła się jeszcze. – Przykro mi z powodu tego, co się zdarzyło. Naprawdę.

Kiedy Fiona opuściła pokój, Doris Matthews patrzyła jeszcze przez chwilę na drzwi. Nie miała cienia wątpliwości, że Fiona mówiła serio. Za godzinę będą wolni. Co bardziej zadziwiające, wiedziała, że przeprosiny tej kobiety były szczerze. Wyczuwała to z jej głosu. A Doris Matthews знаła się na głosach...

Kiedy przed głównym terminalem lotniska Heathrow ujrzeli rząd wozów policyjnych, od razu zrozumieli, że coś jest nie w porządku.

–Zaparkuj tam. Zobaczymy, co jest grane – polecił Marshowi Eastman, wskazując wolne miejsce.

Marsh wjechał tyłem w lukę między samochodami. Podchodzącemu policjantowi pokazał swoją legitymację.

–Co się dzieje? – spytał gasząc silnik.

–Alarm bombowy, proszę pana – wyjaśnił policjant.

–W terminalu? – pytał dalej Marsh.

–Nie, w jednym z samolotów. Ale nie wiem, w którym.

–Ja chyba wiem – odezwał się z tylnego siedzenia Graham.

–Nie wyciągajmy pochopnych wniosków – powiedział Eastman wysiadając z samochodu. – Są tu już ci z ATO?

–ATO? – spytał policjant marszcząc brwi.

–No, ludzie od materiałów wy... – Eastman urwał, spostrzegłszy wychodzącą z terminalu postać w mundurze. – Mniejsza z tym. Właśnie jednego widzę. – Zbliżył się szybkim krokiem do mężczyzny. – Chippy? Chippy Woodward?

Mężczyzna odwrócił się i twarz rozjaśnił mu szeroki uśmiech.

–Keith, miło cię widzieć.

–Nie jestem pewien, czy mogę powiedzieć ci to samo – odparł Eastman. – O który samolot chodzi?

–Airbus Swissair. Miał odlecieć za czterdzieści minut. Odstawiliśmy go na jeden z bocznych pasów startowych, na wypadek gdyby sukinsyny odpaliły ładunek. Ale jak dotąd nic nie znaleźliśmy.

–Cholera, cuda jakieś się dzieją czy co? – syknął Marsh za plecami Eastmana.

–Chyba znasz sierżanta Johna Marsha? – spytał Woodwarda Eastman.

–Tak, spotykaliśmy się już – odparł tamten, potrząsając dłonią Marsha.

–A to Mike Graham i Sabrina Carver, nasi krewni z Ameryki – dodał Eastman, mając na myśli CIA. Nie było potrzeby wspominać o UNACO.

Woodward wymienił z nimi uścisk dłoni.

–Więc w czym problem... – Urwał i pokiwał głową. – Rozumiem, mieliście pewnie rezerwację na tego Swissaira?

Eastman potwierdził skinieniem głowy.

–Kiedy spodziewasz się odwołania alarmu?

Woodward wzruszył bezradnie ramionami.

–Znasz procedurę, Keith. Za godzinę, może półtorej. Koleś, który zawiadomił telefonicznie lotnisko, sprawiał wrażenie, że rzeczywiście zna się co nieco na materiałach wybuchowych. Dlatego podjęliśmy szczególne środki

ostrożności.

–Czyli zanim stąd odlecimy, miną dobre dwie godziny? – wycedził Graham, z trudem utrzymując nerwy na wodzy.

–Nawet dwie i pół – powiedział Woodward zerkając na zegarek. – No cóż, wybaczcie, ale lepiej pójdę zobaczyć, jak idzie chłopakom. Miło było cię znów spotkać, Keith.

–Nawzajem, Chippy – odparł Eastman.

–Czy w ciągu najbliższej godziny są jeszcze jakieś loty do Szwajcarii? – spytała po odejściu Woodwarda Sabrina.

–Jeden samolot odleciał pół godziny temu – poinformował ją Marsh. – Nasz lot był następny w rozkładzie.

–To czemu nie zamówiliśmy tego wcześniejszego? – pieklił się Graham.

–Bo nasz miał być w Zurychu pierwszy – wyjaśnił Eastman.

–Nie możemy wyczarterować prywatnego samolotu? – spytała Sabrina.

–W ten sposób wcale nie bylibyśmy szybciej – odparł Eastman i dodał: – Zadzwońię do Zurychu, by podwoili liczbę ludzi obserwujących domek, w którym zaszył się McGuire. Jeśli to sprawka IRA, która chce dotrzeć do niego przed nami, to niech facet ma przynajmniej obstawę.

–Zmieniłeś nagle ton – zauważył z nie ukrywanym sarkazmem Graham.

–Po prostu staram się przewidzieć wszelkie ewentualności – odciął się opryskliwie Eastman.

Zapadło milczenie.

–Może ktoś chce kawy? – spytała Sabrina, przerywając przeciągającą się ciszę.

–Ja z przyjemnością – odparł szybko Marsh. – Szefie...?

–Spotkamy się w kawiarni. Najpierw muszę zadzwonić do Zurychu.

Sabrina odwróciła się do Grahama, ale ten maszerował już w stronę terminalu.

Wzruszyła bezradnie ramionami i razem z Marshem ruszyła za nim.

Ingrid Lynch obserwowała uważnie pasażerów, którzy przeszli już przez odprawę celną i zaczęli się wysypywać do hali przylotów międzynarodowego lotniska Kloten w Zurychu. Była

atrakcyjną rudowłosą kobietą po dwudziestce. Swojego męża, Dominica, poznała przed rokiem na zjeździe IRA w Belfaście. Oboje powrócili do Zurychu, gdzie Ingrid pracowała jako nauczycielka w szkole podstawowej. Dominic był jednym z najważniejszych kontaktów IRA w Europie i pomagał zaopatrywać w broń kilka komórek organizacji na terenie Francji i Niemiec.

–Ingrid?

Obejrzała się, zaskoczona głosem, który rozległ się za jej plecami. Ujrzała kobietę w demnych okularach, z czarnymi włosami do ramion. Zmrużyła niepewnie oczy. Czyżby ją znała?

Kobieta zdjęła okulary i uśmiechnęła się.

–Nie poznajesz swojej najlepszej przyjaciółki?

–Fiona – szepnęła Ingrid. – Zupełnie cię nie poznałam.

–To dobrze – powiedziała Fiona. – W takim razie nie rozpozna mnie tu także nikt z personelu ochrony.

–Co zrobiłaś z włosami?

–To peruka – wyjaśniła Fiona. – A gdzie Dominic?

–Został w samochodzie. Wolał nie ryzykować.

–Miło wiedzieć, że nie zrobił się zbyt pewny siebie – oświadczyła Fiona, po czym przedstawiła Ingrid Mullenowi i Kerriganowi.

–Macie jakiś bagaż?

–Nie za duży – odparła Fiona, poklepując zawieszoną na ramieniu torbę. – Nie zamierzamy zabawić tu długo.

Opuścili terminal i Ingrid zaprowadziła ich na parking, gdzie w audi czekał jej mąż.

Dominic Lynch, krępy mężczyzna pod trzydziestkę, zobaczywszy żonę we wstecznym lusterku, od razu wyskoczył z samochodu. Fiona podbiegła do niego i uściskali się serdecznie.

–Nieźle wyglądasz, dziewczyno – powiedział Lynch, odsuwając ją od siebie na długość ramion. – Ale wolałem cię jako blondynkę.

–To peruka – pośpieszyła z wyjaśnieniem Ingrid.

–Świetna – przyznał Lynch, po czym odwrócił się do Mullen i potrząsnął energicznie jego dłonią. – Fajnie cię znowu widzieć, Hugh.

–Ciebie też, Dom – odparł Mullen. – Urządziliście się tu jakoś?

–Ciągle brakuje mi domowych wygód. Na przykład guinnessa. – Lynch spojrział z uśmiechem na Kerrigana. – Jak tam mój stary kumpel od kieliszka?

Kerrigan uścisnął dłoń Lyncha.

–Nieźle, kolego. A tobie służy małżeństwo? Może się wreszcie ustabilizowałeś i zrobiłeś bardziej odpowiedzialny?

–Nic a nic – odparł ze śmiechem Lynch. – Jak przebrnęliście przez kontrolę na Heathrow? Słyszałem, że tam we wszystkich porannych gazetach roiło się od waszych twarzy.

–Podjęliśmy niezbędne środki ostrożności – powiedziała wymijająco Fiona.

–Ach tak – mruknął Lynch z kpiącym uśmieszkiem. – Lepiej, żebym za dużo nie wiedział, prawda?

–Załatwiłeś już helikopter, Dom? – zmienił temat Mullen.

–Jest gotów i czeka tylko na was, Hugh – zapewnił Lynch.

–A co z bronią? – spytała Fiona.

–Jeszcze nie dotarła – odparł skruszony Lynch.

Fiona rąbnęła wściekle pięścią w dach samochodu.

–Zapewniałeś przez telefon, że będzie na miejscu przed naszym przybyciem. Przecież wiesz, że bez broni jesteśmy uziemieni.

–Nie ma obaw, dotrze – próbował ją uspokoić Lynch.

–Kiedy? – warknęła.

–Ma ją przywieźć kurier, ale od dwudziestu czterech godzin mamy tu paskudną pogodę – bronił się Lynch – Pewnie go zatrzymała w drodze.

–To już nie mój problem – wycedziła.

–Daj spokój, Fiona – odezwał się za jej plecami Kerrigan. – Przecież to nie wina Doma, że nie mamy jeszcze broni.

Obróciła się na pięcie z płonącymi oczyma.

–Nie twoja sprawa, Liam. Właź do samochodu.

–Pocałuj mnie...

–Rób, co każę, albo staniesz przed Radą pod zarzutem niesubordynacji – syknęła, celując w niego ostrzegawczo palcem. –

I nie będzie to bynajmniej pierwszy raz, prawda?

Kerrigan łypnął wściekle na Fionę, zaklął siarczyście, wszedł do samochodu i zatrzasnął z hukiem drzwiczki. Lynch wziął Fionę na bok.

–Czemu go tak traktujesz? – zapytał. – Znam Liama lepiej niż wy wszyscy. I wiem, że nie da sobą pomiatać w nieskończoność.

–To moja komórka, Dom, i będę nią kierować wedle swojego uznania – warknęła Fiona.

–Co cię gryzie, dziewczyno? Chodzi o Seana?

Utkwiła na moment wzrok w ziemi, po czym westchnęła głęboko.

–Przepraszam. Chyba mi nerwy trochę puszczają. Jedźmy już.

Wrócili do samochodu. Lynch zamyślił się. To już nie była ta spokojna, rozważna Fiona, którą znał kiedyś w Irlandii. Zaniepokoiło go to mocno. Czyżby brzemię odpowiedzialności było ponad jej siły? Lubił Mullena, wiedział jednak, że nie może się z tym do niego zwrócić. Byli z Fioną zbyt blisko. Ale Kerrigan to stary kumpel. Tak, kiedy dojadą do domu, pogada z Kerriganem i na podstawie tej rozmowy oceni sytuację.

–Jest tu niejaki pan Tillman i chce się z panem widzieć.

–Wpuść go, Martha – powiedział Martin Navarro.

Podniósł się zza biurka, żeby powitać gościa.

–Witam, panie Tillman.

Gość zmierzył pogardliwym wzrokiem wyciągniętą dłoń.

–Nie zwykłem podawać ręki drobnym cwaniaczkom.

Navarro uśmiechnął się.

–Jedyna różnica między nami polega na tym, że przestępstwa polityczne są legalne.

–Nie przyszedłem tu wysłuchiwać zniewag – burknął wyniośle Tillman.

–Ależ oczywiście, że nie – zgodził się Navarro i wskazał mężczyznę siedzącego na kanapie pod ścianą. – Tony Varese,

moja prawa ręka.

–Tak go nazywasz? – spytał zjadliwie Tillman. – Zważywszy na to, czym się zajmuje, chyba bardziej pasowałoby do niego określenie "krwawa ręka".

Varese zachichotał pod nosem.

–Tylko że to mogłoby sugerować, że mamy ze sobą coś wspólnego, panie Tillman – zauważył.

–Wystarczy, Tony – poskromił go Navarro, zanim gość zdążył otworzyć usta. – Proszę usiąść, panie Tillman. Mamy wiele spraw do omówienia.

–Najlepiej zacznij od wyjaśnienia, dlaczego rano zadzwoniłeś do mnie, grożąc ujawnieniem prasie pewnych informacji... które, jak oświadczyłeś, zniszczyłyby reputację senatora Scoby'ego... jeśli się dziś z tobą nie spotkam. Co to, jakiś szantaż? Bo jeżeli...

–Proszę usiąść – powtórzył Navarro, wskazując krzesło po prawej stronie biurka. – Napije się pan kawy? A może czegoś mocniejszego?

–Nie – odmówił Tillman siadając.

Navarro obszedł biurko i również usiadł.

–Mówił pan Scoby'emu, że się do nas wybiera?

–Oczywiście, że nie – obruszył się Tillman. – Im mniej senator wie, tym lepiej.

–Naturalnie – uśmiechnął się Navarro.

–Słuchaj, nie mam zbyt wiele czasu – warknął Tillman. – Przejdiesz wreszcie do rzeczy?

–A jeżeli powiem, że wiem o transakcji sfinalizowanej przez was w tym tygodniu z kartelem Cabrera z Medellin?

Tillman poblądł, ale szybko odzyskał zimną krew.

–Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

–Może pominęlibyśmy etap wypierania się w żywe oczy, co? Nie róbmy z siebie durniów.

–Powtarzam, że nic mi nie wiadomo o żadnej transakcji w Medellin – obstawał przy swoim Tillman.

Navarro wysunął szufladę biurka i wyjął jakąś teczkę.

–Tutaj jest dosyć dowodów, żeby wsadzić pana i Scoby'ego na dwadzieścia lat do San Quentin. Spójrzmy, co tu mamy. Kopia rezerwacji z Intercontinental Hotel w Medellin na nazwisko Charles Edward Warren. Pańskie pismo, prawda? A to fotografie zrobione podczas wielokrotnych spotkań z Miguelem Cabrera, zarówno tu, w Nowym Jorku, jak i w Medellin, w przeciągu ostatnich pięciu miesięcy. – Rzucił kilkanaście zdjęć na blat biurka przed Tillmanem. – Każda z tych fotografii może zrujnować Scoby'emu karierę.

Tillman przełknął nerwowo ślinę i sięgnął po pierwszą z brzegu odbitkę.

Przedstawiała jego i Cabrerę podczas kolacji w małej restauracyjce w Medellin. Odrzucił fotografię na biurko.

–Senator nic o tym nie wie. To była moja inicjatywa.

–Pańska lojalność jest doprawdy wzruszająca. – Navarro otworzył inną szufladę i wyjął pudełko po butach. Wewnątrz znajdował się rząd kaset magnetofonowych ułożonych starannie w porządku chronologicznym. – Wszystkie pańskie spotkania z Miguelem Cabrera zostały nagrane na taśmę. Te nagrania do wodzą niezbitcie, że Scoby jest zamieszany w całą sprawę od samego początku...

–A gdyby tego było za mało, możemy również udowodnić, że Jorge Cabrera zapewnił Scoby'emu finansowe wsparcie w jego kampanii wyborczej – dodał Varese wstając. – Wątpliwe, by opinia publiczna przeszła nad tym do porządku dziennego. Zwłaszcza że Scoby wygrał wybory właśnie dzięki bezkompromisowej kampanii antynarkotkowej.

–Myślę, Tony, że po wysłuchaniu tego wszystkiego pan Tillman potrzebuje jednak drinka – powiedział Navarro.

Varese przeszedł do barku w rogu pokoju.

–Co pan sobie życzy, panie Tillman?

Tillman popatrzył na Navarro.

–To Miguel Cabrera przekazał wam te informacje, prawda?

–Mamy wtykę w kartelu – odparł wymijająco Navarro.

To na pewno Miguel Cabrera, pomyślał Tillman. Ale dlaczego?

Musiał sobie zdawać sprawę z ryzyka. Gdyby ojciec odkrył jego podwójną grę, na więzy krwi nie miał co liczyć.

–Pański drink – oznajmił Varese, przerywając Tillmanowi tę gonitwę myśli.

Tillman wychylił burbona jednym haustem i oddał kieliszek Vareseemu.

–To Miguel Cabrera, tak? Na pewno on.

–Nie pańska sprawa, kto – odparł Varese.

–Chcę wiedzieć! – wrzasnął Tillman. Krew nabiegła mu do twarzy. – Chcę wiedzieć – powtórzył już nieco spokojniej.

–Po co?

–A ty byś na moim miejscu nie chciał?

Navarro podniósł wzrok na Varesego, który wzruszył obojętnie ramionami.

–Tak, to Miguel Cabrera.

–Ale dlaczego? Kolumbijczycy i mafia to od lat śmiertelni wrogowie.

–Nalej mi małego burbona, Tony – poprosił Navarro, po czym wstał i podszedł do okna. Po chwili odwrócił się do Tillmana. –

Miguel Cabrera chce przejąć kartel ojca. A to oznacza, że potrzebuje pieniędzy na założenie podwalin swojej potęgi.

Zgodziliśmy się zapewnić mu te pieniądze w zamian za informacje. –

Wziął kieliszek od Varesego. – Chodzi o to, że Miguel ma pewną własną wizję przyszłości. Połączenie najsilniejszego kartelu w Kolumbii z najpotężniejszą rodziną w Stanach. Kartel Cabrera i rodzina Germino. I, co za tym idzie, absolutny monopol na przerzut narkotyków do Stanów.

–Co oczywiście nigdy się nie uda – dodał Varese.

–Zatem umyślnie go podpuściliście? – domyślił się Tillman.

–Ciągnęliśmy to, żeby zdobyć potrzebne informacje. On nie ma pojęcia, że zamierzamy przechwycić narkotyki i rozprowadzić je jako nasze własne. Tak więc, kiedy przyjdzie pora, potraktujemy go jak należy.

–A co do tego mają moje interesy z Cabrera?

Navarro wrócił do biurka.

–Prześledźmy podstawowe założenia waszej umowy z Cabrera. Wśród wyższych funkcjonariuszy służb celnych macie swoich ludzi, którzy za odpowiednią gratyfikację dopilnują, by przez punkty kontroli celnej w stanie Nowy Jork każdego miesiąca przeszło kilka dużych przesyłek kokainy nadanych przez kartel Cabrera. Stamtąd narkotyki trafią prosto do sieci dystrybucji i zostaną rozprowadzone po całych Stanach. W zamian kartel Cabrera zgodzi się, by ci sami celnicy przechwycili kilka mniejszych przesyłek, co wywoła wrażenie, że zastosowanie przez służby graniczne bezkompromisowych metod Scoby'ego do walki z narkotykami zdaje egzamin. Jak mi idzie?

Tillman bez słowa pokiwał głową.

–Zaś za każdą przesyłkę przeschmuglowaną z powodzeniem przez kontrolę graniczną Scoby otrzyma dziesięć procent jej ulicznej wartości. Pieniądze te, w gotówce, zostaną potem rozdzielone między pewne prawicowe rządy w Ameryce Południowej i Środkowej.

–Senator nie czerpie z tych funduszy żadnych osobistych korzyści. To przedsięwzięcie czysto polityczne – powiedział z dumą Tillman. – Świat wierzy, że marksizm już umarł, a Rosja postanowiła w końcu odejść od skompromitowanego systemu komunistycznego... nic bardziej błędnego.

–Proszę nam oszczędzić politycznej retoryki – skrzywił się z niesmakiem Navarro. – Pozwoli pan, że przedstawię mu pewną propozycję. Wasza umowa z kartelem Cabrera pozostaje bez zmian, ale gdy tylko kokaina przejdzie przez kontrolę celną, wasi ludzie dadzą nam cynk co do jej miejsca przeznaczenia. Wówczas my przechwycimy część przesyłek, zanim dotrą do celu, i będziemy je rozprowadzać jako własne. Tylko część – zastrzegł się, podnosząc palec do góry. – Nie chcemy wzbudzać żadnych podejrzeń. Przynajmniej na początku. W zamian zapłacimy Scoby'emu

piętnaście procent ulicznej wartości towaru. Pieniądze zostaną wyprane w legalnych przedsiębiorstwach, takich jak West Side Electronics, i przekazane któremukolwiek z rządów, wedle uznania senatora. Tak więc nasz układ nie tylko zapewni finansową pomoc szwadronom śmierci w Ameryce Południowej i Środkowej, ale da nam również przewagę nad Kolumbijczykami w wojnie narkotykowej.

–A co się stanie z senatorem i ze mną, kiedy Cabrera zorientuje się, co jest grane?

–W jaki sposób? – Navarro wzruszył potężnymi barkami. – Wywiązujecie się ze swojej części umowy. Nie tykamy tych przesyłek, dopóki nie przejdą przez kontrolę celną. To stawia was poza wszelkim podejrzeniem. Całe ryzyko bierzemy na siebie.

–A jak wyjaśnimy kartelowi późniejszą utratę przesyłek? Cabrera od razu coś zwęszy.

–Będziecie musieli podrzucić raz na jakiś czas kartelowi kilka płotek na pożarcie. – Navarro pozbiierał zdjęcia, wsunął je z powrotem do teczki i położył ją na biurku przed Tillmanem. –

Niech pan pokaże to Scoby'emu. Negatywy trzymam pod kluczem w bezpiecznym miejscu. Taśmy też pan może zabrać. Mam kopie. Tillman wziął teczkę i pudełko kaset magnetofonowych.

–Rozumiem, że jeżeli senator odmówi zastosowania się do twojego planu, dopilnujesz, by negatywy i zestaw kaset zostały rozp o wszechnione?

–Jest pan bardzo pojętny – uśmiechnął się Navarro. – Podobno lecicie obaj na weekend do Anglii. Będziecie mieli zatem czas na rozważenie mojej wspaniałomyślniej oferty. Kiedy wracacie?

–W poniedziałek rano.

–Wobec tego oczekuję odpowiedzi we wtorek. Powiedzmy o dziesiątej, w moim biurze.

–Dobrze – odparł Tillman, pakując do dyplomatki ostatnie kasety.

–Jeszcze jedno – powiedział Navarro. Skinął głową na Varese'go. Ten podszedł do biurka z małą teczką i położył ją na blacie. Navarro odblokował zamek i podniósł wieko. – Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów w gotówce. Wszystko w nie znaczonych banknotach. Jesteśmy w stanie dać wam to samo co Kolumbijczycy. Mały bodziec, żeby łatwiej było panu namówić senatora.

–Nie wiedziałem, że mamy jakiś wybór – mruknął Tillman, oglądając ułożone starannie w walizeczce pliki banknotów.

–Ależ oczywiście, że macie – odparł Navarro, zamykając z powrotem dyplomatkę.

– W końcu czyż nie jesteśmy w Ameryce?

Varese postawił walizeczkę u stóp Tillmana.

–No cóż, miło było pana poznać – powiedział Navarro wyciągając rękę.

Tillman zignorował ten gest i podniósłszy obie dyplomatkę skierował się do drzwi.

–Ach, byłbym zapomniał – odezwał się jeszcze Navarro, kiedy Varese otwierał Tillmanowi drzwi. – Bon voyage.

Tillman zmierzył go lodowatym wzrokiem, odwrócił się i bez słowa opuścił gabinet.

Kiedy airbus Swissaira wylądował wreszcie z blisko trzygodzinnym opóźnieniem na lotnisku Kloten w Zurychu, było już po zmroku. Wokół lotniska zalegała gruba warstwa białego puchu. Płatki śniegu zasypywały miasto i pługi śnieżne pracowały bez ustanku. Według prognoz meteorologicznych UNACO w ciągu najbliższych dwunastu godzin sytuacja miała się jeszcze pogorszyć. Opuszczając Londyn Eastman otrzymał zapewnienie, że gdy tylko wylądują w Zurychu, władze szwajcarskie udzielą im wszelkiej możliwej pomocy. Ich kontaktem w Lozannie miał być kapitan Philippe Bastian, jeden z najbardziej doświadczonych oficerów w szwajcarskiej brygadzie antyterrorystycznej.

Kiedy wysiedli z samolotu, na płycie lotniska czekał już na nich czarny mercedes. Kierowca, funkcjonariusz policji w cywilu, natychmiast przewiózł ich do innej części lotniska, gdzie stał gotowy do startu policyjny helikopter, który miał ich zabrać do Lozanny.

–Chciałeś się ze mną widzieć, Dom?

Lynch obejrzał się na stojącego w progu Kerrigana.

–Wchodź, Liam. I zamknij drzwi.

Kerrigan wszedł do gabinetu Lyncha.

–W dzień widok stąd zapiera dech w piersiach – powiedział Lynch wskazując ręką mrok za oknem. – Jestem naprawdę szczęśliwy, że tu mieszkam.

–Z pewnością nie wezwałeś mnie na rozmowę o widoku z okna – zauważył Kerrigan.

–Nie, jasne że nie – odparł Lynch odwracając się do Kerrigana. – Siadaj, Liam. Drinka?

Kerrigan rozparł się w fotelu przy drzwiach.

–Żadnych drinków. Skoro mamy dorwać dziś w nocy McGuire'a, i to w tych piekielnych warunkach, muszę być skoncentrowany.

–Tak, zdecydowanie robi się coraz gorzej – mruknął Lynch podchodząc do barku, by nalać sobie whisky.

–Nadal żadnych wieści o broni?

–Jak do tej pory, żadnych – odparł Lynch wzruszając ramionami. – A ta pogoda z pewnością nam nie sprzyja.

Kerrigan rąbnął wściekle pięścią w oparcie fotela.

–Te świny już tu pewnie są. Chryste, jeśli te działka zaraz tu nie dotrą, dopadną McGuire'a pierwsi.

–Zrozum, im też pogoda jest nie na rękę. – Lynch zasiadł za biurkiem i spojrzał na Kerrigana. – Chcę z tobą porozmawiać o Fionie.

–O co chodzi? – spytał podejrzliwie Kerrigan.

–Sądzę, że łamie się pod ciężarem dowodzenia komórką w zastępstwie Seana.

–Łamie się? – prychnął Kerrigan. – Chyba można tak to ująć. Ale to Rada Armii powierzyła jej dowództwo komórki i dopóki nie zwolnią jej od tej odpowiedzialności, żadnemu z nas nic do tego.

–Nie lubisz jej, prawda?

–Niespecjalnie. Jest jednak dziewczyną Seana i dlatego jakoś ją znoszę.

Lynch pociągnął łyk whisky i zamyślony obrócił kieliszek w dłoni.

–Sean i Fiona są naszymi dobrymi przyjaciółmi. Sean był najlepszym z moich ludzi, a Fiona była pierwszą druhną Ingrid.

–Przecież byłem na ślubie – wtrącił szybko Kerrigan.

–Widząc ją taką, niepokoję się. Przed chwilą powiedziałeś, że żadnemu z nas nic do tego. I tutaj się mylisz.

–Znasz przepisy, Dom. Nie mogę kontaktować się z Radą Armii, jeśli sytuacja nie jest awaryjna. Zresztą co bym im powiedział? Że Fiona się łamie? A gdzie dowód? Rada Armii nie przyjmuje do wiadomości podejrzeń i plotek, interesują ich tylko fakty. Poza tym mają ją za cholernie dobrą. To Sean wyrobił jej taką opinię.

Lynch dopił drinka i odstawił kieliszek na biurko.

–Ty nie możesz się z nimi kontaktować, ale ja mogę.

Oczy Kerrigana zwęziły się.

–I co im powiesz?

–To, co zauważyłem. Co mi mogą zrobić? Nie jestem członkiem waszej komórki. A kontakt nawiązuję tylko dlatego, że się o nią martwię, co zresztą jest zgodne z prawdą.

Kerrigan przygryzł w zadumie wargę.

–Kiedy chcesz się z nimi skontaktować?

–Jak wyjedziecie – odparł Lynch.

–W porządku, Dom. Tak będzie lepiej i dla niej, i dla komórki.

–Robię to dla niej. Kropka. I tylko dlatego, że moim zdaniem ma przed sobą wspaniałą przyszłość w Provo. A nie chciałbym, żeby się wypaliła przed trzydziestką.

–Zawsze byłeś pragmatykiem – powiedział Kerrigan lekko kpiącym tonem. Wstał. – No to się kontaktuj.

–Zrobię to – zapewnił go Lynch. – Ale ty do tego czasu słuchaj jej i rób wszystko, co ci każe.

–Jakbym dotąd jej nie słuchał – mruknął Kerrigan.

–Wiem, że cię ujeżdża, liam. Ale daj spokój. Bo jak będziesz stawał okoniem, to po powrocie do kraju znajdziesz się w nielada kłopotach. Zapamiętaj to sobie.

–Potrafię się kontrolować, Dom. Spokojna głowa.

Rozległo się pukanie do drzwi. Kerrigan otworzył.

Ingrid powiedziała od progu:

–Jest Alain.

–Nareszcie. – Lynch wstał i spojrzał na Kerrigana. – Przyjechały działka.

–No to do roboty – rzucił Kerrigan.

Fiona odczekała, aż głosy ucichną w oddali, po czym uchyliła drzwi i wyjrzała ostrożnie na korytarz. Był pusty. Wymknęła się z pokoju i cicho zamknęła za sobą drzwi. Zerknęła odruchowo na drzwi gabinetu. Zaczęła coś podejrzewać, kiedy podsłuchiwała przypadkiem, jak Lynch prosi Kerrigana, żeby przyszedł do jego gabinetu. Po co ta dyskrecja? Teraz już wiedziała. Podsłuchiwała całą rozmowę. No, prawie całą, do momentu, kiedy słysząc nadchodzącą Ingrid musiała dać nura do pokoju naprzeciw. Lynch zamierzał skontaktować się z Radą Armii. Wątpiła, by zechcieli

go wysłuchać. Tak jak powiedział Kerrigan, nie istniało nic, co podważałoby jej reputację. Ale jeżeli meldunek Lyncha zasieje wśród nich ziarno wątpliwości? Co będzie, jeśli odwołają ją po operacji? Nie, nie może sobie pozwolić na takie ryzyko. Nie w sytuacji, gdy tak wiele jest do stracenia...

Weszła z korytarza do łazienki, spuściła wodę w sedesie i udała się do salonu.

–Już mieliśmy wysłać po ciebie ekipę poszukiwawczą – powiedział na jej widok Lynch.

–Byłam w ubikacji – odparła Fiona. Popatrzyła na mężczyznę siedzącego obok Lyncha.

–To Alain – wyjaśnił Lynch. – Przyszła wreszcie broń.

Hugh i Liam przenoszą ją właśnie z samochodu Alaina do mojego.

Wóz odbiorę jutro z samego rana.

–Dzięki, Dom.

–Nadal jesteś pewna, że trafisz do helikoptera?-spytał Lynch.

–Ja niekoniecznie, ale Hugh jest niezrównany w zapamiętywaniu tras.

Alain powiedział coś do Lyncha po francusku. Lynch potrząsnął głową i Alain opuścił pokój. Chwilę później trzasnęły drzwi wejściowe.

–Jest dobry – powiedział Lynch. – Bardzo solidny. I nie zna ani słowa po angielsku.

–Świetnie – mruknęła Fiona.

–Coś nie tak? – zaniepokoił się Lynch otaczając ją ramieniem. – Wyglądasz, jakbyś była myślami gdzie indziej.

–Chyba jestem po prostu zmęczona. Trudno działać, kiedy Sean jest w więzieniu.

–Wierzę. Ale do rana będzie po wszystkim.

–Jeśli nie załatwimy McGuire'a, Rada Armii nas ukrzyżuje.

A nawet jeśli go dopadniemy, to kto nam zaręczy, że nie wyślą nas na inną operację? Jesteśmy na fali. Po co mieliby nas teraz wycofywać?

–Odwołają cię po tej akcji – powiedział Lynch.

–Skąd ta pewność? – spytała mierząc go podejrzliwym wzrokiem.

–Pewności nie mam – sprostował szybko Lynch. – Ale po co mieliby cię dalej eksploatować, skoro w przyszłym tygodniu Sean ma wyjść?

–Wracajmy do tematu McGuire'a. Musimy go dopaść, Dom.

–Dopadnięcie – zapewnił Lynch ściskając jej ramię. – Aj, byłbym zapomniał. Mam coś dla ciebie, Fiona. – Z górnej szuflady kredensu wyjął automat glock 17 z nakręconym na lufę tłumikiem. – Poznajesz?

–To Seana – odparła zaskoczona, biorąc pistolet od Lyncha. – Mówił mi, że go zgubił.

–Zostawił, gdy był tu ostatnim razem – wyjaśnił Lynch. –

Wiem, że nie miały nic przeciwko temu, żeby ci go dać.

Wsunęła broń do kieszeni wiatrówki. W tej samej chwili drzwi wejściowe otworzyły się i do domu weszli Mullen z Kerriganem. Wiatrówki mieli upstrzone płatkami śniegu.

–Boże, ale ziąb – rzucił Mullen zacierając dłonie w rękawiczkach. – Jesteśmy gotowi, Fiona.

–Doskonale – odparła Fiona. – No to żegnamy się i ruszamy z tym majdanem.

Mullen i Kerrigan wymienili z Lynchem uściski dłoni.

–Idźcie już do samochodu – poleciała im Fiona. – Ja muszę jeszcze zamienić słówko z Domem. To potrwa tylko minutkę.

–Jasne – odparł Mullen. – Tylko nie rozgaduj się za bardzo. I tak już jesteśmy spóźnieni.

–Przecież mówię, że minutkę.

Lynch odczekał, aż Mullen z Kerriganem opuszczą dom, po czym spojrzał na Fionę.

–O co chodzi, dziewczyno?

–Możemy przejść do twojego gabinetu?

–Pewnie, chodź.

Lynch poprowadził Fionę korytarzem i otworzył przed nią drzwi gabinetu. Zamknąwszy je za sobą, podszedł do okna i odwrócił się.

–No, o co... – Urwał nagle, widząc w jej dłoni automat z tłumikiem.

–Słyszałam, o czym rozmawialiście z Kerriganem – oznajmiła

patrzając mu prosto w oczy. – Chcesz się skontaktować z Radą Armii i powiadomić ją, że nie nadaję się do prowadzenia komórki?

–Fiona, to nie tak, jak myślisz... – wymamrotał przerażony Lynch nie odrywając wzroku od pistoletu. – Po prostu martwię się o ciebie. Ty i Sean jesteście dla mnie jak rodzina. Wiesz, że nigdy bym cię nie skrzywdził.

–Członkowie rodziny nie powinni zdradzać siebie nawzajem, nie uważasz? – odparła lodowatym tonem.

–Fiona, słuchaj... posłuchaj mnie – wyjąkał Lynch. – Opuść pistolet, dziewczyno. Możemy porozmawiać.

–Czas na rozmowę skończony – stwierdziła naciskając spust.

Kula trafiła Lyncha w czoło. Nie żył już, gdy padł na podłogę.

Fiona opuściła gabinet zamykając za sobą drzwi i przeszła do kuchni. Ingrid przygotowywała właśnie pranie. Podniosła wzrok i uśmiechnęła się.

–Przyszłam się tylko pożegnać – powiedziała Fiona odwzajemniając uśmiech.

–Więc zrób to jak należy – odparła Ingrid otwierając ramiona.

–A jakże – powiedziała Fiona.

Kiedy padły sobie w objęcia, przystawiła wylot tłumika do tyłu głowy Ingrid i nacisnęła spust. Przytrzymała bezwładne ciało i delikatnie opuściła je na podłogę. Otarłszy z automatu odciski palców, wrzuciła go do kosza na brudną bieliznę. Potem wróciła spokojnie korytarzem do drzwi wejściowych, zasunęła suwak wiatrówki, nacisnęła klamkę i wyskoczyła w zimne nocne powietrze.

Kiedy helikopter wylądował na lotnisku La Blecherette w Lozannie, czekały już tam na niego dwa policyjne samochody. Eastman i Marsh wsiedli do pierwszego, a Graham z Sabriną zabrali się drugim. Oba wozy pomknęły na sygnale do Les Paccots, miejscowości narciarskiej położonej trzydzieści kilometrów od Lozanny.

Niedaleko Les Paccots samochody zatrzymały się za furgonetką lotnej brygady policji i cała czwórka przesiadła się do niej. Na dwóch długich ławkach pod ścianami furgonetki siedziało kilku policjantów. Wszyscy mieli na sobie skafandry narciarskie i studiowali jakieś mapy i raporty.

–Szukamy kapitana Bastiana – zwrócił się Eastman do pierwszego z brzegu człowieka.

–Capitaine Bastion? Ld-bas. – Mężczyzna wskazał postać siedzącą w drugim końcu przeciwległej ławki.

–Tam – przetłumaczyła Sabrina.

Eastman podszedł do wskazanego mężczyzny.

–Kapitan Bastian? – upewnił się.

–Oui? – burknął tamten nie podnosząc nawet wzroku znad mapy.

–Jestem inspektor Keith Eastman ze Scotland Yardu. Komisarz Mansdorf mówił chyba panu, że należy się nas spodziewać?

–Oczywiście – odparł szybko Bastian, przywołując na twarz

uśmiech. Zdjął z głowy czapkę z białym daszkiem i wstał. Był postawnym mężczyzną po trzydziestce, miał krótko przystryżone brązowe włosy i ogorzałą twarz o ostrych rysach.

Eastman przedstawił go pozostałym.

–Proszę, siadajcie – wydukał Bastian. – Rozumie, mój angielski nie jest dobry.

–Sto razy lepszy niż nasz francuski – pocieszył go Graham siadając. – To gdzie właściwie jest McGuire? Mamy jedynie adres, który nam absolutnie nic nie mówi.

–Pokażę wam – odparł Bastian, wskazując mapę rozpostartą obok na stolyczku. Przytknął palec do punktu, w którym przecinały się wykreślone na niej linie.

–Jak to się ma do naszej pozycji? – spytał Marsh.

–My są tu – wyjaśnił Bastian pokazując zaznaczony na mapie krzyżyk.

–Zatem niezbyt daleko od domku? – upewnił się Graham.

–Niedaleko, nie – potwierdził Bastian. – Jakieś trzy kilometry.

–Czyli dwie mile – przeliczył Graham. – Od jak dawna domek jest pod obserwacją?

–Od popołudnia.

–A co z człowiekiem, który przebywa razem z McGuire'em w domku? – spytał Eastman. – Wiecie coś o nim?

–Trochę – odparł Bastian. – Zrobiliśmy jego fotografia, kiedy po południu przychodzi do sklep. Potem my przesyłamy zdjęcie do Interpol. Oni mówią, że ma długa przeszłość kryminalna. Jakiś przyjaciel IRA.

–Szwajcar? – spytała Sabrina.

Bastian potrząsnął przecząco głową.

–Jest z Francji. Paryż.

Graham i Eastman wymienili ukradkowe spojrzenia.

–Myślisz o tym samym co ja? – spytał Graham.

–To ten człowiek, o którym mówił ci w pubie Roche? –

Eastman pokiwał głową i odwrócił się do Bastiana. – Czy to budowlaniec?

Bastian przytaknął ruchem głowy.

–On jest budowlaniec. Ale skąd wiecie?

–Od jednego z przyjaciół McGuire'a w Londynie – wyjaśnił Graham. – Ale nie znamy nazwiska.

–Mam jego nazwisko – odparł Bastian i wyjął z kieszeni skafandra wyświechtany notatnik. Przerzucił kilka kartek i kiedy znalazł właściwą, zatrzymał na niej palec wskazujący. – Marcel Bertranne. Chcecie jego adres?

–Nie w tej chwili – odparł Graham. – Ilu pańskich ludzi

obserwuje domek?

–Zawsze czterech. Zmieniają się co godzina. Wiecie, na górze jest bardzo zimno.

–Fakt – zgodził się Graham. – Czy McGuire wychodził z domku, odkąd jest pod obserwacją?

–Nie wychodził, nie.

–To skąd wiecie, że w ogóle tam jest?

–Często chodzi do okna. Wtedy widzą go moi ludzie.

–Czy pańscy ludzie meldowali coś podejrzanego? – spytał Eastman.

–Podejrzanego? – Bastian zmarszczył czoło. – Nie rozumiem.

–Nie powiedziano panu, że chce go zlikwidować pewna komórka IRA? – zdziwił się Eastman.

–Powiedziano mnie, że jest szukany przez IRA. Ale Commissaire mówił mnie, że oni nie wiedzą, że on jest tutaj w Szwajcarii.

–Nie byłbym tego taki pewien – mruknął Graham i poprosił Sabrinę, żeby wyjaśniła Bastianowi po francusku, co wiedzą o jednostce Provo.

–Ja nie wiedział tego – oświadczył Bastian, kiedy Sabrina skończyła. Potem otworzył skrytkę w rogu pomieszczenia i wydał wszystkim po pistolecie maszynowym Heckler Koch MP53 i dwudziestopięciostrzałowym magazynku.

–A jak dotrzemy do tego domku? – spytał Graham.

–Tam chodzi stąd linowa kolejka. To jedyna droga na góra. Wy założą wszyscy białe narciarskie kombinezony, zanim pójdą. Wtedy was nie widzą w śniegu.

–Ważniejsze, czy sami będziemy się widzieć w śniegu – powiedział Graham, kiedy otrzymali narciarskie skafandry.

–Rzeczywiście robi się coraz gorzej – zgodził się Marsh. Bastian spojrzał na Grahama.

–Możemy poczekać, aż burza odeszła.

–Nie – odparł kategorycznie Graham, wdzierając swój narciarski strój. – Jeśli komórka IRA jest już w okolicy, pogoda na pewno ich nie odstraszy. Musimy dotrzeć do McGuire'a pierwsi.

–Myślisz, że są już w Szwajcarii? – spytał Grahama Eastman.

–To cholernie prawdopodobne – stwierdził Graham, naciągając na oczy gogle.

–Mam nadzieję, że się mylisz.

–Ja też – odparł Graham.

–Narty i buty nartowe są na zewnątrz – oznajmił Bastian, kiedy skończyli się ubierać.

–No to w drogę – rzuciła Sabrina, ruszając za Bastianem do drzwi.

Kiedy wagonik kolejki linowej zatrzymał się przy pierwszym z czterech przystanków wyciągu, jeden z ludzi Bastiana już tam na nich czekał. Otworzył drzwiczki i wszyscy z ulgą wyskoczyli na betonowy peron.

–Teraz już rozumiem, dlaczego papież całuje ziemię za każdym razem, gdy wysiada z samolotu -powiedział Marsh kręcąc głową.

–Fakt, jazda była trochę nieprzyjemna – zgodziła się z uśmiechem Sabrina.

–Łagodnie powiedziane – odparł Marsh. – Mieliśmy niezłą huśtawkę. Cud, że wiatr nie zdmuchnął wagonika.

–Ciesz się, że nie musimy jechać nim dalej – zwrócił mu uwagę Eastman.

–Cieszę się, szefie.

Bastian zamienił parę słów ze swoim człowiekiem, po czym odwrócił się ponownie do pozostałych.

–Jesteście gotowi? – spytał.

–Jesteśmy – odparł Graham.

–Dobrze. Tam dalej jest lina, przy która zejdziemy w dół góry, gdzie moi ludzie czekają. Rozumieją?

–Tak – skinął głową Graham. – Jak daleko stąd są pańscy ludzie?

Przed udzieleniem odpowiedzi Bastian skonsultował się ponownie z podwładnym.

–Trzysta metrów.

–A domek? – wtrącił Eastman.

–Też jest tam. Ale moi ludzie nie mogą być widziani. Są ukryci w drzewa. – Bastian popukał palcem w szelki na skafandrze. – Przypnijcie to do lina. Wtedy się nie pogubicie.

–Proszę prowadzić – powiedział Eastman.

Zeszli za Bastianem schodkami do drzwi na końcu peronu i przypięli narty.

Bastian zebrał się w sobie i jednym szarpnięciem otworzył drzwi. Wiatr, niczym nieproszony gość, wdarł się przez próg do środka i z niesamowitym świstem omiół wnętrze stacji. Bastian wyszedł małymi kroczkami na śnieg. Drogę oświetlała zapalona nad wejściem mdła żarówka. Szwajcar wydobył z jednej ze swoich licznych kieszeni latarkę i zapalił ją. Lina była okręcona wokół palika przy drzwiach i zabezpieczona węzłem ósemkowym. Bastian przypiął do niej swoje szelki, po czym obejrzał się na Grahama i dał mu znak kciukiem. Graham pobrał przed siebie w mrok. Kiedy wszyscy przypięli się już szelkami do liny, Szwajcar zgasił latarkę. Nie chciał ryzykować, że ujrzą ich z domku. Musieli poruszać się w zupełnych ciemnościach. Wolno i z mozołem schodzili po zboczach do miejsca, gdzie rozmieszczeni byli ludzie Bastiana. Jedną odzianą w rękawicę dłonią dzierżyli narciarskie kijki, drugą trzymali się mocno liny. W mroku raz po raz potracali się wzajemnie. Głowy wtulili w kołnierze, chroniąc twarze przed zacinającym śniegiem. W pewnym momencie Marsh stracił równowagę, ale uratowały go szelki, dzięki którym

nie upadł daleko od liny. Wiedzieli jednak, że prowadzi ich doświadczony przewodnik. Bastian najwyraźniej doskonale się orientował, nawet w tych zdradzieckich warunkach.

Kiedy dotarli wreszcie do niewielkiego lasu, zdawało im się, że minęła cała wieczność, choć tak naprawdę nie trwało to dłużej niż dziesięć minut. Bastian szarpnął dwukrotnie linę dając im w ten sposób sygnał, by się zatrzymali. Stał przez chwilę słuchając meldunku przekazywanego przez mały nadajnik, który nosił wetknięty wprost do ucha pod grubym, ocieplanym kapturem, a potem zadowolony szarpnął trzykrotnie linę. Sygnał, by kontynuować marsz. Niebawem spostrzegli poprzez sypiący śnieg migoczące światełko wskazujące drogę do jamy w śniegu. Wygrzebano ją tak, by wejście do niej nie było widoczne od strony polany, na której stał domek, dzięki czemu jeden z ludzi Bastiana mógł ich wprowadzić do środka przy jasnym świetle latarki. Kiedy wszyscy

wpełzli do jamy, otwór wejściowy zasłonięto spełniającą rolę drzwi bryłą lodu nie wpuszczającą do wnętrza śniegu. Bastian odrzucił kaptur na plecy, usiadł i odbył krótką rozmowę z dwoma mężczyznami.

Sabrina przysłuchiwała się tej konwersacji notując w pamięci wszystko, o czym powinni dowiedzieć się pozostali, i kiedy Bastian chciał zwrócić się do nich, zaproponowała mu, że sama streści wątek tej rozmowy. Bastian uśmiechnął się do niej z wdzięcznością, sięgnął po termos i nalał sobie kawy.

–Na skraju polany zamontowano szperacz – zaczęła wyjaśniać. –

Kiedy zajmiemy już pozycje wokół domku, zapalą go licząc na to, że McGuire przerazi się i będzie próbował ucieczki. My przyczaimy się przy drzwiach i capniemy go, jak tylko je otworzy.

–A jeśli McGuire nie połknie haczyka? – spytał Graham.

–Wówczas wedrzemy się do środka – odparła.

–I będziemy się modlić, żeby nie miał pod ręką kałasznikowa – dodał Eastman.

–McGuire to najmniejszy problem – mruknął Graham.

–Nadal jesteś przekonany, że IRA chce go dorwać przed nami? – spytał Eastman. – A niby jak to mają zrobić? Kolejki linowej pilnują ludzie Bastiana. Co im pozostaje? Helikopter? Jezu, jaki szalencie podniósłby maszynę w takich warunkach?

Zatrzeszczało radio i jeden ze Szwajcarów przekazał przenośny odbiornik Bastianowi. Sabrina wysłuchiwała komunikatu i oczy rozszerzyły się jej z przerażenia. Obejrzała się na Eastmana.

–Policyjny radar wykrył właśnie nie zidentyfikowany helikopter.

Kieruje się w naszą stronę. Oczekiwany czas przybycia: pięć minut. Z Genewy wystartowały dwa śmigłowce policyjne, ale nie zdążą go przechwycić.

–Zakładając, że leci właśnie tutaj – zauważył bez przekonania Eastman.

–Musimy zgarnąć McGuire'a, zanim ten helikopter tu dotrze – powiedział Graham ruszając do drzwi. – Bóg jeden wie, jaki wiozą ze sobą arsenał.

–Masz jakiś plan? – spytał Bastian.

–Sabrina i ja podejźmy do domku – powiedział Graham i podniósł rękę, zanim Marsh zdążył powiedzieć choć słowo. – Znamy McGuire'a. To dla nas jedyna szansa.

–A my co mamy robić? – spytał Eastman.

–Możecie zacząć się modlić – odparł Graham stając przy drzwiach. – Kapitanie, będzie nam potrzebna krótkofalówka, żebyśmy mogli utrzymywać z wami kontakt.

Bastian rzucił rozkaz. Dwaj mężczyźni odpięli swoje radia i oddali je Grahamowi i Sabine.

–Odezwę się, gdy tylko znajdziemy się na miejscu – powiedział Graham. – Wtedy zapalicie szperacz.

–Możemy zapalić go teraz. Łatwiej wam będzie podejść pod domek.

–Jasne, ale zapominasz o tylnym wyjściu. Jeśli włączycie światło, McGuire może dać tamtędy dyla, i tyle będziemy go widzieli. – Graham przeniósł wzrok na Sabrinę. – Gotowa?

–Gotowa – odparła naciągając na oczy gogle.

–Powodzenia – rzucił Eastman, poklepując oboje po ramionach. – W razie potrzeby wzywajcie nas.

–Masz to jak w banku – zapewnił go Graham.

–Idziecie? – spytał Bastian zakładając narty. Odsunął na bok bryłę lodu i zniknął w mroku.

Graham i Sabrina postąpili za nim. Przypięli się szelkami do innego odcinka liny, która prowadziła od wyjścia z jamy aż do zamontowanego na skraju polany szperacza. Bastian poklepał Grahama po ramieniu i wskazał coś w ciemności. Graham z trudem zauważył światło, ledwo widoczne przez sypiący śnieg, ale to mu wystarczyło, by zorientować się co do kierunku. Pociągnął Sabrinę za rękaw, a ona odpowiedziała mu podniesieniem do góry kciuka. Też zobaczyła światełko. Bastian zapalił latarkę i jeden z ludzi obsługujących szperacz przeciągnął im przez szelki linę, którą wyjął z plecaka. Zabezpieczył ją węzłem kodentowym, który po dotarciu do domku mogli rozwiązać jednym pociągnięciem. Sabrina szarpnęła Grahama za rękaw i pierwsza wyszła na polanę. Graham zaklął pod nosem, gdyż to on właśnie miał iść przodem, i ruszył szybko za nią. Sabrina brnęła dzielnie pod porywisty wiatr, wbijając głęboko w śnieg narciarskie kijki. Wiedziała, że jeśli się poślizgnie, oboje runą w śnieg. Nie mogli sobie pozwolić na tarzanie się po ziemi. Teraz liczyła się każda sekunda.

Światło, które prześwitywało przez zasłony zaciągnięte w wychodzącym na polanę oknie, z każdym krokiem stawało się wyraźniejsze. Nagle poprzez padający śnieg ujrzeli niespodziewanie sylwetkę domku. Znajdował się zaledwie dziesięć jardów przed nimi. Graham szarpnął Sabrinę za rękaw i pokazał jej na migi,

że ma zajść dom od tyłu. Skinęła głową i znów podniosła kciuk. Podkradli się pod domek i Sabrina, mając dostateczne oświetlenie, rozsupłała łączącą ich linę. Cofając

się powoli ku węgłowi, podniosła palec wskazujący dając do zrozumienia, że na zajęcie swojej pozycji będzie potrzebowała minutę. Graham zaczął ostrożnie iść ku frontowi domku. Kiedy dotarł do drzwi, odliczył trzydzieści sekund i odpiął od paska krótkofalówkę. Modląc się, by na wyjąłym wietrze słyhać było jego głos, ukucnął pod ścianą, przystawił mikrofon do ust i tak głośno, jak tylko się odważył, wykrzyczał Bastianowi instrukcje. Przez chwilę myślał, że Szwajcar go nie usłyszał, ale szperacz nagle się zapalił, zalewając polanę jasnym, przenikliwym światłem. Graham odpiął narty, zdjął z ramienia pistolet maszynowy i nacisnął klamkę. Drzwi były zaryglowane od środka.

Nieoczekiwana eksplozja ścięła Grahama z nóg. Wylądował boleśnie na boku i nakrył ramionami głowę, chroniąc ją przed lawiną szczątków, które posypały się wokół niego na śnieg. Leżał oszołomiony i próbował pojąć, co się stało. Ponad świszczącym wiatrem do jego świadomości wdarł się kolejny dźwięk. Kiedy przerażony spojrzął w górę, oślepił go snop jaskrawego światła, padający z reflektora zainstalowanego w otwartych drzwiach kabiny helikoptera, który wisiał dokładnie nad nim. Seria karabinu maszynowego ze śmigłowca trafiła policyjny szperacz i ponad drzewami zapadł mrok. Graham zaczął macać desperacko po śniegu w poszukiwaniu pistoletu maszynowego, który wyslizgnął mu się z rąk, kiedy padał. Broni nie było. Zaklął siarczyście. Mając pistolet mógłby unieszkodliwić reflektor helikoptera. Kolejna rakietka trafiła w dach, rozbijając komin. Graham, teraz bez nart, przebrnął przez śnieg pod domek i miał już wybić szybę w oknie, kiedy ścianę nad nim podziobała seria pocisków. Ledwo zdążył przypaść do ziemi, przysypał go deszcz szklanych odłamków.

Drzwi frontowe otworzyły się na oścież i w oświetlonym progu zamajaczyła jakaś postać. Był to McGuire. Miał przypięte narty i osłoniętą częściowo kapturem twarz. Graham wrzasnął do niego, by wracał do środka, ale wiatr porwał mu słowa z ust. McGuire spojrzął przerażony do góry na helikopter i odepchnąwszy się od framugi pomknął jak strzała przed siebie. W chwilę później z domku wypadł budowlaniec Bertranne i śmignął przez śnieg za nim. Leżący na ziemi Graham patrzył bezradnie, jak obaj mężczyźni

zjeżdżają na oślep w dół zbocza. Helikopter tymczasem, przechyliwszy się mocno na bok, wszedł w ostry wiraż i pomknął tuż nad stokiem za zbiegami, śledząc ich niczym gigantyczny drapieżny ptak. Seria karabinu maszynowego trafiła Bertranne'a w plecy; padając podciął kijkami narciarskimi McGuire'a i obaj runęli w śnieg. Helikopter zszedł na wysokość dwudziestu stóp i zamaskowana postać w progu wypróżniła do dwóch mężczyzn cały magazynek pistoletu maszynowego. Reflektor zgasł nagle, helikopter przechylił się ostro na prawą burtę i zniknął za drzewami.

Graham usiadł powoli i rozejrzał się, wciąż nie bardzo pojmując, co się przed chwilą wydarzyło. Wszystko potoczyło się tak szybko. W mroku nie widział McGuire'a ani Bertranne'a, ale był pewien, że obaj nie żyją. Zastanawiał się, który z członków komórki wykonał z zimną krwią tę wyrachowaną egzekucję. Mullen odpadał, był pilotem. Pozostawali Kerrigan i Gallagher. Prawdopodobnie Kerrigan. Miał już na swoim koncie akty przemocy i taka robota na pewno by mu odpowiadała.

Ale teraz nie miało znaczenia, kto pociągnął za spust. Liczyło się tylko to, że UNACO wróciła do punktu wyjścia. A jutro ma przybyć do Londynu Scoby...

W mroku zamajaczyły jakieś światła. To Bastian sunął na nartach do leżącego pod ścianą domku Grahama. Skierował snop latarki na jego twarz.

–Wszystko dobrze?

–Tak – odparł Graham i nagle przez twarz przemknął mu cień trwogi. – Sabrina...

Bastian położył mu rękę na ramieniu.

–Zostań tutaj. My pójdziemy i sprawdzimy.

–To moja partnerka. – Graham strzepnął z ramienia dłoń

Bastiana, wstał i zapadając się po kolana w śnieg pobrnął na tyły domku, gdzie siedzieli w kucki Marsh i jeden z ludzi Bastiana.

Sabrina leżała nieruchomo przy drzwiach. Sącząca się spod kaptura krew poplamiała już poduszkę śniegu pod jej głową.

–Wyliże się, Mike – pocieszył go szybko Marsh.

–Nie dotykaj jej – warknął Graham, widząc że Marsh zamierza podnieść dziewczynę. – Ja ją wezmę. Ty zajmij się drzwiami.

Marsh bez słowa zabrał się z pomocą jednego z ludzi Bastiana za wyważanie zaryglowanych tylnych drzwi. Graham wziął

Sabrinę na rękę, wniósł ją do domku i ułożył ostrożnie na sofie w salonie.

–Co się stało? – spytał Eastman stając za nimi w progu.

–Wygląda na to, że dostała spadającymi cegłami – odparł Marsh.

–I jak z nią? – zaniepokoił się Eastman.

–Czyja wyglądam na doktora Kildare'a? – wybuchnął Graham. –

Przynieście mi parę ręczników. I rozejrzyjcie się za jakimiś nożyczkami.

Marsh wypadł z pokoju.

–McGuire i Bertranne nie żyją – oznajmił Eastman.

–Tyle to i ja wiem – burknął Graham, odgarniając z twarzy

Sabriny kosmyki włosów. – Byłem tam. Nie mieli żadnych szans.

Marsh wrócił z dwoma ręcznikami kąpielowymi. Za nim pojawił się Bastian z parą nożyczek, które znalazł w kuchni. Graham oderwał ostrożnie elastyczny pasek przytrzymujący gogle, po czym odciął kawał kaptura i delikatnie przechylił Sabrinie głowę na bok, by lepiej przyjrzeć się ranie. U nasady szyi widniało głębokie rozcięcie, które wymagało zszycia. Nie obędzie się bez szpitala.

–Czy wasze helikoptery policyjne są wyposażone w nosze? – spytał Bastiana.

–Nie, ale wezwałem przez radio górski helikopter ratunkowy.

Oni mają nosze. – Bastian spojrzał na leżącą Sabrinę. – Czy to poważne?

–Paskudne rozcięcie, ale przed przybyciem doktora dojdzie do siebie. Za ile będzie tu helikopter?

–Będzie niedługo – zapewnił Bastian. – Stacja jest niedaleko.

Sabrina zamrugała powiekami i otworzyła oczy.

–Który z was chce mi udzielić ostatniego namaszczenia? –

spytała widząc pochylone nad sobą zasepione twarze.

Graham ukucnął przy niej.

–Jak się czujesz?

–Byłoby świetnie, gdyby nie ten buldożer w głowie. Co się stało? Pamiętam tylko eksplozję. Potem już nic.

Graham opowiedział w skrócie, co się wydarzyło.

–Więc McGuire nie żyje?

Graham pokiwał ponuro głową.

–Było już po nim, kiedy otworzył drzwi. Tak to sobie widocznie

obmyślili. Walnąć parę rakiet, żeby go przestraszyć i skłonić

do ucieczki, a potem wyluskać reflektorem i zastrzelić. Tylko wtedy mogli mieć

stuprocentową pewność, że go załatwili. Biedny sukinsyn, nie dali mu żadnej szansy.

–Są jakieś ofiary po naszej stronie? – spytała.

–Jeden z moich ludzi jest raniony w nogę – odparł Bastian. –

Ale mogło być dużo gorszego. To szczęście, że większość

kul poszła w szperacz. Potem przestali do nas strzelać.

–Bo już zrobili swoje – stwierdził Graham, podnosząc wzrok

na Bastiana. – Co nie znaczy, że nas by też nie załatwili, gdybyś

my stanęli im na drodze. Przecież wygarnęli do mnie, kiedy próbowałem

wejść do domku, ale tylko dlatego, że mógłbym powstrzymać

McGuire'a od opuszczenia kryjówki. Nie, oni dobrze

wiedzieli, co robią. I jak na prawdziwych profesjonalistów przystało,

zmyli się po skończonej robocie.

–Wystrychnąwszy nas na dudków – mruknął Marsh.

–Jeszcze raz – dodał Graham, zerkając znacząco na

Eastmana.

Eastman milczał. Zjawił się jeden z ludzi Bastiana i oznajmił, że przyleciał

helikopter górskiego pogotowia ratowniczego. Bastian wybiegł z pokoju.

–Mike? – szepnęła Sabrina.

–No?

–Dzięki.

–Nie bądź taka sentymentalna – burknął.

Zaśmiała się, lecz śmiech zmienił się nagle w grymas bólu.

–Nie rozbawiaj mnie. To boli.

–Wiem, że teraz mnie poprosisz, żebym w drodze do szpitala

trzymał cię za rękę.

–A potrzywasz? – podchwyciła z niewinną miną i wciągnęła

szybko powietrze, próbując nie roześmiać się po raz drugi.

Do pokoju wrócił Bastian z jednym ze swoich ludzi.

–Jest za bardzo niebezpiecznie, żeby helikopter lądował.

Spuszczą nosze dla panny Carver.

–Sama dam radę... – Sabrina próbowała usiąść, jednak głowę znów przeszył pulsujący ból. Zaciskając zęby położyła się z powrotem na sofie. – Chyba jednak nie.

Do pokoju wszedł spuszczonej z helikoptera felczer w skafandrze narciarskim nakrapianym płatkami śniegu- Zamienił parę słów z Bastianem, po czym zbliżył się do sofy i ukucnął koło Sabriny. Kiedy oglądał ranę, Sabrina czuła, że nad felczerem stoi

Graham i śledzi każdy jego ruch. Spojrzała na niego podnosząc pytająco brwi; Graham mruknął coś pod nosem i cofnął się kilka kroków. Felczer wyjął z kieszeni strzykawkę, podciągnął rękaw skafandra Sabriny i wbił igłę w skórę. Po kilku sekundach poczuła senność i spojrzawszy jeszcze raz na Grahama, który stał teraz w nogach sofy, uśmiechnęła się zadowolona do siebie. Wiedziała, że będzie nad nią czuwał. Potem odpłynęła w nieświadomość.

–O czym tak myślisz?

Fiona obejrzała się na Mullena, który po cichu wszedł za nią do salonu.

–O niczym ważnym.

Mullen podszedł do okna i otoczył ją ramieniem.

–Hej, od kiedy to mamy przed sobą jakieś tajemnice?

–To żadna tajemnica. Po prostu myślałam sobie, że w innych okolicznościach byłaby to piękna, romantyczna sceneria. Domek w Alpach Szwajcarskich i szalejąca na dworze zamieć. Brakuje tylko niedźwiedziej skóry na podłodze i szampana z dobrego rocznika.

–I Seana – dodał cicho Mullen.

Popatrzyła zamyślona na ciemność za oknem, po czym wyswobodziła się z objęć Mullena, podeszła do paleniska i dorzuciła do ognia następne polano.

–Dom dobrze się spisał załatwiając nam tak szybko to lokum.

W tych warunkach nikt nas tu nie odnajdzie. A według prognozy meteorologicznej śnieżycy ma się utrzymać przez całą noc.

Mullen usiadł przed kominkiem i wyciągnął ręce ku płomieniom.

–Dolecieliśmy w samą porę. Jeszcze dziesięć minut i musiałbym lądować gdzieś w górach.

–Byłeś dzisiaj wspaniały – pochwaliła go Fiona, zajmując fotel naprzeciwko. – Wciąż nie mogę się nadziwić, jak na tym wietrze udało ci się utrzymać równo helikopter.

–Szczerze mówiąc, ja też nie mogę – przyznał Mullen, nalewając sobie małą brandy z butelki stojącej na stoliczku

obok. – Wiatry wiejące wzdłuż wybrzeża Irlandii też bywają silne, ale gdzie im do tego, co było dzisiejszej nocy. Dobrze chociaż, że śnieżycza zaczekała, aż wylądujemy. Gdyby burza rozpętała się pół godziny wcześniej, trzeba by było odwołać operację. Prowadzić helikopter na porywistym wietrze to jedno, ale dostać się w zamieć śnieżną to zupełnie inna sprawa.

–Co chcesz zrobić z helikopterem?

Mullen pociągnął łyk brandy.

–Zostawić, gdzie stoi. I tak jest już pewnie na wpół przysypany śniegiem. Zanim dostrzegą go z powietrza, będziemy daleko.

Zresztą jest czysty, więc nie ma żadnych podstaw, by wiązać nas z McGuire'em.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wkroczył Kerrigan wycierając mokre włosy ręcznikiem. Na pierwszy rzut oka widać było, że pił. Odrzucił ręcznik na bok, podsunął sobie trzeci fotel i usiadł.

–Od razu lepiej – stwierdził. – Chyba nigdy w życiu kąpiel mi tak dobrze nie zrobiła. Czuję się jak nowo narodzony.

–Brandy? – zaproponował Mullen podnosząc butelkę.

–Podwójną – przystał ochoczo Kerrigan, przeczesując dłonią włosy.

Mullen podał mu kieliszek, po czym podniósł swój własny.

–Daliście dzisiaj niezły pokaz swoich umiejętności. No, ale przecież uchodzicie za najlepsze pistolety organizacji.

Fiona trąciła kieliszek Mullena kubkiem kawy. Od ukończenia uniwersytetu była abstynentką.

–Wszyscy się dziś dobrze spisaliśmy. Nawet bez niepomyślnych warunków atmosferycznych zanosilo się na trudną operację.

A mimo to poszło jak z płatka. Wiem, że Rada Armii będzie zadowolona z wyników misji. – Podniosła kubek w stronę Kerrigana. – Dobra robota, Liam.

–Też mi coś – mruknął Kerrigan. – Machałem tylko tym przeklętym szperaczem. Wielka rzecz.

–To był ważny element...

–Nie wciskaj mi tu kitu – wpadł jej gniewnie w słowo Kerrigan. – Było, minęło i niech tak zostanie. Hugh, nalej mi jeszcze jednego. Albo daj butelkę. Sam sobie naleję.

–Jedną już opróżniłeś. Kiedy tu weszliśmy, na stole stały dwie. Teraz jest tylko jedna. Ja nie dotykałem tej drugiej, a Fiona nie pije. Wypada na ciebie.

–Genialna dedukcja, panie Holmes – wycedził Kerrigan, dźwignął się na nogi i cisnął pusty kieliszek do kominka. – Nie wiedziałem, że jak chcę się napić, to muszę cię prosić o pozwolenie. Mullen zmierzył Kerrigana pogardliwym spojrzeniem.

–Popatrz na siebie. Nie jesteśmy tu jeszcze nawet godziny, a ty już się urżnąłeś.,

–I co zamierzasz w związku z tym zrobić? – odparował z sarkazmem Kerrigan. – Zawsze czepiałeś się mojego picia, ale czy kiedyś próbowałeś mnie powstrzymać? Umiesz tylko głądzić, Hugh. Zawsze tylko na to będzie cię stać. Nie masz jaj, żeby mi się postawić. No co, masz?

–Chyba się jednak mylisz – odparł Mullen wstając.

–Dosyć! – warknęła Fiona. – Siadajcie i przestańcie się zachowywać jak para gówniarzy.

Mullen zerknął na nią. Wiedział, że dziewczyna ma rację, ale niech go szlag, jeśli da się poniżyć temu dupkowi. Nie na jej oczach.

–Siadaj, Hugh! – rozkazała, kładąc nacisk na każdą sylabę.

Westchnął głęboko i usiadł powoli, nie odrywając wzroku od twarzy Kerrigana.

–Ty też, Liam.

–Nie słucham już twoich rozkazów – warknął Kerrigan. – Operacja jest skończona i od tej pory będę robił, co mi się podoba.

–Czyżby? – syknęła z pogardą. – Pamiętam, jak postawiłeś mi się ostatnim razem. Nie skończyło się to dla ciebie najlepiej, prawda?

–Zaskoczyłaś mnie – odciął się Kerrigan. – Ale obiecuję, że drugi raz do tego nie dojdzie.

–Owszem, nie dojdzie – odparła. Sięgnęła dłonią za siebie i wydobyla spod poduszki colta.45, jeden z pistoletów, które znajdowały się w przesyłce dostarczonej tego wieczoru do domu Lyncha. Wymierzyła w Kerrigana. – Do jutra rana, czyli do naszego wyjazdu, nie chcę oglądać twojej gęby. Wynoś się.

Kiedy Kerrigan oderwał wzrok od trzymanego przez nią pistoletu, zobaczył w jej oczach chłodną rezerwę.

–Mnie też byś zabiła, co?

Fiona nie odpowiedziała.

Kerrigan wypadł z pokoju zatraskując z hukiem drzwi.

–Wróci – stwierdził Mullen patrząc na drzwi.

–Może.

–Może? Poniżyłaś go, Fiona. Nie wolno z nim tak postępować, zwłaszcza kiedy jest wstawiony.

–A co miałam zrobić? Pozwolić, żeby ci wypruł flaki?

–Twoja wiara we mnie jest doprawdy ujmująca – powiedział Mullen, dotknięty jej słowami.

–Daj spokój, Hugh. Nie jesteś ulicznym zabijaką. Dałby z powodzeniem radę nam obojgu. Miał rację, że wtedy w pensjonacie wzięłam go przez zaskoczenie. Możesz być pewien, że

drugi raz się nie da podejść.

–Szykuje się ciekawa noc – zauważył Mullen nalewając sobie następnego drinka.

–Mamy nad nim przewagę. Jestem uzbrojona. Reszta broni pozostała w helikopterze. Choćby bardzo chciał, nie dobierze się do niej. W tych warunkach to niemożliwe. Nie, nie sądzę, żeby tej nocy wchodził nam jeszcze w paradę.

–Mam nadzieję, że się nie mylisz.

–Ja też. I to dla jego własnego dobra – odparła Fiona, po czym podniosła do ust kubek i wysączyła resztkę kawy.

–Dla jego dobra? – zdumiał się Mullen.

–Jeśli dziś w nocy postawi nogę w moim pokoju, zabiję go.

Mullenowi ciarki przeszły po plecach. Dopił brandy, ale powstrzymał się przed ponownym napełnieniem kieliszka. Miał przeczucie, że tej nocy musi mieć jasny umysł. Gdyby tylko wiedział, czego się spodziewać...

Obudził się nagle. Światło cały czas się paliło. Książka z pozaginаныmi rogami, którą czytał przed zaśnięciem, leżała teraz na podłodze obok łóżka. Spojrzał na zegarek. Dochodziła druga w nocy. Spał tylko kilka godzin. Spuścił nogi z łóżka na podłogę, przetarł oczy i wstał. Co go obudziło? Czyjeś pukanie? Podszedł do drzwi i otworzył je. Na korytarzu nie było nikogo.

Wtedy usłyszał jakiś hałas. Dochodził gdzieś spoza domku. Obleciał go strach. A jeśli to policja? Ale jakim cudem by ich znaleźli? Zgasił światło i podszedł ostrożnie do okna. Uchylił lekko zasłonę i wyjrzał w ciemność. Śnieżyca ustała. Wszystko było nieruchome. Nagle zobaczył pojedynczy snop światła latarki za sosnami, dokładnie w miejscu, gdzie zostawił helikopter. To na pewno policja. Po chwili światło latarki skierowało się na domek. Przywarł plecami do ściany tuż przy framudze okna i wyjrzał

ukradkiem. W stronę domku posuwała się jakaś przygarbiona postać. Z każdym jej krokiem snop światła chybotał się na boki. Mullen poczuł przyływ ulgi. Policjant na pewno miałby narty, zatem mogła to być tylko Fiona albo Kerrigan. Zarys sylwetki wskazywał jednak raczej na Kerrigana i Mullen znów ogarnął niepokój. W jakim celu Liam chodziłby do helikoptera, jeśli nie po broń? Mullen puścił rąbek zasłony i wybiegł na korytarz. W tym momencie drzwi wejściowe otworzyły się i wszedł przez nie Kerrigan. Głowę miał wciąż schyloną, jakby nadal walczył z porywistym wiatrem. W okrytej rękawiczką dłoni trzymał AK-47.

–Na cholerę ci to? – spytał Mullen.

Kerrigan bez słowa skierował się do salonu. Mullen ruszył za nim. Kerrigan podszedł do kominka, oparł AK-47 o ścianę, zdjął skórzane rękawiczki, ukucnął i wyciągnął ręce ku płomieniom.

–Dom i Ingrid nie żyją – odezwał się po chwili.

–Co? – bąknął z niedowierzaniem Mullen.

–To, co słyszałeś – warknął Kerrigan.

–Jesteś jeszcze pijany, Liam. Idź i odeśpij to.

–Nie jestem pijany – odparł Kerrigan odwracając się.
Mullen musiał przyznać, że istotnie nie sprawia wrażenia pijanego.
Wyglądał za to na poruszonego. Bardzo poruszonego.

–Nie mogłem zasnąć, więc poszedłem popatrzeć trochę na telewizję – podjął Kerrigan. – Trafiłem akurat na wiadomości.
Jeden z materiałów był o Domie i Ingrid. Nie żyją, Hugh. Nie żyją.

–Czyżby wiadomości nadawano dla twojej wygody po angielsku?
A może miałeś przypadkiem pod ręką niezbędne rozmówki i mogłeś na poczekaniu tłumaczyć komentarz?

–Nie potrzebowałem żadnych cholernych rozmówek – parsknął Kerrigan. – Na ekranie pokazali zdjęcia Doma i Ingrid.
Z tych, które zrobiłeś im na weselu. Potem puścili migawkę na żywo sprzed ich domu. Reporter stał prawie dokładnie w miejscu, gdzie parkowałeś samochód. Kiedy mówił, z domku wynosili właśnie na noszach dwa ciała. Twarze mieli przykryte prześcieradłami.
Po mojemu to oznacza, że byli martwi. I wiem, kto ich zabił.
Mullen usiadł wolno i przeczesał palcami zmierzwiłone włosy.

–Dom i Ingrid nie żyją? Boże, nie.

–Nie słyszałeś? Mówię, że wiem, kto ich zabił. Fiona.

–Co ty gadasz? – warknął Mullen. – Przez cały czas była z nami.

–A właśnie, że nie. Została jeszcze chwilę, kiedy my wyszliśmy do samochodu. Pamiętasz?

–Niby jak miałyby ich zabić? Cała broń była w bagażniku samochodu.

–Ona ich zabiła. Któż by inny?

–Nie masz najmniejszego dowodu...

–Mogę nie mieć dowodu, ale i tak wiem, że to ona – uciął Kerrigan. – Dom zamierzał powiadomić Radę Armii, że według niego Fiona łamie się pod ciężarem dowodzenia operacją. Jemu by uwierzyli. A to przekreśliłoby jej nadzieje na objęcie pewnego dnia dowództwa własnej komórki. Widocznie dowiedziała się skądś o tym i postanowiła Doma uciszyć. To jedyne logiczne wytłumaczenie. Ale niech mnie diabli, jeśli pozwolę tej dziwce, żeby po powrocie do domu przedstawiła Radzie swoją wersję. A będzie chciała przedstawić. Oni mają ją za cholernie dobrą, więc uwierzą we wszystko, co powie. Ale ja nie puszczę jej tego płazem. Przebrała się miarka.

–Zawsze wiedziałem, że nią gardzisz, nigdy mi jednak przez myśl nie przeszło, że posuniesz się do takich insynuacji. Boże, niedobrze mi się robi. Doskonale wiem, że Dom w żadnym razie nie uknułby przeciw niej czegoś takiego. Kochał ją jak własną siostrę. Gdyby miał jakieś wątpliwości, pomówiłby z nią o tym.

Wierzyć mi się nie chce, że ledwie kilka godzin po śmierci Doma wygadujesz takie rzeczy. Ta obsesja na temat Fiony cię wykończy.

–Jesteś świetnym partnerem do rozmowy o obsesji na jej temat – prychnął pogardliwie Kerrigan. – Leciałeś na nią od samego początku, ale że nie miałeś urody i rozumu Seana, nigdy nie zwróciła na ciebie uwagi. Ty jednak łaziłeś za nią jak mały piesek, wierząc w cały ten kit, jaki to z ciebie zaufany i najlepszy przyjaciel. Skoro tak ci się jej chciało, czemu nie spytałeś o cenę? Każda dziwka ma jakąś cenę.

Odskoczył przed błyskawicznym ciosem Mullena i rąbnął go łokciem w nasadę kręgosłupa, odrzucając twarzą do ściany. Poprawił jeszcze dwoma uderzeniami w nerki, po których Mullen osunął się na kolana. Kerrigan odwrócił się po AK-47 i ujrzał stojącą w progu Fionę z coltem.45 w dłoni.

–Wybij to sobie z głowy – syknęła złowieszczo. – Odejdź od broni. Powoli.

Wiedziała, że Liam rozważa w myślach, czy byłby dostatecznie szybki, by dopaść broni, zanim ona zdąży pociągnąć za spust.

Strzelała wyśmienicie, i Kerrigan dobrze o tym wiedział. Nie, nie zaryzykuje. Z podniesionymi na wysokość głowy rękoma odszedł powoli od AK-47. Zerknęła na Mullena. Zgięty wpół, wciąż nie mogąc złapać tchu, leżał na podłodze odwrócony do nich plecami. Wspaniale. Uśmiechnęła się zimno i strzeliła Kerriganowi w pierś. Odrzuciło go na ścianę, a kiedy podnosił głowę, by na nią spojrzeć, wygarnęła po raz drugi, tym razem prosto w serce. Ciało Kerrigana osunęło się bez życia, w nie widzących już oczach zastygło niedowierzanie. Fiona kopniakiem odrzuciła AK-47 od jego wyciągniętej ręki i sprawdziła puls.

Mullen podźwignął się z trudem na nogi. Jego twarz wykrzywił grymas bólu.

–Nie żyje?

Pokiwała wolno głową i opadła na stojący za nią fotel.

–Mówiłam mu, żeby odszedł od pistoletu, ale on nawet się nie ruszył... a potem nagle rzucił się do broni. Musiałam go zastrzelić, Hugh. Nie miałam wyboru. Musisz mnie zrozumieć.

Mullen wyłuskał jej z palców colta i odłożył go na stół. Uścisnął pocieszająco ramię dziewczyny.

–Słyszałem, jak każesz mu odejść od pistoletu. Dałaś mu szansę. Gdybyś go nie zabiła, wykończyłby nas oboje.

Opadła na oparcie fotela i zacisnęła powieki.

–Sean będzie wstrząśnięty. Byli z Liamem bardzo zżyci.

–To nie był ten Liam, którego znał Sean. Przez te ostatnie parę dni nie był sobą. A ta dzisiejsza wiadomość ostatecznie go dobiła. Słyszałaś, co się stało?

Pokiwała głową.

–Słyszałam z sypialni waszą rozmowę. Naprawdę sądzisz, że Dom i Ingrid nie żyją?

–Liam był o tym święcie przekonany – odparł cicho Mullen.

–O Boże. – Przetarła wilgotne oczy i nagle spojrzała Mullenowi prosto w twarz. – Chyba nie myślisz, że to ja...

–Wiem, że ich nie zabiłaś – wpadł jej w słowo Mullen.

–Słyszałam, jak Liam mówił coś o tym, że Dom miał się skontaktować z Radą Armii. Ale nie zrozumiałam do końca, o co chodzi.

Mullen wyjaśnił jej.

–Po cóż miałby to robić? Gdyby miał jakieś wątpliwości, zwróciłby się z nimi do mnie. Zawsze tak robi... – Urwała i przełknęła szybko ślinę. – Zawsze tak kiedyś robił.

–Nie, mnie też się nie chce wierzyć, żeby miał się kontaktować z Radą Armii. To była intryga Liama, żeby mnie nastawić przeciwko tobie.

–Im wcześniej się stąd zmyjemy, tym lepiej.

–Fakt. Co zrobimy z Liamem?

–Zostawimy go tutaj – zdecydowała. – Gdybyśmy pogrzebali ciało, z powietrza widać by było wzruszony śnieg. Jeżeli ci, którzy zabili Doma i Ingrid, polują także na nas, nie będziemy im ułatwiać odnalezienia tego miejsca. Najpierw musimy złożyć raport Radzie Armii.

–Co zamierzasz im powiedzieć o Liamie? – spytał Mullen.

–Prawdę. Cóż innego mogę zrobić? Oby mi tylko uwierzyli. Był wartościowym członkiem organizacji.

–Zaświadczę za tobą, możesz na mnie liczyć.

–Dobry z ciebie przyjaciel, Hugh. Dzięki, że zawsze jesteś ze mną.

–Po to właśnie są przyjaciele. – Mullen podszedł do drzwi. – Na razie jeszcze się nie kładę. Chcesz kawy?

Skinęła głową.

–Poproszę. Ale nie tutaj.

–Zaniosę ją do mojego pokoju – odparł Mullen wychodząc do kuchni.

Fiona opadła na oparcie krzesła i zerknęła spod oka na ciało Kerrigana. Dobra robota. Kiedy poprzedniego popołudnia podsłuchiwała jego rozmowę z Lynchem, zrozumiała, że będzie musiała go zabić. Był jej jednak potrzebny do wykończenia McGuire'a. Po wykonaniu tego zadania nic już nie stało na przeszkodzie. Nie mogła dopuścić, by złożył Radzie Armii raport ze swojej rozmowy z Lynchem. To byłoby zbyt ryzykowne. Ni z tego, ni z owego przypomniała sobie słowa Kerrigana, że Mullen jest nią zauroczony. Od lat o tym wiedziała. Kerrigan miał rację: istotnie wciskała Mullenowi kit, jaki to z niego zaufany przyjaciel. Ale on w to wierzył i był szczęśliwy. Czuł się potrzebny. Mały piesek, drepczący za nią, gdziekolwiek poszła. Uśmiechnęła się do siebie. No cóż, niech jeszcze sobie podrepcze. Później, podobnie jak Kerrigan, zostanie spisany na straty. Bo kiedy przyjdzie pora, nie będzie miała żadnych skrupułów, żeby zabić i jego...

Maurice Palmer odłożył słuchawkę, wstał, wyszedł z gabinetu i zamknął za sobą drzwi. Był wysokim kościstym mężczyzną po pięćdziesiątce. Od czterech lat dowodził elitarną brygadą antyterrorystyczną Scotland Yardu.

Kiedy wkroczył do salonu, jego żona Sheila podniosła wzrok znad krzyżówki w Timesie, którą właśnie rozwiązywała. Patrzyła, jak przechodzi przez pokój do tacy z napojami i nalewa sobie małą szkocką. Wiedziała, że jest poruszony, choć tego nie okazywał. Tylko w takich chwilach bowiem sięgał po drinka. Rozsiadł się w swym ulubionym fotelu i trzymając w obu dłoniach szklaneczkę, utkwiał wzrok w ścianie gdzieś nad jej głową. Nigdy nie zadawała mu pytań na temat pracy, a on nigdy z niczego jej się nie zwierzał. Mimo to zawsze niepokoila się, kiedy coś go gryzło. A w ciągu trzydziestu dwóch lat małżeństwa takich niepokoików przeżyła już wiele...

–Skończyłaś? – odezwał się zniecierpliwiony, wskazując palcem na leżącą na jej kolanach gazetę.

Nie, mam jeszcze parę haseł, których ani rusz nie mogę rozgryźć – odparła kręcąc z frustracją głową. – Może ty coś wymyślisz? Bo ja nie dam rady.

Kiedy podawała mu gazetę, zaprotestował podnosząc rękę.

–Dzisiaj nie będziesz miała ze mnie pożytku. Myślam gdzie indziej.

–Zauważyłam -mruknęła zerkając znacząco na szklaneczkę, którą wciąż ścisnął w dłoniach.

–To ty powinnaś być detektywem – odparł z uśmiechem i odstawił ostrożnie szklaneczkę na stolik.

–Dlaczego nie pójdziesz na spacer? – zaproponowała. – Przecież wiesz, że to rozjaśnia ci umysł.

–Nie, muszę czekać na telefon. – Spojrzał na zegar na kominku. Za dwie dziesiąta. Włączył pilotem stojący w rogu pokoju telewizor. Zawsze o dziesiątej oglądał "Wiadomości" na 1TV. Sheila Palmer złożyła gazetę, położyła ją koło fotela na dywan i skupiła uwagę na ekranie.

Zadzwonił telefon i Palmer zerwał się, by go odebrać.

–Dobry wieczór, komendancie. Tu Siergiej Kolczynski. Możemy porozmawiać?

–Nie na tej linii. Przełączę rozmowę na szyfrowaną. – Palmer wcisnęła jakiś guzik aparatu, odłożyła słuchawkę, przeszedł do swojego gabinetu i podniósł słuchawkę telefonu stojącego na biurku. – Teraz możemy rozmawiać, panie Kolczynski.

–Świetnie.

–Czekałem na pański telefon od chwili, kiedy otrzymałem raport z wydarzeń, które miały dziś miejsce w Szwajcarii.

–Zatem został pan już o wszystkim poinformowany? – domyślił się Kolczynski.

–Tak, dwadzieścia minut temu dzwonił do mnie Keith Eastman.

–A więc wie pan już również, że w dzisiejszej wpadce ranna

została jedna z moich agentek operacyjnych – powiedział wzburzony Kolczyński.

–Keith mówił mi o tym. Jak z nią?

–Ma rozciętą szyję. Musieli jej założyć siedem szwów. Zatrzymali ją na noc w szpitalu. Z tego co słyszałem, miała szczęście. Prowadzący ją lekarz powiedział, że gdyby pocisk trafił nie w szyję, a w głowę, skończyłoby się to tragicznie.

–Rad jestem, że ma się dobrze.

–Michael Graham telefonując do mnie dziś wieczorem aż pienił się z wściekłości. I miał do tego prawo. IRA już trzeci raz okazała się od nas szybsza. W pierwszych dwóch przypadkach mieliśmy jeszcze pewne wątpliwości co do źródeł ich informacji. Rozmowę Grahama z Roche'em w barze mógł ktoś podsłuchać, a z pensjonatu mogli się zmyć po obejrzeniu porannych gazet ze zdjęciami Mullenena i Kerrigana na pierwszej stronie. Ale po tym, co wydarzyło się dziś w nocy, wszystko zaczyna wyglądać inaczej. Ma pan wtykę w swojej organizacji, komendancie. I jest nią albo Keith Eastman, albo John Marsh.

–Albo jeden z pańskich agentów operacyjnych – odciął się Palmer.

–Michael i Sabrina otrzymali adres domku dopiero po wylądowaniu w Zurychu – zripostował natychmiast Kolczyński. –

W Londynie dowiedzieli się tylko, że McGuire jest w Szwajcarii. Jedynie Eastman i Marsh znali ten adres od samego początku. Któryś z nich, Eastman albo Marsh, tuż przed odlotem z Heathrow zadzwonił na lotnisko oznajmiając, że na pokładzie airbusa znajduje się bomba, co dało komórce IRA czas na złapanie innego lotu do Szwajcarii i wyprzedzenie naszych.

–Keith i John to jedni z moich najbardziej zaufanych ludzi. Dlatego właśnie ich wyznaczyłem do tej sprawy. Wydaje mi się, że IRA zdobyła adres domku ze źródeł poza organizacją.

–Tak czy inaczej, komendancie, do Londynu jutro po południu przylatuje Jack Scoby. Straciliśmy już McGuire'a i niech Bóg ma nas w swojej opiece, jeśli i Scoby'emu coś się stanie.

–Wciąż odnoszę się sceptycznie do pańskiej teorii, panie Kolczyński. Cóż dałoby IRA zabicie senatora? Przecież to by było równoznaczne z samobójstwem. Odwróciłaby się od nich cała amerykańska opinia publiczna, a to uszczupliłoby poważnie wsparcie finansowe, jakie otrzymują ze Stanów.

–Musimy trzymać rękę na pulsie, komendancie. Jeśli Scoby zostanie zabity i wyjdzie później na jaw, że choć UNACO i brygada antyterrorystyczna były uprzedzone o możliwości zamachu na jego życie, nie podjęły żadnych kroków, by go chronić, polecą głowy. Nasze jako pierwsze.

–Mimo że jestem nastawiony sceptycznie, podchodzę do sprawy bardzo poważnie, panie Kolczyński. Bardzo poważnie. – Palmer westchnął głęboko i przeczesał palcami włosy. – Przed jutrzejszym powrotem moich ludzi ze Szwajcarii każę przeszukać ich gabinety i domy. Wprawdzie nie spodziewam się tam niczego znaleźć, ale może pan być spokojny, że jeśli na coś natrafię, od razu zadzwonię.

–Doceniam to.

–Dobranoc, panie Kolczyński.

–Dobranoc.

Palmer odłożył słuchawkę, opadł na oparcie fotela i przygryzając w zadumie wargę zastanawiał się, jak rozpocząć dochodzenie. Postanowił nie angażować nikogo ze swoich ludzi. Mogłoby to zostać odebrane jako uprzedzenie, zwłaszcza gdyby nie znaleziono żadnych dowodów obciążających któregoś z tamtych – a był święcie przekonany, że na tym się właśnie skończy. Poprosi o pomoc kogoś z zewnątrz, inny wydział. Najlepiej Wydział Specjalny. Dowodził nim przed przejściem do brygady antyterrorystycznej, obecny szef był jego bliskim przyjacielem, a służący tam ludzie wciąż darzyli go ogromnym szacunkiem. Wiedział, że może liczyć na ich bezstronność i, co najważniejsze, dyskrecję. Najpierw będzie musiał załatwić to z komisarzem, ale nie przewidywał żadnych problemów. O wiele trudniejsze będzie uzyskanie nakazu rewizji, zwłaszcza w porze nocnej. Postanowił sobie jednak, że rozegra to zgodnie z przepisami. W przypadku gdyby znaleziono coś, co mogłoby łączyć któregoś z tamtych z IRA – choć osobiście wydawało mu się to mało prawdopodobne – powinien mieć na wszystko podkładkę w papierach.

Miał przeczucie, że czeka go bardzo długa noc.

Państwo Scoby mieszkali w dwupiętrowej rezydencji na Long Island. Posiadłość otoczona była wysokim na dziesięć stóp murem i pilnowana dwadzieścia cztery godziny na dobę przez uzbrojonych ochroniarzy. Kiedy Whitlock zatrzymał swoje BMW przed niebotycznymi dwuskrzydłowymi wrotami z kutego żelaza, do samochodu podszedł natychmiast jeden ze strażników. Podczas gdy zamontowana na szczycie muru kamera telewizyjnego systemu ochrony powoli zwracała się w stronę samochodu, siedzący w budce strażnik wprowadził numer rejestracyjny wozu do komputera celem sprawdzenia, kto jest jego właścicielem.

–Dobry wieczór – odezwał się strażnik zaglądając z uśmiechem do samochodu. Przeniósł wzrok z Whitlocka na siedzącego obok Paluzziego, po czym znów spojrzał na Whitlocka. – Czym mogę służyć, panowie?

–C.W. Whitlock. O ósmej mamy umówione spotkanie z panem Scobym.

Strażnik obejrzał legitymacje obu mężczyzn i zwrócił je im. Odpiął od paska krótkofalówkę i powiedział coś do mikrofonu. Po chwili wrota otworzyły się na sygnał dany z wewnątrz.

–Proszę jechać tą drogą. Zaprowadzi was prosto do rezydencji.

Whitlock podziękował strażnikowi i ruszył w głąb posiadłości. Brama zamknęła się

za nimi z powrotem. Dwustujardowy podjazd kończył się żwirowym dziedzińcem.

Przed wejściem do rezydencji czekał na nich ponury lokaj.

–Poproszę kluczyki, sir. Wprowadzę samochód do garażu.

Whitlock oddał kluczyki lokajowi i razem z Paluzzim wszedł

za nim po schodach do środka. W hallu wisiały portrety byłych amerykańskich prezydentów. Przesuwając wzrokiem po galerii twarzy Whitlock uświadomił sobie nagle, że wszystkie obrazy przedstawiają prezydentów wywodzących się z partii republikańskiej. Nie było wśród nich ani jednego demokraty. Uśmiechnął się do siebie. Każdego prawdziwego polityka republikańskiego cechowała pogarda dla wszystkich demokratów. Zwłaszcza prezydentów...

Lokaj zaprowadził ich do niewielkiego salonu.

–Będą panowie łaskawi zaczekać. Zaraz ktoś się tu zjawi.

Whitlock wziął ze stoliczka egzemplarz magazynu Time i zasiadł

w najbliższym fotelu. Paluzzi podszedł do okna i wyjrzał na rozległy trawnik

opadający ku basenowi pływackiemu w kształcie

rombu. Basen, choć skąpany w jasnym świetle płynącym z rozmieszczonych nad nim jupiterów, był pusty. Sąsiadujący z nim kort tenisowy spowijały ciemności.

–Musi mieć nielichy szmal, żeby pozwalać sobie na takie

rzeczy – zauważył Paluzzi po dłuższym milczeniu.

Whitlock podniósł wzrok i przytaknął ruchem głowy.

–Nie zapominaj, że zanim zdecydował się kandydować na senatora, był jednym z najbardziej wziętych prawników w Nowym Jorku.

–A jego ojciec był, zdaje się, sędzią?

–Tak, sędzia Arthur H. Scoby. Również zagorzały republikanin. Zmarł w zeszłym roku.

Drzwi rozwarły się na oścież i do pokoju wkroczył Ray Tillman. Wymienił uścisk dłoni z Whitlockiem, który następnie przedstawił go Paluzziemu.

–Obawiam się, że senator jeszcze nie wrócił – poinformował

ich Tillman. – Dzwonił jakąś godzinę temu i powiedział,

że się spóźni. Prosił, żebym w jego imieniu przeprosił

panów za to, iż nie mógł powitać was osobiście. Zatrzymało

go spotkanie z paroma czołowymi finansistami miasta w jakimś

hotelu przy Piątej Alei. Zawsze tak bywa, kiedy wybrany zostaje

nowy senator. Finansiści chcą wybadać grunt, zobaczyć, na

jakie układy mogą z nim pójść. Jednak znając Jacka wiem,

że zostaną odprawieni z kwitkiem. Dosyć już się nachapali

za demokratów. Przepraszam, panowie nie są chyba demokratami?

–Nie jesteśmy Amerykanami – odparł dyplomatycznie

Whitlock.

–To tak jak większość demokratów, sądząc po ich polityce

zagranicznej. – Tillman roześmiał się i klasnął w dłonie. –

Proszę, czemu nie przechodzicie panowie do salonu?

Poszli za Tillmanem do pokoju na końcu korytarza. Drzwi były otwarte. Przy wykuszowym oknie stała wysoka, elegancka kobieta. Kiedy Tillman wprowadził ich do salonu, obejrzała się. Melissa Scoby, obecnie dobiegająca już czterdziestki, nie straciła nic ze swej urody i postawy, które swego czasu czyniły ją jedną z najbardziej wziętych modelek zarówno w Europie, jak i Ameryce. Poślubiła Scoby'ego, kiedy miała dwadzieścia lat; rok później przyszedł na świat ich syn, Lloyd. Był teraz na pierwszym roku prawa na uniwersytecie w Harvardzie.

–Pan Paluzzi będzie nam jutro towarzyszył w podróży do Londynu – oświadczył Tillman po zakończeniu prezentacji.

–Zatem jestem pewna, że znajdziemy się w bardzo dobrych rękach – odparła z leciutkim uśmiechem. Wzięła Paluzziego pod ramię i poprowadziła do sofy. – Od jak dawna jest pan w Ameryce, panie Paluzzi?

–Parę miesięcy.

Melissa Scoby usiadła.

–A z której części Włoch pan pochodzi?

–Z Pescary. To taka miejscowość wypoczynkowa na wschodnim wybrzeżu.

–Słyszałam – odparła. – Pracowałam przez sześć miesięcy jako modelka w Mediolanie. Jest pan żonaty?

–Owszem – przytaknął. – Mamy dziesięciomiesięcznego synka, Dario.

Skinęła głową i podniosła wzrok na Tillmana.

–Ray, drinki dla naszych gości.

–Oczywiście. Co panowie pijecie?

–Dla mnie coś bez alkoholu – odparł Whitlock. – Jestem samochodem.

–A pan Paluzzi? – zwrócił się do drugiego gościa Tillman.

–Najchętniej piwo – odpowiedział Paluzzi.

Tillman podszedł do kredensu i otworzył drzwiczki. W środku znajdował się minibarek. Tillman wyjął z lodówki budweisera i pepsi i zamknął drzwiczki z powrotem. Ledwie zdążył podać Whitlockowi i Paluzziemu napoje, drzwi otworzyły się i do salonu wszedł Jack Scoby.

–Poproszę Jacka Daniela, Ray – rzucił zdejmując marynarkę, którą zawiesił następnie na oparciu najbliższego fotela. – Podwójnego. Boże, co za dzień. – Cmoknął żonę w policzek, po czym odwrócił się do Whitlocka i wyciągnął na powitanie dłoń. – Miło pana znów widzieć.

Whitlock potrząsnął dłonią Scoby'ego i przedstawił go Paluzziemu.

–Pan ma być twoim ochroniarzem w Londynie, kochanie – oznajmiła Melissa Scoby, zerkając kątem oka na Włocha. Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wkroczył lokaj.

–Telefon, pani Scoby.

–Któż to, Morgan? – spytała trochę zirytowana.

–Pan Lloyd. Czy życzy pani sobie, żebym przełączył rozmowę tutaj?

–Nie, odbiorę w hallu. – Melissa wstała, wygładziła spódnicę i wyszła za lokajem z pokoju.

Tillman podał Scoby'emu drinka.

–Musimy porozmawiać – powiedział.

–Tak, tak – mruknął Scoby.

–Teraz, Jack. To ważne. – Tillman spojrzał na Whitlocka. –

Wybaczą panowie? To nie potrwa długo.

–Ależ proszę – zgodził się Whitlock.

Scoby i Tillman opuścili pokój.

–Czuję się przy niej nieswojo – stwierdził Paluzzi, spoglądając na zamknięte drzwi.

–Znana jest z tego, że lubi trochę poflirtować – powiedział

Whitlock. – Ale bez obaw, nie zrobi nic, co mogłoby przekreślić

jej szansę zostania pewnego dnia Pierwszą Damą. Jest na to za

sprytna. – Pociągnął łyk pepsi i odstawił szklankę na stoliczek. –

To, co ci teraz powiem, niech zostanie między nami –

dodał.

–Oczywiście – odparł Paluzzi nachylając się do niego.

–Zauważyłeś może, że Tillman nie proponował jej drinka.

Nie tyka alkoholu. Już nie.

–Chcesz powiedzieć, że była alkoholiczką? – zdumiał się

Paluzzi.

–Nie w pełnym tego słowa znaczeniu. Popijała tego przez

parę lat, ale tylko w domowym zaciszu. Dlatego nie przeciekło

to nigdy do prasy. Przyjaciele, którymi była zawsze otoczona,

osłaniali ją i namówili w końcu, by poszła do kliniki na odwyk.

Teraz jest zupełnie odmieniona.

–Dlaczego piła?

–Z nudów i samotności. Tak przynajmniej tłumaczyli to jej

przyjaciele. Dla publiki Jack i Melissa są idealną parą, ale rzeczywistość

wygląda zupełnie inaczej. Scoby to pracoholik. Odkąd

ukończył Harvard, haruje po czternaście, piętnaście godzin na

dobę. Dla żony nie pozostaje mu zbyt wiele czasu. Jednak ona

i tak nigdy go nie opuści. Jest na to za cwana. Pozostanie mu

wierna, gdyż podobnie jak on ogarnięta jest obsesją, by pewnego

dnia wprowadzić się do Białego Domu.

–A ich syn?

–Jaki ojciec, taki syn. Mówią, że nie żyje z matką w najlepszych stosunkach.

–Dlaczego nie było o tym mowy w naszych operacyjnych dossier? – spytał

Paluzzi.

–Bo nie miało to związku ze sprawą. UNACO ma na Capitol

Hill kreta, który wie wszystko, co można wiedzieć o obracających się tam politykach. Mimo to dokopanie się do tego kosztowało go sporo wysiłku. Scoby ma wpływowych sojuszników, którzy w chwili, gdy nad nim lub nad jego rodziną wisi jakiś skandal, natychmiast zwierają wokół niego szeregi. Najwyraźniej chronią go do czasu, gdy będzie gotów ubiegać się o fotel prezydenta.

Paluzzi opadł na oparcie fotela i pociągnął łyk piwa.

–A jeśli ona będzie próbowała kombinować z Mike'em?

W końcu to przystojniak.

Twarz Whitlocka rozjaśniła się w uśmiechu.

–Dużo bym dał, żeby to zobaczyć.

Tillman wyjął z dyplomatki teczkę i położył ją na biurku przed Scobym. Senator w milczeniu podniósł na niego wzrok. Nadal nie mógł uwierzyć w to, czego się przed chwilą dowiedział. Zastosowali przecież daleko idące środki ostrożności, by mieć absolutną pewność, że każde spotkanie Tillmana z Cabrera utrzymane zostanie w najściślejszej tajemnicy. Nie pozostawili nic przypadkowi. I na co się zdały te wszystkie wysiłki? Cholera, równie dobrze mogli się spotkać od razu w gabinecie Navarro. Scoby był wściekły i przerażony. Sam obmyślił całą operację. Osobiście wynegocjował swój procent, który miał zostać przesłany do junt działających w Ameryce Południowej i Środkowej. Od samego początku utrzymywał nad wszystkim kontrolę. Teraz zaś panem sytuacji był Navarro, i to właśnie Scoby'ego przerażało. Manipulant sam miał być teraz manipulowany...

–Chcesz przesłuchać którąś taśmę? – przerwał posępne milczenie Tillman.

–A po jaką cholere? – parsknął z wściekłością senator.

–Myślałem tylko... – bąknął Tillman i urwał, wzruszając ramionami.

Scoby otworzył teczkę i zaczął przerzucać zdjęcia. Po chwili pokręcił z niedowierzaniem głową i spojrzał na Tillmana.

–Jak mogłeś do czegoś takiego dopuścić? Jezu, Ray, ile razy spotykałeś się z tym sukinsynem? Dziesięć? Dwanaście? I za każdym razem nie tylko dałeś mu się sfotografować, ale na dodatek nagrać na magnetofon. Niczego nie podejrzewałeś?

–Chybabym o tym wspomniał, nie uważasz? – odburknął Tillman.

Scoby cisnął zdjęcia na biurko, wstał i podszedł do okna.

–No tak. Dzięki twojej nieudolności Navarro ma nas teraz w garści. Nie możemy nic w tej sprawie zrobić, nie obciążając przy okazji samych siebie.

–Można to jeszcze ciągnąć, Jack. Navarro zapewniał, że jak tylko przesyłki przejdą przez cło, resztę wezmą na siebie.

–Jakoś mnie to nie przekonuje. – Scoby zamknął teczkę i spojrzał na Tillmana. – I co dalej?

–W następny wtorek mam się spotkać z Navarro i udzielić mu odpowiedzi.

–Równie dobrze możemy mu jej udzielić dzisiaj. Nie mamy tu nic do powiedzenia. Nie da się ukryć, że nas wydymali. – Scoby wskazał na pudełko kaset. – Spal je.

–A teczka?

–Chcę to jeszcze dokładnie obejrzeć. Skoro już mamy grać według reguł Navarro, niech przynajmniej zapracuje na swoją dolę.

–To znaczy?

–Niech poczuje, że robi interes z Jackiem Scobym. Zamierzam wycisnąć z tego interesu ile się da. Nie mam przecież nic do stracenia, prawda? – Senator uśmiechnął się chłodno i podszedł do drzwi. – Włóż tę teczkę do mojego nesesera, przejrzy ją sobie w Londynie. Spotkamy się w salonie. Nie możemy chyba zapominać o naszych gościach, prawda?

–Nie wierzę – oświadczył Maurice Palmer.

Siedział z bladą i ściągniętą twarzą za biurkiem w swoim gabinecie. Przed nim leżał dowód, którego istnienia obawiał się od chwili, kiedy zadzwonił do Wydziału Specjalnego z poleceniem, by sprawdzili Eastmana i Marsha. Jeden z nich był w zмовie z IRA.

–Wybacz, Maurice, ale masz to tu czarno na białym – odparł komendant Richard Carter, szef Wydziału Specjalnego Scotland Yardu. Przypalił sobie papierosa i wrzucił zapalnik do popielniczki. – Wiązałeś z nim duże nadzieje, prawda?

W najgorszym wypadku widziałem w nim przyszłego szefa departamentu. Kto wie, co potem? Mógłby się wywindować na

sam szczyt. – Palmer wskazał na papierosa w ustach Cartera. – Poczęstuj mnie.

–Myślałem, że już nie palisz – powiedział zdziwiony Carter, rzucając paczkę na biurko.

–Ja też – odparł Palmer i wziął sobie papierosa.

Carter przypalił mu go.

–Cóż, przynajmniej został zdemaskowany, zanim zdążył narobić większych szkód.

–Dosyć już ich narobił – warknął Palmer. – Ufałem mu jak synowi i patrz, jak mi się odwdzieczył. Kto wie, ile przez te lata spowodował nieszczęść, ilu niewinnych ludzi straciło życie wskutek jego zdrady.

–Tylko on może na to odpowiedzieć, Maurice – odparł Carter.

–I odpowie – syknął Palmer celując papierosem w Cartera. – Niech mnie diabli, tego możesz być pewien.

–Zastanawiałeś się już, jak powiadomisz o tym komisarza?

–Bardzo delikatnie – powiedział Palmer. – Powiem mu o tym, jak tylko wrócą ze Szwajcarii. Ale zanim się z nim rozmówię, potrzebuję jak najwięcej informacji.

–Nie zazdroszczę ci – mruknął ponuro Carter. – To rażące zaniedbanie środków ostrożności.

–Łagodnie powiedziane. – Palmer strząsnął popiół do popielniczki i spojrział na zegarek. Była piąta siedemnaście rano. –

Lepiej wracaj do domu, nim Phyllis się obudzi.

Carter stłumił ziewnięcie, zdusił papierosa i wstał.

–Informuj mnie na bieżąco.

–Ty już zrobiłeś swoje, co? – rzucił Palmer z wymuszonym uśmiechem.

–Tak jakby – odparł Carter odwzajemniając uśmiech. Sięgnął przez biurko i poklepał Palmera po ramieniu. – Nie martw się, będzie dobrze. Takie rzeczy się zdarzają. Komisarz, gdy mu to powiesz, narobi wprawdzie hałasu, ale do następnego spotkania o wszystkim zapomni.

Palmer odprowadził Cartera do drzwi wejściowych.

–Dzięki za wszystko, Richard.

–Zrobiłbyś dla mnie to samo. Pozdrów ode mnie Sheilę, dobrze?

–Jasne. Dobranoc, Richard.

–Dobranoc, Maurice – odparł Carter i ruszył żwawym krokiem do czekającego na niego nie oznakowanego samochodu policyjnego.

Palmer zamknął drzwi i wrócił do gabinetu. Pozbierał materiały dowodowe, włożył je z powrotem do teczki i przysunął sobie telefon. Odszukawszy domowy numer Kolczyńskiego, podniósł słuchawkę i wykręcił go.

Sabrinę wypisano ze szpitala wczesnym rankiem, zdołali więc dotrzeć do Zurychu w samą porę, by złapać lot powrotny do Londynu o jedenastej. Poprzedniej nocy Sabrina odmówiła zażycia środków nasennych, toteż była teraz blada i zmęczona, i usnęła zaraz po zajęciu miejsca w samolocie. Graham surowo zakazał stewardesie zakłócania jej odpoczynku, dopóki nie wylądują w Londynie.

Eastman i Marsh również byli wykończeni. Ślęczeli do późna w nocy nad pisaniem i wzajemnym uzgadnianiem treści swoich raportów dla Palmera, a ponieważ wieczorem miał przylecieć Scoby, obaj zaraz po powrocie do Londynu zamierzali złapać parę godzin snu we własnych wygodnych łóżkach.

Na Heathrow czekali już na nich dwaj członkowie brygady antyterrorystycznej i szybko stało się jasne, że ze snem trzeba będzie jeszcze poczekać. Palmer chciał ich natychmiast widzieć w swoim biurze w Nowym Scotland Yardzie. Grahama i Sabrinę zawieziono samochodem do Grosvenor House Hotel, gdzie na czas swego pobytu w Londynie miał się zatrzymać Scoby.

Kiedy Eastman i Marsh wkroczyli do biura Palmera, ten rozmawiał właśnie przez telefon. Wskazał im stojące przed biurkiem dwa fotele.

Oddzwonię – rzucił szorstko do słuchawki i odłożywszy ją na widełki, sięgnął po leżącą na biurku paczkę papierosów.

–Wydawało mi się, że pan rzucił? – zdziwił się Eastman, widząc jak Palmer wtyka między wargi papierosa i przypala go.

–Tak, ale dzisiejszej nocy znowu zacząłem – odburknął Palmer. Zaciągnął się głęboko i wydmuchnął pod sufit kłęb dymu. – Po zeszłonocnej wpadce w Szwajcarii stało się jasne, że IRA ma dojścia na samej górze naszej jednostki, jak inaczej mogliby przewidywać każdy wasz ruch?

–Rzeczywiście wszystko na to wskazuje, sir – zgotził się Eastman.

–Dziś w nocy Wydział Specjalny otrzymał zadanie odkrycia tego kreta. Na początek wzięto pod lupę was obu. Zaraz po północy przetrząsnęto równocześnie wasze gabinety i mieszkania. – Palmer wyjął z szuflady dyskietkę i położył ją przed sobą na biurku. – To chyba twoja, John?

Marsh podniósł dyskietkę i obrócił w palcach. Widniała na niej napisana czerwonym długopisem cyfra cztery.

–Tak, sir, moja. To zapasowa kopia jednej z dyskietek z mojego gabinetu. Wszystkie zapasowe kopie trzymam w domowym sejfie. Jak pan ją zdobył?

–Twoja żona dała ludziom z Wydziału Specjalnego szyfr twojego osobistego sejfu. Uprzedzając twoje pytanie powiem, że nie miała wyboru. Posiadali nakaz rewizji.

–No i co z tym? – spytał Marsh podnosząc dyskietkę.

–Zgodnie z indeksem w twoim komputerze dyskietka ta zawiera nazwiska, adresy i numery telefonów twoich kontaktów i informatorów. Zgadza się?

–Tak, sir.

–W takim razie powiedz mi coś o "Rebeliantce".

–O "Rebeliantce"? – powtórzył Marsh unosząc ze Zdumieniem brwi. – Nie znam nikogo o takim pseudonimie.

–Jak zatem wyjaśnisz fakt, że osoba ta figuruje na tej dyskietce, ale nie ma jej na dyskietce zabranej z twego gabinetu?

–To niemożliwe, sir – odparł oszołomiony Marsh. – Na tę dyskietkę przegrywam dane z dyskietki głównej. To wierna kopia.

Palmer wyjął z leżącej przed nim teczki dwa arkusze papieru komputerowego i położył je przed Marshem.

–Wydruk zawartości obu dyskietek. Jak widzisz, na dyskietce zapasowej istnieje dodatkowy wpis. "Rebeliantka".

Marsh przeczesał palcami jasną czuprynę.

–Nic nie rozumiem, sir. To niemożliwe...

–To już słyszeliśmy! – przerwał mu w pół zdania Palmer. – Ale masz przed sobą dowód. Pod "Rebeliantką" wpisane

są dwa telefony. Ludzie z Wydziału Specjalnego sprawdzili je. Pierwszy to numer znanego nam bezpiecznego domu IRA w Londynie. Drugi jest do Belfastu, do pewnego mieszkania zarejestrowanego na Seana Farrella i Fionę Gallagher. Moim zdaniem "Rebeliantka" to właśnie Fiona Gallagher.

–Sir, przecież to absurd! – zawołał Marsh zrywając się z miejsca.

–Siadaj! – huknął Palmer.

Marsh rzucił Eastmanowi rozpaczliwe spojrzenie i zajął z powrotem swoje miejsce.

–A oto dziesięć tysięcy funtów znalezione w twoim schowku na narzędzia.

–Co? – wykrztusił z osłupieniem Marsh. – Boże, co tu jest grane? Nie mam pojęcia o żadnych dziesięciu tysiącach.

–Dwie paczki, po pięć tysięcy każda. Banknoty wierzchni i spodni w każdej paczce zostały napyłone w celu zdjęcia odcisków palców. Mielśmy nadzieję znaleźć wśród nich odcisk, który łączył by te pieniądze z IRA. Trafiliśmy w dziesiątkę. Po porównaniu z kartoteką w naszym centralnym komputerze okazało się, że jeden z nich odpowiada odciskowi lewego kciuka Kevina Brady'ego. Nie muszę ci chyba mówić, że Brady jest szefem sztabu Rady Armii Provo. Jest również najbardziej poszukiwanym człowiekiem w Brytanii. Jak wytłumaczysz obecność odcisku jego palca na banknocie?

–Nie potrafię tego wyjaśnić – wybuchnął Marsh. – Najwyraźniej ktoś mi podłożył świnię.

–Co do pieniędzy mógłbym w to jeszcze uwierzyć, ale nie jeśli chodzi o dyskietkę. Ile osób znało szyfr twojego sejfu?

–Tylko żona i ja – odparł zdesperowany Marsh. Wepchnął palce pod kołnierz i poluzował krawat. – Ktoś musiał go jakoś zdobyć, sir. To jedyne logiczne wytłumaczenie.

–Radziłbym zatrzymać te zapewnienia dla sądu. Może tam ustosunkują się do nich bardziej przychylnie. Ja naturalnie nie mogę tego zrobić. Bóg jeden wie, ile szkód wyrządziłeś tej organizacji, odkąd zacząłeś pracować dla IRA. Mam tylko nadzieję, że warto było, John.

–Proszę posłuchać, sir...

–Keith, za drzwiami czeka dwóch ludzi z Wydziału Specjalnego – przerwał Marshowi Palmer. – Możesz poprosić ich do środka? Eastman zawahał się.

–Czy mam się sam pofatygować? – warknął ze złością Palmer. Eastman ociągając się wstał i wezwał mężczyznę do gabinetu.

–John, od tej pory jesteś zawieszony w czynnościach. Znasz swoje prawa: podczas przesłuchania przez Wydział Specjalny

możesz zażądać obecności adwokata. Przed wyjściem nie zapomnij zostawić legitymacji. Nie będzie ci już potrzebna.

Marsh wyjął z kieszeni legitymację i podał ją Eastmanowi. Dwaj mężczyźni z Wydziału Specjalnego stanęli po jego bokach i wyprowadzili go z gabinetu.

Kiedy za Marshem zamknęły się drzwi, Eastman usiadł powoli w fotelu. Na jego twarzy malowało się niedowierzanie. Spojrzał na Palmera.

–Może dowody winy Johna są oczywiste, sir, ale ja wciąż wierzę w jego niewinność. Myślę, że znam go lepiej niż ktokolwiek w Scotland Yardzie. Brygada antyterrorystyczna była jego całym życiem. Wszystko inne było na drugim planie.

–Skusiła go forsa – powiedział Palmer gasząc papierosa.

Sięgnął znowu po paczkę, zaklął wściekle i odrzucił ją na bok. –

Popatrz na mnie. Taki nałogowy palacz jak ja nigdy nie rzuci.

Myślisz, Keith, że nie jestem tym tak samo zdruzgotany? John był jednym z najbardziej obiecujących ludzi, jakich mam w jednostce.

Chciałem, żeby daleko zaszedł. Ale najbardziej wkurza

mnie myśl, że przez swoją zdradę naraził życie tylu ludzi. Kto wie, ile poufnych informacji przekazał IRA, odkąd zaczął dla nich pracować.

–Wytoczenie mu pokazowego procesu może jedynie zaszkodzić wizerunkowi brygady antyterrorystycznej i przysporzyć IRA reklamy.

Palmer zapalił następnego papierosa.

–Doskonale zdaję sobie sprawę ze szkód, jakie ta afera wyrządzi całej organizacji. Opozycyjni posłowie będą się domagać publicznego przesłuchania. Zawsze tak robią w podobnych przypadkach. Ale cóż my na to możemy poradzić? Raczej trudno byłoby załatwić to we własnym gronie i mieć nadzieję, że nic nie przecieknie do prasy.

–Zgodnie z brytyjskim prawem człowiek jest niewinny, dopóki nie udowodni mu się winy. – Eastman rzucił na biurko legitymację Marsha i podszedł do drzwi. Zatrzymał się z dłonią na klamce i obejrzał na Palmera. – Ale na procesach pokazowych rzecz ma się inaczej, nieprawdaż, sir? Tam człowiek jest winny, dopóki nie udowodni swojej niewinności. A do tego nigdy nie dochodzi.

–John będzie miał uczciwy proces – obruszył się Palmer wzburzony insynuacjami, że mógłby w jakikolwiek sposób próbować wpływać na wyrok sądowy.

–To zależy od tego, jaka jest pańska definicja uczciwości, zgadza się pan? – powiedział Eastman i opuścił gabinet, zanim Palmer zdążył cokolwiek odpowiedzieć.

Graham siedział na łóżku z poduszką pod plecami i oglądał wolną amerykankę na kanale telewizji kablowej. Rozległo się pukanie do drzwi. Zirytowany podźwignął się z łóżka mrużąc pod nosem jakieś przekleństwo.

–C.W.! – wykrztusił kompletnie zaskoczony, otworzywszy drzwi. – Co ty tu robisz? Myślałem, że przylatujesz dopiero wieczorem razem ze Scobym.

–Mógłbym wejść, zanim zasypiesz mnie dalszymi pytaniami? – spytał Whitlock.

–Jasne, stary, włącz – zaprosił go Graham otwierając na oścież drzwi. – Chcesz drinka? Tam jest barek. A może zrobić ci kawy?

–Znam ja tę twoją kawę – mruknął Whitlock, gdy Graham zamykał za nim drzwi. – Mógłbyś ją opatentować jako nowy rodzaj kreozotu.

–Co za pożytek z kawy, jeśli nie czuje się jej smaku? – bronił się Graham ścisząc pilotem dźwięk w telewizorze.

–Mimo wszystko dzięki, wolę herbatę.

Graham wskazał mu fotel.

–Siadaj. Czemu nie przyleciałeś ze Scobym?

Whitlock rozparł się w fotelu.

–Mam po południu spotkanie z szefem brygady antyterrorystycznej. Z senatorem przyleci Fabio.

–Kiedy można się ich spodziewać? – spytał Graham nastawiając czajnik.

–Wieczorem. Koło siódmej.

–Wyjeżdżamy po nich na lotnisko?

Whitlock pokręcił głową.

–Zapewnienie bezpieczeństwa na lotnisku bierze na siebie brygada antyterrorystyczna. Mówiłem Scoby'emu, że spotkamy się z nim tu, w hotelu. Na lotnisku i tak będzie go oczekiwać delegacja ambasady amerykańskiej. Z ambasadorem na czele. Tylko byśmy przeszkadzali.

–Słyszałeś chyba o Marshu?

Whitlock skinął głową.

–Siergiej mówił mi rano, zanim odleciałem. W środku nocy wyrwał go ze snu telefon Maurice'a Palmera. A tobie kto powiedział? Eastman?

–Tak. Jest niezłe skołowany. Ciągłe wierzy w niewinność Marsha. Ale mnie ten dowód prawie przekonuje. – Graham podniósł filiżankę. – Jak mocna ma być ta herbata?

–Niech trochę naciągnie – odparł Whitlock. – Gdzie Sabrina?

–Śpi. Zeszłej nocy nie dane jej było długo pospać. Prosiła, żeby ją obudzić, gdyby coś się działo.

–Niech śpi – powiedział Whitlock.

–Jak tam Siergiej? – zaczął z innej beczki Graham, biorąc

z minibarku butelkę dietetycznej pepsi.

–Zawalony robotą. Chciał tu przyjechać i osobiście koordynować działania mające na celu zapewnienie Scoby'emu bezpieczeństwa, ale zatrzymały go sprawy w ONZ. Spotkanie za spotkaniem. Prawie nie zagląda do biura.

–A jak z tobą?

–Ze mną? – zdziwił się Whitlock.

–Też masz robotę?

Whitlock pociągnął łyk herbaty i odstawił filiżankę na stolik obok fotela.

–Pewnie, że mam. Całymi dniami siedzę przykuty do biurka i odbieram telefony. Potem, wieczorem, wyjazd do jakiejś ambasady i słuchanie nudnego gładzenia zgrai ambasadorów rozmaitych państw, których nazwisk nie da się nawet wymówić.

A jeśli czasem uda mi się wreszcie wyrwać gdzieś w teren, to tylko w charakterze łącznika. Po ścianach już od tego chodzę.

–Mówiłeś o tym z Carmen?

Whitlock z rozpaczą wyrzucił ręce w górę.

–Co mam niby powiedzieć? Że chcę ustąpić z kierowniczego stanowiska i wrócić do roboty w terenie? Dostałaby szału. I natychmiast wystąpiłaby o rozwód.

–Więc ze względu na nią chcesz się dalej tak mordować?

Oczy Whitlocka błysnęły gniewem.

–Obejmując to stanowisko uratowałem swoje małżeństwo.

Carmen i ja jesteśmy teraz bliżej, niż byliśmy przez całe lata.

I zrobię wszystko, żeby tak zostało.

–Żyjesz w świecie fantazji, C.W. Naprawdę sądzisz, że będąc nieszczęśliwy w pracy możesz być szczęśliwy w domu? Kumulujesz po prostu swoją frustrację, aż przekroczy punkt krytyczny. A wtedy będziesz miał pretensje przede wszystkim do Carmen. Ona z kolei będzie ci wyrzucała, że nic jej nie mówiłeś. Ale wówczas będzie już za późno. Twoje małżeństwo będzie skończone.

Whitlock z płonącymi oczyma zerwał się na nogi.

–Nie potrzebuję wykładu o małżeństwie, zwłaszcza od ciebie.

–Zatem weź się w garść i powiedz Carmen, co ci leży na sercu – odparł Graham. – Jesteś jej to winien.

Whitlock zacisnął pięści. Graham nigdy nie widział go tak rozjuszonego. Wiedział jednak, że ta złość bierze się z frustracji i wierzył, że dobrze zrobił mówiąc bez ogródek, co na ten temat myśli.

–Pozwól, że sam się będę martwił o stan swojego małżeństwa –

warknął Whitlock ruszając zdecydowanym krokiem

do drzwi. – O szóstej trzydzieści wieczorem spotykamy się w moim gabinecie. Powiadom Sabrinę. I Eastmana.

–Jasne – burknął Graham.

Fiona Gallagher weszła do gmachu St Pancras Station w workowatych,

połatanych džinsach, luźnym podkoszulku i ulubionym czarnym kapeluszu przykrywającym krótko przystrzyżone blond włosy. Nie była umalowana. Przez lewe ramię przewieszony miała wyświechtany plecak. Najważniejsze było, żeby wyglądała jak najmniej podejrzanie, a wiedziała, że w takim stroju zostanie wzięta za jakąś studentkę czekającą na pociąg. Wstąpiła do Casey Jones, zamówiła kawę i odeszła z nią do stolika, przy którym miała czekać na Mullen. Spojrzała na zegarek. Trzecia dwadzieścia dwie. Umówieni byli na wpół do czwartej. Znając go, była pewna, że się spóźni. Pięć, może dziesięć minut. W żadnym wypadku więcej. Po prostu tylko tyle, by zdenerwować kogoś tak punktualnego jak ona. Rozpostarła kupionego wcześniej Guardiana. Pogardzała nim za socjalistyczne poglądy, które lansował, ale było to ulubione pismo studentów, zatem jego lektura dodawała wiarygodności postaci, w którą się wcielała. Położyła gazetę na stoliku i zaczęła czytać artykuł wstępny.

Domek opuścili wczesnym rankiem, na nartach, które pozostawiono im w helikopterze. Narciarstwo uprawiała już jako nastolatka, podczas gdy Mullen zaczął dopiero po dwudziestce. Dało się to zauważyć, kiedy razem zjeżdżali do Les Paccots. Stamtąd pojechali taksówką do podziemnego parkingu w Lozannie,

gdzie czekał na nich samochód. Kluczyki były zatknięte pod przedni zderzak. Mullen zajął miejsce za kierownicą i pojechali na genewski Cointrin Airport, gdzie złapali przedpołudniowy lot do Londynu. W samolocie siedzieli osobno, umówiwszy się uprzednio, że po południu spotkają się znowu w St Pancras.

–Przepraszam, czy to miejsce jest wolne?

Zaskoczona podniosła wzrok i twarz rozjaśniła się jej w uśmiechu.

–Nigdy nie myślałam, że dożyję dnia, kiedy Hugh Mullen przybędzie na spotkanie przed czasem.

Mullen zachichotał i postawił na stoliku kawę oraz talerzyk z cheeseburgerem.

Miał na sobie wypłowiałe, niebieskie, rozdarte na kolanach džinsy i irlandzki golf rugby. Czoło opasywała mu czerwona bandana.

–Podobają mi się te ciuchy – stwierdziła przyglądając się jego strojowi.

–Dzięki – mruknął Mullen siadając. – Można powiedzieć, że to urzędowe ubranko.

Uśmiechnęła się, wzięła jego cheeseburgera, odgryzła wielki kęs i oddała bułkę Mullenowi.

–Jesteś pewna, że więcej już nie chcesz? – spytał. – Sean zawsze mówił, że masz niezły spust. Święta prawda. – Dolał do kawy mleka i nasypał cukru. Pociągnął łyk i odchylił się do tyłu zarzucając ręce na oparcie ławy. – Chciałbym już być w domu. Chyba przez tydzień będę nadrabiał zaległości w spaniu.

–Nie jedziemy do domu – powiedziała.

–O Boże, tylko nie to. Co znowu wypadło?

Fiona wyjęła z plecaka szarą kopertę i położyła ją na stoliku.

–Dzisiaj rano poszłam do umówionej skrzynki kontaktowej.

Znalazłam tam kopertę z kluczykiem od skrytki na Victoria

Station, z której zwykle korzysta Sean. A w skrytce znalazłam to.

–Chyba nie należy łądzić się nadzieją, że są tam dwa bilety na najbliższy prom z Liverpoolu?

–Nie licz na to. – Wyjęła z koperty prawo jazdy i podała je Mullenowi. – Nazywasz się Daniel McKenna. Ja jestem Marie Russell. Oboje mieszkamy w Belfaście i przyjechaliśmy do Londynu na weekend twoją toyotą.

Mullen obejrzał prawo jazdy i wsunął je do kieszeni. Fiona wyjęła z koperty arkusz papieru. Była to napisana na maszynie dyrektywa sygnowana przez dwóch członków Rady Armii. Mullen

rozpoznał jeden z podpisów: Kevin Brady. Zaczął czytać i oczy zwęziły mu się z niedowierzania.

–To nie ma żadnego sensu – wykrztusił w końcu.

–Wręcz przeciwnie. Myślę, że to ma wielki sens. Będziesz jeszcze jadł tego cheeseburgera?

Mullen potrząsnął przecząco głową.

–Jak możesz w takiej chwili myśleć o jedzeniu?

–Bo jestem głodna. – Rozejrzała się. – Chodź, pogadamy w furgonetce. Zostawiłam ją na parkingu, niedaleko stąd.

Mullen wziął plastikowy kubek z kawą i pomaszerował do wyjścia. Fiona podążyła za nim, kończąc w pośpiechu cheeseburgera. Na parking szli w milczeniu. Fiona otworzyła drzwiczki od strony pasażera i wskoczyła do kabiny.

–Przecież to był rozkaz przeprowadzenia zamachu na senatora Jacka Scoby'ego – powiedział w końcu Mullen sadowiac się za kierownicą i stawiając kubek na desce rozdzielczej. – Oboje wiemy, że IRA nigdy nie obiera sobie za cel zagranicznych dyplomatów. A ty mówisz, że to ma według ciebie sens. Więc może zechcesz podzielić się ze mną swoim rozumowaniem? Bo ja tu za cholere żadnego sensu nie widzę.

–Przed chwilą powiedziałaś, że IRA nigdy nie obiera sobie za cel zagranicznych dyplomatów – powtórzyła Fiona. – I o to właśnie chodzi. Kogo oskarżą władze, kiedy Scoby zostanie zamordowany?

–Daj spokój, Fiona, władze raz-dwa się skapują, zwłaszcza że Scoby podczas ostatniej kampanii wyborczej zdierał sobie gardło pomstując na IRA.

–Władze mogą sobie podejrzewać IRA, ale nie będzie żadnego dowodu, który łączyłby nas z tym zabójstwem. A jeśli oskarżą nas w prasie, Rada Armii wystosuje natychmiast dementi, w którym oświadczy, że Armia Rewolucyjna nie miała z tym nic wspólnego. Oprócz tego Rada skontaktuje się z wyższymi rangą członkami Noraid w Stanach i zapewni ich, że IRA nie maczała palców w morderstwie. Dzięki temu nie odbije się to ujemnie na wsparciu, jakie stamtąd otrzymujemy.

–Ale dlaczego mierzymy właśnie w niego? Na wiecach wytrząsa się wprawdzie na Noraid, ale dobrze wie, że nie może ukrócić naszej działalności w Stanach. Byłoby to sprzeczne z konstytucją. Jako organizacja polityczna mamy prawo zbierać fundusze od naszych sympatyków.

–Rada Armii ma widocznie na ten temat inne zdanie – wzruszyła ramionami Fiona. – A to właśnie oni ustalają politykę. My jesteśmy tylko po to, żeby wprowadzać ich zamierzenia w życie.

–Nadal mi się to nie podoba – powiedział Mullen.

–Musieli to zaplanować dużo wcześniej. W dyrektywie jest napisane, że operacją miał pierwotnie pokierować Sean. To wielki zaszczyt, że pod jego nieobecność zlecono nam to zadanie. Wiem, że sobie poradzimy. Zrozumiem cię jednak, jeśli zechcesz się wycofać.

–Zrobiłabyś to sama?

–Gdybym musiała – mruknęła ponuro. – Ale mimo wszystko wolę pracować z partnerem. Zwłaszcza z takim, któremu mogę zaufać.

–Przecież wiesz, że w to wejdę – odparł Mullen. – Cóż oprócz życia mam do stracenia?

–Zawsze optymista – stwierdziła z uśmiechem. – Nie martw się, nie zginiemy. Stukniemy Scoby'ego i przed końcem weekendu będziemy z powrotem w Irlandii. A tam już czekać będzie na nas z otwartymi ramionami Rada Armii. Kto wie, może nawet trafi się nam jakiś awans?

–Wiesz, co się stało, kiedy ostatnim razem poprowadziłem komórkę – przypomniał posępnie Mullen. – Nie, nie zaryzykują. Zresztą i tak nie chciałbym brać na siebie po raz drugi takiej odpowiedzialności. Ale jeśli ty dostaniesz awans, mam nadzieję, że w twojej komórce znajdzie się dla mnie miejsce.

–Mój pierwszy rekrut – mruknęła.

Odwrócił głowę i zajrzał przez ramię do przestrzeni ładunkowej furgonetki.

Podłoga wysłana była brezentem. Z załączonego do dyrektywy dodatku dowiedział się, że pod brezentem ukryte są dwa czeskie pistolety maszynowe Skorpion i dwa rewolwery Colt.45. Już miał podnieść rąbek płachty, kiedy Fiona szarpnęła go za ramię i ruchem głowy wskazała boczne lustro po swojej stronie. Zerknął w swoje lustro i przeszedł go dreszcz przerażenia. Do furgonetki zbliżali się pieszo dwaj policjanci. Fiona wydobyła z kieszeni kluczyki i podała je Mullenowi. Otarł z czoła kropelkę potu i kiedy jeden z policjantów podszedł do drzwiczek od jego strony, opuścił szybę.

–Dzień dobry, panie posterunkowy – rzucił z przyjaznym uśmiechem.

–Dzień dobry panu – powiedział policjant. – To pański

pojazd?

–Niestety tak – odparł z zakłopotaniem Mullen. – Nie ma się czym zachwycać, ale jakoś się turla.

–Można prosić o pańskie prawo jazdy?

Mullen wyjął z kieszeni dokument i podał policjantowi. Ten oglądał go przez chwilę, po czym podniósł wzrok na Mullena.

–Byłby pan łaskaw podać numer rejestracyjny swojego wozu?

Mullen powtórzył policjantowi numer, który wykuł na pamięć na stacji.

Policjant sprawdził tablice rejestracyjne i podniósł rękę z prawem jazdy.

–Można panu zająć chwilkę?

–Czy coś nie w porządku, panie posterunkowy? – zaniepokoił się Mullen.

–Po prostu rutynowa kontrola. – Policjant odpiął od paska krótkofalówkę i odwróciwszy się plecami do furgonetki rzucił kilka słów do mikrofonu.

Drugi policjant zapukał tymczasem do okna od strony pasażera. Fiona opuściła szybę.

–Można pana prosić o otworzenie bagażnika? – zapytał.

Mullen wyciągnął kluczyki ze stacyjki i wyskoczył z furgonetki.

Przeszedł na tył wozu i otworzył tylne drzwiczki.

–Czy pod tym brezentem coś jest?

–Nic nie ma, panie posterunkowy – odezwała się z pasażerskiego fotela Fiona.

Mullen przełknął nerwowo ślinę. Co ona do cholery wyprawia? Przecież wie, co jest pod brezentem. Na podłodze przy drzwiczkach zauważył lewarek. Trzeba go będzie użyć. Ale czemu Fiona jest taka spokojna? To go denerwowało. Widząc, że policjant podnosi brezent, dotknął palcami lewarka. Jednak pod płachtą nic nie było. Policjant puścił ją i powiedział Mullenowi, że może zamknąć drzwiczki.

Chwilę później drugi policjant oddał Mullenowi prawo jazdy.

–Przepraszamy pana za kłopot.

Mullen odczekał, aż obaj policjanci znikną z pola widzenia, po czym odwrócił się do Fiony.

–Chyba jesteś mi winna wyjaśnienie. Mało brakowało, a ogłuszyłbym tego sukinsyna. Dlaczego mi nie powiedziałaś, że zabrałaś już broń z furgonetki?

–Ciekawa byłam, jak się zachowasz mając nóż na gardle.

–Mam więc nadzieję, że jesteś zadowolona – burknął ze złością.

–Nieźle się spisałeś – przyznała. – No dalej, wynośmy się stąd.

–Dokąd? – spytał Mullen usadowiwszy się z powrotem za kierownicą furgonetki. – Do bezpiecznego domu?

–Nie, nad Tamizę. Jutro rano Scoby ma się wybrać na wycieczkę po rzece. Chciałabym przyjrzeć się dokładnie trasie, którą popłynie statek.

–Wejść – rzucił Palmer słysząc pukanie do drzwi.

W progu stanął Eastman.

–Dzień dobry, sir. Chciał mnie pan widzieć?

–Tak. Wchodź, Keith – odparł Palmer. – A więc dotarło do ciebie moje zaproszenie? Nienawidzę tych cholernych automatycznych sekretarek.

–Frances zawsze ją przesłuchuje natychmiast po powrocie z biblioteki do domu. I tak większość telefonów jest do niej. Ale taki już los sekretarki miejscowego amatorskiego kółka dramatycznego.

–Co u niej słyhać?

–Dziękuję, sir, ma się dobrze. Tylko ostatnio mało ją widuję. Pod koniec miesiąca wystawiają jakąś rosyjską tragedię. Zdaje się, że ma z tym urwanie głowy.

–Rozmawiałem dzisiaj z Whitlockiem. W związku z przyjazdem Scoby'ego zwołuje w hotelu konferencję prasową. Słyszałeś już o tym?

–Graham zostawił mi wiadomość.

–Też chciałbym być na niej obecny, ale wezwał mnie do siebie komisarz. Bóg jeden wie, o której skończy się to spotkanie. Przeprosiłem już Whitlocka, z tobą jednak musiałem się zobaczyć, zanim tam pojedziesz. – Palmer wyciągnął papierosa z leżącej na biurku paczki i przypalił go sobie. – Dzisiaj po południu dwaj funkcjonariusze podczas rutynowego patrolu w St Pancras natknęli się koło Euston Station na podejrzany pojazd. Była to stara czerwona toyota furgon. W środku siedziało dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta. Z prawa jazdy mężczyzny wynikało, że nazywa się Daniel McKenna. Prawo jazdy i rejestracja wystawione były na adres w Belfaście i policjanci musieli ich puścić. Ale coś im się nie podobało i po powrocie na posterunek zameldowali o tym swojemu zwierzchnikowi. Ten kazał im przejrzeć w komputerze całą kartotekę wszystkich notowanych Irlandczyków.

Obaj w Danielu McKennie rozpoznali Mullena.

–Zatem można przyjąć, że kobietą była Fiona Gallagher?

–Na to chyba wygląda – zgodził się Palmer. – Sprawdziliśmy już prawdziwego Daniela McKennę. Jego furgonetka od dwóch dni stoi zaparkowana w garażu w Belfaście. Tak więc Mullen i Gallagher muszą używać fałszywych tablic. Są naprawdę ostrożni, trzeba im to przyznać.

–A mogli już oboje siedzieć w areszcie – pokręcił ze złością głową Eastman.

–Funkcjonariusze nie byli w stanie nic zrobić. Musieli ich puścić.

–Wcale nie mam im tego za złe, sir – powiedział szybko Eastman. – Wręcz przeciwnie. Gdyby nie ich czujność, nie wiedzielibyśmy nawet, że tamci są już tu z powrotem. A co z Kerriganem?

Żadnego śladu?

–Ani widu, ani słyhu. Było tylko ich dwoje.

–Pewnie gdzieś się zamelinował.

–Najbardziej niepokoi mnie, co ich sprowadza do Londynu. Przecież powinni chyba jak najszybciej wracać do Irlandii? Tam byliby o wiele bezpieczniejsi.

–Może planują w Londynie jakąś następną operację.

–Mnie również wydaje się to najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem.

–Scoby? – zasugerował ostrożnie Eastman.

–Nie można tego wykluczyć, Keith – odparł Palmer. – No, jeśli chcesz zdążyć do hotelu na szóstą, to lepiej już idź. Wiesz, co o tej porze wyprawia się na londyńskich ulicach. – Palmer odprowadził Eastmana wzrokiem do drzwi. – Informuj mnie na bieżąco.

–Oczywiście, sir – zapewnił Eastman opuszczając gabinet.

–Możemy porozmawiać?

Whitlock skinął głową i gestem ręki zaprosił Grahama do pokoju.

–Pomyślałem, że najlepiej zrobię przychodząc, zanim zjawi się reszta – wyjaśnił Graham. – Winien ci jestem przeprosiny za ten mój wybuch. Trochę się zagalopowałem.

–Powiedziałeś, co myślałeś, Mike, i to właśnie zawsze mi się w tobie podobało. – Whitlock zamknął drzwi. – Tak często jest najlepiej. Kiedy usiadłem i przemyślałem sprawę, doszedłem do wniosku, że miałaś rację.

–Ale mimo wszystko nieładnie się zachowałem.

–Przeprosiny przyjęte, jeśli poprawi to twoje samopoczucie – uspokoił go Whitlock. – Kiedy wrócę do Nowego Jorku, porozmawiam z Siergiejem i z sekretarzem generalnym. Zobaczą, co oni na to. To będzie łatwiejsza część. Potem będę musiał usiąść z Carmen i wyłożyć kawę na ławę. Nie powiem, żebym się palił do tej rozmowy.

–Najlepiej jest oczyścić atmosferę.

–Zależy dla kogo – odparł Whitlock i wskazał na stojący na kuchence czajnik. – Herbaty?

–Dzięki, ale chyba pozostanę przy kreozocie.

–Już się robi.

Rozległo się pukanie do drzwi i Whitlock poszedł otworzyć. Przyszła Sabrina. W

chwile później zjawiał się Eastman i w kilku zdaniach zrelacjonował obecnym przebieg kontroli podejrzanego samochodu, która miała tego dnia miejsce przy Euston Station.

–Chyba się teraz z nami zgodzisz, że jednak na życie Scoby'ego jest przygotowywany zamach? – spytał na koniec Graham, spoglądając na Eastmana.

–Po tym, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, nic mnie już nie zdziwi.

–Ale gdzie spróbują go załatwić? – dociekał Whitlock. – Zapoznaliśmy się z planem pobytu senatora. Nie jest to taka znowu nieoficjalna wizyta.

–Najbardziej narażony będzie jutro po południu, podczas rejsu statkiem wycieczkowym w towarzystwie burmistrza – stwierdził Graham. – Niezależnie od tego, jak obstawi się Tamizę, zawodowy zabójca i tak będzie w stanie go zdjąć.

–Fakt – przyznał Whitlock.

–Jest jakaś szansa obstawienia kordonem przewidywanej trasy statku?

–Proponowałem to wczoraj wieczorem Scoby'emu, ale nie wyraził zgody – odparł Whitlock. – Jest zdecydowany stosować się ściśle do planu wizyty.

–Tak samo burmistrz – dorzucił Eastman. – Pouczył, jak zwykle, komendanta Palmera, żeby nie ulegał psychozie zagrożenia terroryzmem. Będziemy musieli sami sobie z tym poradzić.

–I mieć w pogotowiu podania o dymisję na wypadek, gdyby nasze środki ostrożności nie powstrzymały IRA -dodała Sabrina. Zadzwoił telefon. Whitlock odebrał i po krótkiej rozmowie odłożył słuchawkę.

–To był Fabio. Właśnie wylądowali na Heathrow. Sądzi, że dotrą do hotelu w przeciągu godziny.

Eastman dopił herbatę.

–No cóż, wybaczcie, ale muszę wracać do Yardu. O ósmej mam odprawę z moimi ludźmi.

–Wrócisz tu jeszcze? – spytał Whitlock.

–Zależy, ile czasu mi to zajmie. Zadzwonię później i dam znać, jak stoją sprawy. Jeżeli nie zadzwonię, spotkam się ze Scobym jutro rano. Chyba nie robi to większej różnicy?

–Ze Scobym możesz się spotkać, kiedy zechcesz. Myślałem, że najważniejsza odprawa odbędzie się dopiero po rozmowie z senatorem. Ale skoro nie da rady, to nie ma sprawy. Opowiem ci przez telefon, jak było.

–Zrobię, co będzie w mojej mocy, żeby jeszcze wrócić. Ale nie mogę niczego obiecać.

–Rozumiem – powiedział Whitlock odprowadzając Eastmana do drzwi.

–Umieram z głodu – westchnęła Sabrina po wyjściu Eastmana. –
Od śniadania nie miałam nic w ustach. Chyba coś
przekąszę przed przybyciem Scoby'ego.

–A ja zadzwonię do Siergieja i powiadomię go, co u nas –
oznajmił Whitlock. – Potem wezmę się za zaległości w robocie
papierkowej, którą ze sobą przywiozłem.

–Jadłeś już? – spytała Sabrina Grahama.

–Chyba dałbym radę coś w siebie wmusić – odparł Graham
idąc za nią do drzwi.

–Tylko bez łaski – zastrzegła oglądając się na niego.

–Wynoście się oboje – zbeształ ich dobrodusznym tonem
Whitlock. – Dam wam znać, kiedy przybędzie senator. Bon
appetit.

–To prawdziwa przyjemność wreszcie panią poznać – powiedział
Scoby, ściskając dłoń Sabriny. – Pan Whitlock oznajmił
mi zeszłego wieczoru, że wejdzie pani w skład mojej osobistej
ochrony, jednak dopiero po zapoznaniu się z dossier w samolocie
uświadomiłem sobie, że jest pani córką George'a Carvera. Po
dziś dzień wiele się o nim mówi na Capitol Hill. Szkoda, że był
po niewłaściwej stronie.

–Zależy, z której strony na to patrzeć – zauważyła Sabrina.
Scoby uśmiechnął się uprzejmie.

–Czym obecnie zajmuje się pani ojciec? Wiem, że został
prezesem Selers Marketing w Miami.

–Dwa lata temu przeszedł na emeryturę. Moi rodzice cały
czas mieszkają w Miami. W Coral Gables.

–Ach, tak. To urocza część miasta. Od czasu, gdy powierzono
pani ojcu funkcję amerykańskiego ambasadora w Brytanii, musiało
już minąć dobre piętnaście lat. Ja wtedy jeszcze studiowałem
w Harvardzie.

–Jeśli chodzi o ścisłość, było to osiemnaście lat temu –
poprawiła Sabrina.

–Co pani powie? Jak ten czas leci! Był tutaj, zdaje się, przez
osiem lat. Niezły staż, trzeba przyznać.

–Był dobrym ambasadorem – powiedziała Sabrina.

–Nie wątpię – przytaknął bez przekonania Scoby. Wymienił
uścisk dłoni z Grahamem. – Cieszę się, że i pana widzę.

–Dziękuję – mruknął niechętnie Graham.

–Czyż to nie dziwny zbieg okoliczności, że oboje macie w rodzinach
znanych polityków? – zauważył Scoby. – Pańskim
ojczymem był senator Howard Walsh. "Hawk" Walsh. Wspaniały
człowiek.

–Jak już mówiła Sabrina, to zależy, z której strony na to

spojrzeć – odparł Graham.

–Wnioskuje z tego, że nie podziela pan politycznych poglądów senatora?

–Z senatorem Walshem nie łączy mnie już absolutnie nic – oświadczył gorzko Graham. – To ograniczony prawicowy bigot, którego republikanie dawno temu powinni byli splawić.

Uśmiech Scoby'ego nieco przygasł.

–Jakoś nigdy nie miałem pana za liberała...

Zanim Graham zdążył coś odpowiedzieć, Whitlock dotknął dłonią jego ramienia.

Tillman zauważył ten gest i przechwycił szybko spojrzenie Scoby'ego.

–Ambasador z żoną mają tu być za pół godziny. Mówił pan, że przed ich przybyciem chce się przebrać – przypomniał.

–Ray zostanie i omówi z państwem sprawę dotyczące zabezpieczenia wizyty – zwrócił się Scoby do Whitlocka. – A gdybym był do czegoś potrzebny, wie pan, gdzie mnie szukać.

–Jestem pewien, że zdołamy załatwić wszystko z panem Tillmanem – powiedział Whitlock. – Ale mimo to dziękujemy.

–Gdzie Fabio? – spytała Sabrina po odejściu Scoby'ego.

–Rozmawia w swoim pokoju przez telefon – odpowiedział

Whitlock. – Kiedy meldował się w recepcji, czekała tam na niego jakaś wiadomość. Powinien być lada chwila.

Paluzzi zjawił się po paru minutach.

–Chyba nie na mnie czekacie?

–Właściwie to tak – odparł Whitlock. – Ale przejdźmy może od razu do interesów. – Wyjął z dyplomacji pięć teczek i wręczył każdemu po jednej, ostatnią zostawiając sobie. – Znamy już wszyscy plany senatora na ten weekend. W tych teczkach znajdziecie bardziej szczegółowy program jego wizyty. Chciałbym, żebyście we trójkę przestudiowali go uważnie i razem z inspektorem Eastmanem sporządzili sobie grafik służb na najbliższe dni. Komendant Palmer przydzielił nam już do współpracy kilkunastu ludzi. Inspektor Eastman właśnie odbywa z nimi odprawę. Odpowiedzialni będą przed nim, ale pod jego nieobecność dowództwo przejmuje automatycznie któreś z was, pełniące w tym czasie służbę.

–Na jakie zmiany mamy pracować? – spytał Graham.

–Pozostawiam to do uzgodnienia wam samym – odparł

Whitlock. – Apartament jest strzeżony przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, więc oficjalnie będziecie wolni, kiedy senator położy się spać. Ale każdej nocy jedno z was musi na wszelki wypadek czuwać przy telefonie. Nie dotyczy to Eastmana, bo on nie będzie spał na miejscu. Trzy noce, a więc każde z was dyżuruje jeden raz. W porządku?

–Dla Eastmana owszem – zauważył Paluzzi, po czym spojrział

na Grahama i Sabrinę. – Jeśli nie macie nic przeciw temu, wolałbym mieć dyżur jutro albo w niedzielę. Jeszcze nie doszedłem do siebie po zeszłonocnej wycieczce do Milford.

–Nie ma sprawy – odparła Sabrina. – Mogę wziąć dyżur tej nocy. Dzisiaj i tak wyspałam się za wszystkie czasy.

–Dobrze, w takim razie ja czuwam jutro. Tobie, Fabio, pozostaje zatem niedziela.

–Wspaniale – ucieszył się Paluzzi.

–Jest jednak pewien szkopuł – oznajmił Whitlock. – Każdego ranka senator biega dla zdrowia. Zazwyczaj koło szóstej. Zatem ten, kto będzie danej nocy pełnił dyżur przy telefonie, musi wstać skoro świt i biegać razem z nim.

–Nie wziąłem ze sobą dresu – mruknął Paluzzi.

–To kup sobie – wzruszyła ramionami Sabrina. – Widziałam niezłe u Gucciego. Zaszalej sobie na kartę kredytową UNACO. Po to w końcu mamy konto reprezentacyjne. – Mrugnęła złośliwie do Whitlocka. – Dobrze mówię, C.W.?

–Spróbuj tylko kupić dres u Gucciego, a będziesz miał potrącone z pensji – ostrzegł Paluzziego Whitlock. – Masz znaleźć jak najtańszy.

–Wiesz, C.W., z każdym dniem coraz bardziej przypominasz Siergjeja – mruknęła uszczypliwie Sabrina.

–Bo widziałem nasz roczny budżet. – Whitlock spojrzał ponownie na teczkę, którą trzymał na kolanach. – Będę chciał mieć was wszystkich w pogotowiu jutro po południu, kiedy senator będzie płynął statkiem wycieczkowym, i w niedzielę, kiedy złoży wizytę na cmentarzu w Irlandii. Poza tym macie po prostu robić swoje. Aha, i jeszcze jedno. Jak wiecie, senator ma jutro wieczorem jeść kolację w rezydencji amerykańskiego ambasadora. Ambasady nie zachwycała zbytnio perspektywa, że po jej terenie będą się plątać ludzie z UNACO albo z brygady antyterrorystycznej. Proponowali, żeby dowództwo nad ochroną powierzyć marines. Ostatecznie uzgodniliśmy, że użyją marines, jednak UNACO nadal będzie sprawować nadzór nad całą ochroną. Będę na tym przyjęciu, ale oficjalnie, jako zastępca dyrektora UNACO, nie będę więc mógł poświęcić całej uwagi sprawom związanym z zapewnieniem bezpieczeństwa. Chciałbym, żeby dwoje z was poszło tam ze mną. Sabrina, ty zawsze umiałaś się znaleźć wśród dyplomatów. Myślę, że... – Urwał. – Nie musisz mówić, nie masz ze sobą sukni wieczorowej. Uśmiechnęła się przekornie.

–Właśnie.

–To wypożycz sobie.

–Wypożyczyć? – powtórzyła z niedowierzaniem. – Mam

nosić po kimś?

–Nowej nie kupisz – uciął kategorycznie Whitlock. – To moje ostatnie słowo.

–No dobra, wypożyczę – wysyczała przez zaciśnięte zęby.

–Mike, ciebie też bym chciał tam zabrać.

Graham skinął głową.

Whitlock przeniósł wzrok na Tillmana.

–Czy chciałby pan jeszcze coś dodać?

Tillman pokręcił przecząco głową.

–Nie. Z tego co widzę, już pan o wszystkim pomyślał. Ale kiedy pański zespół opracuje ten grafik służb, chciałbym dostać jeden egzemplarz.

–Nie ma sprawy – zapewnił go Whitlock.

–Nie możemy uzgodnić dyżurów, dopóki nie zobaczymy się z Eastmanem – zauważył Graham.

–Nie oglądajcie się na Eastmana – odparł Whitlock. –

Będzie po prostu musiał się do was dopasować. Grafik dyżurów ma być sporządzony jeszcze tej nocy.

Tillman zamknął teczkę, wstał i skierował się do drzwi.

–Poszło zdecydowanie szybciej, niż przypuszczałem. Gdybyście mnie panowie jeszcze dzisiaj potrzebowali, jestem w apartamencie senatora Scoby'ego.

Whitlock zamknął za Tillmanem drzwi i odwrócił się do pozostałych.

–Przed snem muszę jeszcze przebrnąć przez stos papierkowej roboty. Przynieście mi egzemplarz grafiku, jak tylko go opracujecie. – Skierowali się do drzwi. – Aha, Mike, zostań jeszcze na słówko, dobrze?

–Będziemy u mnie – powiadomiła Grahama Sabrina opuszczając z Paluzzim pokój.

–Nie stawiaj się już więcej Scoby'emu – powiedział Whitlock, kiedy zostali sami.

–Wcale mu się nie stawiałem, C.W. Pytał mnie o "Hawka" Walsh...

–Przecież doskonale wiesz, Mike, że Scoby ma tak samo prawicowe poglądy jak Walsh – przerwał mu Whitlock. – Nie potrzebnie się z tym wyrwałeś.

–A co miałem zrobić? – zapytał Graham. – Przyznać, że "Hawk" Walsh to wspaniały człowiek? O, nie.

–Jeśli zamierzasz polemizować z politykami, naucz się najpierw sztuki dyplomacji.

–A cóż to jest, ta sztuka dyplomacji? – podchwycił z nutką sarkazmu Graham.

–Kiedy byłem studentem, wisiał u mnie na ścianie plakat, na

którym było napisane: "Dyplomacja to umiejętność mówienia komuś, że jest kretyńcem, w taki sposób, by odebrał to jako komplement".

–Nieźle. – Graham wyszczerzył zęby w uśmiechu.

–Więc pamiętaj o tym następnym razem. – Whitlock otworzył drzwi. – Pośpiesz się, zanim Sabrina i Fabio zaklepią sobie najkorzystniejsze dyżury.

Para reflektorów omiotła frontową ścianę bezpiecznego domu w Finsbury Park. Mullen podszedł szybko do okna. W uliczkę skręciła biała mazda i hamowała właśnie przed zamkniętymi

drzwiami garażu. Mullen porwał ze stołu colta i zgasił światło, a potem zajął pozycję w hallu i wymierzył z rewolweru w drzwi wejściowe. Słyszając zbliżające się kroki, położył palec na spuście. Kroki zatrzymały się przy drzwiach. Rozległy się trzy dzwonki przedzielone dwusekundowymi odstępami. Taki właśnie kod uzgodnili wcześniej z Fioną. Ale jeśli to ona, gdzie jest czerwona toyota furgon? Węsząc wciąż jakiś podstęp Mullen podszedł ostrożnie do drzwi. Załomotała w nie czyjaś pięść.

–Otwieraj, Hugh!

Mullen odsunął rygiel, cofnął się o krok i czekał.

–Otwarte.

Fiona otworzyła drzwi i stanęła oko w oko z lufą rewolweru. Mullen upewnił się, że nikt za nią nie stoi, i z ulgą opuścił broń. Fiona zamknęła drzwi i zapaliła światło.

–Gdzie furgonetka? – spytał, kiedy przesunęła się obok niego i zniknęła w salonie.

–Porzuciłam ją – odparła oglądając się na stojącego niepewnie w progu Mullena. – Myślałeś pewnie, że to gliny?

–A co niby miałem sobie pomyśleć? – burknął dotknięty jej sarkazmem. – Czemu porzuciłaś furgonetkę?

Pokazała mu trzy duże, wyściełane w środku koperty.

–Znalazłam je w przegródce na źle zaadresowane listy w Kensington Gardens. Są od Brady'ego. Dzisiaj rano skontaktował się z nim "Prorok" i powiedział, że gliny wiedzą o furgonetce. Miał jeszcze zadzwonić po południu, ale się nie odezwał. Możliwe, że go nakryli. Po tym, jak poinformował nas, że McGuire jest w Szwajcarii, można się było tego spodziewać.

–Czyli niewykluczone, że straciliśmy parasol. To oznacza, że jutro wyjdziemy na akcję odkryci.

–I tak nie byłby nam do niczego potrzebny – powiedziała wyjmując z koperty arkusz papieru. – Brady wszystko już obmyślił.

Będziemy mieć trzy okazje, żeby załatwić Scoby'ego: jutro rano, kiedy będzie biegał, po południu na statku wycieczkowym i w niedzielę, kiedy będzie w Irlandii na grobach dziadków. –

Wręczyła Mullenowi jakąś kartkę. – Tutaj masz wszystkie szczegóły planu sprzątnięcia go jutro na rzece.

**–A jeśli się nie uda? – spytał Mullen oglądając pobieżnie
zapełnioną pismem maszynowym stronicę.**

**–Są też inne wersje – odparła pokazując pozostałe dwie
koperty. – Możemy je otworzyć tylko w razie konieczności.' Takie
dostałam rozkazy. – Spojrzała na zegarek. – Dochodzi dziesiąta. Idę się wykąpać.**

**Przed snem przestudiujemy jeszcze plany na jutro. Musimy wystartować z samego
rana.**

–To znaczy o której?

**–Na poranną przebieżkę Scoby udaje się koło szóstej. Musimy
zdobyć przedtem jakiś samochód, więc trzeba stąd wyjść
najpóźniej o wpół do czwartej. Szczegóły masz tam – powiedziała
wskazując na trzymaną przez Mullena kartkę. – Przeczytaj wszystko
dokładnie, a ja się tymczasem wykąpię. Potem jeszcze raz
wspólnie to przelecimy. Nie możemy sobie pozwolić na żadną
wpadkę...**

Whitlockowi, który ślęczał nad materiałami przywiezionymi z Nowego Jorku, przerwało pracę pukanie do drzwi. Westchnąwszy z irytacją, wstał i poszedł otworzyć.

Ujrzał Paluzziego trzymającego arkusz papieru.

–Prosiłeś o egzemplarz naszego grafiku dyżurów na weekend.

–Dzięki, Fabio – odparł Whitlock biorąc kartkę.

–Jesteś w tej chwili zajęty?

W odpowiedzi Whitlock wskazał na porozrzucane po łóżku papiery.

–Mógłbyś mi może poświęcić pięć minut?

–Jasne. Wchodź – mruknął Whitlock. – Co cię sprowadza?

–Chodzi o wiadomość, którą otrzymałem meldując się wieczorem w recepcji.

–Chyba to nic poważnego? – zaniepokoił się Whitlock. –

Chyba nic się nie przytrafiło Claudine albo małemu Dario?

–Nie, nic z tych rzeczy – uspokoił go natychmiast Paluzzi. –

Wiadomość była od przewodniczącego Kolegium Szefów Sztabów we Włoszech. Chcą, żebym wrócił do kraju i objął stanowisko głównodowodzącego NOCS.

–Przecież odszedłeś stamtąd, bo nie układała ci się współpraca z przełożonymi – zauważył Whitlock.

–Tylko z bezpośrednim zwierzchnikiem, brygadierem Michele Pesco – uściślił Paluzzi. – Zeszłej nocy pozbawiono go dowództwa. Mam zająć jego miejsce.

–I co?

–I nic – westchnął z przygnębieniem Paluzzi. – No, przynajmniej na razie. Powiedziałem im, że potrzebuję trochę czasu, by to przemyśleć. Jestem rozdarty, C.W. Łapałbym pierwszy samolot do Rzymu, by objąć z samego rana dowództwo, jednak żał mi się rozstawać z UNACO. Wiem, że w tej kwestii tylko ja mogę podjąć decyzję, ale zwyczajnie muszę się komuś zwierzyć. Dlatego właśnie do ciebie przyszedłem. Jesteś tu najważniejszy. Chciałem po prostu wyłożyć karty na stół, żebyście nie byli z Siergiejem zaskoczeni, gdybym postanowił przyjąć tę propozycję.

–Z twojego tonu wnioskuję, że już podjąłeś decyzję – uśmiechnął się Whitlock.

–Do tego jeszcze daleko. Sprawa jest na tyle poważna, że po powrocie do Stanów będę ją musiał omówić z Claudine.

–Już wiem, co powie.

–Zdaję sobie sprawę, że dotąd nie zaaklimatyzowała się do końca w Nowym Jorku, co naturalnie wezmę pod uwagę rozważając wszystkie za i przeciw. Są też inne względy, ale postanowiłem, że ostateczną decyzję podejmę sam.

Whitlockowi przypomniała się nagle Carmen. Jak zareaguje, kiedy jej oznajmi, że chce powrócić do pracy operacyjnej? Odegra pewnie dramatyczną scenę odejścia.

–Pomyślałem, że lepiej cię uprzedzić – odezwał się Paluzzi, przerywając niezręczne milczenie.

–Dobrze, że to zrobiłeś. Gdybyś chciał jeszcze porozmawiać, wiesz, gdzie mnie szukać.

Paluzzi pokiwał głową i wyszedł z pokoju. Whitlock przysiadł na krawędzi łóżka i podniósł słuchawkę telefonu. Powiedzieć o tym Kolczynskiemu teraz, czy wstrzymać się do powrotu do Nowego Jorku? Siergiej i tak ma dosyć kłopotów. Nie, trzeba mu powiedzieć. Jeśli Paluzzi odejdzie, on będzie wiedział najlepiej, kim go zastąpić.

Sabrina sięgnęła poprzez mrok do stojącego na szafce nocnej telefonu, namacała słuchawkę i podniosła ją do ucha.

–Dzień dobry, panno Carver. Zamawiała pani budzenie na piątą – oznajmił przyjazny kobiecy głos.

–Mhm – wymamrotała zaspanym głosem Sabrina i odłożyła słuchawkę na widełki.

Najbardziej marzyła o przewróceniu się na drugi bok i zapadnięciu z powrotem w błogi sen. Zmusiła się jednak, by usiąść, po czym zapaliła lampkę nocną, odrzuciła koc i spuściła nogi na podłogę. Tej nocy pełniła dyżur przy telefonie i spała w szarym dresie. Tenisówki leżały tuż koło łóżka, w zasięgu ręki. Ale żadnych telefonów nie było.

Przeczesała palcami rozczochrane włosy i powoli przetarła dłońmi twarz. Nienawidziła zrywania się skoro świt, czyli przed ósmą trzydzieści. Z natury była nocnym markiem. W końcu wstała i nastawiła czajnik. Jeśli już musi rozpoczynać dzień o tak niehumanitarnej godzinie, może filiżanka mocnej czarnej kawy choć trochę pomoże jej to znieść.

Zadzwoił telefon. Westchnęła z irytacją i podniosła słuchawkę.

–Dzieńdoberek. Mam nadzieję, że cię nie obudziłem?

–Mike? – zdziwiła się. – O tej koszarnej godzinie na nogach? I czemu tak szczebioczesz, u diabła?

Graham zachichotał.

–Widzę, że wstałaś lewą nogą.

–Przecież wiesz, że nigdy z samego rana nie tryskam humorem – odburknęła. – O co chodzi?

–Masz ochotę na towarzystwo podczas porannej przebieżki?

–Zdawało mi się, że zazwyczaj biegasz o ósmej? – zauważyła.

–Owszem, zazwyczaj. Ale pomyślałem sobie, że równie dobrze mogę polatać z wami.

–Mam świetny pomysł. Może ty pobiegasz ze Scobym, a ja wrócę do łóżka?

–To ci się udało, Sabrina. No już, wyskakuj z betów. Będę u ciebie za dziesięć minut.

–Powiedzmy za dwadzieścia – odparła.

–Dobra. Za dwadzieścia minut. – Połączenie zostało przerwane.

Odłożyła słuchawkę i stłumiła ziewnięcie. Joggingu nienawidziła prawie tak samo

jak przymusowego wyciągania z łóżka o piątej nad ranem. Prawie. Wiedziała, że Whitlock i Graham to entuzjaści joggingu, sama jednak nie dostrzegała żadnego sensu w bieganiu bez celu tam i z powrotem. Wolała wyżywać się cztery razy w tygodniu na zajęciach aerobiku. Kiedy zaś nie wykonywała żadnego zadania, przez dwa wieczory w tygodniu udzielała gospodyniom domowym lekcji karate w społecznym klubie na Manhattanie. Czarny pas w karate zdobyła jeszcze jako nastolatka.

Odegnawszy od siebie myśli o aerobiku i karate, powlokła się do łazienki.

Graham z Sabriną zjawili się przed apartamentem Scoby'ego punktualnie o piątej czterdzieści pięć. Na korytarzu pod drzwiami czekali już Cross i Johnstone, agenci z brygady antyterrorystycznej wyznaczeni do towarzyszenia Scoby'emu podczas jego porannego biegania. Graham ubrany był jak zwykle w dres drużyny New York Giants. Głowę opasywała mu biała, zawiązana luźno z tyłu bandana.

–Gotowy? – spytał Graham wskazując na drzwi pokoju Scoby'ego.

–Skąd mam wiedzieć? – wzruszył ramionami Cross. – Dopiero co przyszliśmy.

Graham zapukał do drzwi i po chwili otworzył mu Scoby, jeszcze w szlafroku. Przyjrzał się krytycznym wzrokiem dresowi Grahama.

–Liberał i kibic Giantsów?

–Mike kiedyś grał w Giantsach – przyszła Grahamowi z pomocą Sabrina. Graham posłał jej gniewne spojrzenie.

–Naprawdę? – zdziwił się Scoby. – Dlaczego nie odnotowano tego w pańskim dossier?

–Nie był to istotny szczegół.

–Graham...? Nie przypominam sobie takiego nazwiska. Na jakiej pozycji pan grał?

–Quarterbacka. Ale nigdy nie wystąpiłem w pierwszym składzie. Miesiąc po podpisaniu z klubem kontraktu poleciałem do Wietnamu. Tam zostałem ranny w ramię, a to oznaczało koniec mojej kariery sportowej.

–Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Spójrzmy prawdzie w oczy: w Nowym Jorku jest tylko jedna drużyna, w której warto grać.

–Jetsi chcieli mnie pozyskać, kiedy wróciłem z Wietnamu – powiedział Graham z miną pokerzysty. – Mówili, że nawet z felernym ramieniem jestem o niebo lepszy od każdego z ich reprezentacyjnych quarterbacków. Ale ja, choć uwielbiam tę grę, nie mogłem się tak zniżyć. Z Jetsami – nigdy.

–No i dobrze – odparł z wymuszonym uśmiechem Scoby, przeprosił zebranych i poszedł się przebrać. Wrócił parę chwil później w czarno-czerwonym dresie i czarnej baseballowej czapeczce.

–Zawsze pan biega w tym stroju? – spytał Graham.

–Czasami zakładam czarno-żółty. A bo co?

Graham z Sabriną wymienili spojrzenia.

–Myślisz o tym samym co ja? – spytał Graham.

Skinęła głową.

–Może byście tak przerwali ten seans telepatyczny i powiedzieli mi, o co chodzi? – zniecierpliwił się Scooby.

Wyjaśnili mu.

–Przestań! – warknęła na Mullena Fiona.

–Co mam przestać? – zdziwił się Mullen.

–Bębnić palcami o kierownicę.

–A bębniłem? – Mullen wzruszył ramionami, założył ręce na piersi i popatrzył na drogę przed wejściem do Grosvenor House Hotel. – Mówiłaś zdaje się, że zawsze wychodzi pobiegać o szóstej. Jest już dziesięć minut do tyłu.

Siedzieli w błękitnym volkswagenie polo, którego Mullen ukradł tego ranka spod jakiejś posiadłości w Notting Hill. Zanim właściciel zgłosi kradzież, porzucą wóz w innej części miasta. Pierwotnie

zamierzali go spalić, ale doszli do wniosku, że w ten sposób niepotrzebnie ściągnęliby na siebie uwagę. Odcisków palców nie zostawia, oboje nosili rękawiczki. Prócz tego Fiona miała na głowie rudą perukę do ramion. Na desce rozdzielczej leżały okulary przeciwsłoneczne. Mullen ukrył swoje długie, rzadkie włosy pod czarnym filcowym kapeluszem Fiony. Również miał przeciwsłoneczne okulary, wetknięte w tej chwili do górnej kieszonki sztruksowej kurtki. Fiona spojrzała na zegarek. Tkwili już tutaj od czterdziestu minut. Co z tym Scobym? Spóźnianie się nie leżało w jego naturze.

–Ej, zobacz – odezwał się nagle Mullen wskazując na wychodzących z hotelu Crossa i Sabrinę. – To może być obstawa Scoby'ego.

–Może – mruknęła Fiona nie odrywając od tamtych wzroku.

Cross i Sabrina rozejrzeli się bez pośpiechu, po czym skinęli na kogoś stojącego za nimi w drzwiach.

–To Scoby – syknął Mullen, rozpoznając charakterystyczny, czarno-czerwony dres, o którym była mowa w dyrektywie.

Fiona wydobyła spod swego siedzenia pistolet maszynowy Skorpion.

Sprawdziwszy jeszcze raz, czy jest załadowany, położyła go sobie na kolanach i utkwiała wzrok w trojgu ludziach przed hotelem. Przeszli przez ulicę kierując się w stronę Grosvenor Gate. Fiona ścisnęła mocniej pistolet. Miała ich jak na dłoni. Nagle zaklęła pod nosem i schyliła się gwałtownie, pociągając za sobą Mullena. Kiedy tamci weszli do Hyde Parku, wyprostowała się z powrotem.

–Czemu go nie zdjęłaś? – syknął Mullen.

–To nie był Scoby – odwarknęła. – To zmyłka.

–Zmyłka? Czyli że Scoby wymknął się innym wyjściem, pod czas gdy my sterczeliśmy tu jak kołki.

–Właśnie.

–Dokąd teraz? – spytał Mullen sięgając do tkwiących w stacyjce kluczyków.

–Zostajemy tutaj. Mam przeczucie, że wszyscy spotkają się gdzieś w Hyde Parku. Nie możemy ich przeoczyć.

Mullen spojrzał na nią, ale już się nie odzywał.

Nie minęła minuta, kiedy Fiona zauważyła dwie postacie w dresach wynurzające się z przebiegającej obok hotelu Upper Grosvenor Street.

–Mamy fart – mruknęła uśmiechając się do siebie.

Jednym z ludzi w dresach był Scoby.

Sabrina, Cross i Johnstone, ubrany w dres Scoby'ego i jego czarną baseballową czapkę, dobiegli do Ring Tea House na terenie Hyde Parku i zatrzymali się tam.

Sabrina odpięła od paska krótkofalówkę.

–Zgłoś się, Mike.

–Tu Graham – usłyszała zdyszany głos.

–Gdzie jesteście? – spytała.

–Przy Brook Gate – poinformował. – Ściągnęliście na siebie uwagę?

–Nie, jest spokój. O ile w tym miejscu można mówić o spokoju.

W każdym razie żadnych kłopotów.

–Dobra, lecimy dalej – powiedział Graham. – Spotkamy się za dziesięć minut przy Fontannach, tak jak uzgadnialiśmy.

–Zrozumiałam. Bez odbioru.

Cross zatarł dłonie w rękawiczkach.

–Chłodnawo dzisiaj – stwierdził.

–Chłodnawo? – parsknął Johnstone. – Zimno jak cholera.

Komu normalnemu chce się w taki ranek latać po dworze? –

Zerknął na Sabrinę. – Wiem, gdzie chciałbym teraz być.

Dziewczyna obdarzyła go niewinnym uśmiechem.

–Ja też wiem.

–Naprawdę? – spytał Johnstone uśmiechając się znacząco do Crossa.

–Pewnie. Przy Fontannach. Jazda.

Cross parsknął śmiechem na widok zawiedzionej miny Johna i obaj ruszyli za Sabriną na miejsce spotkania.

–Zatrzymali się – stwierdził Mullen zdejmując nogę z gazu. –

Co mam robić?

–Trzymaj się pasa wolnego ruchu – poleciła Fiona opuszczając sterowaną elektrycznie szybę. – I załóż okulary.

Mullen wcisnął okulary na nos. Kiedy znajdowali się niecałe czterdzieści jardów od celu, dogonił ich i wyprzedził biały rover z dwoma ludźmi w środku, zjechał na zajmowany przez nich pas i zwolnił dostosowując szybkość do dwójki biegnących równoległe do ulicy mężczyzn. Kierowca machnął na Mullena, żeby ich minął.

Mullen zaklął.

–To na pewno jacyś z ich obstawy. Co teraz?

–Jedź za nimi – rozkazała Fiona, zaciskając palce na rękojeści pistoletu maszynowego. – Zaraz będziemy w zasięgu strzału.

–Nawet jeśli ci się uda załatwić Scoby'ego, nigdy się nie urwiemy temu roverowi – parsknął Mullen. – To zbyt ryzykowne, Fiona. Dajmy na razie spokój.

–Wskocz na ogon tej bryce za nami – warknęła Fiona

ogładając się za siebie. Wóz wyprzedził ich. – Teraz!

Mullen przyśpieszył i minął rovera. Fiona zaczekała, aż zrównają się z biegnącymi, i uniosła gotowy do strzału pistolet maszynowy.

Graham spostrzegł lufę skorpiona w ostatniej chwili i powalił Scoby'ego na ziemię brutalnym futbolowym chwytem. Ułamek sekundy później seria pocisków zdarła korę z drzewa obok nich. Rover wyrwał natychmiast do przodu, puszczając się w pościg za polo, który w szybkim tempie zaczął się oddalać od dwóch leżących na chodniku mężczyzn.

Fiona wychyliła się przez okno, wygarnęła do rovera i szybko cofnęła głowę do środka. Pociski podziobały kuloodporną przednią szybę wozu, ale nadal trzymał się uparcie za nimi. Fiona otarła pot z czoła i obejrzała się z rozpaczą. Rover ich doganiał. Było tylko kwestią czasu, kiedy wyprzedzi polo i zajędzie mu drogę. Dojeżdżali do Cumberland Gate i Mullen przeniósł stopę z gazu na pedał hamulca. W górze zamajaczył Marble Aren. Mullen wyprzedził czarną taksówkę i kiedy wprowadzał wóz w ostry wiraż, Fiona posłała serię w jej opony. Trafiła w tylną lewą i taksówka, wpadając w poślizg, zmusiła kierowcę rovera do naciśnięcia hamulców. Koła wozu zablokowały się i rover, sunąc siłą rozpędu po oblodzonej jezdni, wyrznięt z impetem w bok taksówki, która pod wpływem uderzenia przeleciała przez trotuar i rąbnęła przodem w ogrodzenie z kutych metalowych prętów. Zanim kierowca rovera odzyskał panowanie nad swoim pojazdem, polo objechał Marble Aren i wpadł po jego drugiej stronie w Park Lane. Po kilku sekundach zniknął w North Row.

Graham wsadził berettę z powrotem do noszonej z tyłu kabury i pomógł Scoby'emu pozbierać się z chodnika.

–Nic się panu nie stało, senatorze?

–Chyba nie – wymamrotał wciąż jeszcze oszołomiony Scoby.

Graham połączył się z Sabriną i opowiedział jej, co się stało.

Przybiegła po paru minutach z Crossem i Johnstonem. Cała trójka ledwo zipała po sprincie.

–Gdzie Corbyn i Turnbull? – wysapał Cross.

–Ruszyli w pościg za tamtym wozem – odparł Graham. –

Słyszałem jakąś strzelaninę, ale jeszcze się nie zgłosili.

–Mogę pożyczyć? – spytał Cross, wskazując na trzymaną przez Grahama krótkofalówkę.

Kiedy udało mu się połączyć z roverem, Turnbull opowiedział o pościgu.

–Zwiały sukinsyny – syknął na koniec z wściekłością.

–Wezwaliście posiłki? – spytał Cross.

–Są w drodze. Wezwałem też karetkę do taksówkarza. Czy z senatorem wszystko w porządku?

Cross zerknął na Scoby'ego.

–Jest trochę oszołomiony, ale wyszedł z tego bez szwanku.

–Prawie ich mieliśmy, Pete. Jeszcze dziesięć sekund i zepchnęlibyśmy ich z drogi.

–Tak, rozumiem – mruknął z przygnębieniem Cross i oddał

krótkofalówkę Grahamowi.

–Przede wszystkim musimy odtransportować pana do hotelu – zwrócił się do Scoby'ego Graham.

–Lada moment powinien tu być samochód z centrali – dodał Johnstone.

–Diabli z samochodem – zaprotestowała Sabrina. – Jesteśmy tu jak na patelni. Co będzie, jeśli zabójcy postanowią wrócić?

–Co zatem proponujesz?

–Zaraz zobaczysz – odparła, po czym podeszła do krawężnika i machnięciem ręki zatrzymała pierwszą przejeżdżającą taksówkę. Whitlock czekał na nich w foyer.

–Nic się panu nie stało, senatorze? – spytał z niepokojem, kiedy weszli do hotelu.

–Dzięki Mike'owi nic. Gdyby mnie nie zbił z nóg, byłbym teraz w drodze do kostnicy.

No proszę, przeszedł z powrotem na Mike'a, pomyślał z sarkazmem Graham. Po następnej wymianie poglądów politycznych będzie znowu Graham. Ale było mu wszystko jedno, jak się do niego zwraca Scoby. Nie lubił senatora i z utęsknieniem czekał na koniec weekendu, jednak niezależnie od swojego stosunku do Scoby'ego był gotów zrobić wszystko, by mu włos nie spadł z głowy. Wiedział, że Paluzzi i Sabrina myślą podobnie. Z tego

co zaobserwował, Sabrina darzyła Scoby'ego jeszcze mniejszą niż on sympatią, mając go za zarozumialca, aroganta, obłudnika i megalomana. Były to wszystko niezbędne atrybuty prezydenta Stanów Zjednoczonych.

–Sabrino, może wpadniecie do nas z Mike'em na kawę? – zaproponował Scoby. – Wiem, że Melissa bardzo chce was poznać.

–Idźcie – poparł go Whitlock. – Dzwoniłem do Eastmana, jest już w drodze. Przeanalizujemy wszystko z miejscowymi ludźmi. Zobaczymy się za parę godzin.

Sabrina spiorunowała Whitlocka wzrokiem i powlokła się za Scobym i Grahamem do windy.

Kiedy wkroczyli do apartamentu, Melissa Scoby była jeszcze w sypialni. Scoby poszedł opowiedzieć jej, co się wydarzyło, i parę minut później wrócili razem do salonu. Sabrina przechwyciła taksujące spojrzenie Melissy, które powędrowało natychmiast ku stojącemu przy oknie Grahamowi. Uśmiechnęła się w duchu. Melissa Scoby poczuła chyba na sobie wzrok Sabriny, bo spojrzała na nią chłodno, po czym wyciągnęła rękę do Grahama.

–Jack opowiedział mi, co się stało. Dziękuję.

Graham wzruszył z zażenowaniem ramionami i uwolnił dłoń z przedłużającego się nieco uścisku. Scoby przedstawił żonę Sabrinie. Mimo kordialności powitania Sabrina wyczuła niechęć Melissy i doszła do wniosku, że wynika ona z zainteresowania żony senatora Grahamem.

Scoby zadzwonił do służby hotelowej i zamówił cztery kawy. Graham i Sabrina podziękowali uprzejmie za śniadanie, wymawiając się, że mają zjeść później, razem z Whitlockiem.

–Proszę, spocznijcie – powiedział senator wskazując na stojące za nimi fotele.

Graham usiadł na najbliższej sofie. Sabrina natychmiast zajęła miejsce obok niego i dostrzegła wrogie spojrzenie Melissy Scoby. Uśmiechnęła się niewinnie patrząc jej prosto w oczy.

Scoby rozsiadł się w fotelu naprzeciwko.

–Muszę przyznać, że początkowo, kiedy pan Whitlock ostrzegwał mnie, że IRA może próbować w Anglii zamachu na moje życie, uważałem, że jest w błędzie. Wygląda jednak na to, że mieliście rację. Wciąż jednak nie rozumiem, co chcą przez to osiągnąć. Zyskaliby tylko tyle, że jeszcze więcej Amerykanów obróciłoby się przeciw IRA. Z dnia na dzień wyschłoby źródło wsparcia finansowego. Nie widzę w tym żadnego sensu.

–My również – powiedziała Sabrina. – Ale dopóki nie wyjaśnimy pewnych kwestii, musimy traktować sytuację bardzo poważnie. Po wydarzeniach dzisiejszego ranka nie podlega to dyskusji.

–Nie ma mowy, żebym odwołał którykolwiek z punktów mojej wizyty – zastrzegł od razu Scoby.

–Byłoby to dla nich wielkie propagandowe zwycięstwo – dodała Melissa Scoby przysiadając na poręczu fotela męża.

–Nie tylko dla nich – podchwycił Scoby ujmując jej dłoń. – Wyobraźcie sobie, ile mogliby namieszać w przyszłych wyborach prezydenckich demokraci, mając w ręku taki oręż. Ale to nie wszystko. Zawsze twierdziłem, że jedynym sposobem na pokonanie terroryzmu jest otwarte stawienie mu czoła, ponieważ im dłużej odwlekamy konfrontację, tym bardziej rośnie w siłę.

–Wcale nie sugerujemy, by zmieniał pan program swej wizyty, senatorze – powiedziała Sabrina. – Ale do końca swego pobytu w Anglii musi pan otrzymać ściślejszą ochronę.

Rozległo się pukanie do drzwi. Johnstone otworzył, wziął tacę od kelnera z obsługi hotelowej i wniósł ją do salonu. Melissa Scoby rozlała kawę do filiżanek i rozdzieliła je między obecnych. Znowu ktoś zapukał. Tym razem był to Tillman. Wyraźnie poruszony odepchnął Johnstone'a i wpadł do salonu.

–Wszystko w porządku, Jack? – rzucił zbliżając się do Scoby'ego.

–Jasne – odparł z uśmiechem Scoby. – Siadaj, Ray. Kawy?

–Czemu do mnie od razu nie zadzwoniłeś? – Tillman podszedł do okna i po chwili odwrócił się z powrotem do Scoby'ego, bębniąc nerwowo palcami po udzie. – Wiem od Whitlocka, co się stało. Trzeba mnie było powiadomić, Jack.

–A o czym tu było mówić? Strzelili do mnie i spudłowali – powiedział spokojnie Scoby. – Nie ma się co nad tym rozwodzić. Nie widziałem powodu, żeby cię budzić. Pomyślałem, że i tak wkrótce się dowiesz.

Tillman odwrócił się do Grahama.

–Dlaczego dopuściliście ten samochód w pobliże senatora?

Wygląda to na poważne zaniedbanie z waszej strony.

–Siadaj, Ray! – warknął Scoby, wskazując palcem stojące przy oknie krzesło.

Tillman łypnął spode łba na Grahama i usiadł, splatając ciasno ręce na kolanach.

–Nadal uważam, że pańscy ludzie powinni spostrzec go wcześniej.

–Zostanie wszczęte dochodzenie – zapewnił go Graham. –

I jeśli ma pan rację, winni tego niedbalstwa poniosą konsekwencje.

Czy to pana satysfakcjonuje?

Tillman nie odpowiedział. • Graham dopił do końca kawę i wstał.

–No cóż, jeśli mi państwo wybaczą, chciałbym wziąć prysznic i przebrać się.

–Ja też – rzuciła Sabrina zostawiając kawę i zrywając się z miejsca.

Scoby odprowadził ich do drzwi.

–Wiem, Mike, że nie ma takich czynów ani słów, którymi mógłbym ci się odwdzięczyć za uratowanie mi życia. Ale dziękuję.

Graham uściśniła wyciągniętą dłoń Scoby'ego i wyszedł za Sabriną z pokoju.

–Na twoim miejscu uważałabym na Melissę Scoby – poradziła mu Sabrina, kiedy dotarli do windy i byli zbyt daleko, by mogli ich podsłuchać dwaj agenci dyżurujący przed apartamentem.

–Co masz na myśli? – spytał Graham naciskając guzik.

–Przecież widać, że na ciebie leci.

–Skąd ten pomysł? – zdumiał się Graham.

–Powiedzmy, że intuicja.

–Intuicja? – powtórzył z sarkazmem. – Powinienem był się domyślić.

Powstrzymała ogarniający ją gniew.

–Mówię tylko to, co widziałam.

–Więc źle widziałas – uciął kategorycznie.

Drzwi windy rozsunęły się na ich piętrze i ruszyli korytarzem w kierunku swoich pokoi.

Zbliżając się do drzwi, Sabrina wyciągnęła z kieszeni dresu kartę magnetyczną.

–Wiem, że się nie mylę, Mike.

–A właśnie że się mylisz. Zasugerowałaś się widać tym, co zeszłej nocy mówił nam o Melissie Scoby C.W., że flirtuje na prawo i lewo... i teraz dopasowujesz do tego rozmaite bzdury.

Proponowałbym, żebyś odłożyła osobiste odczucia na bok i skupiła

się na robocie.

–Tylko bez protekcjonalizmu, Graham – warknęła ze złością, wciskając kartę do zamka. Pchnęła drzwi zdecydowanym ruchem.

Odczekał, aż drzwi zamkną się za nią z powrotem, pokręcił w zadumie głową i wszedł do swojego pokoju.

–Możemy porozmawiać, Jack? – spytał Tillman, kiedy Scoby pożegnawszy Grahama i Sabrinę wrócił do salonu.

–Jasne – odparł Scoby. – O czym?

Tillman spojrzał na Melissę Scoby. Zrozumiała wymowę tego spojrzenia i zniknęła w sypialni, zamykając za sobą drzwi.

–No, mów – mruknął Scoby, ponaglając Tillmana niecierpliwym gestem ręki.

–Poszczyściło ci się, Jack. Następnym razem możesz nie mieć tyle fartu. Muszę mieć pewność, że wrócisz do domu cały i zdrowy. A to oznacza, że twoja ochrona będzie musiała wykazać się znacznie większą czujnością, niż miało to miejsce dzisiaj rano.

–Czemu nie powiesz bez ogródek, o co ci naprawdę chodzi, Ray? – mruknął Scoby. – Boisz się, że jeżeli zginę, znajdziesz się między Kolumbijczykami a mafią, czy tak?

–To nieprawda, Jack – zachnął się Tillman. – Zawsze mam na względzie przede wszystkim twoje dobro.

–Nie powiem, żebym miał cię kiedykolwiek za altruistę, Ray – odparł z pogardą Scoby. – Siedzisz w tym tak samo jak ja, więc może się nie oszukujmy, co?

Tillman przeczesał palcami czuprynę.

–Handryczymy się jak para uczniów o randkę.

–Jeśli dobrze pamiętam, w tych sporach zawsze stawało na moim – uśmiechnął się z satysfakcją Scoby.

–Tak, na twoim – wycedził przez zaciśnięte zęby Tillman. – Ale w końcu to ty zawsze byłeś na pokaz, a ja od myślenia.

–Skoro taki z ciebie myśliciel, to czemu nie zadbałeś o należyłą ochronę? – wybuchnął Scoby. – Wczoraj miałeś po temu okazję.

–Nie jestem specjalistą od ochrony – odciął się Tillman. – Zakładałem, że Whitlock wie, co robi.

–W takim razie proponuję, żebyś sprawdził to jeszcze raz.

Chodzi tu nie tylko o moje, ale i o twoje bezpieczeństwo. Miej to na uwadze. Bo gdy mnie zabraknie, koniec interesów i z Kolumbijczykami, i z mafią. Urwą ci się wszystkie kontakty.

Tillman otarł pot z czoła.

–Pogadam z Whitlockiem, gdy wróci do hotelu.

–Pogadaj, Ray. A teraz wybaczone, chciałbym się wykąpać przed

śniadaniem.

–O której masz to śniadanie?

Scoby poklepał Tillmana po ramieniu.

–Bez obaw, tym razem na pewno zadzwonię i dam ci znać.

Tillman stłumił złość i wyszedł sztywno z pokoju.

Fiona z Mullenem porzucili skradziony samochód koło Claridges i wrócili metrem do bezpiecznego domu w Finsbury Park. Po przybyciu na miejsce Fiona otworzyła wmurowany w ścianę sejf ukryty za obrazem van Gogha i wyjęła z niego kopertę oznaczoną literą "B". Zawierała ona plan zamordowania Scoby'ego podczas popołudniowego rejsu statkiem wycieczkowym po Tamizie. Fiona usiadła, rozdarła kopertę i wyjęła z niej arkusz papieru oraz kluczyk na plastikowym kółku. Odłożyła kluczyk na stolik i rozpostarła kartkę. Zapoznawszy się ze szczegółami operacji, włączyła pilotem telewizor. Leciały akurat poranne wiadomości.

Do pokoju wszedł Mullen z dwoma kubkami herbaty. Postawił je na stoliku i wskazał ręką na ekran.

–Jest coś o nas?

Pokręciła głową i podała mu kartkę.

–Przeczytaj.

Mullen usiadł na sofie i przeczytał uważnie tekst.

–Brady zadał sobie wiele trudu, żeby nam to przygotować.

–Też tak myślę – odparła. – Dlatego musimy się postarać, żeby znowu czegoś nie spieprzyć.

Mullen pociągnął łyk herbaty i uśmiechnął się lekko.

–Nie spieprzymy. Tym razem go mamy. Naprawdę go mamy.

–Uwierzę, kiedy zginie – oświadczyła Fiona i wskazała na trzymany przez niego kubek. – Sprężaj się. Przed nami jeszcze masa roboty.

Natychmiast po powrocie do hotelu Whitlock zadzwonił do Grahama i Sabriny i kazał im się stawić w swoim pokoju. Graham przybył pierwszy. Eastman i Paluzzi już tam czekali.

–Jeśli jesteś głodny, to tam masz żarcie – oznajmił Whitlock, pokazując stojący przy łóżku stolik na kółkach.

Graham wziął trzy plasterki bekonu i włożył je między dwie grzanki. Potem nalał sobie kawy i usiadł na łóżku.

Kiedy zjawiała się Sabrina, Whitlock ponownie wskazał palcem stolik.

–Dzięki, dla mnie tylko kawa – powiedziała.

–Mike, nalej Sabrinie kawy – polecił Whitlock.

–Sama sobie naleję – burknęła szorstko, podchodząc do stolika.

–Co z wami? – spytał podejrzliwie Whitlock.

–Nie, nic – odparła Sabrina.

Whitlock przeniósł gniewny wzrok z Sabriny na Grahama.

–Mike...?

–Ja do Sabriny nic nie mam – odparł zgodnie z prawdą Graham.

–Lepiej przestańcie się na siebie boczyć, bo jak nie możecie pracować razem, to sprowadzę tu jakiś inny zespół. Zrozumiano?

Sabrina obdarzyła Whitlocka swoim najbardziej ujmującym uśmiechem i zajęła miejsce obok Paluzziego.

–Wcale się na siebie nie boczymy, C.W.

–Bujać to my, ale nie nas, Sabrina. Wiem, kiedy macie ze sobą na pieńku. Dostyc się napatrzyłem, gdy z wami pracowałem. Lepiej wyjaśnijcie tę sprawę jeszcze dzisiaj. – Whitlock podniósł rękę, zanim Sabrina zdążyła otworzyć usta. – Ale dość już o tym. Może zaczniemy wreszcie odprawę? Keith właśnie otrzymał ze Scotland Yardu wiadomość, że odnaleziono samochód, którym uciekli zamachowcy.

Eastman kiwnął głową.

–Stał porzucony na Brook Street, jakieś pięćdziesiąt jardów od Claridges. Zamknięto wszystkie okoliczne ulice na wypadek, gdyby w samochodzie była bomba. Do akcji wkroczył zespół jednostki saperskiej ATO.

–Jak daleko jest Brook Street od miejsca, w którym zgubiliśmy samochód? – spytała Sabrina.

–Milę, może nawet mniej – odparł Eastman. – Chyba porzucili samochód w wielkim pośpiechu. Drzwiczki nie były zamknięte, a w stacyjce tkwiły kluczyki.

–Musieli zdawać sobie sprawę, że wkrótce zostaną wykryci z powietrza – stwierdził Paluzzi.

–Czy ktoś widział, jak uciekają z samochodu? – zapytała Sabrina.

–Wóz zostawili pod jakimś sklepem. Właściciel zeznał, że udali się Binney Street w kierunku Oxford Street. Z Binney Street jest parę przecznic do stacji metra przy Bond Street. A tam są już nasi mundurowi funkcjonariusze ze zdjęciami Mullen. Mamy nadzieję, że znajdą kogoś, kto widział, jak wchodzi na stację. Metro to chyba najlogiczniejsza droga ucieczki.

–Ale po dotarciu do metra mogli pojechać dosłownie wszędzie – zauważył Paluzzi.

–Cóż, pozostaje nam tylko rozpytywać o nich i liczyć na to, że może ktoś sobie coś przypomni – wzruszył ramionami Eastman.

–Fakt, jej rude włosy były dosyć charakterystyczne – przyznał Graham. – Chyba czegoś takiego by nie przeoczyli.

–Widziałeś ją? – spytał zaskoczony Eastman.

–Mignęły mi tylko jej włosy.

–A twarz? – dociekał Eastman.

Graham pokręcił głową.

–Za szybko to się odbyło.

Whitlock nalał sobie kolejną filiżankę herbaty.

–Zanim do was zadzwoniłem, odwiedził mnie Ray Tillman.

Nie był zachwycony organizacją ochrony dzisiejszego ranka.

–Tak, nas też już za to objechał – powiedział Graham spoglądając na Sabrinę.

–Prawdę mówiąc nie wiem, co poza obstawieniem Park Lane i okolicznych ulic mogliśmy uczynić dla ochrony senatora. Kiedy opuszczaliśmy Nowy Jork, radziłem mu, żeby zrezygnował w Londynie z porannego biegania. Ale on nie chciał nawet o tym słyszeć.

Uparł się, że będzie biegał, i już.

–Czy mam jutro podwoić ochronę? – spytał Eastman.

–Jutro rano senator nie będzie nigdzie biegał – odparł twardo Whitlock.

–Powiedział ci to? – zainteresował się Paluzzi.

–Nie. Ja mu to powiedziałem, kiedy wyrzuciłem Tillmana za drzwi.

Graham uśmiechnął się.

–I co on na to?

–Początkowo nie był zachwycony, ale kiedy zaznaczyłem, że chociaż nie jestem w stanie zabronić mu porannego biegania, mogę zabronić wam dotrzymywania mu towarzystwa, najwyraźniej zmiękł. Zatem przynajmniej to mamy już z głowy. – Whitlock wyjął ze swojej dyplomatki teczkę i otworzył ją. – Wcześniej omówiłem z komendantem Palmerem organizację ochrony na dzisiejsze popołudnie. Stało na tym, że policja miejska weźmie na siebie zapewnienie senatorowi bezpieczeństwa w rejonie Tamizy.

Operacją pokieruje osobiście komendant Palmer. Ja będę

dowodził na samej rzece. – Odwrócił się do Paluzziego. – Ty, Fabio, potrafisz

prowadzić helikopter, więc chciałbym, żebyś miał na wszystko oko z lotu ptaka.

Weźmiesz ze sobą Mike'a. Polecicie nie oznakowaną policyjną maszyną. W powietrzu będą też inne policyjne śmigłowce, ale one mają za zadanie obserwować większy obszar. Wy będziecie się trzymać jak najbliżej statku.

–Wnioskuje z tego, że to ja będę na statku ze Scobym – stwierdziła Sabrina.

–Oboje tam będziemy – uściślił Whitlock. – Na razie to wszystko. Sabrina, najdalej o dziewiątej mamy się stawić na przystani w Charing Cross i przeczesać statek razem z policją rzeczną oraz zespołem jednostki saperskiej.

–Wybacz, ale muszę wracać do Yardu – powiedział Eastman wstając z miejsca. – Rozumiem, że gdybym chciał się z tobą skontaktować, mam cię szukać na przystani?

–Spędzę tam pewnie cały ranek. Ale jeśli nie, zostawię numer telefonu, pod którym będzie mnie można złapać – odparł Whitlock.

–Świetnie. Do zobaczenia – powiedział Eastman i wyszedł z pokoju.

–A co z nami? – spytał Paluzzi wskazując na Grahama.

–Macie o dziesiątej odprawę z policją powietrzną. Przyślą po was samochód. – Whitlock podniósł swoją dyplomatkę i ruszył do drzwi. – Możecie też dokończyć to śniadanie, skoro już za nie zapłaciliśmy. Wychodząc pamiętajcie tylko, żeby zamknąć drzwi. Chodź, Sabrina, musimy już lecieć.

Sabrina rzuciła pozostałym rozpaczliwe spojrzenie, po czym zerwała się sprężyć na nogi i ruszyła za Whitlockiem.

Fiona z Mullenem dojechali metrem do stacji Great Portland Street i stamtąd przeszli pieszo na pobliski parking, gdzie odszukali białego peugeota kombi o numerze rejestracyjnym zgodnym z numerem wydrukowanym na plastikowym kółku od kluczyków, które Fiona miała w torbie. Oboje naciągnęli na dłonie rękawiczki, ale kiedy Mullen wyciągnął rękę po kluczyki, Fiona pokręciła głową i sama usiadła za kierownicą. Mullen wzruszył tylko ramionami i zajął miejsce obok niej.

Przed wyjściem z domu Fiona wytyczyła sobie na planie Londynu trasę do opuszczonego magazynu w okolicach Grosvenor Road niedaleko Pimlico Gardens i wykuła ją na pamięć. Kiedy

przyjechali na miejsce, podała Mullenowi kluczyk. Do budynku przylegał zamknięty na kłódkę garaż. Mullen wysiadł z samochodu, rozejrzał się uważnie, przykucnął i otworzył kłódkę. Oczekał, aż Fiona wprowadzi peugeota do garażu, i założył kłódkę z powrotem. Potem wszedł do magazynu i zamknął za sobą drzwi. Magazyn stał opuszczony od ponad dwóch lat. Większość okien była wybita, ściany pokrywały bohomy graffiti, a po podłodze walały się puste drewniane skrzynie; na wielu z nich widniało jeszcze firmowe logo. Mullen poszedł otworzyć Fionie drzwi łączące magazyn z garażem. Garaż był znacznie większy, niż można by się spodziewać patrząc na niego z zewnątrz. Nic dziwnego, że firma zbankrutowała, skoro dyrektor potrzebował dla swojego samochodu tyle miejsca, pomyślał Mullen.

Operacja przygotowana została bardzo starannie. Podłogę bagażnika peugeota wyłożono dywanikiem w kratę. Pod spodem, pod dywanikiem i podłogą, znajdowały się dwa pistolety maszynowe Ingram MAC II, nie większy od paczki papierosów nadajnik radiowy, dwa kombinezony do nurkowania, dwa zestawy aparatów do oddychania w obwodzie zamkniętym, dwa noże z plastikowymi trzonkami i lornetka z autofokusem. Mullen wyładował sprzęt i Fiona uniosła wykładzinę podłogową. Pod nią, obok koła zapasowego, leżała hermetycznie zamknięta skrzynka z ośmiokilogramowym rosyjskim granatnikiem przeciwczołgowym RPG-7 i dwoma granatami OG-7 o ogromnej sile rażenia. Podobnie jak pistolety maszynowe, skrzynka była owinięta wodoszczelnym materiałem. Mullen dzwignął ją i wydobył z samochodu, po czym Fiona opuściła z powrotem wykładzinę i zamknęła bagażnik.

–Załóż to – poleciła, rzucając Mullenowi jeden z kombinezonów do nurkowania.

–Tutaj? Razem? Nie jesteśmy... – wyjąkał Mullen. – To znaczy, ty i Sean...

–Na miłość boską, Hugh, nie uwodzę cię, mamy robotę. –

Zdecydowanym ruchem ściągnęła podkoszulek, odsłaniając biały stanik. – Idź do magazynu, jeśli się krępujesz – dodała.

Mullen zaczerwienił się i zniknął w magazynie zamykając za sobą drzwi. Fiona włożyła kombinezon i zasunęła suwak pod brodę. Poprawiała właśnie kaptur, kiedy rozległo się dyskretne pukanie.

–Wchodź, Hugh – krzyknęła.

Mullen wszedł i zaczął upychać swoje ubrania w leżącej na tylnym siedzeniu wozu podręcznej torbie, w której znajdowały się już rzeczy Fiony. Dziewczyna wzięła do ręki lornetkę i podeszła do zardzewiałych metalowych schodków prowadzących na biegnący górą pomost. Wdrapała się tam, ukucnęła przy jednym z rozbitych okien, przystawiła lornetkę do oczu i przesunęła powoli wzrokiem wzdłuż rzeki. Mullen obserwował ją stojąc u podnóża schodków.

–I co? – spytał, kiedy opuściła lornetkę.

–Brady miał rację. Z tego miejsca widać przez lornetkę Lambeth Bridge.

–A barka?

–Jest dokładnie tam, gdzie miała być.

Fiona popatrzyła przez lornetkę na parking po drugiej stronie rzeki. Niebieska furgonetka stała na stanowisku. Pod podwoziem pojazdu, obok baku z paliwem, tkwił już pewnie mały ładunek wybuchowy. Spojrzała odruchowo na przymocowany do paska nadajnik radiowy. Eksplozja odwróciła na moment uwagę ochrony i wtedy, korzystając z zamieszania, wślizgnęła się niepostrzeżenie na pokład barki i zmontowała granatnik. Zbiegła po schodach na dół i przeszła w kąt hali, gdzie piętrzyła się sterta pustych, rzuconych niedbale skrzyń. Mullen pomógł jej je przesunąć. W posadzce pod nimi znajdowała się mała drewniana kłapa. Uniosła ją. Ujrzała pordzewiałą, kończącą się w wodzie drabinkę. Zapaliła latarkę i skierowała ją w półmrok. Na powierzchni kołysały się przywiązane do drabinki dwa cygarowate skutery podwodne. Spojrzała na zegarek. Statek wycieczkowy miał niebawem opuścić przystań Charing Cross.

–Przynieś akwalungi – poleciła Mullenowi. – Musimy być gotowi do startu z chwilą, gdy statek dopłynie do Lambeth Bridge.

Skinął głową i pobiegł z powrotem do samochodu. Fiona wróciła do okna i skierowała lornetkę na rzekę. Teraz pozostawało im tylko czekać...

John Moody był rodowitym londyńczykiem urodzonym w zasięgu słyszalności dzwonów kościoła St Maryle-Bow w Cheapside. Obecnie dobiegał już sześćdziesiątki, a od czterdziestu lat zajmował się pilotowaniem statków wycieczkowych pływających po Tamizie. Można go było rozpoznać na pierwszy rzut oka po białej, wciśniętej na łysą głowę czapce z daszkiem i nieodłącznej fajce z korzenia wrzośca, którą trzymał w poźółkłych od nikotyny

zębach. Stał teraz w sterówce swojego statku, "Merry Dancera", zacumowanego przy przystani Charing Cross.

Tego ranka spotkał się z Whitlockiem i Sabriną. Polubił oboje od pierwszego spojrzenia. Byli z nim szczerzy, a tę cechę zawsze najbardziej cenił. O jedenastej trzydziści na przystani zjawiał się burmistrz ze swą żoną oraz Jack i Melissa Scoby.

Paparazzi – łowcy sensacji – zacierali ręce. Wynajęli drugi statek wycieczkowy i zamierzali popłynąć nim tuż obok "Merry Dancera" na wypadek, gdyby drugi zamach na życie Scoby'ego okazał się skuteczniejszy od pierwszego. Aparaty fotograficzne były załadowane i gotowe do strzału...

Sabrina stanęła w progu sterówki. Moody uśmiechnął się do niej.

–Jeśli o mnie chodzi, to możemy odbijać, kochana.

–No to odbijajmy – odparła i wskazując na znajdujący się dokładnie pod nimi salon dodała: – Ale i tak nikt z tamtych nie zauważy, czy statek płynie, czy stoi. Wszyscy okupują bufet.

Moody parsknął rubasznym śmiechem, po czym wychylił się przez okienko sterówki i krzyknął do wyrostka na brzegu, żeby rzucił liny.

–Lepiej wróć pilnować senatora – oznajmiła Sabrina.

Zeszła po schodkach i wkroczyła do salonu, pośrodku którego na trzech wielkich stołach rozstawione były rozmaite dania. Zbliżył się do niej Scoby.

–Jeśli ma pani wolną chwilę, chciałbym zamienić słówko na osobności. – Wskazał na schodki. – Może wyjdziemy na pokład?

–Przecież pan wie, że nie powinien się narażać na niepotrzebne ryzyko – przypomniała mu. – Mówiono to panu jeszcze przed przyjazdem. Jeśli IRA ma gdzieś tutaj swoich zabójców...

–No dobrze, wobec tego zostańmy tutaj – zgodził się Scoby wzruszając z rezygnacją ramionami. Wziął ją pod rękę i zaprowadził przez salę do miejsca, w którym nikt nie mógł ich podsłuchać.

–Czy jest pani zadowolona ze swojej pracy w UNACO?

–Pewnie. A dlaczego pan pyta?

–Chciałbym zaproponować pani posadę. Objęcie dowództwa nad moją ochroną.

–Nie miałam pojęcia, że może pan sobie sam dobierać skład ochrony – zauważyła z nutką sarkazmu w głosie.

Scoby uśmiechnął się.

–Mam kontakty, gdzie trzeba. Mógłbym przenieść panią do

Secret Service tego samego dnia, kiedy złoży pani podanie o dymisję w UNACO.

Co pani na to?

Sabrina pomyślała, że wcale nie interesują go jej zdolności. Raczej to, że jest kobietą. Czy istnieje lepszy sposób na pozyskanie większej liczby kobiecych głosów, niż mianowanie kobiety szefem swojej osobistej ochrony? Uśmiechnęła się w duchu. Czy równie ochoczo zaproponowałby tę posadę Whitlockowi? Może przysporzyłoby mu to ciut więcej liberalnych głosów, ale wątpiła, by takie posunięcie przypadło do gustu Ku-Klux-Klanowi. Trzeba było jednak oddać Scoby'emu sprawiedliwość: nigdy nie znaleziono dowodu na jego powiązania z Klanem, jego prawnicy wytoczyli nawet proces gazecie, która opublikowała artykuł na ten temat.

–Rozbawiła panią moja oferta? – zdziwił się Scoby.

–Nie, nic podobnego. Pańska propozycja bardzo mi pochlebia, ale chyba jednak pozostanę przy UNACO.

–A jeżeli UNACO zostanie rozwiązana? Po wydarzeniach ostatnich dni jest to całkiem możliwe. Co wtedy?

–Do rozwiązania UNACO dojdzie jedynie w przypadku, jeśli nie uda nam się ochronić pana przed IRA. I dlatego będziemy chodzić za panem krok w krok, dopóki nie wróci pan do kraju i nie znajdzie się z powrotem pod skrzydłami Secret Service. Scoby przyjrzał się jej uważnie, a potem uśmiechnął się szeroko.

–No dobrze, miejmy zatem nadzieję, że UNACO nie zostanie rozwiązana. Przynajmniej do czasu, aż wrócę bezpiecznie do kraju.

Podeszła do nich Melissa Scoby. Rzuciła Sabine pogardliwe spojrzenie i zwróciła się do męża.

–Kochanie, burmistrz zaczyna już się boczyć, że nie ma cię przy stole. Pójdźmy poprawić mu humor.

Scoby pocałował żonę w policzek i przeniósł wzrok na Sabrinę.

–Cóż bym bez niej począł? Jest głosem mojego sumienia.

Zawsze tam, gdzie jej potrzebuję.

–Jack – syknęła Melissa.

Scoby powrócił wraz z żoną do stołu. Sabrina wyszła po schodkach na pokład i oparła się o reling. Mijali Jubilee Gardens. Spojrzała na drugi statek płynący śladem "Merry Dancera". Prasa. Sępy czyhające na łup. Policja rzeczna zabroniła im podróżować burta w burtę z "Merry Dancerem", ponieważ podczas rejsu po rzece statek miały oskrzydlać dwie policyjne motorówki. Podniosła wzrok na biały helikopter lecący dwadzieścia jardów przed dziobem statku. To pewnie Paluzzi z Grahamem. Odwracając

się z powrotem do schodków, zauważyła w sterówce Moody'ego. Uśmiechnął się do niej i pomachał ręką. Również mu pomachała i zeszła z powrotem pod pokład.

Eastman zobaczył przez okno policyjnej furgonetki nadjeżdżający samochód Palmera i wyszedł mu "naprzeciw.

–Dzień dobry, sir – rzucił na powitanie.

Palmer spojrzał na zegarek.

–Spóźniłem się, Keith. Minęło już południe.

Eastman uśmiechnął się z przymusem. Było zaledwie dziesięć minut po dwunastej, ale wolał się nie odzywać. Stary sukinsyn był najwyraźniej nie w sosie.

–Liczyłem, że zdążę przed odpłynięciem statku, ale zostałem zatrzymany w Yardzie. Komisarz mnie wezwał. A on, jak się rozgada, to nie może skończyć. – Palmer sięgnął do kieszeni płaszcza po paczkę papierosów. – Zapalisz?

–Dziękuję, sir. – Eastman poczęstował się, wyjął zapalniczkę i przypalił oba papierosy.

–Czy statek odbił o czasie? – spytał Palmer.

–Tak, sir.

–A jak ochrona? Wszystko idzie zgodnie z planem?

–Wszystko pod kontrolą, sir – potwierdził Eastman. – Jestem w stałym kontakcie z Whitlockiem. Porozstawiałem też naszych ludzi w regularnych odstępach wzdłuż trasy, więc gdyby coś się działo, mogę z miejsca wprowadzić ich do akcji.

–Kto dowodzi śmigłowcami?

–Ja, sir. Mam w powietrzu trzy policyjne helikoptery i jedną nie oznakowaną maszynę UNACO, która trzyma się blisko statku. Oprócz tego statek oskrzydłają dwie policyjne motorówki, a pięć innych patroluje trasę. IRA nie zdoła wykonać żadnego ruchu, który nie zostałby dostrzeżony z wody lub z powietrza.

–Miło to słyszeć. – Palmer zaciągnął się głęboko, po czym podniósł wzrok na policyjny helikopter pikujący tuż nad ich głowami i skręcający ku Lambeth Bridge. – Rano dzwonił do mnie Dave Thompson.

–Ten z Guardiania?

–Tak. Miał telefon od Kevina Brady'ego.

–A więc IRA wzięła na siebie odpowiedzialność za poranną próbę zamachu na Scoby'ego?

–Wręcz przeciwnie. Brady kategorycznie zaprzeczył, jakoby IRA miała z tym coś wspólnego.

–Przypuszczam, że równie kategorycznie zaprzecza, jakoby Gallagher, Mullen i Kerrigan byli członkami IRA.

–Kerrigan nie żyje – zakomunikował Palmer.

–Brady tak powiedział?

–Nie, dostałem dziś rano wiadomość od szwajcarskich władz. W pobliżu jakiegoś domku, dziesięć mil od Lucerny, odnaleziono porzucony helikopter, którym poruszali się w Szwajcarii. W domku znaleziono ciało Kerrigana. Został zastrzelony.

–Najpierw Lynch, a teraz Kerrigan – powiedział Eastman, przygryzając w zadumie wargę. – Co pan z tego wnioskuje, sir?

–Sam nie wiem. Na razie.

–Nie wydaje się panu, że może to jakaś walka wewnętrzna o władzę w IRA? Nie jest tajemnicą, że Brady i Lynch nigdy za sobą nie przepadali. Był to jeden z głównych powodów, dla których Lynch postanowił osiąść w Szwajcarii. A Kerrigan zawsze żył z Lynchem w dobrej komitywie. Może Lynch zamierzał wrócić do Irlandii, by wszcząć kampanię mającą na celu wygryzienie Brady'ego ze stanowiska szefa sztabu Rady Armii?

–Jest taka możliwość – przyznał Palmer. – Ale to wciąż nie wyjaśnia, gdzie tu pasuje Scoby.

–Dominie Lynch był blisko związany z Seanem Farrellem i Fioną Gallagher. A jeśli Lynch i Farrell planowali zabicie Scoby'ego,

by zrzucić potem całą winę na Brady'ego? W końcu taka dyrektywa musiałaby wyjść z samego dowództwa Rady Armii. Farrell został aresztowany przed przybyciem Scoby'ego, więc wykonanie rozkazu spadło na Gallagher. Wiem, że to tylko hipoteza, sir, ale wyjaśniałaby motywy zabójstw Lyncha i Kerrigana. W kącikach warg Palmera zagościł rzadko spotykany uśmiezek.

–Wiesz, Keith, mówisz to tak, jakbyś tam był i wszystko widział. Jeszcze o tym porozmawiamy. – Uśmiezek znikł równie szybko, jak się pojawił. – Muszę wracać do Yardu. Mam o pierwszej spotkanie z człowiekiem z Wydziału Specjalnego. Chcę być informowany na bieżąco o rozwoju sytuacji.

–Nawet gdyby nic się nie działo?

–Zwłaszcza gdyby nic się nie działo. Jeśli będę wiedział, że jest spokój, może uda mi się przynajmniej ograniczyć to świństwo. – Cisnął papierosa na ziemię, rozgniół go czubkiem buta i wsiadł z powrotem do samochodu.

Eastman wrócił do furgonetki. Z tyłu siedziało pięciu mundurowych funkcjonariuszy, każdy ze słuchawkami na głowie. Utrzymywali stałą łączność ze wszystkimi jednostkami policji miejskiej zaangażowanymi w zapewnienie bezpieczeństwa na rzece i wzdłuż jej brzegów. Jeden z ludzi poinformował Eastmana, że na linii czeka Whitlock. Eastman zajął miejsce w fotelu przy drzwiczkach i nasunął na uszy słuchawki.

–Gdzie się podziewałeś? – usłyszał głos Whitlocka.

–Właśnie był tu komendant – wyjaśnił Eastman. – Musiałem zdać mu relację.

–U nas spokój – powiedział Whitlock. – Jak dotąd, mieliśmy tylko jedną atrakcję. Żona burmistrza rozlała sobie na suknię kieliszek czerwonego wina.

–Paskudna sprawa – uśmiechnął się Eastman. – Aha, byłbym zapomniał, mam dla ciebie nowinę. Kerrigan nie żyje. Dziś rano szwajcarskie władze odnalazły w jakimś domku jego zwłoki. Został zastrzelony.

–Najpierw Lynch, teraz Kerrigan. Myślisz, że te morderstwa coś łączy?

–Na razie nie ma na to chyba żadnych dowodów, ale mam w tej sprawie własną teorię, którą przedstawiłem już komendantowi Palmerowi. Przedyskutuję ją później z tobą przy piwku.

–Trzymam cię za słowo. No, lepiej pójdę sprawdzić, co z motorówkami. Wkrótce odezwę się znowu.

–Dobra. Bez odbioru.

Mullen otarł grzbietem dłoni pot z twarzy. Skafander zaczynał nieprzyjemnie grać. A może to tylko nerwy? Fiona, siedząca w kucki na pomoście w magazynie i lustrująca przez lornetkę rzekę, sprawiała wrażenie bardzo spokojnej. Kiedy chciał

się do niej odezwać, uciszyła go uniesieniem ręki, nie odrywając nawet na moment wzroku od rzeki. Przechadzał się więc teraz nerwowo tam i z powrotem, czekając na sygnał do rozpoczęcia akcji.

Nagle Fiona zakłęła głośno.

–Co jest? – spytał z niepokojem, zatrzymując się w pół kroku i podnosząc na nią wzrok.

–Leci na nas policyjny helikopter – syknęła przywierając plecami do ściany i po chwili maszyna przemknęła z hukiem tuż nad dachem magazynu. Odczekała, aż warkot silnika ścichnie w oddali, po czym wyjrzała ostrożnie przez okno.

–Widzisz go? – krzyknął z dołu Mullen.

–Odlatuje w kierunku Albert Bridge. Pierwszy raz zapuścił się tak daleko w dół rzeki, czyli że "Merry Dancer" zaraz tu będzie.

Skierowała lornetkę z powrotem na Lambeth Bridge. Nad mostem unosił się już nie oznakowany biały helikopter. W polu widzenia pojawił się dziób "Merry Dancera". W sterówce stało dwóch mężczyzn. W jednym z nich rozpoznała Whitlocka. Drugim był Moody. Patrzyła, jak zdejmuje czapkę z zaciekami potu na otoku, ociera przedramieniem czoło i zakłada ją z powrotem na łysą głowę. Opuściła lornetkę i obejrzała się na Mullena. Nie musiała nic mówić. Podeszedł do kłapy i zaczął zakładać aparat do oddychania. Oczekiwanie się skończyło.

Stephen Tanner należał do najbardziej doświadczonych funkcjonariuszy policji powietrznej. Był kiedyś pilotem RAF-u, a do policji miejskiej wstąpił po wojnie falklandzkiej. Bruce Falconer dla odmiany zaledwie przed miesiącem ukończył szkołę policyjną. Był spokojnym młodzieńcem o łagodnym głosie, a jego niewiara w siebie zrobiła na przełożonych takie wrażenie, że przydzielili go do współpracy Tannerowi, by przy nim okrzepł. Teraz, po upływie dwóch tygodni, nabrał trochę pewności siebie i Tanner zaczynał już lubić swojego nowego partnera.

–Ej, czy to czasem nie Stamford Bridge? – spytał Tanner szczerząc zęby i wskazując na stadion piłkarski w pewnej odległości od Albert Bridge, do którego właśnie się zbliżali.

–Bardzo śmieszne – fuknął Falconer.

–Ach, przepraszam, zapomniałem – odparł Tanner z jeszcze szerszym uśmiechem. – Masz zdaje się bilety na dzisiejszy mecz?

–Mam, ale nic mi po nich.

–Nie martw się, mały, jeszcze nieraz dowiesz się w ostatniej chwili, że nici z twoich prywatnych planów – pocieszył go Tanner, przesuwając drążek w lewo i wprowadzając helikopter w pełen gracji nawrót o sto osiemdziesiąt stopni.

–Jesteś bardzo... – Falconer urwał i chwycił lornetkę.

–Co tam? – zaniepokoił się Tanner.

–Chyba coś widziałem na dole – odparł Falconer nie odrywając lornetki od oczu.

–Gdzie?

–W tamtym opuszczonym magazynie – odpowiedział Falconer wskazując palcem budynek.

–Podlecę tam, to się lepiej przyjrzymy – zdecydował Tanner, wprowadzając helikopter w ostry wiraż w lewo. – Co widziałeś?

–Nie wiem. Coś mi mignęło przez moment w jednym z rozbitych okien. – Falconer zaklął ze złością i opuścił lornetkę.

Helikopter zniżał lot kierując się na magazyn. – Przepraszam, powinienem się bardziej skupić.

–Bez przesady. Mówisz, że zobaczyłeś coś podejrzanego, i to mi wystarczy. Sprawdzimy.

–Wyjdę na durnia, jeśli okaże się, że to fałszywy alarm.

–Wyjdiesz na jeszcze większego, jeśli o tym nie zameldujemy, a okaże się, że stoi za tym IRA. – Tanner wskazał na radio. – Zgłoś to, mały.

Falconer skinął głową i sięgnął po mikrofon.

Fiona siedziała pochylona na pierwszym podwodnym skuterze, mknącym cicho przez muliste wody w kierunku barki. Mullen, wiozący hermetycznie zamkniętą skrzynkę, trzymał się tuż za nią. Mrok przed nimi oświetlały silne reflektory, a drogę wskazywał im detektor wiązki kierunkowej nastrojony na długość fali sygnału generowanego przez nadajnik naprowadzający przymocowany do kadłuba barki.

Kiedy dopłynęli do barki zacumowanej na środku rzeki, Fiona przywiązała swój skuter do jej łańcucha kotwicznego i zgasila reflektor. Potem, trzymając się blisko kadłuba, odpięła od paska światłowodowy peryskop i wysunęła jego czubek nad powierzchnię wody. W kilka sekund zorientowała się w sytuacji. Od barki do Vauxhall Bridge było dwieście jardów. "Merry Dancer" zbliżał się już do mostu i za chwilę miał rozpocząć nawrót, by skierować się z powrotem w kierunku Tower Bridge. Znajdował się teraz nie dalej jak kilkaset jardów od mostu. Zacznie zakręcać za niecałą minutę. Fiona wsunęła peryskop z powrotem do tuby, z futerału przy pasku wyjęła nadajnik i wyciągnęła jego krótką antenkę. Potem zdjęła ochronny kapturek z przycisku detonatora i wdusiła go.

Whitlock jako pierwszy z pasażerów "Merry Dancera" zareagował na eksplozję. Chwył Scooby'ego za ramię i zbił go brutalnie z nóg.

–Na podłogę! – krzyknęła Sabrina do dezorientowanych gości. – Nie podnosić głów! – Wyszarpnęła z kabury berettę i podbiegła schylona do okna. Zobaczyła źródło eksplozji. Niecałe pięćdziesiąt jardów od mostu stały w płomieniach szczątki niebieskiej furgonetki, a ku niebu wzbijały się kłęby czarnego dymu.

Whitlock w kilku susach znalazł się obok klęczącej przy oknie Sabriny i spojrzał tam, gdzie patrzyła. Nagle zatrzeszczała jego krótkofalówka.

–Tu Whitlock. Odbiór – rzucił do mikrofonu.

–C.W., natychmiast ewakuuj wszystkich ze statku! – wrzasnął Eastman. – Załaduj ich do policyjnej motorówki po prawej

burcie. Pośpiesz się!

Sabrina podbiegła do schodków i zaczęła wypędzać przerażonych gości na pokład.

–Sabrina już ich wyprowadza. Co tam się dzieje? – zapytał Whitlock Eastmana.

–Na razie wiem tylko tyle, że na pokładzie barki znajdującej się dwieście jardów od mostu zauważono jakieś dwie postacie. Wygląda na to, że jedna z nich montuje coś w rodzaju granatnika.

Wydałem już rozkaz pilotowi helikoptera i dwóm policyjnym motorówkom, żeby zbliżyli się do barki. Może zdekongcentruje to tamtych na tyle, że zdążycie ewakuować "Merry Dancera".

–Zrozumiałem. Połącz się z Fabio i powiedz mu, żeby też tam poleciał. Nie ma potrzeby, żeby krążył dalej nad statkiem.

–Przekażę mu. Bez odbioru.

Whitlock przypiął krótkofalówkę z powrotem do paska i wbiegł po schodkach na pokład, gdzie Sabrina pomagała właśnie ostatniej kobiecie wsiąść do motorówki. Na transport czekali jeszcze mężczyźni. Whitlock obejrzał się z niepokojem. Wciąż nie widział, co się dzieje z policyjną motorówką, która asekurowała lewą burtę statku. A zdawał sobie sprawę, że czas nagli...

–Na litość boską, szybciej! – warknęła do Mullen Fiona.

–Już kończę – odparł przymocowując do pocisku tylne brzechwy.

Kiedy tylko stanęli na pokładzie barki, Fiona rozwinęła z wodoodpornego materiału dwa pistolety maszynowe Ingram MAC II. Teraz dzierżyła w dłoni jeden z nich i czekała, aż

policyjny helikopter znajdzie się w zasięgu strzału. Mullen wsunął pocisk do lufy granatnika RPG-7 i dźwignął broń na ramię.

–Widzisz dobrze cel? – spytała spoglądając na Mullen.

Mullen, mrużąc oko, przymierzył się do strzału.

–Nie za bardzo, ale nawet jeśli trafię w policyjną motorówkę, która zasłania mi statek, siła wybuchu powinna być wystarczająca, żeby uszkodzić także "Merry Dancera". Nie zapominaj, że to pociski o dużej sile rażenia.

–No to wal – mruknęła.

Nagle tuż nad barką przemknął z hukiem silników helikopter. Mullen, zmuszony do gwałtownego schylenia głowy, usiłował skupić ponownie uwagę na celu. Fiona posłała serię za odlatującą łukiem maszyną. Kiedy helikopter ponownie na nich zanurkował, otworzyła doń ogień z obu pistoletów maszynowych, ale kuloodpornemu kadłubowi nie mogła wyrządzić szkody. I znów Mullen musiał się ratować rozpaczliwym unikiem. Klnąc na cały głos wziął na celownik RPG-7 oddalającą się maszynę i pociągnął za spust. Kiedy pocisk opuszczał lufę, płetwy stabilizujące rozprostowały się z trzaskiem, nadając mu w jego drodze do celu powolny ruch wirowy. Po przebyciu pięciu metrów głowica bojowa automatycznie się uzbroiła.

Granat uderzył w bok kadłuba helikoptera, który do ostatniej chwili desperacko usiłował uniknąć trafienia. Część maszyny rozerwała się na drobne kawałki, które spadły deszczem do wody. Poskręcane resztki kadłuba, wirując groteskowo, runęły do rzeki i w ciągu kilku sekund zatonęły z sykiem stopionego metalu. Mullen triumfalnie poderwał do góry zaciśniętą pięść. Potem sięgnął po drugi granat, nakręcił brzechwę i wsunął pocisk do komory. Fiona rozejrzała się i stwierdziła, że w ich stronę mkną na pełnym gazie dwie policyjne motorówki.

Za "Merry Dancera" wypadł następny nie oznakowany helikopter i zatoczył łuk przed barką. Przestraszonemu Mullenowi drgnął palec na spuście. Na sekundę wściekłość wzięła górę nad rozsądkiem i złożył się do helikoptera, szybko się jednak opamiętał. Został mu tylko jeden pocisk. Musiał wystrzelić go w statek. Kiedy maszyna znowu znalazła się w zasięgu strzału, Fiona zasypała go gradem pocisków z obu pistoletów maszynowych. Wyczerpały się jej magazynki i w pośpiechu wymieniła je na nowe, ale zanim zdołała ponownie złożyć się do strzału, barkę przeorała seria z działka pokładowego. Ledwo zdążyła przypaść do pokładu, pociski podziobały burtę. Patrzyła z przerażeniem, jak Mullen,

trafiony w ramię, wypuszcza z rąk granatnik, który niknie pod wodą. Obejrzał się na nią; na jego twarzy malował się ból i niedowierzanie. Fiona przypięła z powrotem aparat tlenowy i naciągnęła na twarz maskę.

Mullen, zataczając się, dopadł swojego sprzętu i zawył z bólu usiłując podnieść go zranioną ręką. Odwrócił się, by poprosić o pomoc Fionę, i oczy rozszerzyły mu się na widok wycelowanej w jego pierś lufy ingrama.

–Co robisz? – wyjąkał.

–Dalej poradzę już sobie bez ciebie – prychnęła z pogardą.

–Fiona... błagam – wymamrotał rozpaczliwie. – To tylko powierzchowna rana. Dam sobie radę. Nie będę ci kulą u nogi. Możemy jeszcze dorwać Scoby'ego.

–Nie jesteś mi potrzebny do przeprowadzenia następnego wariantu operacji.

–Nie możesz tego wiedzieć, dopóki nie otworzysz koperty.

–Nie muszę jej otwierać. Od początku znałam szczegóły wszystkich trzech wariantów. Te koperty miały ci tylko zamydlić oczy. Zabiłabym cię niezależnie od tego, jak skończyłaby się dzisiejsza operacja.

Mullen spojrzał jej w oczy. Nie było w nich wahania ani skrupułów, jedynie pogarda. Ależ był głupcem...

Fiona nacisnęła spust. Pocisk rozerwał Mullenowi pierś, a siła uderzenia rzuciła go plecami na burtę barki. Nieszczęśnik osunął się na kolana wytrzeszczając z niedowierzaniem oczy, po czym runął twarzą na rozpostarty przed nim brezent. Dziewczyna wygarnęła jeszcze do nadlatującego helikoptera, odrzuciła broń i wskoczyła do wody. Policyjni nurkowie, którzy otaczali już barkę, natychmiast rzucili się do miejsca, w którym zniknęła.

–Rozwaliła go z zimną krwią – powiedział Graham, ścis kając w rękę mini-uzi, które rano wydebił w Scotland Yardzie, i przeczesując wzrokiem powierzchnię wody.

Paluzzi się nie odzywał.

Graham spojrział na niego i uświadomił sobie, że coś z nim nie w porządku. Był zlany potem, twarz wykrzywił mu ból.

–Co z tobą, Fabio? – zaniepokoił się.

–Nie tylko jego postrzeliła – wysyczał przez zaciśnięte zęby Paluzzi.

–Gdzie dostałeś? – spytał Graham.

–W bok. Kula przeszła chyba przez klatkę piersiową. Jezu, jak cholernie boli. – Paluzzi spojrział na Grahama. – Spróbuję wylądować na tamtym opuszczonym nabrzeżu w dole rzeki. Ale nie wiem, czy mi się uda, więc teraz zejdem nad samą wodę, żebyś mógł wyskoczyć. Zgoda?

–Niech mnie diabli porwą, jeśli wyskoczę – zaperzył się Graham. – Obaj dolecimy do doków.

Paluzzi potrząsnął przecząco głową i opuścił helikopter ku powierzchni wody.

–No, wyskakuj – rzucił.

–Nie marnuj czasu, tylko leć do tych cholernych doków – warknął Graham.

Paluzzi wyciągnął rękę i odpiął Grahamowi pas bezpieczeństwa, a potem przechylił gwałtownie maszynę. Graham, nie mając się czego chwycić, wyleciał głową w dół z helikoptera i wpadł do wody.

Paluzzi wyrównał lot i zwrócił maszynę ku opuszczonym dokom. Wiedział, że po drodze są jeszcze inne miejsca, gdzie może wylądować, ale gdyby helikopter się rozbił, stanowiłby zagrożenie dla ludzi zamieszkujących te tereny. Nie, musiał trzymać się rzeki i dotrzeć do doków. Zaciskał zęby, bo z każdym ruchem jego ciało przeszywał ból. Oczy szczypały od potu, ale nawet nie próbował go obetrzeć. Potrzebował obu rąk do trzymania sterów. Poczuł, że traci przytomność. Tablica rozdzielcza rozmazała mu się przed oczami. Zacisnął powieki i po chwili z powrotem je rozwarł. Odzyskał ostrość wzroku. Pomyślał o Claudine i Dario. Jeśli z tego wyjdzie, będzie w przyszłości przywiązywał większą wagę do tego, co mówi Claudine. Wiedział, że żona chce powrócić do Włoch. Wróć. Obejmie to stanowisko w NOCS. Ale teraz nie wolno mu usnąć. Zegary znowu zaczęły się rozmywać. Zamrugał szybko oczami, jednak tym razem tablica przyrządów nadal pozostała rozmyta. Ręka ześlizgnęła mu się z drążka i zanim zdołał odzyskać kontrolę nad maszyną, helikopter przechylił się ostro. Płozy musnęły tafłę wody. Paluzzi nie mógł poruszyć rękami. Były jak z ołowiu. Nie doleci do doków. Rozbije się...

Grahama wyłowiała z wody policyjna motorówka. Nie chciał pomocy medycznej, pozwolił tylko zarzucić sobie na ramiona koc. Woda była lodowata i ciepło sprawiało mu przyjemność. Pozostał

na pokładzie motorówki, która pomknęła za oddalającym się helikopterem.

Maszyna zniknęła im z oczu za zakrętem rzeki. Kilka sekund później rozległa się ogłuszająca eksplozja i przerażeni ujrzeni, jak w niebo wzbijają się kłęby czarnego, gęstego dymu. Jednak pełny obraz katastrofy ukazał się ich oczom dopiero wtedy, gdy motorówka pokonała zakręt. Helikopter ugrzązł w kratownicy ruchomego dźwigu na nabrzeżu, na którym zamierzał wylądować Paluzzi. Maszyna eksplodowała, jej poskręcany ogon leżał po drugiej stronie nabrzeża. Kadłub, lizany wciąż przez płomień, zamienił się już w poczerniałą skorupę.

Graham opadł wolno plecami na oparcie ławki i ukrył twarz w dłoniach. Kapitan położył mu dłoń na ramieniu.

–Sir! – krzyknął nagle do kapitana obserwator zajmujący stanowisko nad mostkiem. – Tam w wodzie ktoś jest!

Graham zrzucił z ramion koc i podbiegł do relingu.

–O Boże, on ma rację – wykrztusił z niedowierzaniem kapitan, patrząc na nieruchome ciało, które unosiło się na powierzchni wody trzydzieści jardów na prawo od dziobu motorówki.

Zanim kapitan zdołał cokolwiek zrobić, Graham dał nura do wody. Młócąc ją potężnymi wymachami ramion podpłynął do Paluzziego, którego głowa przetaczała się bezwładnie tam i z powrotem po wydętej kamizelce ratunkowej. Po twarzy Włocha ciekła krew z rozcięcia na czole poniżej linii włosów.

Do obu mężczyzn zbliżyła się policyjna motorówka i pomocne dłonie wyciągnęły Paluzziego z wody. Kiedy Graham wgramolił się do łodzi, Paluzzi leżał już rozciągnięty na pokładzie.

–Żyje? – spytał z obawą Graham stając nad bezwładnym ciałem.

–Tak, ale jest nieprzytomny i ma bardzo słaby puls – odparł lekarz.

–Musiał wyskoczyć w ostatniej chwili – stwierdził kapitan.

–Fakt – przytaknął Graham. – Mógł wylądować wcześniej, ale celowo leciał na to opuszczone nabrzeże, żeby w razie, gdyby po drodze zemdlał, wypadek nie pociągnął za sobą dalszych ofiar.

–Pewnie również z tego samego powodu wyrzucił do rzeki pana – dodał kapitan.

Graham kiwnął głową.

–Dokąd płyniemy? – zapytał.

–Na przystań Cadogan. Wezwałem przez radio ambulans.

Będzie tam już czekał, a potem pojedzie prosto do Guy's Hospital. Lekarz wyprostował się.

–Słaby puls, ale nie ma się co dziwić. Miał znaczny wpływ krwi. Najbardziej niepokoi mnie rana głowy. To głębokie rozcięcie. W szpitalu będą musieli zrobić mu od razu tomografię mózgu.

–A co z raną postrzałową? – spytał Graham.

–Kula przeszła go na wylot. Sądząc po kacie, pod którym

wszedł pocisk, można przypuszczać, że ma też połamanych parę żeber. Ale bez odpowiednich instrumentów nie mogę niczego stwierdzić na pewno – odparł lekarz i wskazał na przemoczone ubranie Grahama. – Radziłbym się przebrać. Zanim się pan obejrzy, będzie zapalenie płuc. Pod pokładem znajdzie pan jakieś ciuchy. Każę komuś z załogi sprowadzić pana na dół.

Graham popatrzył jeszcze raz na Paluzziego, po czym zniknął w luku.

Przed zeskoczeniem z barki Fiona wyregulowała detektor wiązki kierunkowej.

Kiedy nurkowie przeszukiwali silnymi podwodnymi reflektorami wodę wokół statku, oddaliła się już stamtąd spory kawałek. Kierowała się na rząd łodzi mieszkalnych zakotwiczonych w dole rzeki. Od początku nie miała zamiaru wracać do magazynu, zdawała sobie bowiem sprawę, że pod ich nieobecność policja może natknąć się na samochód.

Detektor prowadził ją po wiązce sygnału radiowego wysyłanego przez nadajnik przymocowany do burty łodzi mieszkalnej. Łódź należała do pewnej pary, która zgodnie z dyrektywą od dziesięciu dni bawiła na wakacjach. Mieli wrócić dopiero w przyszłym tygodniu. Fiona przycumowała skuter do łańcucha kotwicznego, zrzuciła w wodzie płetwy i butlę z tlenem, i wspięła się na pokład. Nie obchodziło ją, czy zostanie zauważona. Nawet gdyby ktoś wszczął alarm, będzie już daleko, zanim zjawi się tu policja.

Wyrzuciła maskę za burtę, zbiegła po schodkach pod pokład i dorobionym kluczem otworzyła drzwi do kabiny głównej. Zrzuciwszy skafander podeszła do wbudowanej w ścianę szafki. Wewnątrz stała torba, w której znalazła dżinsy, sweter i parę mokasynów. Ubrała się pośpiesznie, upchnęła do torby skafander i zeszła po trapie na brzeg. Udała się na najbliższą stację metra, skąd pojechała pociągiem do Finsbury Park.

Widząc nadbiegającego szpitalnym korytarzem Whitlocka, Graham wstał.

–Szybciej nie mogłem – wysapał Whitlock. – Jak z nim?

–Wszystko będzie dobrze – pocieszył go Graham.

–Co mówił doktor?

–Kula weszła bokiem i wyszła plecami. O dziwo, oprócz paru złamanych żeber nie ma żadnych poważniejszych obrażeń wewnętrznych. Ale na głowę musieli mu założyć dwadzieścia dwa szwy.

–Mózg nie został uszkodzony?

–Nie.

–Dzięki Bogu – odetchnął z ulgą Whitlock. – Więc widziałeś już się z nim?

–Nie, jeszcze nie. Cały czas jest pod działaniem środków znieczulających. Pielęgniarka obiecała mnie zawołać, kiedy się ocknie.

Whitlock usiadł na ławie i osuszył chusteczką czoło.

–Czterdzieści minut rozmawiałem przez telefon z Siergiejem.

Dlatego tak się spóźniłem. Wieści już tam dotarły i tego teraz

obrywa, i to nie tylko od sekretarza generalnego. Był również telefon z Białego Domu. Sam prezydent.

–Sądząc po ich reakcji, można by pomyśleć, że Scoby gryzie już ziemię – burknął Graham.

–To głównie wina Tillmana. Odkąd wrócili do hotelu, cały czas wisi na słuchawce. I nie wyraża się zbyt pochlebnie o UNACO.

–Dziwisz się? – spytał Graham krzywiąc z niesmakiem usta. – Od samego początku tylko czeka na nasze potknięcia. Ale czego się spodziewać po takim przydupasie? Wie, że Scoby jest na fali i zrobi wszystko, żeby od niego nie odpaść.

–W Tamizie odnaleziono szczątki helikoptera – zmienił temat Whitlock. – Ale wciąż ani śladu Tannera i Falconera.

–Rakieta trafiła w samą kabinę – przypomniał ponuro Graham. – Nie ma cudów, żeby z tego wyszli.

–Wciąż nie rozumiem, czemu Gallagher zabiła Mullena – powiedział Whitlock skrobiąc się po głowie.

–Wiem tylko tyle, że przed wskoczeniem do wody wpakowała w niego dwanaście kul – odparł Graham. – Zdumiewa mnie jej zimna krew. Po prostu skierowała na faceta skorpioną i wykończyła go. Nie miał żadnych szans.

Drzwi naprzeciw nich otworzyły się na oścież i na korytarz wyszła pielęgniarka. Uśmiechnęła się do Grahama.

–Pan Paluzzi właśnie odzyskał przytomność. Może pan wejść. Tylko nie na długo. Jest wciąż bardzo osłabiony.

–Czy możemy wejść obaj? – spytał Whitlock.

–Oczywiście. Czy któregoś z panów zwą C.W.? – zapytała.

–Tak, mnie – odparł zdziwiony Whitlock. – A o co chodzi?

–Wzywał pana, zanim jeszcze się ocknął. Wrócę za kilka minut i podam mu następną dawkę środka znieczulającego.

Whitlock odczekał, aż pielęgniarka odejdzie, po czym pchnął drzwi i zajrzał do sali.

–To nie jest zaraźliwe – powiedział chrapliwym głosem Paluzzi. Był blady, a jego oczy błyszczały od środków anestetycznych. Na widok wchodzącego za Whitlockiem Grahama zdobył się na słaby uśmiech. – Czołem, Mike. Jak leci?

–Z tego, co widzę, lepiej niż tobie – odparł Graham. Przysunął sobie krzesło i usiadł. – Jak się czujesz, stary?

–A jak wyglądam?

–Jak sztywny – wyszczerzył zęby Graham.

–I tak też się czuję. – Paluzzi przeniósł wzrok na Whitlocka. – Czy Gallagher zwiła?

Whitlock pokiwał głową.

–Tak.

–Co ze Scobym? – zapytał z obawą w głosie Paluzzi.

–Ma się dobrze – uspokoił go Whitlock. – Prosił, żebym przekazał ci od niego najserdeczniejsze życzenia szybkiego powrotu do zdrowia.

–Co ja mogę na to powiedzieć? – mruknął Paluzzi. –

A gdzie Sabrina? – zaczął z innej beczki.

–W hotelu. Ktoś musi mieć na oku senatora – wyjaśnił Whitlock. – Ale obiecała, że wpadnie do ciebie przed naszą wieczorną wizytą w rezydencji ambasadora.

–Czy Claudine wie, że tu jestem?

Whitlock pokręcił głową.

–Pomyślałem, że uzgodnię to najpierw z tobą. Czy mam do niej zadzwonić?

–Lepiej sam to zrobię – zdecydował Paluzzi. – Jak znam Claudine, nie przyjmie tego najlepiej. Ale jeśli zapewnię ją osobiście, że nic mi nie jest, może jakoś to znieśie.

–Gdyby chciała tu przylecieć, niech rezerwuje sobie lot. UNACO zwróci koszty podróży.

–Dzięki, powiem jej to – odparł Paluzzi.

Drzwi otworzyły się i do sali wkroczyła pielęgniarka.

–Wybaczcie, panowie, ale musicie już iść. Możecie tu wrócić w godzinach wizyt.

–Oczywiście – zgodził się Whitlock.

–Poczekaj, C.W. – rzucił Paluzzi. Spojrzał na pielęgniarkę. – Czy mogłaby pani dać nam jeszcze parę minutek? To bardzo ważne.

–Doktor nalegał, żeby miał pan jak najwięcej wypoczynku – zaprotestowała.

–Proszę, to naprawdę bardzo ważne – molestował słabym głosem Paluzzi.

–No dobrze. Dwie minuty. Ale potem wrócę tu z następną dawką środka znieczulającego.

Paluzzi odczekał, aż pielęgniarka opuści salę, po czym podniósł wzrok na Grahama.

–Mike, muszę porozmawiać z C.W.

–Jasne – odparł Mike wstając z krzesła.

–Poczekaj, Mike – Whitlock chwycił Grahama za ramię i odwrócił się do Paluzziego. – Chodzi o twój powrót do Włoch, tak? Możesz śmiało mówić przy Mike'u.

–Owszem – powiedział cicho Paluzzi. – Skąd wiedziałeś?

–Wiedziałem, odkąd pierwszy raz mi o tym wspomniałeś – uśmiechnął się Whitlock. – Musiałbyś upaść na głowę, żeby odrzucić taką ofertę. A to, co się dzisiaj wydarzyło, najwyraźniej

ułatwiło ci podjęcie decyzji.

–Zaraz, może ktoś mnie uświadomi, co tu jest grane? –

wtrącił się Graham.

–Pamiętasz mojego szefa z NOCS, brygadiera Michele Pesco? –
spytał Grahama Paluzzi.

–Słyszałem o nim, ale osobiście nigdy go nie poznałem –
odpowiedział Graham. – Między innymi z jego powodu opuściłeś
NOCS i przeszedłeś do nas, prawda?

–Zgadza się – przytaknął Paluzzi. – Dwa dni temu został
pozbawiony dowództwa. Kolegium Szefów Sztabów zaproponowało
mi objęcie jego stanowiska. Marzyłem o tym, odkąd wstąpiłem
do NOCS. Bardzo chciałbym zostać w UNACO, ale taka
szansa może już się nie powtórzyć.

–C.W. ma rację, musiałbyś upaść na głowę, żeby tego nie
przyjąć – zgodził się Graham. – Rozmawiałeś już o tym
z Claudine?

–Nawet nie wie, że zaproponowano mi to stanowisko. Powiem
jej, kiedy się zobaczymy. Chyba byłaby zadowolona. Do tej
pory nie zaaklimatyzowała się w Nowym Jorku.

Kiedy znaleźli się z Whitlockiem na korytarzu, Graham powiedział:

–Podjął słuszną decyzję.

–Wiem.

–Kogo przyślą na jego miejsce?

–Nikogo – odparł Whitlock.

–Daj nam odetchnąć, C.W. – zachnął się Graham. – Zanim
jeszcze Fabio został ranny, ledwie się wyrabialiśmy. Jak według
ciebie mamy pociągnąć to dalej sami z Sabriną?

–Wcale nie powiedziałem, że nikt nie zajmie miejsca Fabia –
sprostował Whitlock. – Mówiłem tylko, że nie trzeba
nikogo przysyłać.

Graham zatrzymał się i popatrzył zdumiony na Whitlocka.

–Ty? – wykrztusił z niedowierzaniem.

–Odpowiedź nasuwa się sama. Przed przybyciem do szpitala
załatwiłem to z Siergiejem.

–Czy Sabrina wie o tym?

–Jeszcze nie. Ale jej powiadomienie już nie do mnie należy.

To zadanie dla ciebie, jako szefa Trzeciego Zespołu Operacyjnego.

–Co ty wygadujesz, C.W.? Jesteś przecież z nas wszystkich
najważniejszy.

–Jestem wciąż zastępcą dyrektora UNACO, ale w swoim
zespolu ty o wszystkim decydujesz. A ja wchodzę w jego skład.

–Czy to znaczy, że w terenie jestem od ciebie wyższy rangą? – upewnił się

Graham.

**–Tak, dopóki jestem członkiem twojego zespołu. – Whitlock zatrzymał się w wejściu i ostrzegawczo podniósł do góry palec. – Ale lepiej nie nadużywaj swojej władzy, bo jak wrócimy do Nowego Jorku, dobioreę ci się do tyłka.
Nie wątpię, pomyślał Graham ruszając za nim do samochodu.**

Opuszczając po raz ostatni bezpieczny dom, Fiona miała na sobie czarną spódnicę, luźny czerwony sweter i ulubiony czarny kapelusz wciśnięty głęboko na najeżone blond włosy. Pojechała metrem na lotnisko Heathrow i tam dowiedziała się, że samolot do Belfastu odleci zgodnie z rozkładem. Zarezerwowawszy sobie miejsce, kupiła egzemplarz Independent i poszła do kawiarni, gdzie zamówiła kawę i kanapkę. Znalazła przy oknie wolne krzeselko, otworzyła podręczną torbę i wyciągnęła kopertę zawierającą trzeci wariant planu zamachu na Scoby'ego; widniała na niej litera "C". Nie musiała jej otwierać, wiedziała, co zawiera. Położyła ją na stoliku i zagłębiła się w lekturze pierwszej strony gazety.

Piła drugą kawę, kiedy przez głośnik zapowiedziano jej lot. Wzięła torbę i ruszyła do hali odlotów, zostawiając na stoliku zaklejoną kopertę.

Już po odlocie samolotu Fiony kopertę znalazła sprzątaczką. Oddała ją kierownikowi. Ten otworzył kopertę, spodziewając się w środku jakiegoś adresu umożliwiającego zwrot zguby właścicielowi. Ale koperta była pusta. Wrzucił ją do kosza przy biurku i wrócił do swojej papierkowej roboty.

Mercedes mknął wśród ulewnego deszczu pustą drogą przez hrabstwo Armagh. Jechały nim trzy osoby. Kierowca, Hagen, i siedzący obok niego McAuley. Na początku lat osiemdziesiątych odbywali kary więzienia za czynny udział w prowadzonej na terenie Brytanii kampanii zamachów bombowych. McAuley był uzbrojony. Trzeci mężczyzna, siedzący z tyłu, dobiegał czterdziestki. Miał przerzedzające się brązowe włosy i bladą, trupią twarz. Był to Kevin Brady. Pełnił funkcję szefa sztabu Rady Armii – wojskowego ramienia IRA. Był zimnym, beznamiętnym człowiekiem i miał deprymujący rozmówców zwyczaj mówienia pozbawionym modulacji, monotonnym głosem. Skory do nagradzania inicjatywy i jeszcze bardziej skory do karania niepowodzeń, znany był z tego, iż jednym skinieniem głowy lub pstryknięciem palcami potrafił skazać na śmierć całe rodziny, jeśli uważał to za konieczne. Ze względu na taktyczne sukcesy Brady'ego w pracy operacyjnej większa część Rady Armii skłonna była patrzeć przez palce na jego wady, ale była też mniejszość, która protestowała przeciwko stosowanym przez niego brutalnym metodom.

Mercedes skręcił z szosy w otwartą bramę i pomknął dalej połą dróżką. Zza krzaka wyłonił się jak duch uzbrojony Provo z naciągniętą na twarz czarną kominiarką i zamknął za nimi bramę. Przejechawszy trzysta jardów, Hagen zatrzymał samochód przed domem farmerskim. Na zewnątrz stali dwaj zamaskowani Provo uzbrojeni w karabiny Armalite. McAuley wysiadł z samochodu i otworzył Brady'emu tylne drzwiczki, a jeden z uzbrojonych Provo zapukał do drzwi domu. Brady'ego wprowadzono do środka i powiedziano do pokoju na końcu korytarza. Eskortujący go człowiek zapukał dwa razy do drzwi i gestem ręki zachęcił do wejścia.

Wszyscy trzej mężczyźni siedzący za stołem w głębi pokoju należeli do starszyny Rady Armii. Byli to Pat Taylor, biznesmen i były szef sztabu Rady Armii, Michael Kelly, niegdyś pierwszy doradca Seana Feina, oraz Kieran O'Gonnell, były

wydawca oficjalnego organu IRA – An Phoblacht.

Taylor wskazał drewniane krzesło stojące pośrodku pokoju.

–Usiądź – zaprosił Brady'ego, a kiedy ten podszedł do krzesła i usiadł, powiedział: – Chyba wiesz, w jakim celu zostałeś tu wezwany?

–Wiem.

–Czy wydałeś Fionie Gallagher rozkaz zamordowania senatora Jacka Scoby'ego? – zapytał O'Connell.

–Nie.

–Więc kto go wydał?

–Wy mi to powiedzcie – odparł bezbarwnym głosem Brady.

–Słuchaj no...

–W ten sposób do niczego nie dojdziemy – powiedział Taylor i spojrzał na Brady'ego. – Rozkaz takiego kalibru musiał wyjść od szefa sztabu albo któregoś z wyższych rangą oficerów.

–Ani ja, ani żaden z moich oficerów takiego rozkazu nie wydawaliśmy – zapewnił Brady.

Kelly wstał i podszedł do okna.

–Przez parę ostatnich tygodni krążyły tu pogłoski, że Dominic Lynch zamierza powrócić ze Szwajcarii, żeby cię wygryźć, i to nie tylko ze stanowiska szefa sztabu, ale i z Rady Armii w ogóle.

–Słyszałem – odparł Brady.

Kelly obejrzał się na niego.

–Lynch i Farrell byli zdaje się bliskimi przyjaciółmi? – zapytał.

–I uważasz, że zaplanowali to, żeby mnie zdyskredytować? –

Brady pochylił się do przodu i utkwiał wzrok w podłódze.

Jego twarz nadal nie wyrażała żadnej emocji. – To całkiem możliwe. Ale w takim razie kto zabił Lyncha?

–Prawdopodobnie Gallagher – odpowiedział Kelly po chwili namysłu. – W ten sposób jedynym pretendentem do twojego stanowiska pozostaje Farrell. Gallagher zabija Kerrigana i Mullena, bo za dużo wiedzą, a palec cały czas wskazuje na ciebie, bo Farrell wydał już rozkaz uciszenia McGuire'a.

–Przecież to czysta fantazja – prychnął O'Connell stając w obronie Farrelli. – Sean i Dom byli nierozłączni. W głowie się nie mieści, żeby Sean pozwolił Fionie zamordować swojego najbliższego przyjaciela. Ja tego nie kupuję.

Urzeczywistniały się najgorsze obawy Taylora. Rodził się konflikt osobowości.

Znany z umiarkowanych poglądów O'Connell, który niechybnie poparłby Lyncha, gdyby ten powrócił, by wystąpić przeciwko Brady'emu, kontra Kelly, radykał, a przy tym najbardziej krzykliwy poplecznik Brady'ego w Radzie Armii. Musiał temu czym prędzej zapobiec.

–Nieważne, kto wydał rozkaz. Musimy powstrzymać Gallagher, zanim uda jej się załatwić Scoby'ego.

–Potraficie ją odnaleźć? – zapytał Brady'ego Kelly.

–Według mnie on nie powinien się w to mieszać – wtrącił O'Connell, nie dopuszczając Brady'ego do głosu. – Bo skąd możemy wiedzieć, czy rzeczywiście nie jest mózgiem kierującym całą tą intrygą? Mógłby dopilnować, żeby Gallagher była zawsze o krok przed nami.

–Zagalopowałaś się, Kieran – warknął Kelly. – Jaki masz dowód na potwierdzenie swoich insynuacji?

–Dosyć! – Taylor zgromił wzrokiem obu mężczyzn. – Skaczecie sobie do oczu, jakbyśmy nie mieli większych problemów. –

Odwrócił się do Brady'ego. – Gallagher musi zostać powstrzymana. Jeśli ty sobie z tym nie poradzisz, znajdziemy kogoś innego, kto to załatwi. Jasno się wyrażam?

–Tak. – Brady wstał. – Czy mam wolną rękę w doborze metod, jakimi będę ją szukał?

–Masz – odparł bez wahania Taylor. – Z tym, że chcę mieć ją żywą.

–Nie wiem, czy to da się zrobić...

–Żywą – powtórzył z naciskiem Taylor. – Tylko poprzez nią możemy znaleźć rozwiązanie całej tej sprawy.

Brady, nie odzywając się już, opuścił pokój. W chwilę później usłyszeli odjeżdżający samochód.

–Nie liczysz chyba na to, że sprowadzi ją żywą? – prychnął pogardliwie O'Connell, przerywając zalegającą w pokoju ciszę. – Wpakuje jej kulkę przy pierwszej lepszej okazji. Tylko w ten sposób będzie miał pewność, że ją uciszył.

–Przeciągasz strunę, Kieran – warknął Kelly celując w niego palcem. – Najwyraźniej uwziąłeś się na Kevina.

–Bo czuję, że to on za tym stoi. Obaj wiemy, że Fiona nie jest głupia i nie wdałaby się w coś takiego bez upoważnienia z samej góry, czyli od Brady'ego. – O'Connell odwrócił się do Taylora. – Moim zdaniem, Pat, wysyłanie za nią Brady'ego było błędem.

–Zobaczymy, Kieran – odparł refleksyjnie Taylor. – Zobaczymy.

Większość dorosłego życia Brady spędził bądź w więzieniu, bądź ukrywając się. Za popełnione pod koniec lat siedemdziesiątych zabójstwo nie będącego na służbie policjanta przesiedział siedem lat w więzieniu Long Kesh w Belfaście, znanym wszystkim jako "Labirynt". Właśnie tam spotkał po raz pierwszy Sammy'ego Kane'a. Bardzo się zaprzyjaźnili i obecnie Kane był w całej Armii Rewolucyjnej jedynym człowiekiem, do którego Brady miał pełne zaufanie. Zaufanie to wynagrodził mianując Kane'a swoim adiutantem-generałem i zastępcą w Radzie Armii.

Trzy lata młodszy od Brady'ego Kane, krzepkiej budowy blondyn o krótko

przyciętych włosach, był sumieniem Brady'ego i nieraz odwoził go od działań, które według niego mogły zaszkodzić nie tylko jego przyszłości jako szefa sztabu, ale również samej sprawie. Utrzymywał, że jest jedyną osobą, która naprawdę rozumie Brady'ego. W większości przypadków chyba rzeczywiście tak było.

Kiedy mercedes zatrzymał się przed bezpiecznym domem na przedmieściach Keady, Kane już od przeszło godziny czekał w środku. Hagen odjechał, a McAuley z Bradym weszli do domu. McAuley zniknął od razu w kuchni, natomiast Brady wkroczył do salonu i zamknął za sobą drzwi.

–Jak poszło? – spytał Kane.

–Kazali mi odnaleźć Gallagher.

–I...?

–Muszę doprowadzić ją żywą. – Brady zdjął płaszcz i położył go na oparciu sofy. – Napiłbym się kropelkę. Przemarzłem.

Kane wyjął z kredensu butelkę whisky i dwie szklaneczki. Napełnił obie i podał jedną Brady'emu.

–Był tu do ciebie telefon. Martin Navarro. Dzwonił z Nowego Jorku.

–Navarro? Czego chciał?

–Nie powiedział. Mówił tylko, żebyś jak najszybciej oddzwonił.

Brady wykręcił numer na bezpiecznej linii i przysiadł na oparciu sofy. Kiedy z drugiej strony podniesiono słuchawkę, poprosił Navarro. Czekaając, aż tamten podejdzie do telefonu, pociągnął łyk whisky.

–Brady? – odezwał się z drugiej strony Navarro.

–Przy telefonie. Czego chcesz?

–Chcę wiedzieć, co tam się wyprawia, u diabła. Dlaczego IRA ma jakiś kontrakt na Scoby'ego?

–Co ci tak nagle zaczęło zależeć na Scobym?

–Nie twój interes – odpowiedział opryskliwie Navarro. –

Masz mi zaraz anulować ten kontrakt.

–Nie mogę.

–Co to znaczy "nie mogę"? – warknął Navarro.

–Nie mogę, bo nie ode mnie wyszedł.

–A od kogo?

–Nie wiemy – odparł Brady.

–Więc mówisz, że Scoby'ego próbuje załatwić jakaś wasza zdegenerowana komórka?

–Na to wygląda.

–I co w związku z tym zamierzacie?

–Badamy sprawę. Cóż, jeżeli to wszystko...

–To nie wszystko – wpadł mu w słowo Navarro. – Odnoszę wrażenie, Brady, że nie bierzesz sobie tego zbyt do

serca. Więc może zacznijmy z innej beczki. Wiemy o co najmniej dziesięciu waszych agentach operacyjnych ukrywających się aktualnie na terenie Stanów Zjednoczonych. To zdaje się jedni

z najlepszych, jakich macie. Od dzisiejszego ranka wszystkich mamy na oku. Wszyscy znajdują się pod całodobowym nadzorem. Jeśli Scoby'emu choć włos spadnie z głowy, cała dziesiątka zostanie zlikwidowana. A to będzie dopiero początek. Wszystkie planowane przesyłki broni ze Stanów do Irlandii zostaną natychmiast zastopowane. Następnie placówki Noraid na terenie całego kraju nawiedzi tajemnicza seria zamachów bombowych... Później za cel obrani zostaną sami działacze Noraid; będzie się szantażować ich rodziny, demolować posiadłości. Mógłbym tak wyliczać bez końca, ale chyba załapałeś już, co mam na myśli?

–Owszem. Scoby musi być dla ciebie wart nie lada szmal, skoro dla zapewnienia mu bezpieczeństwa gotów jesteś posunąć się do takich kroków.

–Jest wart więcej, niż możesz sobie wyobrazić. Zadzwoń, jeśli będziesz miał coś nowego.

Połączenie zostało przerwane. Brady odłożył słuchawkę i wychylił resztkę whisky.

–Dlaczego mafia zainteresowała się tak nagle Scobym? – spytał Kane.

–Dlaczego? – powtórzył z zadumą Brady. – Widocznie wart jest dla nich dużo pieniędzy.,

–I jeżeli Gallagher go zlikwiduje, wszystko tracą?

–Tak. Ale my też.

Kane zmarszczył czoło, nie domagał się jednak wyjaśnienia. Zdawał sobie sprawę, że Brady i tak nie powiedziałby mu nic, czego nie powinien wiedzieć. Wszystko w swoim czasie.

–Więc jak się zabierzemy do poszukiwań?

–Nie będziemy jej szukać – odparł Brady.

Kane ściągnął brwi.

–Jak to?

–Tonący brzytwy się chwyta. – Brady podniósł słuchawkę i obejrzał się na Kane'a. – Zamknij drzwi, jak będziesz wychodził, Sammy.

Kane ani myślał protestować. Wyszedł z pokoju zamykając za sobą drzwi.

Palmer otworzył nową paczkę papierosów, zapalił jednego, po czym opadł na oparcie fotela i zapatrzył się na dwa stojące na biurku telefony. Jeden czerwony, drugi biały. Biały aparat podłączony był do zewnętrznej linii, która przez większość dnia pozostawała głucha. Zatrudnił już trzech doświadczonych funkcjonariuszy, by użerali się z prasą. Reporterzy, usiłujący zdobyć informacje z pierwszej ręki, oblegali centralę telefoniczną Scotland Yardu. Ale Palmer wydał stanowczy zakaz składania jakichkolwiek oświadczeń. Pod wieczór zamierzał zwołać konferencję prasową.

Czerwony telefon podłączony był do linii szyfrowej. Od dwóch godzin rzadko kiedy milkł. Palmer już dwukrotnie rozmawiał z Kolczyńskim. Pierwsza rozmowa była

z pozoru serdeczna, jednak w głosach obu rozmówców czaiło się napięcie. Żaden nie poczuwał się do winy za to, co się stało. Druga rozmowa, przeprowadzona godzinę później, była bardziej szczerą i konstruktywną. Wtedy jednak obaj mieli już dokładniejsze informacje. Ustalili, że będą trzymać wspólny front. Mimo wszystko była to przecież od początku wspólna operacja.

Dzwonił również komisarz policji. Zażądał, by sprawozdanie z wyników śledztwa znalazło się na jego biurku najdalej w poniedziałek. Palmer zapewnił go, że dochodzenie zostało już wszczęte.

Potarł ze znużeniem oczy i sięgnął po tłącego się w popielniczce papierosa. Nagle zadzwonił milczący dotąd biały telefon. Komendant westchnął ciężko i podniósł słuchawkę.

Był to jeden z funkcjonariuszy, których wyznaczył do stawienia czoła prasie.

–Przepraszam za kłopot, sir, ale mam tu na linii kogoś, kto podaje się za Kevina Brady'ego. Żąda, by go z panem połączyć.

–Co takiego? – wykrztusił zaskoczony Palmer. – Mówił, czego chce?

–Nie, sir. Powiedział tylko, że będzie rozmawiał wyłącznie z panem.

–Namierzacie, skąd dzwoni?

–Tak, sir.

–W porządku. Dawaj go. – Palmer poczekał, aż w słuchawce rozlegnie się trzask, po czym natychmiast przełączył rozmowę na linię szyfrową i podniósł słuchawkę czerwonego aparatu. – Mówi komendant Palmer.

–Tu Brady – usłyszał beznamietną odpowiedź. – Przypuszczam, że rozmawiamy na bezpiecznej linii?

–Oczywiście – zapewnił Palmer. Cały czas podejrzewał, że rozmówca może okazać się jakimś pomysłowym reporterem, który podstępem chce wyciągnąć informacje dla swojej gazety. Wiedział aż za dobrze, do czego potrafią się posunąć dziennikarze, byle tylko ubiec konkurencję.

–Na pewno namierzacie już tę rozmowę, więc będę się streszczał. Podobnie jak i wy, chcemy znaleźć Fionę Gallagher.

–To samo mówił w oświadczeniu dla mediów wasz rzecznik prasowy – odparł z pogardą Palmer. – Ale mnie na to nie nabierzecie.

–Jeśli chcesz jeszcze o tym porozmawiać, będę dzisiaj wieczorem w Warrenpoint. To takie miasteczko niedaleko granicy z południową Irlandią. Hotel Stills. Godzina dwudziesta. W recepcji pytaj o Pata Gormana. Masz przyjść sam i bez broni. Nie próbuj tylko zabierać ze sobą jakiegoś kowboja, bo nie zjawię się, dopóki nie będę miał pewności, że teren jest bezpieczny. Piłka na twojej połowie, Palmer.

Komendant odłożył powoli słuchawkę na widełki. Po chwili telefon zabrzączał znowu. Ustalono, że rozmowa była przeprowadzona z Keady w hrabstwie Armagh, ale zabrakło czasu, by namierzyć dokładnie miejsce, z którego dzwonił.

Palmer zdusił niedopałek papierosa i zapalił następnego. Nie miał wątpliwości, że rozmawiał z Bradym. Michael Nelson był jednym z najlepszych tajnych agentów operacyjnych brygady antyterrorystycznej w Belfaście. Pewnego dnia zniknął, a po tygodniu w jakimś zaułku w zachodnim Belfaście znaleziono jego ciało. Był torturowany, a potem zabito go strzałem w tył głowy. Zagadka jego śmierci nigdy nie została wyjaśniona. Nazwisko Nelson było jego kryptonimem. Prasa nigdy się nie dowiedziała, że nazywał się Patrick Gorman...

Komendant wykręcił numer hotelu Grosvenor House i poprosił w centrali, by przełączono go do pokoju Whitlocka.

Pół godziny później Whitlock siedział już w gabinecie Palmera.

–To może być pułapka – stwierdził, kiedy Palmer opowiedział mu o rozmowie telefonicznej z Bradym.

–Myślisz, że nie biorę tego pod uwagę? – odparł Palmer. –

Ale jeśli on nie kręci? Jeśli naprawdę, tak jak my, nie ma pojęcia, co jest grane? A co ważniejsze, jeśli wie coś, co może nas zaprowadzić do Gallagher?

–A jeśli się mylisz?

–Wiem, że jestem celem dla IRA. Ryzyko zawodowe. Jednak i w tej sprawie mam pewne przeczucie. To wbrew wszystkiemu, czego nauczyłem się w tej branży, ale uważam, że Brady nie kłamie.

–Czy w jego głosie było coś, co na to wskazywało?

Palmer uśmiechnął się blado.

–Widać, że nie znasz Kevina Brady'ego. On nigdy nie okazuje żadnych emocji; ani na twarzy, ani w głosie. Sam zresztą zobaczysz.

–Zobaczę...? – zdziwił się Whitlock.

–Chciałbym, żebyś po południu poleciał ze mną do Warrenpoint.

Wiem, że masz być wieczorem na bankiecie w Winfield

House, ale jestem pewien, że twoi agenci poradzą sobie bez ciebie. Jeśli Fiona Gallagher jest ostatnim pozostałym przy życiu członkiem tej komórki, to nie wydaje się zbyt prawdopodobne, żeby próbowała czegoś w domu ambasadora. Nie, założę się, że będzie chciała dobrać się do Scoby'ego jutro w kościele. – Palmer strząsnął popiół z papierosa do popielniczki. – Oczywiście decyzja, czy zechcesz mi towarzyszyć, zależy wyłącznie od ciebie.

–To nie będzie takie proste, ale chyba w tej chwili powinniśmy się chwytać każdej szansy. No dobra, jakoś się wymówię przed senatorem i ambasadorem. Bierzemy ze sobą jakiś zespół ubezpieczający?

–To chyba nie najlepszy pomysł.

–Moglibyśmy zabrać Keitha Eastmana.

–Wieczorem odlatuje do Dugaill. Chcę, żeby do rana, kiedy

przyleci helikopter senatora, teren wokół kościoła był już zabezpieczony.

Tym razem nie może być żadnej wpadki.

–O której odlatujemy do Warrenpoint?

–Za godzinę mogę mieć gotowy do startu lekki samolot.

Musisz wracać po coś do hotelu?

–Nie, mogę załatwić wszystko z Mike'em przez telefon.

–No to dzwoń. – Palmer podsunął Whitlockowi biały aparat. –

Ja muszę zamienić słówko z Keithem. Potem uzgodnię to z komisarzem. Trudno przewidzieć, jak zareaguje na pomysł naszego potajemnego spotkania z najbardziej poszukiwanym przestępcą w Brytanii, ale w tej chwili nie mamy wielkiego wyboru.

Sabrina zapukała do drzwi jednoosobowej sali Paluzziego. Na jej widok złożył egzemplarz London Evening Standard, który właśnie czytał, i skinieniem ręki zaprosił ją do środka.

–Jak się czujesz? – spytała. Przysunęła sobie krzesło i usiadła.

–Żebra dokuczają mi wciąż jak cholera, ale przynajmniej przeszły mi bóle głowy. Omal nie doprowadziły mnie do obłądu. –

Popatrzył na czasopisma, które ze sobą przyniosła. – To dla mnie?

–Kupiłam po drodze – wyjaśniła podając mu magazyny. –

Wiem, jak nudzi się człowiekowi przykutemu do szpitalnego łóżka.

–Dzięki. – Odłożył pisma na stoliczek. – Ty chyba też parę lat temu leżałaś w szpitalu?

–Nie przypominaj mi – skrzywiła się Sabrina. – Przeleżałam cztery miesiące w American Hospital w Paryżu.

–Co ci się przytrafiło?

–Paskudny wypadek w Le Mans. – Pokiwała głową, widząc zdziwienie na jego twarzy. – Miałam wówczas bardzo buntowniczą naturę. Robiłam wszystko, byle tylko dokuczyć rodzicom. Zabronili mi startować w rajdzie samochodowym, ale ja wzięłam w nim udział. Straciłam panowanie nad kierownicą i wylądowałam w szpitalu. Ledwo się wylizałam. Przebite płuco, liczne złamania. Z samochodu został kompletny wrak. Takiego właśnie wstrząsu było mi potrzeba. Zrozumiałam wtedy, że czas wreszcie dorosnąć i zrobić w życiu coś konstruktywnego. Wstąpiłam więc do FBI... – Urwała i uśmiechnęła się z zakłopotaniem. – Nie minęły dwie minuty, jak tu siedzę, a już zanudzam cię na śmierć historią swojego życia.

–To wcale nie takie nudne – zaproponował Paluzzi.

–Dla mnie wystarczająco. Ale słyszałam, że należą ci się gratulacje. Mike mówił mi, że wracasz do Włoch, żeby objąć dowództwo nad NOCS. Przykro nam będzie się z tobą rozstawać.

–Mnie też żal odchodzić. Tak jednak będzie lepiej dla mojej przyszłości.

–Claudine już wie?

–Dzwoniłem do niej przed południem. Nie posiada się z radości na myśl o powrocie do domu.

–A jak zareagowała na to, że jesteś w szpitalu?

–Chyba wiesz...

–...jakie są kobiety? – dokończyła z uśmiechem Sabrina. – W każdej z nas tkwi instynkt macierzyński. Mike wciąż mi to powtarza. Czy Claudine tu przyjedzie?

–Tak. Razem z Dario. Mają być na Heathrow koło jedenastej wieczorem. Chyba będę musiał poczekać na spotkanie z nimi do rana.

–Pewnie nie możesz się doczekać, kiedy ich znowu zobaczysz.

–Jasne. Zwłaszcza chciałbym zobaczyć Dario. Zupełnie odmienił moje życie. Te dzieciaki są wspaniałe.

–Wiem – przytaknęła z uśmiechem.

–Czy myślałaś już kiedyś o tym, żeby mieć własne dzieci?

–Rodzice wciąż mi mówią, że powinnam znaleźć sobie męża i ustabilizować swoje życie. Wiem, że matka bardzo chce mieć wnuczka. Ale to oznaczałoby wystąpienie z UNACO, a ja nie jestem jeszcze na to przygotowana. I nie wiem, czy kiedykolwiek będę. Podobno kiedy spotyka się właściwą osobę, od razu się o tym wie. Ale mnie się jeszcze nikt taki nie trafił.

–Czyżby? – zdziwił się Paluzzi.

–Mike? – Sabrina potrząsnęła przecząco głową. – To wspaniały przyjaciel, ale nic poza tym. Dla Mike'a zawsze będzie się liczyła tylko jedna kobieta. Carrie. Szalał za nią. – Spojrzała na zegarek. – No cóż, jeśli skończyłeś już zabawę w swata, powinnam wracać do hotelu. Muszę się jeszcze przygotować na wieczór.

–Żałuję, że nie idę z wami.

–Nie żałuj. Uroczystości w ambasadzie to zawsze śmiertelne nudy. Będę z utęsknieniem wyczekiwać końca.

–Lepsze już takie nudy niż wylegiwanie się w tym przeklętym łóżku – burknął Paluzzi.

–Przecież od jutra będziesz tu miał Claudine z Dario. Na pewno przeżyjesz jakoś tę noc bez nas. Poczytaj sobie pisma, które ci przyniosłam.

–Mam nadzieję, że zobaczę się jeszcze z tobą i Mike'em, zanim wrócicie do Stanów.

–Masz to jak w banku – zapewniła. – Wpadniemy jutro wieczorem, zaraz po powrocie z Irlandii. No dobra, na mnie już pora.

–Dzięki za odwiedziny – powiedział Paluzzi.

–Nie ma sprawy – odparła Sabrina podchodząc do drzwi.

–Nadal uważam, że tworzycie z Mike'em dobraną parę –

zawołał.

–A ja uważam, że się mylisz. Do jutra.

Paluzzi uśmiechnął się do siebie. Od dawna chodziło mu po głowie pytanie, czy Sabrina żywi wobec Grahama uczucie głębsze niż przyjaźń. Teraz miał odpowiedź. Przynajmniej tak mu się wydawało...

Piper seneca siadł na bezpieczeństwa łące na przedmieściach Warrenpoint, wytracił prędkość, podkołował na skraj lądowiska i zatrzymał się w odległości kilku stóp od zaparkowanego tam białego rovera.

Kiedy Palmer i Whitlock wysiedli z maszyny, przywitał ich oficer RUC, który przedstawił się jako detektyw inspektor Duncan Reeves. Palmer nie znał inspektora osobiście, ale polecił mu go Eastman, który współpracował kiedyś z nim podczas kilku operacji.

–Słyszałem o Johnie Marshu – powiedział Reeves, kiedy szli w stronę nie oznakowanego wozu policyjnego. – Wyglądał mi zawsze na bardzo pewnego. Byłem wstrząśnięty, kiedy dowiedziałem się od Keitha, że został aresztowany pod zarzutem szpiegowania na rzecz IRA.

–Wszyscy byliśmy tym wstrząśnięci – odparł Palmer.

–Pomyślałem sobie, że lepiej nie zabierać kierowcy – powiedział Reeves otwierając drzwiczki samochodu. – Będziemy mogli swobodnie porozmawiać.

–I dobrze zrobiłeś – powiedział Palmer. – Na początek opisz nam hotel Stills.

–To nora – stwierdził Reeves. – Właścicielem jest Provo nazwiskiem Joseph Meehan. Listę grzeszków ma długą jak pańska ręka. Bardzo niesympatyczny typek.

–A który z nich jest sympatyczny? – spytał Palmer.

–Ale on należy do tych najgorszych. To pijaczyna, który sam szuka zaczepki. I potrafi się kontrolować, nawet kiedy jest opity po dziurki w nosie.

–Wynika z tego, że ożywia się dopiero wieczorem – mruknął Whitlock.

Reeves skręcił w główną drogę prowadzącą do Warrenpoint.

–Wątpię, żebyście go dzisiaj poznali. W sobotnie wieczory grywa zwykle w pokera.

–A Brady się pokazał? – spytał Palmer.

–Jak dotąd nie. Ale należało się tego spodziewać. Brady nie wykona żadnego ruchu, dopóki się nie upewni, że teren jest bezpieczny. Wczesnym wieczorem widziano, jak do hotelu wchodzi Kane. I o ile nam wiadomo, wciąż tam jest. Najwyraźniej ma być czujką Brady'ego podczas spotkania.

Dziesięć minut potem drogę zagrodziła im blokada, którą ludzie z RUC ustawili na peryferiach miasta. Reeves zatrzymał wóz za policyjnym land roverem i zgasił silnik. Do hotelu było stąd jakieś dwieście jardów.

Palmer poprosił o udostępnienie samochodowego telefonu i wykręcił numer hotelu Stills. Kiedy po drugiej stronie linii podniesiono słuchawkę, powiedział, że chce rozmawiać z Patem Gormanem. Odpowiedziano mu, że w hotelu nie ma nikogo

o takim nazwisku. Poprosił więc o połączenie z Kane'em. W słuchawce zapadła cisza. Upłynęło kilka sekund, zanim go przełączono.

–Kto mówi? – spytał męski głos.

–Chcę rozmawiać z Bradym.

–Pomyłka.

–Nie sądzę – odparł Palmer. – Powiedz mu, że jeśli nie oddzwoni za pięć minut, nie dojdzie do spotkania. – Podał numer samochodowego telefonu i rozłączył się.

Telefon zabrzączał niemal natychmiast.

–Mówi Gorman.

Palmer rozpoznał głos Brady'ego.

–Komendant Palmer. Zmieniamy plan. Do hotelu przyjdzie nas dwóch. Będzie ze mną szef ochrony senatora. Chcę, żeby był obecny przy naszej rozmowie.

–Nic z tego, Palmer. Przychodzisz sam.

–Nie, to nie – odburknął komendant i przerwał połączenie.

Spodziewał się takiej reakcji Brady'ego, ale chciał się przekonać,

jak bardzo tamtemu zależy na spotkaniu. Miałby się z czego tłumaczyć

przełożonym, gdyby ta zagrywka nie wypaliła i Brady już się nie odezwał. Wyrazili zgodę na spotkanie dopiero po wyczerpujących negocjacjach zarówno z RUC, jak i z armią, które przekonały ich, że ryzyko jest minimalne. Spojrzał na Whitlocka, potem na Reevesa i przeniósł wzrok z powrotem na telefon, modląc się w duchu, by zadzwonił. Czyżby nie docenił Brady'ego? Nie, Brady rzeczywiście chciał się z nim spotkać, inaczej nie podejmowałby tak ogromnego ryzyka, jakim był telefon do Scotland Yardu. Dlaczego więc nie dzwoni, żeby podjąć negocjacje? Palmer zdawał sobie sprawę, że po katastrofalnych wydarzeniach tego dnia nie może sobie pozwolić na kolejne potknięcie. Jeśli spartaczy tę sprawę, przyjdzie pożegnać się ze służbą...

Zabrzączał telefon.

Powściągnął impuls, który kazał mu od razu poderwać słuchawkę. Nie, musi stworzyć wrażenie, że on tutaj dyktuje warunki. Niech go diabli, jeśli zaczną tańczyć pod muzykę Brady'ego. Odczekał kilka sekund i podniósł słuchawkę.

–Palmer?

–Tak – mruknął komendant.

–Ten goryl Scoby'ego może z tobą przyjść. Podjedźcie nieoznakowanym roverem. Bez kierowcy. Obaj macie siedzieć z przodu.

Zaparkujcie pod hotelem. Zarezerwowaliśmy dla was miejsce.

Potem wejdźcie do hotelu i spytajcie w recepcji o Sammy'ego Kane'a. Tam was przejmujemy.

–Rad jestem, że tak dokładnie wszystko przygotowałeś, Brady.

Gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że strach cię obleciał.

Nastąpiła chwila ciszy.

–Zadbaj, żeby te świny zostały przy swojej blokadzie drogi.

Teren wokół hotelu jest dobrze zabezpieczony i moi ludzie mają rozkaz otworzyć ogień do każdego, kto będzie na tyle głupi, że podejdzie tu na odległość strzału. Nie zapomnij przekazać tego Reevesowi.

Palmer zrelacjonował żądania Brady'ego swoim towarzyszom.

–Wychodzi na to, że znajdujemy się pod ścisłą obserwacją – rzekł Whitlock.

–Byliśmy od samego początku – powiedział Reeves. – Moi ludzie dostrzegli już kilku Provo na dogodnych stanowiskach wychodzących na hotel. Ale bardziej martwią mnie ci, których nie zauważyliśmy. To oni będą z artylerią.

Palmer zerknął na zegarek. Dziewiętnasta czterdzieści dwie.

–No, chyba czas już na nas.

–Powiedział, że o dwudziestej – przypomniał mu Reeves.

–To by oznaczało, że przyjmujemy jego warunki gry – odparł Palmer. – A ja nie mam zamiaru tego robić.

Whitlock skinął potakująco głową.

–Komendant ma rację. Musimy przejąć inicjatywę. Im bardziej wyprowadzimy Brady'ego z równowagi, w tym lepszej będziemy sytuacji, kiedy dojdzie do ubijania targu.

–A jak myślisz, dlaczego aż do tej pory zwlekałem z powiadomieniem Brady'ego, że zabieram ze sobą pana Whitlocka? –

spytał Palmer. – Dzięki temu odbieram mu panowanie nad sytuacją. Zyskujemy w ten sposób przewagę.

Palmer i Whitlock przesiedli się do przodu i Reeves podał komendantowi kluczyki przez okno od strony kierowcy.

–Znasz założenia planu – powiedział Palmer do Reevesa. –

Trzymaj się ich i gdyby coś poszło nie tak, wkraczaj do akcji i zdejmuj Brady'ego.

–Tak jest, sir – odparł służbiście Reeves.

Palmer zapuścił silnik i wyprowadził wóz z za land rovera. Podjechali w milczeniu do hotelu. Był to brudny szary budynek z jaskrawym neonem z nazwą nad obrotowymi drzwiami wejściowymi. Ulica sprawiała wrażenie zupełnie wyludnionej. Znajdowali się na terytorium Provo, którzy oczyścili już teren na czas trwania spotkania. Palmer zatrzymał samochód przed hotelem. Weszli po kilku stopniach i pokonawszy obrotowe drzwi wkroczyli do foyer. Reeves miał rację, to była prawdziwa nora. W recepcji siedziała kilkunastoletnia dziewczyna i oglądała w czarno-białym telewizorze powtórkę serialu Colombo. Kiedy podeszli do lady, spojrzała na nich bez większego zainteresowania, po czym odchyliła się do tyłu, zapukała w znajdujące się za jej plecami drzwi i natychmiast całą swą uwagę skupiła z powrotem na ekranie. Drzwi otworzyły się i z pomieszczenia za nimi wyłonili się dwaj zamaskowani Provo. Wyszli z za lady i obszukali Palmera i Whitlocka. Kiedy stwierdzili, że żaden z nich nie ma przy sobie broni, jeden z Provo podszedł do

stojącego na ladzie telefonu i zadzwonił do Kane'a.

–Co my tu mamy? – zapytał ktoś z tyłu, za plecami Whitlocka i Palmera.

Obejrżeli się jednocześnie. Joseph Meehan, który wyszedł z pustego baru, wyglądał na pięćdziesiąt kilka lat, miał nie ogoloną twarz i przerzedzające się tłuste czarne włosy. Poplamiona na przodzie koszula wylażała mu niechlujnie ze spodni. Był wyraźnie pijany. Zamaskowani Provo stali niezdecydowanie przy kontuarze recepcji. Obaj nie wiedzieli, jak zareagować.

–Mówicie, że przez tych dwóch muszę zamykać mój hotel? – zwrócił się do nich Joseph.

–Wróc może lepiej do baru-zaproponował mu jeden z Provo.

–To mój hotel i będę w nim robił, co mi się, kurwa, podoba – odwarknął gniewnie Meehan. Wycelował palec w Palmera. –

Do ciebie nic nie mam. Nikt mi jednak nie powiedział, że przyszwenda się tu jakiś czarnuch.

Palmer postąpił krok do przodu, ale Whitlock przytrzymał go za ramię.

–A może szukasz roboty? – zapytał się kpiąco Meehan Whitlocka. – O to chodzi? Szukasz roboty?

Whitlock popatrzył na niego beznamytnie i nie odzywał się.

–Ładny garniturek – zauważył Meehan wyciągając rękę, żeby pomacać materiał.

–Nie dotykaj mnie – syknął Whitlock.

–Do mnie mówisz? – warknął Meehan. – Bo jak tak, to dodawaj lepiej "proszę pana".

–Mam tego dosyć – zjeżył się Palmer.

–Wszystko w porządku – uspokoił go Whitlock. – Nie denerwuj się.

W tym momencie Meehan złapał Whitlocka za klapy. Whitlock wyszarpnął mu się i podrywając błyskawicznie łokieć wyrzwał go nim w policzek. Meehan odleciał pod ścianę i osunął się po niej powoli na podłogę, trzymając się obiema dłońmi za szczękę. Dwaj Provo doskoczyli do Whitlocka.

–Zostawcie ich! – rzucił Kane z podestu schodów. – Zabierzcie Meehana i wsadźcie mu łeb pod kran. Pan Brady będzie chciał z nim potem zamienić słówko.

Provo wnieśli Meehana z powrotem do baru, a Kane skinął na Palmera i Whitlocka. Wspięli się za nim po schodach i doszli do otwartych drzwi w głębi korytarza. Wymienili podejrzliwe spojrzenia. Jeśli to pułapka, to na odwrót było już za późno. Kane odstąpił na bok, przepuścił ich i zamknął za nimi drzwi.

Całe umeblowanie pokoju stanowiło pojedyncze łóżko, poobijana komoda oraz dwa fotele z wysokimi oparciami. Jeden z nich zwrócony był w stronę okna.

–Przyszliście wcześniej – odezwał się głos z fotela. Brady wstał powoli i odwrócił się do nich.

Whitlock zmierzył go pogardliwym spojrzeniem. Czy to ten człowiek pozwolił na

zamordowanie z zimną krwią trzech jego kolegów z UNACO? Poczul nagly przyplyw gniewu, ale szybko sie opanowal. Nie byla to pora ani miejsce na konfrontacje. Czas zaplaty jeszcze nadejdzie...

–Wyjasnijmy sobie cos na wstepie, Brady – powiedzial Palmer. – Detektyw inspektor Reeves bedzie dzwonił co piec minut do hotelu, zeby ze mna porozmawiac. Jesli z jakiegokolwiek powodu nie bedę w stanie odebrac jego telefonu albo jesli przekaże mu haslo, ktore ustalilismy na wypadek, gdybyśmy znaleźli się w jakichś klopotach, jego ludzie przypuszczą natychmiast szturm na ten budynek. Ich glównym celem bedziesz ty. Wezmą cię martwego albo žywego.

–Gdybym chcial was zabic, kazalbym to zrobic juź dawno temu, w Anglii – odparł Brady – nie na proggu mojego domu, pod nosem RUC. Uspokojcie się, to nie jest pułapka.

Zadzwonil do recepcji i wydal instrukcje, aby wszelkie telefony do Palmera laczyć natychmiast do pokoju. Potem podszedł do drugiego fotela i usiadł.

–IRA nie ma nic do senatora Jacka Scoby'ego i nie mamy teź na niego žadnego kontraktu – oświadczył, zwracając się do Whitlocka. – Wypadki ostatnich czternastu godzin przyniosły wielką szkodę naszej organizacji i z tego wlasnie powodu poprosilem o spotkanie z komendantem Palmerem.

–Chyba nie zaprzeczysz, że Fiona Gallagher jest członkiem IRA? – spytał Whitlock, siadając na łozku obok Palmera.

–Nie mam zamiaru. Zaprzeczamy natomiast, że mamy cokolwiek wspólnego z podejmowanymi przez nią działaniami przeciwko senatorowi Scoby'emu. Ta operacja nie została zatwierdzona przez Armię Rewolucyjną.

–Do rzeczy, Brady – warknął Palmer. – Tej retoryki nasluchalismy się juź po południu w wykonaniu waszego rzecznika prasowego. Dlaczego wyznaczyleś to spotkanie?

–Trudno mi to przyznać, ale w tej chwili jesteśmy sobie nawzajem potrzebni. Jesli jutro senator zostanie zamordowany, nasze glowy potoczą się pierwsze.

Zadzwonil telefon. Brady nawet nie drgnął. Odebral Palmer. Był to Reeves. Zamienili kilka słów i Palmer odložyl słuchawkę.

–Co proponujesz? – spytał Whitlock.

–Zmontowanie jutro w Dugaill wspólnej operacji osłonowej – odparł beznamietnie Brady.

–Nie ma mowy! – zachnął się Palmer. – Wyobraź sobie, co zrobilaby z tego prasa. Nasze siły bezpieczeństwa współdziałające z IRA? Ukrzyżowaliby nas. I mieliby do tego prawo. To byłaby zdrada wszystkich ludzi, których IRA wymordowała od początku konfliktu w Irlandii.

–Proszę mnie źle nie zrozumieć, komendancie. Ja nie proponuję, żeby zamaskowani bojownicy IRA stali ramię w ramię z funkcjonariuszami sił bezpieczeństwa. To byłaby zdrada również naszych pryncypiów. Nie, kościół i wioskę patrolowałyby siły bezpieczeństwa, a my obstawilibyśmy las za kościołem. Mamy ludzi, którzy znają ten las jak własną kieszeń i wiedzą o wszystkich kryjówkach, w których Fiona mogłaby się zaszyć, czekając na przybycie Scoby'ego do kościoła.

–Wydajesz się być bardzo pewny, że ona uderzy właśnie z tego lasu – zauważył Whitlock.

–Sam bym tak postąpił będąc na jej miejscu. To jedyne miejsce zapewniające dobrą osłonę. – Brady odwrócił się do Palmera. – Bezpieczeństwo senatora leży IRA na sercu tak samo jak wam. Jego śmierć przyniosłaby poważną ujmę naszej reputacji poza granicami kraju. Dlatego właśnie gotowi jesteśmy z wami współpracować.

–Jaki to byłby sukces propagandowy, gdyby udało się wam ująć Gallagher, zanim zdoła załatwić Scoby'ego – zauważył zgryźliwie Palmer. – Łatwo przejrzeć wasze intencje, Brady. Nie przyłożę do tego ręki. Jestem przekonany, że siły bezpieczeństwa same sobie poradzą. Nie potrzebujemy waszej pomocy.

–Zapominacie o jednym, komendancie. Żaden z waszych ludzi nie wie, jak wygląda Fiona, prawda? A ja wiem. I wiedzą ludzie, którym zleciłbym przeczesanie lasu. Potrafilibyśmy namierzyć ją bez pudła.

–Gdybyś naprawdę chciał nam pomóc, udostępniłbyś nam jej fotografię – wtrącił się Whitlock.

–Nie mogę udostępnić wam czegoś, czym sam nie dysponuję – odparł Brady.

–Chcesz powiedzieć, że IRA nie ma żadnej fotografii tej dziewczyny? – zachnął się Palmer. – Nigdy w to nie uwierzę.

–Możecie sobie wierzyć, w co chcecie, komendancie. Ale zapewniam, że nie mamy jej fotografii. Jedyne zdjęcie zostało jej zrobione na ślubie Dominica Lyncha, jednak zatrzymała je dla siebie. Zawsze miała obsesję na punkcie aparatu fotograficznego.

–Czy to ona zabiła Lynchów? – spytał Whitlock.

–Tak przypuszczam. Ale nie wiem jeszcze, dlaczego. Nie wiem również, dlaczego zabiła Kerrigana i Mullena. Na zdobyciu odpowiedzi na te pytania zależy nam tak samo jak wam. I dlatego gotowi jesteśmy pójść w tym wypadku na kompromis i pomóc ją odnaleźć.

–Żeby ją uciszyć, zanim zdoła cokolwiek wyśpiewać? – odparował Palmer.

–Nadal uważacie, że to my za tym stoimy?

–Po prostu nie wierzę, że Gallagher działa na własną rękę. Przez cały czas ma wsparcie. I to nie tylko ze strony Johna Marsha.

–Słyszałem o tym Johnie Marshu. Podejrzewacie go o współpracę z nami, tak? Interesująca teoria, ale nie mam teraz czasu ani ochoty na jej roztrząsanie.

–Jasne – powiedział Palmer. – Musieliście przeżyć niezły szok na wiadomość, że namierzono waszego człowieka.

–Więszym szokiem było dla mnie to, że zarzucono mu współpracę z nami. Ale co on mnie obchodzi? Przecież to tylko glina.

Znowu zadzwonił telefon. Palmer odebrał, porozmawiał chwilę i odłożył słuchawkę.

–Miałem nadzieję, że dojdziemy do jakiegoś porozumienia w sprawie zapewnienia bezpieczeństwa senatorowi Scoby'emu podczas jutrzejszej wizyty w Dugaill – powiedział Brady. – Ale widzę, że byłem w błędzie.

–Dobrze widzisz – warknął Palmer. – I przyjmij do wiadomości, że jeżeli przydybiemy jutro kóregoś z twoich Provo kręcącego się w okolicach Dugaill, znajdzie się za kratkami, zanim zdąży mrugnąć okiem. Dopilnuj, żeby to ostrzeżenie dotarło do Rady Armii.

–Przykro mi, że tak do tego podchodzicie – powiedział Brady wstając. Podeszedł do drzwi, otworzył je i zawołał Kane'a. – Sammy odprowadzi was do samochodu. Możecie stąd bez przeszkód odjechać. Mam tylko nadzieję, że wasza wiara w kompetencje sił bezpieczeństwa jest uzasadniona, komendancie.

Bo jeśli senator Scoby zginie jutro w Dugaill, cała wina spadnie na was. Wyciągnąłem gałązkę oliwną, a wy ją odtrąciliście. Pamiętajcie o tym.

Palmer wyszedł bez słowa z pokoju. Whitlock popatrzył na Brady'ego, jakby chciał go sobie dobrze zapamiętać, a potem zszedł za Kane'em i Palmerem do foyer.

–Pan Brady zapewnił wam bezpieczny przejazd do blokady drogi. Mamy nadzieję, że docenicie ten gest i przed wyjazdem wycofacie z tego terenu swoich ludzi. Zawieszenie broni obowiązywać będzie tylko dziesięć minut, licząc od chwili, kiedy znajdziecie się wśród swoich. Jeśli wasi ludzie nie wycofają się, otworzymy ogień. Nie macie żadnych szans. A zanim wezwiecie posiłki, nas już tu nie będzie. Ale nie chcemy rozlewu krwi. I mam nadzieję, że wy również nie.

–Brady będzie mógł stąd bezpiecznie odejść – odparł Palmer. – Macie na to moje słowo.

Kane zczekał, aż rover odjedzie sprzed hotelu, po czym zadzwonił do Brady'ego, żeby go o tym poinformować.

Kiedy Brady zszedł na dół, powiedział mu o kłótni między Whitlockiem a

Meehanem. Brady wysłuchał go beznamiętnie, a potem kazał się zaprowadzić do Meehana. Kane wprowadził go do baru, gdzie jeden z Provo, odłożywszy na ladę kominiarkę, poił Meehana kawą.

Meehan podniósł powoli wzrok na Brady'ego i zdobył się na słaby uśmiech.

–Dobry wieczór, panie Brady. Już po spotkaniu? Mogę znowu otworzyć hotel?

–Wytrzeźwiałeś? – spytał Brady.

–Czuję się już dużo lepiej – odparł Meehan.

–Słyszałem, że obraziłeś jednego z moich gości. Takich wyskoków nie będę tolerował.

–I... i dostałem, za swoje, panie Brady – wystękał Meehan, dotykając ostrożnie obolałego policzka. – Nie mam nic przeciwko czarnym. To było tylko takie gadanie po pijaku.

–Za dużo pijesz, Meehan.

–Bo lubię, panie Brady.

–Lubiłeś. Od tej pory jesteś abstynentem. Ale żebyś przestał chlać, potrzebny ci będzie jakiś bodziec. Coś, co cię skutecznie odstręczy od butelki. – Brady skinął na Kane'a. – Połam mu palce prawej dłoni.

–Panie Brady, błagam... – wymamrotał przerażony Meehan, patrząc z przerażeniem na podchodzącego do niego Kane'a. – Nigdy już nie wezmę gorzałki do ust. Słowo. Dostałem nauczkę.

–Potraktuj to jako pierwsze i ostatnie ostrzeżenie – warknął Brady. – Jeśli jeszcze kiedyś usłyszę, że się zaprawiłeś, skończysz w jakimś zaułku z rozwalonym łbem. Sammy, zobaczmy się w domu. Muszę jeszcze coś załatwić.

Wyszedł z baru. Kilka sekund potem zza zamkniętych drzwi dobiegł rozzwierający wrzask. Recepcjonistka oderwała wzrok od telewizora i spojrzała niepewnie w tamtym kierunku.

–Na twoim miejscu zacząłbym się rozglądać za nową pracą – poradził jej Brady. – Mam przecucie, że pan Meehan niedługo już będzie prowadził ten hotel.

Recepcjonistka przełknęła nerwowo ślinę, ale nic nie odpowiedziała. Brady wepchnął ręce w kieszenie skórzanej kurtki, wyszedł przez obrotowe drzwi na ulicę i rozpląnął się w mroku.

–Ludzie są na stanowiskach, sir – zameldował Reeves, kiedy Palmer zatrzymał wóz za land roverem. – Mam im wydać rozkaz do ataku?

–Nie – odparł komendant gasząc silnik. – Puszczamy Brady'ego wolno.

–Ależ, komendancie, mamy ich...

–Dałem słowo – przerwał mu gniewnie Palmer. – I zamierzam go dotrzymać.

–Tak, sir, oczywiście – mruknął Reeves. – Przepraszam, nie zamierzałem kwestionować pańskich decyzji. To przez to, że

on... że on ma na sumieniu pięciu moich kolegów, którzy zginęli w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy. A teraz, kiedy nadarza się wreszcie okazja, żeby go przyskrzynić, musimy stać i patrzeć, jak sobie spokojnie odjeżdża.

–Rozumiem waszą frustrację – odparł Palmer, wysiadając z samochodu. – O niczym tak nie marzę, jak o wydaniu rozkazu aresztowania go w chwili, kiedy tylko opuści hotel. Ale nie mogę. I nie chodzi tu tylko o moje słowo. Cała okolica roi się od Provo. A Bóg jeden wie, jaką artylerią dysponują. Zagrozili, że jeśli zaatakujecie, otworzą ogień. Straciliśmy już w tym konflikcie wystarczająco wielu ludzi i nie ma sensu narażać następnych. Muszę wydać wszystkim patrolom rozkaz, żeby wycofały się z tego rejonu. – Spojrzał na zegarek. – Mają na to osiem minut. Dotyczy to wszystkich patroli. Przez najbliższych kilka godzin żaden z naszych chłopców nie ma prawa wstępu do tego rewiru. Zrozumiano? –Zrozumiano, sir. – Reeves zsalutował i oddalił się biegiem, żeby wykonać rozkazy Palmera.

–Dobry z niego gliniarz – mruknął Palmer.

–Owszem – przyznał Whitlock. – Ale wiem, co czuje. Jak ci zapewne wiadomo, straciliśmy trzech ludzi, kiedy ta komórka po raz pierwszy próbowała załatwić McGuire'a w Londynie. Całe szczęście, że nie poszedłem dzisiaj do hotelu uzbrojony. Z największą rozkoszą wpakowałbym mu kulkę w głowę.

Palmer wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i przypalił sobie jednego. Był to jego pierwszy papieros od chwili opuszczenia samolotu. Zaciągnął się głęboko.

Whitlock położył dłoń na dachu samochodu i popatrzył na odległy o dwieście jardów hotel.

–Coś mi tu w tym wszystkim nie gra – powiedział w zadumie.

–Prawdopodobnie Brady chce się w ten sposób wkraść z powrotem w łaski Rady Armii. Gdyby udało mu się załatwić udział IRA w jutrzejszej operacji osłonowej, byłby to jego wielki sukces. – Palmer zauważył konsternację na twarzy Whitlocka. – Widzę, że ciebie to nie przekonuje.

–To wprowadzenie IRA do operacji osłonowej rzeczywiście nie. Nie chce mi się wierzyć, że Brady podejmowałby takie ryzyko tylko po to, żeby złożyć ci taką propozycję. Musiał zdawać sobie doskonale sprawę, że na to nie pójdziesz. Po co więc cię tu ściągnął?

–Kiedy rozmawialiśmy wcześniej przez telefon, zwracał się do mnie per Palmer. Teraz, w bezpośredniej rozmowie, przeszedł nagle na komendanta. To nasuwa pewne...

–Oczywiście – wpadł mu w słowo Whitlock, waląc gniewnie pięścią w dach samochodu. – Teraz rozumiem. Sukinsyn.

–No, wyduś to wreszcie z siebie – ponaglił go Palmer.

–Przypomnij sobie argumenty, jakie dzisiaj wytoczył. IRA nie miała nigdy kontraktu na senatora Scoby'ego. Jego bezpieczeństwem są zainteresowani tak samo jak my. Chcą powstrzymać Gallagher, żeby oszczędzić sobie dalszych zadrażeń. Ale my nie mamy pojęcia, jak Gallagher wygląda i oni to wiedzą. Są gotowi pójść na kompromis i pomóc nam ją wytropić, zanim zabije senatora. Jednocześnie Brady był przekonany, że się na to nie zgodzisz. I nie zgodziłeś się. Odrzuciłeś jego propozycję.

–No i...? – mruknął Palmer ścigając brwi.

–A jeśli wszystko, o czym dzisiaj mówiliśmy, było nagrywane na taśmę po to, żeby w wypadku, gdyby jutro w Dugaill senator został zamordowany, Brady mógł udostępnić kopię tego nagrania prasie? Z tym, że nie byłaby to oryginalna taśma, a zredagowana wersja oryginału. Wersja, w której uwypuklony zostałby fakt, że IRA proponowała współpracę w poszukiwaniu Gallagher, a ty bez zastanowienia odrzuciłeś tę propozycję. Innymi słowy, Brady może próbować zrzucić winę za śmierć senatora na brygadę antyterrorystyczną.

–Opinia publiczna nie da się oszukać – powiedział Palmer.

–Ale Scotland Yard znajdzie się w bardzo kłopotliwym położeniu. Będzie musiał wyjaśniać, dlaczego szef brygady antyterrorystycznej spotykał się potajemnie z szefem sztabu Rady Armii IRA. Z człowiekiem odpowiedzialnym za trwającą od roku kampanię bombową w Anglii, w której straciło życie wiele kobiet i dzieci. Czy próbowałaś się z nim układać? Jeśli nie, to po co się w ogóle z nim spotykałaś? Rozpowszechniając tę zredagowaną wersję na terenie Stanów Zjednoczonych, rozproszy również wątpliwości wielu popleczników z Noraid, którzy będą się zastanawiać, dlaczego IRA, choć obiecała, że nigdy nie obierze sobie za cel obywateli innych państw, nie dotrzymała słowa. Brady zakłada najgorszy scenariusz i stara się nie tylko zdyskredytować Scotland Yard, ale również zminimalizować szkody, jakie przyniesie ten zamach opinii IRA za granicą. Można by rzec, piecze dwie pieczenie przy jednym ogniu. Dlatego był dzisiaj wobec ciebie taki układny. To naprawdę dobrze wyjdzie na taśmie, nie uważasz?

–Teraz rozumiem, dlaczego Siergiej Kolczynski tak wysoko cię ocenia – mruknął Palmer.

–To tylko hipoteza – zastrzegł się szybko Whitlock. – I pozostanie hipotezą, dopóki się nie upewnimy.

–No cóż, jeśli się nie mylisz i taśma wpadnie w ręce prasy, zostaniemy ukrzyżowani. Będziemy mieli szczęście, jeśli przyznają nam emerytury. Musimy zatrzymać Brady'ego, zanim opuści

hotel.

–Nie – zaprotestował Whitlock kładąc Palmerowi dłoń na ramieniu. – Pozwól mu odejść.

–O czym ty mówisz? Musimy go zatrzymać, zanim zdąży zrehabilitować tę taśmę.

–Zaufaj mi – powiedział z naciskiem Whitlock.

Stojący przed nimi land rover ruszył z miejsca i zniknął w następnej przecznicy.

Do Palmera i Whitlocka podszedł Reeves.

–Wycofałem wszystkich ludzi, sir – zameldował.

Palmer zerknął niespokojnie na Whitlocka, ale ten pokręcił tylko głową.

–Czy zatankowano samolot, Reeves? – spytał.

–Chyba tak, sir.

–W porządku – odparł Whitlock klaszcząc w dłonie. –

Więc wracamy do Londynu.

–A co z Bradym? – spytał Palmer. – Zamierzasz pozwolić mu odejść?

–Tak – odparł Whitlock.

–Słuchaj, jeśli masz rację...

–Zaufaj mi – powtórzył Whitlock z uspokajającym uśmiechem. –

No to co, wracamy chyba do samolotu?

Oddziałem marines, który pełnił tego wieczoru służbę w Winfield House, oficjalnej rezydencji amerykańskiego ambasadora w Regens Park, dowodził podporucznik Kowalski, który stosunkowo niedawno ukończył średnią szkołę oficerską w Quantico w stanie Wirginia. Nie starał się nawet kryć swego lekceważenia w stosunku do Grahama i Sabriny, kiedy przybyli do ambasady wraz ze swą żoną Scoby'ego. Sabrina od razu poczuła do niego antypatię, uznając go za aroganta i bufona. Graham okazał większą tolerancję. Jako były żołnierz rozumiał młodego oficera i jego zdenerwowanie, że para cywilów podkopuje jego autorytet. Sam zareagowałby podobnie, gdyby przytrafiło mu się coś takiego, kiedy służył jeszcze w Delcie. Kowalski oprowadził ich po terenie posiadłości i podkreślił kilkakrotnie, że oddział ochraniający ambasadę znajduje się w pełnej gotowości. Graham z Sabriną nie dopatrzili się żadnych niedociągnięć. Pozostawało im tylko mieć oko na Scoby'ego wewnątrz budynku ambasady.

Sabrina dała Grahamowi od razu do zrozumienia, że najlepiej będzie, jeśli on zajmie się pilnowaniem senatora, podczas gdy ona pozostanie z Melissą Scoby. Było oczywiste, że nadal myśli, iż Melissa Scoby leci na niego i dla jego własnego dobra lepiej trzymać ich z dala od siebie. Graham uważał, że to śmieszne. Jako dowódca Trzeciego Zespołu Operacyjnego mógł zarządzić inny podział ról, ale wolał nie zadzierać z Sabriną.

Scoby krążył między gośćmi nawiązując nowe kontakty. Z ambasadorami, charge d'affaires, biznesmenami. Z każdym, kto w jego przekonaniu mógł się okazać przydatny w przyszłości. Im wyżej postawiona osoba, tym dłużej z nią rozmawiał. Ci, którzy nie mieli nic do zaoferowania, musieli się zadowolić oficjalnym uśmiechem i

uściskiem dłoni.

Podczas kolacji Graham, jako najstarszy rangą reprezentant UNACO w tym gronie, posadzony został przy stole między żonami ambasadorów dwóch państw europejskich i większą część posiłku spędził odpierając taktownie krzyżowy ogień pytań

dotyczących zarówno UNACO, jak i ostatnich wydarzeń na Tamizie. Przez cały czas miał przed oczami maksymę z plakatu, który wisiał w pokoju Whitlocka podczas jego studiów w Oksfordzie: "Dyplomacja to umiejętność mówienia komuś, że jest kretynem, w taki sposób, by odebrał to jako komplement".

Z ulgą podniósł się od stołu po skończonym posiłku. Dogonił Sabrinę wychodzącą z sali z jednym z europejskich ambasadorów, chwycił ją za ramię, uśmiechnął się przepraszająco do ambasadora i pociągnął dziewczynę za sobą na korytarz.

–Widzę, że dobrze się bawisz – powiedziała z przekornym uśmiechem.

–O tak, bardzo dobrze – odparł. – A skoro mowa o dobrej zabawie, to teraz twoja kolej na sprawdzenie, co u Kowalskiego.

–Przecież ostatnim razem ja do niego wychodziłam – zaproponowała.

–I dobrze się spisałaś. No, leć.

Skrzywiła się.

–Miej oko na Melissę Scoby. Ostatnio widziałam ją z ambasadorem amerykańskim. Niedługo wracam.

Graham przeszedł do salonu, ale nie było tam ani Jacka, ani Melissy Scoby. Miał już zawrócić i sprawdzić jeszcze raz w sali jadalnej, kiedy z jakichś drzwi w głębi korytarza wyłoniła się Melissa Scoby. Drzwi zamknęły się za nią.

Graham podszedł do niej.

–Gdzie senator? – spytał.

–Jest w tym pokoju z Rayem i ambasadorem – odparła wskazując na drzwi za sobą. – Pierwszy raz ma okazję porozmawiać z nim prywatnie. A gdzie Sabrina?

–Wyszła zamienić słówko z oficerem dyżurnym. Zaraz wróci.

–W porządku – powiedziała Melissa Scoby wsuwając mu rękę pod ramię. – Teraz powiesz mi, dlaczego przez cały wieczór tak starannie mnie unikasz.

–Ja nie... – urwał, widząc jej przekorny uśmiezek.

–Przewietrzyłabym się troszkę – oznajmiła. – Chodź, Mike, pospacerujemy.

–Nie jest pani za lekko ubrana? – spytał, kiedy szli w stronę patio.

–Nic mi nie będzie. Wieczór jest ciepły. – Uśmiechnęła się do jakiejś pary sączącej na patio alkohol i poprowadziła Grahama schodkami do ogrodu. – Rozmawiałam dziś długo z Sabriną.

Wiedziałam od początku, że za mną nie przepada, i wzajemnie.

Ale teraz zdaję sobie sprawę, że źle ją oceniałam. Masz bardzo inteligentną

partnerkę, Mike. I bardzo lojalną.

–Tak, wiem.

–Wczoraj zorientowała się od razu, że cię kokietuję. Oczywiście Jack tego nie zauważył. On nigdy nie zauważa takich rzeczy. – Melissa uśmiechnęła się widząc minę Grahama. – Sabrina powiedziała mi, że ty też nie zauważyłeś.

–Nie, nie zauważyłem – bąknął.

–Zawsze lubiłam flirtować. Traktuję to jako grę, ale zupełnie nieszkodliwą. Nigdy nie oszukiwałam męża i nigdy go nie oszukam. Jack chce się ubiegać o fotel prezydencki, a nie chciałabym dawać demokratom amunicji przeciwko niemu, kiedy się wreszcie na to zdecyduje. Niewierność małżeńska jest w oczach amerykańskiego elektoratu poważnym przestępstwem. Zdałam sobie później sprawę, że mogłeś się poczuć trochę niezręcznie i kiedy dziś wieczorem zauważyłam, że nie odstępujesz Jacka, pomyślałam, że pewnie celowo usiłujesz trzymać się ode mnie zdaleka, żeby uniknąć kłopotliwej sytuacji. Ale okazuje się, że był to pomysł Sabriny.

–Czasami bywa nadopiekuńcza – odparł Graham.

Z domu wyszli Sabrina ze Scobym i zbliżyli się do nich.

–Skończyłeś już rozmowę z ambasadorem? – spytała męża Melissa.

–Tak. Nie mieliśmy wielu tematów do omówienia. – Scoby spojrzął na zegarek. – Muszę wracać do hotelu. Mamy jeszcze z Rayem mnóstwo papierkowej roboty. Ty możesz tu zostać, jeśli chcesz. Mike albo Sabrina odwiozą cię później.

–Nie, mam dosyć wrażeń jak na jeden dzień – odparła. – Chętnie położę się wcześniej do łóżka.

–Chodźmy więc pożegnać się z ambasadorem i jego żoną – powiedział Scoby.

–Każę podstawić dla państwa samochody przed frontowe wejście – odezwał się Graham. – A Sabrina zatelefonuje do brygady antyterrorystycznej i da im znać, że wracacie do hotelu. Oszczędzi to panu użerania się z tłumem dziennikarzy w foyer.

–Dobrze, zostawiamy to wam – powiedział Scoby i poprowadził żonę z powrotem w stronę domu.

Graham i Sabrina ruszyli za nimi w pewnej odległości.

Cross i Johnstone, detektywi brygady antyterrorystycznej pełniący tego wieczora służbę w hotelu, podbiegli do dwóch czarnych

mercedesów zatrzymujących się przed głównym wejściem. W pierwszym wozie siedzieli Jack i Melissa Scoby, drugim jechał Ray Tillman. Przednie drzwiczki pierwszej limuzyny otworzyły się i wyskoczył z niej Graham. Rozejrzał się szybko dookoła. Po prawej tłumek fotoreporterów walczył o jak najlepszą pozycję do utrwalenia na kliszy Scoby'ego wysiadającego z samochodu. Po lewej, za kordonem

policyjnym, stała grupka kilkunastu demonstrantów protestujących przeciwko polityce amerykańskiej w Ameryce Środkowej. Sabrina wysiadła z drugiego mercedesa i podeszła do Grahama. Graham skinął głową Crossowi, który otworzył tylne drzwiczki. Wysiadającego Scoby'ego zalała powódź światła z błyskających fleszy. Pomachał fotoreporterom i podał rękę wysiadającej za nim żonie.

Graham odwracał się już, by ruszyć wraz ze Scobym w kierunku wejścia do hotelu, kiedy jego uwagę zwróciło jakieś poruszenie. Przez policyjny kordon przedarła się młoda kobieta w dżinsach i wojskowej kurtce i biegła w stronę samochodu. Sabrina wyskoczyła jej naprzeciw, ale dziewczyna zdążyła jeszcze rzucić w pierwszy samochód jajkiem. Demonstranci wrzasnęli radosnym chórem, kiedy rozbiło się o przednią szybę. Sabrina zbiła dziewczynę z nóg i wykręciła jej rękę na plecy. Natychmiast podbiegli dwaj mundurowi policjanci, podnieśli ją, założyli jej kajdanki i odciągnęli w stronę radiowozu.

–Nic się panu nie stało? – spytał senatora Graham, kiedy znaleźli się w foyer.

–Nie – odparł opryskliwie Scoby. Popatrzył na demonstrantów, którzy przenieśli teraz swój gniew na policyjny radiowóz. –

Historia się powtarza, prawda? Znowu studenci i obiboki na zasiłku, którym się wydaje, że zmieniają świat skompromitowanym socjalizmem. Popatrz tylko na nich. Banda pseudokomuchów i różowych. Co oni wiedzą o życiu?

Graham spojrzał na niego z ukosa. Zupełnie jakby znów słyszał "Hawka" Walsh. Z tą różnicą, że przeznaczeniem Jacka Sco-by'ego był Biały Dom, do którego pewnego dnia się wprowadzi...

Tillman chwycił Grahama za ramię, wrywając go z zadumy.

–Dlaczego tej demonstrantce pozwolono zbliżyć się na taką odległość do senatora? A gdyby zamiast jajka miała granat?

–Wtedy wszyscy bylibyśmy już martwi – odparł Graham, uwalniając ramię.

–Słuchaj no...

–Starczy, Ray – syknął Scoby. – Porozmawiamy o tym

jutro rano. Dzisiaj mamy jeszcze mnóstwo pracy. Im wcześniej się z nią uporamy, tym szybciej znajdziemy się w łóżkach.

Tillman nic nie odpowiedział i ruszył za Jackiem i Melissą Scoby do windy.

Graham obejrzał się. Przed hotelem nadal błyskały flesze. Znowu ochrona zawiodła. Kolejna wpadka UNACO. Ale mogło być o wiele gorzej...

–Jak dobrze, że już po wszystkim – westchnął Graham,

kiedy odprowadziwszy Scoby'ego bezpiecznie do jego apartamentu, szli z Sabriną do windy. – Nie wiem, czy wytrzymałbym tam dłużej.

–Och, nie przesadzaj, nie było aż tak źle.

–Łatwo ci mówić, wychowałaś się wśród takich ludzi. – Graham poluzował muszkę i rozpiął górny guzik koszuli. – Twój ojciec musiał wydawać setki przyjęć.

–Owszem – przyznała Sabrina, naciskając guzik windy. – Ale to jeszcze nie oznacza, że ja w nich uczestniczyłam. Byłam wtedy mała. Pierwszy raz zostałam zaproszona na takie przyjęcie dopiero po ukończeniu Sorbony.

–Ale to twoje środowisko. Ja źle się w nim czuję.

–Nie, to nie jest moje środowisko – odburknęła i zamilkła nagle, bo drzwi windy rozsunęły się i ujrzała przed sobą parę starszych ludzi. Uśmiechnęła się do nich wchodząc do kabiny i odezwała się do Grahama dopiero wtedy, kiedy wysiedli na swoim piętrze: – Zawsze miałeś mnie za głupią, bogatą dziewczynkę, która cały czas wolny od zajęć spędza z możnymi i sławnymi z Nowego Jorku. To prawda, lubię pójść od czasu do czasu na jakieś wystawne przyjęcie, jednak o wiele lepiej czuję się w dżinsach i swetrze w zadymionym klubie jazzowym, niż w wieczorowej sukni od ekskluzywnego projektanta mody w jakimś szpanerskim nocnym lokalu. Przykro mi, że dotąd tego nie zauważyłeś.

–Być może, ale nadal upieram się, że w tłumie polityków czujesz się swobodniej niż ja.

–Z większością osób czuję się swobodniej niż ty – powiedziała z półuśmiechem. Zatrzymała się przed drzwiami swojego pokoju. – Może drinka przed snem?

–Owszem, czemu nie – odparł beznamiętnie.

–Nie mógłbyś okazać trochę entuzjazmu? – mruknęła otwierając drzwi. – Wiesz, gdzie stoją butelki. Dla mnie dietetyczna cola.

–A ty dokąd idziesz?

–Przebrać się – odparła wskazując na wieczorową suknię. – Przez cały wieczór źle się w niej czułam.

–Wciąż się boczysz, bo C.W. nie pozwolił ci kupić na to przyjęcie nowej kreacji, prawda?

–Po prostu nie lubię pożyczanych ubrań. Nie wiem, kto je przede mną nosił. – Wzdrygnęła się i zniknęła w łazience.

Graham wyjął z minibarku dietetyczną colę i wodę Perriera, i w tym momencie zauważył, że na aparacie telefonicznym miga czerwona lampka.

–Jest dla ciebie wiadomość w recepcji – zawołał przez zamknięte drzwi.

–Zadzwoń na dół i powiedz, żeby to przynieśli, dobrze? – odkrzyknęła.

Wyszła po paru minutach z łazienki w białym szlafroku frotte.

–Od kogo była ta wiadomość?

–Od C.W. – odparł Graham nalewając dietetyczną colę i wręczając jej szklankę. – Nie wie, o której wróci do hotelu. Mamy na niego nie czekać.

–Nie wiedziałam, że mieliśmy – odparła, siadając na łóżku.

–No to teraz wiesz. – Graham też usiadł. Obrócił powoli

butelkę w rękach, po czym spojrzął na Sabrinę. – Chyba winien ci jestem przeprosiny.

–Za co? – zdziwiła się. Mike nieczęsto przyznawał się do błędu.

–Rozmawiałem dzisiaj z Melissą Scoby. – Graham poprawił się niespokojnie w fotelu. – Miałaś rację, podrywała mnie. A ja ci nie wierzyłem. Ale ty lepiej znasz się na tych sprawach ode mnie.

–No nie, dzięki, Mike.

–Wiesz, że nie o to mi chodziło. – Spojrzął na nią pochmurnie. – Czy to naprawdę było takie wyraźne?

–Dla mnie tak. Słyszałam to w jej głosie i widziałam w spojrzeniach, jakie ci rzucała. Dlaczego, według ciebie, tak od razu zapalała do mnie niechęcią? Bo wiedziała, że ją przejrzałam.

–Słyszałaś to w jej głosie? I widziałaś w jej spojrzeniach? – Graham wpatrywał się melancholijnie w trzymaną w dłoniach butelkę. – Ja nic nie zauważyłem.

–Tak samo Scoby.

–Czy to nie wspaniałe? Kobieta człowieka podrywa, a on nawet o tym nie wie. – Graham zdobył się na krzywy uśmieszek. – Chyba za długo byłem poza obiegiem.

–Ona i tak nie jest w twoim typie.

–Masz rację – odparł Graham. Zauważył cień uśmiechu wyginającego kąciki ust Sabriny. – O co chodzi? – zapytał.

–Tak sobie tylko pomyślałam...

Czekał na dalszy ciąg, ale Sabrina milczała.

–Naprawdę? Tak sobie tylko pomyślałaś? A o czym?

–Przypomniało mi się, co powiedział Fabio, kiedy odwiedziłam go dzisiaj w szpitalu. On uważa, że ty i ja tworzymy dobraną parę.

–Chyba za bardzo nafaszerowali go lekami. Nie przeczę, dobrze nam się pracuje razem, jednak to tylko sprawa stosunków służbowych.

–Dopiero ostatnio zaczęło nam się dobrze pracować. Pamiętam czasy, kiedy o każde głupstwo skakaliśmy sobie do oczu.

–I waliliśmy się głowami przy każdym obrocie. Byliśmy wtedy oboje zbyt niezależni.

–Ty taki byłeś – poprawiła go.

–Ale ty też nie byłaś bez winy. – Graham pociągnął łyk perriera. – Panuje przekonanie, że na współpracy mężczyzny z kobietą zawsze ciąży piętno seksu...

–Słyszałam już tę teorię – odparła wzruszając ramionami.

–Co wcale nie znaczy, że nas coś łączy.

–Nie licząc miłości do jazzu – zauważyła.

–Właśnie – przyznał.

–Bardzo dobrze się bawiłam tamtego wieczoru w "Sweet Basil's".

–Ja też. Ten zespół był naprawdę wspaniały. Może zajrzemy tam jeszcze kiedyś?

–Chciałabym – powiedziała cicho.

–Ale pod warunkiem, że nie wygadasz się z tym przed wszystkimi, jak to zrobiłaś ostatnim razem.

–Sarah i Fabia trudno nazwać wszystkimi.

–Na pewno roztrąbili dalej.

–Czemu tak się tym przejmujesz, Mike?

–Nie przejmuję się. Po prostu nie lubię być obiektem jakichkolwiek plotek. Zwłaszcza dla ludzi z innych zespołów operacyjnych.

Mieliby ubaw, gdyby ktoś podsunął im myśl, że między nami coś jest. – Dopił resztkę perriera, wstał i odstawił pustą butelkę na stoliczek. – No, chyba będę już leciał.

–Widzę, że rzeczywiście nie chcesz być obiektem plotek – powiedziała z uśmiechem Sabrina, po czym również wstała i pocałowała go w policzek. – Dobranoc, Mike.

Uniósł rękę i odgarnął pasemko włosów, które opadło jej na ramię. Usiłowała odczytać coś z jego oczu, kiedy na nią patrzył, ale nie udało się jej. Nie знаła nikogo, kto potrafiłby maskować swoje emocje tak jak Mike.

–Do zobaczenia rano – powiedział cicho Graham.

Po jego wyjściu wpatrywała się jeszcze przez chwilę w drzwi.

–Wybij to sobie z głowy, dziewczyno – skarciła się, weszła do łazienki i puściła wodę na kąpiel.

Tuż po północy przed domem na przedmieściach Warrenpoint zatrzymał się motocykl. Motocyklista w dżinsach i skórzanej kurtce zgasił silnik i podbiegł do frontowych drzwi. Otworzyły się, zanim zdążył wdusić przycisk dzwonka. Sammy Kane wyciągnął rękę. Motocyklista wyjął zza pazuchy niedużą paczuszkę i wręczył mu ją. Drzwi zamknęły się, motocyklista wrócił do swojego pojazdu, energicznym kopniakiem zapuścił silnik i odjechał w noc.

Ani on, ani Kane nie zauważyli mercedesa stojącego od dwóch godzin przy kępie krzaków, jakieś trzydzieści jardów od domu. Czterej mężczyźni siedzący w środku ubrani byli na czarno. Trzech wysiadło z samochodu i zniknęło w krzakach, by obejść dom od tyłu. Ich twarze osłaniały czarne kominiarki. Zatrzymali się i popatrzyli na budynek. Zza zaciągniętych zasłon w salonie sączyło się mdłe światło. Pozostałe okna były ciemne. Wiedzieli, że Kane jest sam.

Jeden z mężczyzn miał na ramieniu torbę. Otworzył ją i wyciągnął trzy karabiny z upiłowanymi lufami. Potem zniknął za domem, by unieszkodliwić system alarmowy, i wrócił po kilku minutach. Wycięli diamentem jedną z szyb, otworzyli okno, wślizgnęli się cicho do domu i podeszli do drzwi salonu. Jeden z mężczyzn kopnął w nie z taką siłą, że dolne zawiasy zostały wyrwane z framugi.

Kane usłyszał hałas i sięgnął do szuflady biurka po automat.

–Ani się waż, Sammy! – warknął jeden z napastników z silnym akcentem mieszkańca Belfastu, mierząc z obrzynka w głowę Kane'a.

Kane zerknął na wycelowane w niego obrzynki dwóch pozostałych mężczyzn, po czym uniósł powoli ręce, pokazując, że są puste.

–Odsuń się od biurka! – warknął ten z Belfastu.

–Kim u diabła jesteście? – zapytał Kane. – I dlaczego...

–Powiedziałem, odsuń się od biurka!

Kane wykonał polecenie.

Mężczyzna z Belfastu podszedł do niego i wyrzucił go brutalnie kolbą obrzynka w żołądek.

–Rada Armii przesyła wyrazy szacunku.

Kane osunął się na podłogę, ściskając brzuch rękami. Kiedy zdołał się wreszcie podźwignąć na kolana, mężczyzna w kominiarce stanął za nim i przyłożył mu lufę do potylicy.

–O co wam chodzi...? – wykrztusił Kane, z trudem łapiąc oddech.

–O dzisiejsze spotkanie z komendantem Maurice'em Palmerem z brygady antyterrorystycznej Scotland Yardu, w którym uczestniczyliście z Bradym.

–Rada Armii o tym wiedziała – wyrzucił z siebie Kane. –

Kevin uzgodnił to z nimi, zanim umówił się z Palmerem.

–Brady nie powiadomił Rady Armii o żadnym spotkaniu.

–To absurd – zachnął się Kane. – Powiedział mi, że wszystko z nimi uzgodnił i że uzyskał zezwolenie na to spotkanie. Nigdy nie zrobiłbym tego za ich plecami.

–Rada Armii dowiedziała się o spotkaniu od jednej ze swoich wtyk w RUC. Z tego samego źródła mamy informację, że Brady nagrał przebieg spotkania na taśmę. Czy to prawda?

Kane, czując ucisk lufy na tył głowy, przełknął nerwowo ślinę,

–Twoja lojalność wobec Brady'ego jest bardzo godna podziwu,

Sammy – stwierdził mężczyzna z Belfastu. – Ale Rada

Armii ma dosyć jego wyskoków. I jeśli odbierze mu dowództwo

za to, co się dzisiaj wydarzyło, możesz być pewien, że polecą

też głowy ludzi z jego najbliższego otoczenia. A ponieważ jesteś

jego prawą ręką, pierwszy pójdiesz na odstrzał. Zastanów się lepiej.

Kane otarł rękawem pot z czoła.

–Tak, nagrał to spotkanie – odparł. – Ale skąd RUC się o tym dowiedziało?

–Bo Brady'emu zabrakło inwencji. Kiedyś był bardzo przebiegły,

ale teraz łatwo przewidzieć jego posunięcia. Wygląda na

to, że RUC bardzo chce przesłuchać te kopie.

–Kopie...? – spytał niepewnie Kane.

–Nie denerwuj nas, Sammy. Brady zamierzał przesłać zredagowaną wersję taśmy prasie, żeby ratować własną żalosną skórę.

Jak powiedziałem, bardzo łatwo przewidzieć, co zrobi. Bo niby po co nagrywałby przebieg spotkania? Jeśli te taśmy wpadną w ręce RUC, Rada Armii będzie miała urwanie głowy z wyjaśnianiem zdrady Brady'ego naszym zagranicznym sponsorom. Niecałe pięć minut temu posłaniec na motocyklu dostarczył ci przesyłkę. Nie była to żadna cholerna pizza. No, gdzie te taśmy?

–Skąd mam wiedzieć, że przysyła was Rada Armii? Nie rozpoznaję waszych głosów. Nie widzę twarzy. Równie dobrze możecie być z RUC.

–Stosujmy się do rozkazów – powiedział do tego z Belfastu mężczyzna stojący za Kane'em.

Człowiek z Belfastu pokręcił powoli głową.

–Nie. To jeden z nas.

–Powiedz to Patowi Taylorowi! – warknął tamten.

–Sammy, na miłość boską, dostaliśmy wyraźne instrukcje, żeby rozwalić każdego, kto spróbuje przeszkodzić nam w odzyskaniu tych taśm. Nie chcę wydawać takiego rozkazu.

–Nie oddam wam taśm, bo ich nie mam – odparł Kane.

–Wiemy, że przesyłka zawierała te taśmy – powiedział mężczyzna stojący za Kane'em. – To nie mogło być nic innego. Na pewno są gdzieś w domu. Prawdopodobnie w tym pokoju. Jeśli będę musiał cię zabić, zrobię to. Po prostu trochę dłużej potrwa, zanim je znajdziemy. Twój ruch, Sammy!

Nagle zatrzeszczało radio schowane w torbie. Trzeci mężczyzna, który obserwował przez okno ulicę, sięgnął po nie natychmiast.

–Słyszę syreny policyjne w pewnej odległości – rozległ się głos człowieka, który został w samochodzie. – Zbliżają się. Musimy się zwijać.

–Sammy, musimy się zdecydować – powiedział człowiek z Belfastu. – Albo dajesz nam teraz te taśmy, albo znajdziemy je sobie sami, a policjantom zostawimy na ścianie resztki twojej głowy do zeszkobania.

–Dolna szuflada biurka – mruknął ponuro Kane.

Człowiek z Belfastu wyszarpnął szufladę i wyciągnął z niej zalakowaną brązową kopertę.

–Co w niej jest? – zapytał.

–Oryginał i kopia zredagowanej wersji.

–Ile kopii wykonano?

–Mamy już taśmy, więc spływajmy – syknął mężczyzna stojący za Kane'em.

–Ile kopii kazał zrobić Brady? – powtórzył człowiek z Belfastu.

–Tuzin. – Kane zmrużył nerwowo oczy, słysząc zbliżające

się wycie policyjnych syren. – Nie wygłupiajcie się, musimy stąd pryskać. W piwnicy jest ukryty tunel.

Człowiek z Belfastu dał znak głową mężczyźnie za Kane'em i tamten rąbnął Kane'a w skroń kolbą karabinu. Kane stracił przytomność, zanim jeszcze upadł twarzą na dywan.

Zamaskowany mężczyzna stojący na czujce oddał radio człowiekowi z Belfastu, podszedł do telefonu i kiedy pierwszy policyjny wóz zatrzymywał się z piskiem opon przed domem, zaczął wykręcać numer. Po drugiej stronie linii natychmiast podniesiono słuchawkę.

Mężczyzna ściągnął z głowy kominiarkę i otarł dłonią spoconą twarz.

–Tu detektyw inspektor Reeves – powiedział. – Plan pana Whitlocka zadziałał. – Zerknął na dwóch swoich kolegów, którzy również ściągnęli swoje kominiarki i uśmiechali się tryumfalnie. – Mamy te taśmy.

Plan Whitlocka mógł się powieść tylko wtedy, jeśli Brady rzeczywiście nagrał na taśmę przebieg spotkania w hotelu. Gdyby tego nie zrobił, sprawa przedstawiałaby się zupełnie inaczej.

Jednak Whitlock nawet nie dopuszczał do siebie myśli, że może się mylić. Intencje Brady'ego były przejrzyste. W jakim innym celu miałyby ściągać Palmera do Irlandii, skoro z góry wiedział, że komendant nigdy nie zgodzi się na jego warunki? Dla uprawdopodobnienia swego fortelu Whitlock postanowił posłać z Reevesem dwóch policjantów z Belfastu. Gdyby Rada Armii dowiedziała się o spotkaniu z drugiej ręki, wysłałaby ludzi spoza miasta, obawiając się, że miejscowi uprzedzą Kane'a. Nie wiedział jednak, czy wyraziła zgodę na spotkanie. Teraz jednak wszystko wskazywało na to, że tak.

Brady'emu pozwolono opuścić Warrenpoint, tak jak obiecał Palmer, ale czterech policjantów śledziło go aż do bezpiecznego domu na przedmieściach miasta. Mieli rozkaz czekania tam do chwili dostarczenia Kane'owi taśm. Whitlock był przekonany, że Brady powierzy je właśnie jemu. Nie wiadomo było tylko, kiedy do niego dotrą.

Wszyscy trzej ludzie wchodzący do środka mieli przy sobie ukryte mikrofony, więc zarówno mężczyzna w samochodzie, jak i miejscowy oddział RUC czekający kilkaset jardów od domu wiedzieli dokładnie, kiedy wkroczyć do akcji.

Ponieważ Kane był nieprzytomny, ludzie z RUC mogli twierdzić, że gdy weszli do domu, nie zastali tam trzech zamaskowanych mężczyzn. Whitlock pozostawił wybór wersji policji. Z chwilą aresztowania Kane'a Brady stracił jedyne prawdziwego sojusznika. A kiedy Rada Armii dowie się, że Kane stracił oryginalną taśmę, pętla na szyi Brady'ego zaciśnie się jeszcze mocniej...

Młody policjant zatrzymał machnięciem ręki mazdę zbliżającą się do blokady drogi ustawionej przez RUC na przedmieściach Dugaill.

–Dzień dobry – powiedział uprzejmie, nachylając się do otwartego okna od strony kierowcy. – Przykro mi, ale ta droga zostanie otwarta dla ruchu dopiero po południu. Dokąd pani jedzie?

–Do kościoła – odparła dziewczyna prowadząca samochód. – Nazywam się Sabrina Carver. Wchodzę w skład obstawy senatora.

–Ma pani jakieś dokumenty?

Dziewczyna odpięła plaketkę identyfikacyjną od kieszonki białej bluzki i podała ją policjantowi. Obejrzał pieczęć i stwierdził, że jest autentyczna. Zwrócił plaketkę i zajrzał do notesu, który trzymał w ręku.

–Mam tu napisane, że przylatuje pani z senatorem.

–Tak miało pierwotnie być. Ale stawka jest tak duża, że wysłano mnie przodem z poleceniem wsparcia inspektora Eastmana.

Z senatorem przylecą moi partnerzy. Doszliśmy do wniosku, że bardziej przydam się tu na ziemi niż w samolocie. Może mi pan powiedzieć, gdzie mogę znaleźć inspektora Eastmana?

Tamten wzruszył ramionami.

–Niestety nie wiem tego. Niech pani spyta pod kościołem.

Sto jardów stąd jest droga, w którą należy skręcić, żeby tam dojechać. Nie można jej przeoczyć.

–Dziękuję.

Policjant dał znak koledze, by uniósł szlaban. Dziewczyna wrzuciła bieg i przejechała przez blokadę, a młody policjant uśmiechnął się do kolegi przy szlabanie.

–Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby mnie ochraniała.

–Niezła sztuka – stwierdził tamten.

Policjant skinął głową i ruszył w kierunku następnego samochodu zbliżającego się do szlabanu.

Zatrzymano ją jeszcze raz na drodze dojazdowej do kościoła, ale przepuszczono, kiedy okazała swoją plaketkę identyfikacyjną. Zaparkowała przy cmentarzu. Roilo się na nim od ludzi z RUC. Wysiadła z samochodu, ale zamiast wejść na cmentarz, skierowała się do stojącego naprzeciwko kościoła. Tuż za progiem zatrzymał ją umundurowany sierżant policji.

–Jestem Sabrina Carver – powiedziała wskazując na plaketkę identyfikacyjną przypiętą do kieszonki bluzki. – Wchodzę w skład ochrony senatora. Przysłano mnie tu przodem z zadaniem objęcia dowództwa nad służbami bezpieczeństwa w samym kościele.

–Inspektor Eastman nic mi o tym nie wspominał – odparł sierżant.

–Bo nie wie jeszcze, że tu jestem. Decyzja o wysłaniu mnie

tutaj przed innymi zapadła dopiero dzisiaj rano. Ilu swoich ludzi macie w kościele?

–Dwóch.

–Jest was tylko dwóch? – zdziwiła się.

–Jeśli ma pani względem tego jakieś obiekcje, to proszę je przedstawić inspektorowi – padła burkliwa odpowiedź. – On tutaj wydaje rozkazy. Ja jestem tylko od słuchania.

–Przepraszam – powiedziała dziewczyna z pojednawczym uśmiechem. – Dziwi mnie tylko, że nie ma tu liczniejszej reprezentacji służb bezpieczeństwa.

–Nie ma takiej potrzeby. Kościół przeczesano dokładnie wczoraj wieczorem, a po raz drugi dzisiaj rano. Wszystkie wejścia pilnowane są od zewnątrz. Nikt nie wejdzie do środka nie zauważony.

–Gdzie ten wasz drugi człowiek?

–Paul Reilly siedzi na dzwonnicy. Dobry stamtąd widok na cmentarz. Gdyby jakiś snajper zamierzał się tam usadowić, musiałby najpierw przedostać się przez kordon, jakim policja otoczyła kościół, a potem uporać się z nami dwoma. Nie dałby rady. Mamy tutaj sytuację pod całkowitą kontrolą, panno...

–Carver – podpowiedziała. – Miło mi to słyszeć.

–Czy senator przybędzie punktualnie? – spytał policjant.

–O ile mi wiadomo, tak. Helikopter wyleciał już z Belfastu. Powinien tu być za jakieś dziesięć minut.

–Mogła pani spokojnie przylecieć z nimi. Szkoda, że nie skontaktowała się pani wcześniej z inspektorem Eastmanem. Nie jechałaby tu pani na darmo.

–Nie jechałam na darmo – powiedziała i uderzyła go silnie kantem dłoni w bok szyi. Podtrzymała osuwające się bezwładnie ciało i położyła je cicho na posadzce. Potem, zaryglowawszy drzwi frontowe, wyjęła z kieszeni małe metalowe pudełeczko i otworzyła je. W środku znajdowała się strzykawka z igłą oraz fiolka z pentothalem sodu. Wciągnęła połowę zawartości fiolki do strzykawki i zrobiła ogłuszonemu mężczyźnie zastrzyk. Nie odzyska przytomności przez kilka najbliższych godzin.

Wsunęła pudełeczko z powrotem do kieszeni i ruszyła w kierunku schodów prowadzących na szczyt dzwonnicy.

Paul Reilly wyjął z kieszeni kurtki paczkę z ostatnim papierosem i zapalił. Pustą paczkę zmiażdżył w dłoni i już miał ją rzucić na pomost, ale przypomniał sobie, gdzie się znajduje. Nie był specjalnie religijny, jednak pewnym miejscem należał się szacunek. Wepchnął zgniecione opakowanie do kieszeni i zaciągnął się głęboko papierosem.

Na małej dzwonnicy dominował ciężki dzwon zwisający ze środka belkowanego stropu. W każdej z czterech ścian wieży znajdowało się wąskie, podłużne, nieoszkłone

okno. Reilly z pistoletem maszynowym Heckler Koch przerzuconym przez ramię stał przy oknie wychodzącym na cmentarz. Tkwił tu od wczesnego ranka. No, teraz to już nie potrwa długo...

Usłyszał skrzypnięcie na spiralnych schodkach i obejrzał się. Zawołał po imieniu kolegę, ale nikt nie odpowiedział. Zsunął z ramienia pistolet maszynowy i ruszył powoli pomostem w stronę szczytu schodów. Z miejsca, w którym stał do tej pory, widział jedynie kilka ostatnich stopni. Przytrzymując się barierki wychylił się i spojrzał w dół. Zobaczył tylko wykładaną kamiennymi płytami posadzkę sto stóp poniżej. Wzdrygnął się i odsunął od barierki. Skrzypienie nie powtórzyło się. To pewnie wiatr. Albo może mu się wydawało. Weź się w garść, chłopie, powiedział do siebie i ruszył z powrotem do okna.

–Dzień dobry.

Odwrócił się na pięcie z pistoletem maszynowym gotowym do strzału.

–Przepraszam, nie chciałam pana przestraszyć. Myślałam, że słyszy pan, jak wchodzę po schodach. Robiłam tyle hałasu, że obudziłabym umarłego.

–Kim pani jest? – spytał Reilly.

–Sabrina Carver. Jestem z obstawy senatora. Mam pod żakietem identyfikator.

Reilly mierzył do niej wciąż z heckler kocha.

–Proszę pokazać.

Wyjęła plakietkę i pokazała mu ją w wyciągniętej ręce. Podeszedł bliżej, żeby się jej lepiej przyjrzeć. Opuścił pistolet.

–Cieszę się, że wyjaśniliśmy sprawę – powiedziała z uśmiechem.

–Wykonuję tylko swoje obowiązki, panno Carver. Co pani tu robi?

–Sprawdzam stan bezpieczeństwa przed przybyciem senatora.

Pański kolega z dołu zapewnił mnie, że macie sytuację pod kontrolą.

–Pewnie, że mamy – odparł z dumą Reilly. – Tu z góry widać wszystko na wiele mil w każdą stronę. Proszę podejść, pokażę pani.

Kiedy się odwrócił, uderzyła go silnie kantem dłoni w kark. Zwalił się bez czucia na pomost. Wyjęła z metalowego pudełeczka strzykawkę i zrobiła mu zastrzyk w ramię z reszty pentothalu sodu. Potem wyjęła z kieszeni scyzoryk, ukucnęła i wcisnęła ostrze między dwie deski podłogi. Jedna z nich była poluzowana i wystarczyło lekko ją podważyć, by ustąpiła. W zagłębieniu pod deską leżał karabin snajperski L96 zawinięty w ochronną plastikową płachtę. Odwinęła broń z plastyku, podczepiła na miejsce dziesięcionabojowy magazynek i zbliżyła się do okna. Reilly nie przesadzał. Widziała na wiele mil w każdym kierunku. Ale ją interesował tylko cmentarz. Spojrzała na zegarek. Helikopter powinien wylądować za kilka minut.

Ściągnęła z głowy miodowoblond perukę, zarzuciła na siebie kurtkę Reilly'ego i włożyła jego czapkę z daszkiem. Gdyby ktoś z ziemi spojrzał w górę, pomyślałby, że to on.

Fiona Gallagher uśmiechnęła się do siebie. Teraz pozostawało jej tylko czekać...

–W sejfie naszego pokoju hotelowego zostawiłem pewną kopertę – powiedział Jack Scoby do żony. – Gdyby dzisiaj w Dugaill coś mi się stało, musisz ją jak najszybciej oddać Whitlockowi. Obiecay mi, że to zrobisz, Melisso. Musisz mi obiecać.

Melissa Scoby obiecała, że spełni jego prośbę, i więcej o tym nie rozmawiali.

Resztę lotu z Londynu do Belfastu senator spędził zatopiony w myślach, patrząc nie widzącym wzrokiem w okno. Do żony prawie się nie odzywał. Melissa próbowała dotknąć jego dłoni, żeby dodać mu otuchy, ale szybko cofnął rękę. Była zimna i drżała. To nie był Jack Scoby, którego znała. Zachowywał się tak, jakby pogodził się już z faktem, że nie opuści Dugaill żywy...

–To ten kościół, tam w dole.

–Słucham? – wzdrygnęła się na dźwięk głosu zza pleców.

–Przelatujemy nad tym kościołem – powtórzył Whitlock pokazując w dół przez boczne okienko.

Skinęła głową i zerknęła na siedzącego obok męża. Patrzył przed siebie, ręce trzymał splecione mocno na kolanach. Jeśli nawet przechwycił jej spojrzenie, nie dał tego po sobie poznać.

Helikopter opadał powoli ku polance na skraju cmentarza. Ledwie koła zdążyły dotknąć ziemi, Graham z Sabriną zerwali się ze swoich miejsc. Zanim Graham otworzył drzwi kabiny, grupa uzbrojonych policjantów uformowała już kordon wokół helikoptera. Graham wysunął schodki i jeden z policjantów zakotwiczył je na ziemi. Sabrina wysiadła pierwsza i pochyłona podbiegła do Eastmana stojącego poza zasięgiem zawieruchy wzniecanej przez wirniki.

–Wszystko zgodnie z planem? – spytał.

–Jak na razie – odparła, po czym wskazała dyskretnie palcem za siebie, na helikopter. – Ale Scoby jest dzisiaj jakby przygaszony.

–Z jakiegoś szczególnego powodu?

–Nie wiem – przyznała Sabrina i obejrzała się na nadbiegającego Grahama. – Mówiłam właśnie Keithowi, że Scoby wstał dzisiaj lewą nogą – dodała.

–Wygląda, jakby w ogóle się nie kładł. – Graham zwrócił się do Eastmana. – Jak przebiega zabezpieczanie terenu?

–W promieniu stu jardów od tego miejsca komar się nie prześlizgnie bez odpowiedniej przepustki.

–Mam nadzieję, że się nie mylisz – mruknął Graham.

–Senator zgodził się zmienić swój program – poinformowała Eastmana Sabrina. – Złoży wieniec na grobie dziadków, a potem pojedzie prosto do ratusza na lunch z burmistrzem.

–A więc ksiądz nie wygłosi paru słów nad mogiłą? – spytał Eastman.

–Nie.

–Wie już o tym?

–Pomyśleliśmy sobie, że najlepiej będzie, jeśli ty mu powiesz. –

Graham wskazał za siebie. – Chodź, Scoby już wysiada.

Podeszli do helikoptera i stanęli po obu stronach schodków. Kabinę opuściła pierwsza Melissa Scoby, a za nią jej mąż. Ostatni wysiadł Whitlock. Scoby'ego przedstawiono proboszczowi, który czekał u stóp schodków.

–Miło mi pana poznać – powiedział ksiądz potrząsając ręką senatora. – Przykro mi tylko, że musi pan odwiedzać nasz kraj pod taką silną ochroną. Czy to pierwsza pana wizyta w Irlandii?

–Tak, pierwsza – odparła Melissa Scoby, kiedy stało się jasne, że jej mąż nie zamierza odpowiedzieć. – To piękny kraj.

–O tak, piękny – zgodził się ksiądz.

Whitlock dotknął lekko ramienia kapłana.

–Ojczy, może przeszlibyśmy już na cmentarz?

–Ależ oczywiście. Proszę za mną.

Eastman i Whitlock ramię w ramię weszli za Scobym na cmentarz.

–A gdzie Tillman? Nie przyleciał z wami?

–Nie, postanowił zostać w Londynie. – Whitlock spojrzał w kierunku fotoreporterów tłoczących się za policyjnym kordonem, który otaczał cmentarz. – Zresztą to prywatna wizyta.

Ksiądz zatrzymał się przy podwójnym grobie Kierana i Estelli Scobych. Jack Scoby zdjął przeciwsłoneczne okulary i stanąwszy z pochyloną głową nad mogiłą zaczął czytać epitafium wyryte ponad sto lat temu na nagrobku.

Graham i Sabrina wymieniali niespokojne spojrzenia. Scoby stanowił teraz idealny cel, nieruchomy i zupełnie odkryty. Sabrina przechwyciła nerwowe spojrzenie Whitlocka. C.W. otarł z czoła pot i spojrzał na ścianę lasu wyrastającą dwieście metrów od cmentarza. Wiedział, że cały ten rejon przeczesuje ponad czterdziestu policjantów. Ale jeśli Fionie Gallagher uda się ich mimo wszystko zmylić? Eastman patrzył przez kilka sekund w tym samym kierunku, a potem przeniósł wzrok na kościół i zatrzymał go na dzwonnicy i okienku na jej szczycie. Wszystko wyglądało tak spokojnie...

W dzwonnicy robiło się coraz duszniej. Fiona otarła twarz, sięgnęła pod kurtkę i odciągnęła od mokrych pleców przepoconą bluzkę. Ale po chwili bluzka znowu przylgnęła nieprzyjemnie do skóry. Śledziła każdy ruch Scoby'ego od momentu, kiedy wysiadł z helikoptera, jednak po oparty o ścianę karabin sięgnęła dopiero wtedy, kiedy senator zatrzymał się nad grobem. Owinęła sobie ciasno rękę paskiem, przyklękła na jedno kolano i przycisnęła kolbę do ramienia. Podregulowała trochę celownik teleskopowy schmidt bendera i naprowadziwszy środek krzyża nitek na głowę Scoby'ego, powoli położyła palec na spuście. Wiedziała, że ma tylko jeden strzał. Musi trafić...

Scoby przez ponad minutę stał w milczeniu przed nagrobkiem, a potem spojrzał na funkcjonariusza RUC po swojej prawej ręce. Policjant podał mu kwiaty, które senator przywiózł ze sobą z Londynu. Scoby położył je na grobie, po czym wyprostował się i zerknął na Melissę. Uśmiechnął się i ujął ją za rękę.

Miękkonosy pocisk trafił go w czoło nad prawym okiem i rozerwał tył głowy. Whitlock oberwał boleśnie w policzek ręką Scoby'ego, która odskoczyła konwulsyjnie, kiedy senator padał. Scoby runął na ziemię z rozkrzyżowanymi ramionami. Krew lała mu się po twarzy. Melissa krzyknęła przeraźliwie, a potem osunęła się na kolana i uniosła zakrwawioną głowę męża.

Whitlock wrzasnął do najbliższego stojącego funkcjonariusza RUC, żeby sprowadził sanitariuszy, siedzących w karetce ukrytej za cmentarzem.

Eastman, Graham i Sabrina spojrzeli po sobie i puścili się biegiem w stronę kościoła. Strzał musiał paść stamtąd. Zanim dobiegli do budowli, zdążyło ją już otoczyć kilkunastu uzbrojonych policjantów.

–Snajper siedzi na dzwonnicy – wysapał najstarszy stopniem funkcjonariusz. – Ale drzwi są zamknięte, a klucz ma sierżant, który jest w środku.

–Wczoraj dostałem od księdza zapasowy – powiedział Eastman wyjmując klucz z kieszeni. – Sabrino, zajmij się tylnym wejściem. Weź ze sobą paru ludzi i jeśli będzie trzeba, wyważcie drzwi.

Dziewczyna wybrała szybko kilku ludzi z RUC i znikła z nimi za węglem kościoła. Eastman przekręcił klucz w zamku drzwi frontowych i otworzył je. Graham przebiegł obok niego i wpadł

do środka z gotową do strzału berettą. Eastman krzyknął do policjantów, żeby uważali na drzwi i okna, i wbiegł do kościoła za Grahamem, który był już przy schodach prowadzących na dzwonnice.

–Hej, zaczekaj – syknął, chwytając Grahama za ramię. – Ja lepiej znam te schody. Pójdę pierwszy.

Graham wyswobodził ramię i przepuścił go z ociąganiem. Eastman wydobył browninga i wstąpił ostrożnie na schody. Ilekroć skrzypnął pod nim drewniany stopień, Graham krzywił się i zżymał. I on twierdzi, że zna te schody! Gallagher wie już pewnie, że nadchodzą.

Nagle Eastman podniósł rękę i szepnął, że za następnym zakrętem schodów staną się widoczni ze szczytu dzwonnicy. Potem przeskoczył błyskawicznie krytyczny odcinek schodów i przyjął pozycję strzelecką, mierząc z browninga w górę. Uniesieniem ręki dał Grahamowi znak, żeby został tam, gdzie stoi, a sam pokonał kilka ostatnich stopni i zniknął na szczycie wieży.

–Chodź tu, Mike! – zawołał po chwili. – Szybko!

Graham wbiegł na pomost, kierując berettę na Fionę. W tej samej chwili Eastman przyłożył mu browninga do potylicy i wprawnie rozbroił. Wepchnął sobie jego berettę za pasek.

–Co jest, u diabła? – warknął Graham przenosząc zdumiony wzrok z Eastmana na Fionę i z powrotem.

–Nie poznajesz mnie, prawda? – powiedziała dziewczyna przyglądając się bacznie Grahamowi.

–A powinienem? – spytał z wahaniem.

–W dniu przyjazdu do Londynu widziałeś mnie, jak rozmawiałam z Keithem przed pubem w Soho. Przez cały czas nie byliśmy pewni, czy widziałeś wtedy moją twarz. Gdybyś widział, byłbyś jedyną osobą zdolną do pokrzyżowania nam szyków. Nie mogliśmy ryzykować. – Skierowała lufę karabinu snajperskiego w pierś Grahama.

–Scenariusz jest bardzo prosty, Mike – oświadczył Eastman. – Wbiegłeś na dzwonnice pierwszy i Fiona zastrzeliła cię, zanim zdołałem jej w tym przeszkodzić. – Odsunął się od Grahama. – Rozwal go.

Palec Gallagher zagiął się na spuście.

–Rzuć broń! – wrzasnęła Sabrina ze schodów pod pomostem dzwonnicy, mierząc do Fiony z pistoletu maszynowego Heckler Koch.

–Zdejmij ją – warknęła Gallagher do Eastmana, nie odrywając oczu od Grahama.

–Nie widzę jej stąd – zawołał Eastman wychylając się przez barierkę. – Cholera! Nie widzę jej.

–Rzuć broń, Fiona! – krzyknęła Sabrina. – Ale już!

Gallagher skierowała lufę karabinu w dół. Sabrina otworzyła

ogień. Pocisk trafił Fionę w ramię i karabin wypadł jej z rąk. Przyciskając dłonią zranione miejsce, zatoczyła się do tyłu i wpadła na barierkę, która nie wytrzymała jej ciężaru. Dziewczyna straciła równowagę i z przeraźliwym wrzaskiem runęła w dół. Spadając rąbnęła jeszcze bokiem głowy w dzwon i po chwili jej ciało roztrzaskało się o posadzkę kościoła z okropnym chrzęstem pękających kości.

Korzystając z zamieszania, Graham wyrznął Eastmana łokciem w brzuch.

Browning wyleciał tamtemu z ręki i upadł ze stukotem na podłogę dzwonnicy. Zataczając się do tyłu, Eastman wyrwał zza paska berettę, ale kiedy naciskał spust, Grahamowi udało się złapać go za przegub. Pocisk, nie czyniąc nikomu krzywdy, utkwiał w stropie. Graham wyprowadził dwa potężne ciosy w żołądek Eastmana. Pozbawiony tchu inspektor osunął się na kolana, zanosząc się kaszlem i walcząc o oddech. Beretta wypadła mu z dłoni. Graham podniósł szybko oba pistolety i dwaj pierwsi policjanci, którzy wpadli na pomost, zastali go stojącego nad klęczącym i trzymającym się oburącz za brzuch Eastmanem.

–Na co u diabła czekacie? – wysapał Graham. – Zabierzcie go stąd.

W chwilę później na szczyt dzwonnicy wbiegł zdyszany Whitlock, a za nim starszy funkcjonariusz RUC.

–W porządku, Mike, policja już się tym zajmie. Wiemy od Sabriny, co się stało.

Graham oddał browninga Eastmana funkcjonariuszowi RUC i zszedł za Whitlockiem z dzwonnicy. Zbliżył się do ciała Fiony Gallagher, nad którym pochylali się Sabrina i sanitariusz.

–Nie żyje? – spytał.

Sabrina skinęła głową i odpięła laminowany krążek identyfikacyjny od bluzki dziewczyny.

–Najwyraźniej właśnie w ten sposób się tu dostała.

–Nie powiem, żebym po tym wszystkim był zaskoczony – odparł kwaśno Graham.

– Pewnie Eastman go jej załatwił. Jezu, ten sukinsyn kierował całą operacją. Nic dziwnego, że z taką łatwością wymykała nam się z rąk.

–Zajmijcie się tu wszystkim – zwrócił się Whitlock do sanitariusza. –

Mike, Sabrina, idziemy.

–Scoby nie żyje, prawda? – spytał Graham, kiedy wyszli z kościoła.

Whitlock skinął ponuro głową.

–Pocisk roztrzaskał mu tył głowy. Chyba strzelała pociskami dum-dum. Nie miał żadnych szans.

–A co z Melissą Scoby? – spytał Graham.

–Dali jej środek uspokajający i zabrali do miejscowego szpitala. –

Whitlock odprowadzał wzrokiem Eastmana, którego

eskortowano z kościoła do podstawionego wozu policyjnego. –

Muszę się jak najszybciej skontaktować z komendantem Palmerem.

Mam nadzieję, że dopuści nas do Eastmana, kiedy przetransportują go do Anglii.

–Nie ma co ukrywać, C.W., spieprzyliśmy sprawę – oświadczył Graham.

–Wygląda na to, że Fabio wycofał się w samą porę – dorzuciła Sabrina. – Przynajmniej ma przed sobą przyszłość we Włoszech.

–Słyszałem, że w Zatoce dobrze płacą doradcom wojskowym –

mruknął Graham. – Zawsze byłem zdania, że któregoś

dnia moje doświadczenia ze służby w Delcie komuś się przydadzą.!

–Jeszcze nie przegraliśmy – przypomniał mu Whitlock. –

Nie wiem jak wy, ale ja nie mam zamiaru dawać naszym krytykom

z ONZ satysfakcji oglądania UNACO na kolanach. A to oznacza,!

że czeka nas mnóstwo pracy, jeśli chcemy jeszcze wygrać tę rundę.

Jesteście ze mną?

Graham poklepał Whitlocka po ramieniu.

–Jesteśmy, stary. Chodźcie, idziemy.

Telefon obudził Kolczynskiego o piątej trzydzieści rano. Dzwonił Whitlock. Po pięciu minutach rozmowy Kolczynski odłożył słuchawkę i sięgnął po paczkę papierosów leżącą na nocnym stoliczku. Zapalił, zaciągnął się pierwszym tego dnia dymkiem i zaniósł się kaszlem. Narzucił na siebie szlafrok, wsunął na nogi kapcie i przeszedł do salonu. Musiał powiadomić sekretarza generalnego o śmierci Scoby'ego, zanim któryś z jego asystentów usłyszy o tym przez radio albo w dzienniku o szóstej rano. Usiadł w swoim ulubionym fotelu i wybrał numer szyfrowej linii doprowadzonej do rezydencji sekretarza generalnego na Rhode

Island. Odebrał asystent, który przełączył rozmowę do sypialni. Ziściły się najgorsze obawy Kolczynskiego: sekretarz generalny był na nogach już od piątej i słyszał w radio o zastrzeleniu senatora. Kolczynski powtórzył mu wszystko, co wiedział, obiecał informować na bieżąco o rozwoju sytuacji, odłożył słuchawkę i

włączył pilotem stojący w rogu pokoju telewizor.

Zapalił drugiego papierosa, ale kiedy zaczął się dziennik, odłożył go do popielniczki. Papieros kopał się tam przez cały czas nadawania wiodącej wiadomości, którą było zabójstwo senatora Jacka Scoby'ego w kościele w Irlandii. Kolczyński wyłączył ze zniecierpliwieniem telewizor, zdusił resztkę papierosa, opadł na oparcie fotela i przejechał palcami po przerzedzających się włosach. Od kiedy objął stanowisko po Philpotcie, nic się nie układało. I teraz UNACO sama sprezentowała swoim krytykom amunicję przeciwko sobie. Wiedział, że sekretarz generalny ujmie się za nimi, ale jak długo zdoła wytrwać pod nieuchronnym gradem oskarżeń, jakie posypią się niechybnie, kiedy rozniesie się wieść o śmierci senatora Scoby'ego? Musi podjąć próbę zminimalizowania skutków tej wpadki. Sekretarzowi generalnemu potrzebny będzie kozioł ofiarny do ugłaskania oponentów.

Kolczyński wiedział już, kto będzie tym kozłem. Na dzisiejszym porannym spotkaniu z sekretarzem generalnym złoży na jego ręce rezygnację.

Tillman miał początkowo lecieć ze Scobymi do Irlandii, ale wymówił się rano od podróży, uzasadniając swoją decyzję zaległą robotą papierkową. Jednak faktyczna przyczyna tego kroku nie miała nic wspólnego z pracą. Tillman zdawał sobie sprawę, że pomimo wzmożenia środków bezpieczeństwa na czas wizyty Scoby'ego w Dugaill, jego życie nadal jest poważnie zagrożone. A jeśli senatorowi coś się stanie, będzie musiał działać bardzo szybko, żeby ratować własną skórę...

W interesach z Kolumbijczykami i mafią Scoby spełniał rolę pośrednika. Bez niego wszystko brało w łeb. Jeśliby zginął, obie strony musiałyby szybko usunąć wszelkie obciążające dowody, które mogłyby je z nim łączyć. A Tillman znalazłby się wtedy na czele ich listy. Od kilku dni analizował rozmaite możliwe wersje postępowania w wypadku, gdyby Scoby został zamordowany, i w końcu doszedł do wniosku, że miałby tylko dwa wyjścia. Mógł zgodzić się na wystąpienie w roli świadka koronnego w zamian za objęcie ochroną. Ale nie było gwarancji, że nie musiałyby spędzić jakiegoś czasu w więzieniu, dopóki nie przygotują mu nowej tożsamości. A był pewien, że z więzienia nie wyjdzie żywy. Mógł też zrobić użytek z pięciuset tysięcy dolarów, które dostał "na zachętę" od Kolumbijczyków i mafii, i rozpocząć nowe życie w jakimś ustronnym zakątku świata. To byłaby jego jedyna szansa, gdyby doszło do najgorszego...

No i doszło. Po telefonie Palmera natychmiast zaczął realizować swój plan awaryjny. Spakował pośpiesznie walizkę, wymeldował się z hotelu i pojechał taksówką na Heathrow, gdzie korzystając ze swojego statusu dyplomaty zarezerwował sobie miejsce w najbliższym samolocie do Nowego Jorku. Zdawał sobie sprawę, że ludzie z brygady antyterrorystycznej pełniący służbę w hotelu powiadomią od razu przełożonych o jego wyjeździe, ale się tym nie przejmował. Bał się Jorge Cabrery i Martina Navarro. Nie ulegało wątpliwości, że prędzej czy później dowiedzą się o jego powrocie do Stanów, miał jednak nadzieję, że do tego czasu zdąży zabrać pieniądze i czmychnąć za granicę...

Martin Navarro, jak co rano, obudził się o szóstej, ćwiczył przez pół godziny w swojej małej salce gimnastycznej, a potem przepłynął kilkanaście długości krytego

basenu.

Kiedy wyszedł z basenu, ochroniarz podał mu płaszcz kąpielowy. Navarro narzucił go na siebie i przeszedł do patio, za którego szklanymi ścianami roztaczał się widok na ogrody jego dwukondygnacyjnej rezydencji na Rhode Island. Na stoliku stała szklanka schłodzonego soku pomarańczowego i leżał świeży egzemplarz New York Timesa. Usiadł i rozpostarł gazetę.

–Pan wybaczy, sir – powiedział lokaj stając w drzwiach za jego plecami. – Pan Varese czeka w salonie. Chciałby z panem porozmawiać. Wygląda na wzburzonego.

–Tony tutaj o tej porze? – mruknął Navarro ścigając brwi. Złożył z powrotem gazetę i odrzucił ją na stolik. – Wprowadź go.

Lokaj skłonił się i oddalił. Wrócił po chwili z Varese i przepuścił go przed sobą do patio.

–Podać panu coś? Kawy? Soku pomarańczowego? – zapytał. Varese pokręcił głową.

Navarro odprawił lokaja i spojrzał na swojego gościa.

–O co chodzi?

–Nie słyszałeś jeszcze, prawda? – wyrzucił z siebie Varese spacerując nerwowo tam i z powrotem.

–Może wreszcie wydusisz z siebie, co się stało? – warknął Navarro.

–Scoby nie żyje. To wiodąca wiadomość we wszystkich programach informacyjnych. Wiem, że oglądasz dziennik dopiero w drodze do pracy. Dlatego przyszedłem tutaj, jak tylko to usłyszałem.

–Mów wszystko, co wiesz – powiedział Navarro splatając dłonie z tyłu głowy. – Cóż, przynajmniej szkody są minimalne.

Nikt z rodziny nie wie o interesie, który ubiliśmy ze Scobym. I zamierzam zadbać, żeby tak zostało.

–A co z Tillmanem?

–Według mnie wszystko zależy teraz od niego. Jeśli zamierza pójść na układ z prokuraturą, to jest już prawdopodobnie pod ochroną policji. W takim wypadku trudno się będzie do niego dostać. Ale jeśli spróbuje zwać, znajdziemy go. Jak się nazywa ten hotel, w którym zatrzymał się w Londynie?

–Grosvenor House.

Navarro przyciągnął do siebie telefon, podniósł słuchawkę i zadzwonił do informacji z prośbą o podyktowanie numeru hotelu. Potem połączył się z Londynem, porozmawiał chwilę z telefonistką z centrali i odłożył słuchawkę.

–Przed godziną wymeldował się stamtąd.

–Najwyraźniej spanikował.

Navarro uśmiechnął się lekko.

–Podejrzewam, że jest już w drodze powrotnej do kraju po pieniądze. Zaraz się dowiem, jakimi liniami leci i o której ląduje w Nowym Jorku. Spotkasz go na lotnisku i wsiądziesz

mu na ogon.

–Kiedy mam go stuknąć?

–Wtedy, gdy zaprowadzi cię do pieniędzy, ma się rozumieć.

Tylko bez żadnej obsuwy, Tony, bo obaj będziemy odpowiadali przed rodziną.

–Nie będzie żadnej obsuwy – zapewnił go Varese i wyszedł z patio.

Navarro siedział przez jakiś czas z pozoru spokojny, chociaż wzbierał w nim coraz większy gniew. Kazał Brady'emu zająć się sprawą, i Brady nawalił. Teraz, wraz ze śmiercią Scoby'ego, rozviała się szansa zadania decydującego ciosu Kolumbijczykom.

Siły znowu się wyrównały. Ostrzegał Brady'ego, co się stanie, jeśli zawiedzie. No cóż, nadszedł czas zapłaty. Już on tego dopilnuje.

–Wejść – zawołał Maurice Palmer słysząc energiczne pukanie do drzwi.

Do gabinetu wszedł Whitlock.

–Nie w porę przychodzę? – spytał.

–Nie, skądże, C.W. Siadaj.

Whitlock zamknął za sobą drzwi i usiadł.

–Przed godziną wylądowaliśmy na Heathrow. Mike'owi i Sabine kazałem poczekać na dole.

–Komisarz zgodził się, żebyście wy pierwsi przesłuchali Keitha.

Początkowo chciał, żeby był przy tym obecny ktoś z Wydziału Specjalnego, ale mu to wyperswadowałem. Macie godzinę, a potem przejmuje go Wydział Specjalny. Wydałem wszystkim moim ludziom kategoryczny zakaz zbliżania się do niego, dopóki się nie dowiemy, czy nie miał wśród nich współlnika. Na razie nie możemy wykluczyć takiej możliwości. I wyjaśnijcie sprawę Johna Marsha. Jeżeli jest niewinny, chcę, żeby jak najszybciej wrócił do pracy.

–Jasne, jeśli tylko Eastman będzie chciał z nami rozmawiać.

–Będzie rozmawiał – zapewnił go Palmer. – Zamieniłem z nim parę słów, kiedy tylko przywieźli go z lotniska. Powiedział, że był przygotowany na udzielenie odpowiedzi na moje pytania.

–Wcale się temu nie dziwię. Scoby nie żyje. IRA osiągnęła, co zamierzała. I mogę się założyć, że dopilnuje, żeby Eastmanowi w więzieniu niczego nie brakowało. Pokonali nas.

Palmer wyjął z leżącej przed nim paczki papierosa i zapalił.

–Chcę jak najszybciej mieć na swoim biurku stenogram tego przesłuchania. Muszę sporządzić raport dla komisarza.

–Dopilnuję, żebyś go dostał – obiecał Whitlock i wyszedł z gabinetu.

Dwaj ludzie z Wydziału Specjalnego wprowadzili Eastmana do sali przesłuchań. Ileż razy sam wyciągał tu zeznania z przestępców. Dostrzegał całą ironię sytuacji. Podprowadzono go do stołu pośrodku sali i kazano usiąść. Na stole stał przenośny

magnetofon i dwa mikrofony. Eastman usiadł i złożył zakute w kajdanki ręce na kolanach. Dwaj policjanci pozostali w sali aż do przybycia Whitlocka.

–Powiedz im, żeby mi zdjęli te bransoletki – mruknął Eastman nie oglądając się.

Whitlock wpatrywał się przez chwilę w jego plecy, po czym skinął przyzwalająco głową. Jeden z policjantów zdjął aresztantowi kajdanki i oddał je Whitlockowi.

Eastman wciąż jeszcze rozmasowywał sobie zdrętwiałe przeguby, kiedy do sali weszli Graham z Sabriną. Dwaj policjanci wycofali się, zamykając za sobą drzwi.

Whitlock usiadł naprzeciwko więźnia, a Graham i Sabrina zajęli miejsca po jego obu stronach. Eastman podniósł na nich powoli wzrok. Prawe oko miał niemal zamknięte i granatowe; wokół oczodołu rozlał się wielki siniec.

–Jestem pod wrażeniem – zagaił Graham, z wyraźną satysfakcją przyglądając się siniakowi. – Nie podejrzewałem, że podsycasz wśród swoich ludzi tego rodzaju inicjatywy.

–To samo można powiedzieć o UNACO – odparł chłodno Eastman wytrzymując spojrzenie Grahama. – Miotaliście się wszyscy w kółko po omacku jak stadko bezgłowych kurczaków. Bardzo nam to ułatwiło zadanie.

Graham już chciał zerwać się na nogi, ale Whitlock przytrzymał go za rękę.

–Daj spokój, Mike – powiedział i zwrócił się do Eastmana:

–Znasz procedurę. Przesłuchanie zaczyna się od momentu, kiedy włączę magnetofon.

–Więc włączaj – mruknął Eastman.

Whitlock ustawił przed nim mikrofon i włączył aparaturę.

–Od jak dawna pracujesz dla IRA?

Eastman rozparł się wygodnie na krześle.

–Znowu bładzicie po omacku.

–Więc może nas oświecisz? – zaproponował Whitlock.

–Nigdy nie pracowałem dla IRA.

–Może wobec tego inaczej sformułuję to pytanie – powiedział Whitlock. – Od jak dawna IRA płaciła ci za przekazywanie informacji?

–Nigdy nie pracowałem dla IRA, nie przekazywałem im żadnych informacji ani nie dostawałem od nich żadnych pieniędzy. Cała ta operacja miała na celu zdyskredytowanie IRA.

–Kto tym kierował?

–Było nas troje. Patrick Gorman, Fiona Gallagher i ja.

–Gorman, ten tajny agent, którego zamordowano w zeszłym roku w Belfaście? – spytała Sabrina.

–Ten sam. Założeniem planu było od samego początku zdyskredytowanie IRA. Wtedy nie mieliśmy jeszcze na oku żadnego konkretnego celu. Pata zamordowano, zanim zdążyliśmy dopracować szczegóły, więc musieliśmy z Fioną przemyśleć na nowo całą naszą strategię. Postanowiliśmy odłożyć operację do czasu,

kiedy znajdziemy odpowiedni obiekt. I kiedy Scoby oznajmił, że przybywa z wizytą do Zjednoczonego Królestwa, wiedzieliśmy, że mamy nasz cel.

–Gallagher nadal pozostaje w tej sprawie bardzo tajemniczą postacią – powiedział Whitlock. – Komendant Palmer twierdzi, że nigdy nie wchodziła w skład brygady antyterrorystycznej, a przecież współpracowała ściśle z wami dwoma, wysokimi funkcjonariuszami tej jednostki. Gdzie ona tu pasuje?

–Palmer ma rację. Kiedy studiowała na Bristol University, zwerbował ją Mullen, i od tamtego czasu była Provo. Ale po kilku latach ten ruch ją rozczarował. Wtedy właśnie została zwerbowana przez Pata. Zaproponowałem, żeby związała się z Farrellem, który był wtedy fanatykiem ruchu. Owinęła go sobie bez problemu wokół palca. Świata poza nią nie widział. I cały czas przekazywała nam informacje. Potem zginął Pat. Bardzo przeżyła jego śmierć, ale nie dała niczego po sobie poznać. Była profesjonalistką w każdym calu. Najlepszą.

–Czy Marsh wie o niej? – spytał Whitlock.

–Nie. Wiedzieliśmy tylko ja i Pat. Tak było trzeba dla jej bezpieczeństwa.

–A więc gdzie tu pasuje Marsh? – spytał Graham.

–John? – Eastman zdobył się na nikły uśmiešek. – Wy, Amerykanie, nazywacie takich jak John frajerami.

–Więc wrobiłeś go? – spytał Whitlock.

–To nie było trudne. Fiona, widząc się ostatnio z Bradym, zdobyła odcisk jego palca na dziesięciofuntowym banknocie. A ja, kiedy wpadłem parę tygodni temu do niego do domu pod pretekstem pożyczania jakiejś dyskietki, podpatrzyłem kombinację jego sejfu i kilka dni przed jego aresztowaniem podrzuciłem mu obciążający dowód.

–Wiedziałaś, że zostanie aresztowany? – spytała Sabrina.

–Wiedziałem, że będziemy sprawdzani. To rozumiało się samo przez się. Musiałem się więc postarać, żeby podejrzenie padło na Johna.

–Przejdźmy teraz do McGuire'a – powiedział Whitlock. –

Skąd dowiedział się o planowanym zamachu na senatora Scoby'ego?

–Podśluchał Fionę, kiedy rozmawiała ze mną przez telefon.

Ale najwyraźniej doszedł do wniosku, że rozmawiała z kimś z IRA, bo wspominała, że Farrell wraca do kraju po spotkaniu z jakąś komórką w Niemczech. Dał wam wtedy cynk, że Farrell wraca, a wy przekazaliście tę wiadomość Palmerowi. Ale to nam bardzo odpowiadało; gdyby Farrella nie przymknęto, musielibyśmy go zabić. Dla powodzenia naszego planu niezbędne było, żeby Fiona objęła na jakiś czas dowództwo komórki i żeby Mullen

z Kerriganem sądzili, że otrzymuje rozkazy bezpośrednio od Rady Armii.

–Czy to IRA wydała wyrok na McGuire'a? – spytał Whitlock.

–Tak. Kiedy Fiona zorientowała się, że ją podsłuchał i zamierza spotkać się ze Swainem, powiedziała Radzie Armii, że McGuire jest wtyczką. Kazali jej go zabić. Przy okazji mogła wprowadzić w życie drugą część planu, zabijając Scoby'ego bez wzbudzania podejrzeń ani u członków komórki, którzy przyjęliby automatycznie, że to kolejna dyrektywa IRA, ani u Rady Armii, która uważałaby, że Fiona robi czystkę po aferze z McGuire'em.

–Uciszyliście też Grogana, bo mógł nas zaprowadzić do McGuire'a, prawda? – zapytała Sabrina.

–Wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze, ile wie Grogan, bo nie mieliśmy pojęcia, gdzie on jest. To dlatego kazałem Mike'owi wyciągnąć tę informację od Roche'a. W samochodzie założona była pluskwa, więc Fiona słyszała, jak przekazywał mi adres, i zdążyła tam przed nami. Usunąłem tę pluskwę przed odstawieniem samochodu do garażu Scotland Yardu.

–I to przypuszczalnie ty wywołałeś fałszywy alarm, informując dyрекcję lotniska o podłożonej bombie? – mruknął Whitlock.
Eastman skinął głową.

–Musiałem dać Fionie czas, żeby zdążyła dotrzeć do McGuire'a przed wami i wyeliminować go. Przez jakiś czas powodzenie całej akcji wisiało na włosku ze względu na pogodę. Ale Mullenowi udało się podrzucić ich do chaty tuż przed wami. Dotarli tam dosłownie w ostatniej chwili.

–Dlaczego Gallagher zabiła Lyncha? – spytał Whitlock.

–Powody były dwa. Lynch i Kerrigan zamierzali zameldować Radzie Armii, że nie jest zdolna do kierowania komórką pod nieobecność Farrella.

Gdyby odebrano jej dowództwo, wszystko by się zawaliło. Po drugie, Lynch był jednym z najwyższej postawionych Provo w Europie. Jego śmierć pociągnęłaby za sobą zniszczenie siatki. I, o ile mi wiadomo, tak też się stało.

–A dlaczego zabiła Kerrigana i Mullena?

–Kerrigan zaczął coraz bardziej podskakiwać. Miarka przebrała się w chacie, w której ukrywali się po dokonaniu zamachu na McGuire'a. Zaczął jej grozić pistoletem, więc go zastrzeliła. Mullena zabiła z tej prostej przyczyny, że po sfuszerowanym ataku na "Merry Dancera" już go nie potrzebowała. W kościele musiała działać sama. Eliminując Kerrigana i Mullena, pozbywała się zarazem świadków, którzy mogliby podważyć jej zeznania w sądzie.

Whitlock pokiwał w zadumie głową.

–Teraz rozumiem. Zamierzałeś ją aresztować, kiedy zabiłaby już Mike'a. Przed sądem twierdziłaby, że zastrzeliła Scoby'ego

z rozkazu IRA, co wywołałoby międzynarodowy skandal i IRA została zdyskredytowana w oczach opinii publicznej.

–Już została zdyskredytowana – stwierdził Eastman. – Na pewno się przegrupują, ale założę się, że polecą głowy. A pierwsza spadnie głowa Brady'ego. I to będzie największy cios.

–Skąd ta pewność? – spytała Sabrina.

–Ponieważ Brady był przełożonym Fiony. A IRA, jeśli chce ugłaskać swoich popleczników, będzie musiała poszukać kozła ofiarnego. Brady zdawał sobie z tego sprawę, i stąd ten pomysł zredagowania na użytek opinii publicznej taśmy z nagraniem spotkania z wami. Tego asa nadal ma w rękawie. Ale Whitlock go przechytrzył. Jest prawdopodobnie pierwszą osobą, której się to udało... Kiedy przystępowaliśmy do opracowywania tego planu, Brady był jego punktem centralnym. Pośrednio lub bezpośrednio, winien był śmierci większej liczby brytyjskich żołnierzy w Irlandii niż jakikolwiek inny szef sztabu w historii tej organizacji. A tylko w ten sposób mogliśmy się do niego dostać. Zdyskredytować go w oczach przełożonych. Doprowadzić do tego, by sami się z nim porachowali.

–Gdyby Gallagher stanęła kiedykolwiek przed sądem, dostałaby wyrok śmierci – zauważyła Sabrina. – Czy pomyślała o tym?

–Dostałaby kilka wyroków śmierci – skorygował ją Eastman. – Ale to wcale nie znaczy, że posiedziałyby dłużej za

kratkami. Przygotowano plan uwolnienia jej z więzienia. Opuściłaby kraj i rozpoczęła nowe życie gdzieś poza zasięgiem IRA.

–W wyniku waszej odwetowej operacji zamordowanych zostało trzech naszych kolegów i amerykański senator. Nic to cię nie wzrusza? – zapytał Graham.

–Śmierć Scoby'ego stanowiła główny element całej operacji. Musiał zginąć. Ale wasi koledzy... – Eastman urwał i potrząsnął głową. – Tego nie przewidzieliśmy. Fiona wydała rozkaz, żeby strzelać tylko do McGuire'a, lecz Kerrigan się wyłamał. Nie mogła nic na to poradzić. Wiem, że ich śmierć wstrząsnęła nią tak samo jak wami. Podobnie przeżyliśmy zestrzelenie przez Mullena tego helikoptera nad Tamizą.

–Mówisz teraz jak ci z IRA – odparował Graham. – Kiedy zabijają kogoś przez pomyłkę, zawsze przepraszają rodzinę. To niczego nie załatwia, Eastman. Po prostu niczego nie załatwia.

–Nie oczekuję, że mi uwierzycie – odparł cicho Eastman. – Ale to prawda.

–Kto wyłożył pieniądze na tę operację? – spytała Sabrina.

–IRA. Nieświadomie, ma się rozumieć. Farrell, jako starszy oficer, miał dostęp do funduszy. Fiona nie miała trudności z podprowadzaniem

pieniędzy. Były to zawsze niewielkie sumki, ale razem dały spory kapitał. Kupiła za to broń i sprzęt, a podłożenie tego we wskazanych miejscach zleciła parze byłych terrorystów. Dobrze im zapłaciła i kazała sobie przysiąc, że zachowają milczenie.

Whitlock wpatrywał się w stojący przed nim mikrofon, marszcząc w zamyśleniu czoło. Wreszcie podniósł wzrok na Eastmana.

–Gdybyśmy przesłuchiwali teraz nie ciebie, lecz Fionę Gallagher, nie usłyszelibyśmy tego wszystkiego, prawda? Utrzymywałyby, że była to operacja IRA. Dlaczego ty zmieniłeś front?

–Fiona była Provo. Nie ma co do tego wątpliwości. Jej życiorys uwiarygodniłby ją w oczach sądu i wszystko przemawiałoby za prawdziwością jej zeznań. Ale to ona pociągnęła w Dugail za spust. Ona zabiła Scoby'ego. A co ja zrobiłem? Zaplanowałem tylko tę akcję razem z nią i Patem. To nie ma tej samej wymowy, prawda?

–To nie jest odpowiedź – zauważyła Sabrina.

–A ja myślę, że jest – powiedział Graham. – Fiona oczyszczając się z zarzutów postawiłaby władze przed poważnym dylematem: czy mają podtrzymać wersję, którą dzisiaj rano roztrąbiły

wszystkie gazety, jakoby za śmierć Scoby'ego odpowiedzialna była IRA, czy postawić Eastmana przed sądem i przyznać, że cała afera zaplanowana została przez dwóch nawiedzonych detektywów ze Scotland Yardu, w celu zdyskredytowania IRA? Wyobraź sobie reakcję opinii publicznej. Podniósłby się krzyk, że policja brytyjska zatrudnia nieodpowiedzialnych maniaków. Scotland Yard doszczętnie by się skompromitował. A dla IRA oznaczałoby to oczyszczenie z wszelkiej winy i wzrost poparcia. Dobrze mi idzie, Eastman?

–Sam bym tego lepiej nie wyłożył – odparł Eastman.

–To rzeczywiście ma ręce i nogi – stwierdził Whitlock po chwili zastanowienia.

–Jednego wciąż nie rozumiem – odezwała się Sabrina. –

Dlaczego Gallagher nie zabiła mnie po tym, jak załatwili Grogana?

Eastman położył łokcie na stole i wsparł podbródek na zaciśniętych pięściach.

–Mówiłem już, że celem naszego planu było zdyskredytowanie IRA. Nie zamierzaliśmy zabijać tych, którzy z nimi walczyli.

Fiona podziwiała cię za to, czego zdołałaś dokonać służąc w UNACO. Można by chyba zaryzykować stwierdzenie, że widziała w tobie odbicie tego, czym sama chciałaby być, gdyby przeznaczenie nie zdecydowało inaczej. Gdybyś jednak stała się zagrożeniem dla niej lub dla operacji, pewnie by cię zabiła. Ale teraz nie ma to już żadnego znaczenia, prawda?

Whitlock wyłączył magnetofon i wezwał dwóch detektywów z Wydziału Specjalnego, którzy zakuli Eastmana z powrotem w kajdanki i wyprowadzili z sali. Potem wyjął z kieszeni magnetofonu dwie kasety.

–Dam to szybko do napisania na maszynie i natychmiast wyślę faksem Siergiejowi. Jedna kasetka jest dla komendanta Palmera.

–Czy Eastman stanie kiedykolwiek przed sądem? – zawołała za nim Sabrina, kiedy Whitlock zmierzał już do drzwi.

–A jak myślisz? – mruknął posępnie i wyszedł z sali.

Sabrina spojrzała na Grahama.

–Gallagher dała nam porządną szkołę. Przewidywała każde nasze posunięcie. I o mało nie przechytryła nas na finiszu. Eastman miał rację. Mogłaby być mną.

–Dobra była, nie powiem. Ale z tobą nie miała się co równać.

Gdyby było inaczej, nadal by żyła, prawda?

–Pochlebca – mruknęła z uśmiechem Sabrina.

–Wcale nie. Mówię, jak jest – odparł Graham.

–Dzięki, Mike – powiedziała z westchnieniem i wyszła z sali.

Graham zmarszczył czoło. Wiedziała przecież, że prawienie

komplementów i przymilanie się nie jest w jego stylu. Czy szczerść można uznać za komplement? Wzruszył ramionami i wyszedł za nią na korytarz.

Melissa Scoby obudziła się w szpitalnym łóżku. Leżała w jednoosobowej salce.

Była rozebrana i miała na sobie białą nocną koszulę. Spróbowała usiąść, ale dało o sobie znać działanie środków uspokajających, które zaaplikowano jej w Dugaill. Opadła z powrotem na poduszkę i zapatrzyła się w sufit.

I nagle wszystko jej się przypomniało. Strzał. Krew. Padający Jack...

Do jej oczu napłynęły łzy, ale nie próbowała ich nawet ocierać. Ściekały po policzkach i wsiąkały w poduszkę. Wiedziała, że Jack nie żyje, zanim jeszcze Whitlock ją podniósł, kiedy upadła. Wyrwała się mu, chciała zostać przy mężu. Potem zjawili się sanitariusze. Podeszli do jej męża rozciągniętego na ziemi, z głową w trawie, która zdążyła już przesiąknąć krwią. Tyle krwi. Żakiet też miała nią poplamiony. I bluzkę. I spódnicę. Pamiętała, że otarła sobie dłonią twarz. Dłoń też miała we krwi. Krzyknęła i nogi się pod nią ugięły. Ktoś ją podtrzymał. Whitlock? Nie wiedziała. Potem pojawił się przy niej jeden z sanitariuszy. Nie chciała zastrzyku. Żadnych zastrzyków. Usiłowała mu to powiedzieć, jednak w ustach miała zupełnie sucho i nie mogła wykrztusić ani słowa. Poczula ukłucie igły przebijającej skórę. Z początku walczyła z ogarniającym ją otępieniem, lecz po kilku sekundach odpłynęła w sen.

Ponownie spróbowała usiąść. Wzięła chusteczkę higieniczną z pudełka stojącego na stolyczku obok łóżka i otarła sobie oczy. Ale łzy wciąż płynęły. Łzy niedowierzania. Łzy żalu. Łzy straty. Łzy poczucia winy...

Zdawała sobie sprawę, że ich małżeństwu daleko było do doskonałości, jednak pomimo tego nigdy nie zdradziła męża. Swoich flirtów nie traktowała poważnie, po prostu próbowała w ten sposób zwrócić na siebie uwagę męża. Ale on tego nie zauważał, był zbyt pochłonięty robieniem kariery. Zawsze stawiał ją na pierwszym miejscu. I w końcu przypłacił to życiem. Legły w gruzach wszystkie nadzieje. Prezydentura. Biały Dom. Wszystko, czego kiedykolwiek Jack pragnął. Wszystko,

czego pragnęła ona...

–Pani Scoby? – W progu stała pielęgniarka. Uśmiechała się przyjaźnie. – Jak się pani czuje?

–Jestem trochę otumaniona – odparła Melissa.

–Tak, rozumiem – powiedziała pielęgniarka, wchodząc do sali.

–Czyżby? – Melissa przygryzła wargę, usiłując powstrzymać łzy. – Gdzie ja jestem?

–W Armagh County Hospital. To najbliższy szpital od Dugaill. Ale już jadą tu z ambasady amerykańskiej, żeby zabrać panią do Londynu. Za godzinę powinni być.

Melissa osuszyła oczy chusteczką.

–Proszę zostawić mnie samą.

–Przynieść pani coś do picia? Herbaty? Kawy?

–Nie, dziękuję.

Pielęgniarka wyszła z sali, cicho zamykając za sobą drzwi.

Melissa Scoby oparła dwie poduszki o wezglowie łóżka, położyła na nich głowę i przymknęła oczy. Nagle zobaczyła twarz męża. Była tak wyraźna. Taka realna. I w tym momencie przypomniała sobie, co powiedział jej na lotnisku, przed odlotem do Belfastu. "W sejfie naszego pokoju hotelowego zostawiłem pewną kopertę. Gdyby dzisiaj w Dugaill coś mi się stało, musisz ją jak najszybciej oddać Whitlockowi. Obiecuj mi, że to zrobisz, Melisso. Musisz mi to obiecać".

Usiadła na łóżku, sięgnęła po aparat telefoniczny stojący na nocnej szafce i przeniosła go sobie na kolana. Podniosła słuchawkę, wykręciła numer centrali i poprosiła telefonistkę o połączenie z Grosvenor House Hotel w Londynie.

Podczas odprawy celnej na lotnisku Kennedy'ego Tillman pocił się jak mysz. Ku swemu zdziwieniu nie został zatrzymany. Najwyraźniej szczęście wciąż go nie opuszczało. Szedł wyciągniętym krokiem przez halę przylotów, rzucając wokół siebie niespokojne spojrzenia.

Po wyjściu z terminalu skierował się do najbliższej taksówki i kazał kierowcy zawieźć się na Grand Central Station. Taksówkarz skonsumował batonik hersheya, którym się właśnie posilał, złamał licznik i zapuścił silnik.

Tony Varese szedł dyskretnie krok w krok za Tillmanem od chwili, gdy ten po zakończeniu odprawy celnej znalazł się w hali przylotów. Teraz usadowił się na tylnym siedzeniu innej taksówki i kazał kierowcy jechać za Tillmanem. Taksówkarz, ekspatriowany Włoch, od lat na usługach rodziny Germino, wrzucił bieg i ruszył za tamtym zachowując bezpieczny dystans.

Kiedy dojechali do Grand Central Station, Tillman kazał kierowcy zaczekać. Po paru minutach wrócił z błękitną torbą. Pomyślał, że powinien pójść do mieszkania i zabrać parę osobistych rzeczy, ale szybko z tego zrezygnował. Nie mógł sobie pozwolić na niepotrzebne ryzyko. Nie zdecydował się jeszcze, dokąd w końcu pojedzie. Do Salwadoru? Gwatemali? Hondurasu? Wszystko jedno. Zdecyduje później. Teraz najważniejsze jest wydostanie się z kraju. Zdawał sobie sprawę, że nie może lecieć żadną ze znanych linii. Jak by się wytłumaczył z pięciuset tysięcy dolarów w podręcznej torbie? Nie, nadszedł czas poprosić o rewanż za wyświadczoną niegdyś przysługę. Wsiadł do taksówki i powiedział kierowcy, gdzie ma go zawieźć.

Judd Miller chętnie się, że potrafi pilotować wszystko, co ma skrzydła i silnik. Jak do tej pory nie można mu było zarzucić przesady. W latach sześćdziesiątych latał helikopterem wojskowym w Wietnamie, w latach siedemdziesiątych transportowymi herkulesami w rozdzieranej wojną Afryce, a w osiemdziesiątych lekkimi samolotami w Ameryce Środkowej. Oskarżany o rozmaite przewinienia, począwszy od napadu z bronią w rękę i na usiłowaniu morderstwa skończywszy, spędził czternaście lat w więzieniach rozsianych po całej kuli ziemskiej.

U schyłku lat osiemdziesiątych powrócił do Stanów i otworzył niedaleko Nowego Jorku małą szkółkę pilotażu, ale kosztowny rozwód oraz rosnące długi postawiły firmę na skraju bankructwa. By spłacić część wierzycieli, zmuszony był sprzedać na początku roku jeden z samolotów. W zeszłym miesiącu musiał zwolnić sekretarkę i dwóch mechaników, ponieważ nie był w stanie wypłacać im dłużej pensji. Zdawał sobie sprawę, że całkowita likwidacja firmy jest jedynie kwestią czasu, lecz wcale się tym nie przejmował. Miał dosyć roli nauczyciela. Czas zająć się czymś innym. Wiedział, że dostanie robotę od ręki. Rozesłał już wici i teraz pozostawało mu tylko czekać na najatrakcyjniejszą ofertę.

Siedział w swoim biurze z nogami na biurku, kiedy przed barakiem zatrzymała się taksówka. Kierowca wydobył z bagażnika walizkę i rzucił ją na ziemię. Miller zaklął z wściekłością. Nie prowadził linii pasażerskich. Już miał zdjąć nogi z biurka i wyjść na zewnątrz, kiedy z taksówki wysiadł Tillman. Miller rozpoznał go od razu. Przeczesał

palcami przetłuszczoną czuprynę. Co jest u diabła grane?

Pierwszy raz spotkał Tillmana na początku lat osiemdziesiątych. Odsiadywał wówczas w nikaraguańskim więzieniu trzyletni wyrok za przemyt broni dla Contras. Tillman był wtedy korespondentem zagranicznym New York Timesa. I chociaż poza wzajemną nienawiścią dla międzynarodowego komunizmu niewiele mieli ze sobą wspólnego, na przestrzeni następnych kilku lat ich drogi często się krzyżowały. Później Tillman powrócił do Stanów i Miller nie słyszał o nim więcej, aż do ostatniej audycji specjalnej NBC, poświęconej zwycięstwu Jacka Scoby'ego w stanie Nowy

Jork. Tillman miał swój udział w tym sukcesie. Był mózgiem kampanii. To on pociągał za sznurki. Ale teraz najwyraźniej te sznurki się pourywały...

Tillman zapłacił taksówkarzowi, zczekał aż samochód odjedzie, po czym wkroczył do małego biura.

–Chyba mnie pamiętasz?

Miller pokiwał wolno głową.

–Jasne. Cwany dziennikarz, z którego zrobił się nagle polityczny manipulator. Przy Scobym odwaliłeś kawał dobrej roboty.

Nawet mnie przekonałeś, żebym na niego głosował. Przedtem nie brałem udziału w żadnych wyborach. Szkoda tylko, że to zmarnowany głos.

–Wiesz, co się stało...

–Od samego rana trąbią o tym w radiu. – Miller splótł dłonie za głową. – Jesteś chyba teraz smakowitym kąskiem dla dziennikarzy. Sprzedaliby swoje dzieci za wyłączność na ciebie. Co tu u diabła robisz?

–Chcę, żebyś odwdzieczył mi się za pewną przysługę – odburknął Tillman.

–A którą konkretnie masz na myśli?

–Nie wkurzaj mnie, Miller. Dobrze wiesz, o czym mówię.

Wydostałem cię z Hondurasu po tym, jak zestrzelili cię partyzanci.

Gdyby cię wtedy dorwali, nie siedziałbyś tu teraz.

–Ach, chodzi ci o tamto? Chyba rzeczywiście jestem ci coś winien za ocalenie mojej dupy. Czego chcesz?

–Przerzuć mnie do Ameryki Środkowej. Nieważne dokąd.

Po prostu wywieź mnie ze Stanów.

Przez twarz Millera przemknął wyraz niedowierzania.

–Przerzucić cię do Ameryki Środkowej? Tak po prostu?

Tillman zrobił na biurku miejsce na podręczną torbę, po czym otworzył ją, wyjął dwie paczuszki po dziesięć tysięcy dolarów i rzucił je Millerowi na kolana.

–To za wypożyczenie samolotu, koszty paliwa i twój czas.

Chyba nie zaprzeczysz, że dwadzieścia kawałków to godziwa sumka?

Miller wziął jedną paczuszkę i przewertował banknoty pod kciukiem.

–Jestem pod wrażeniem. Scoby został zamordowany, a ty ni stąd, ni zowąd musisz w te pędy zmywać się z kraju. Co jest grane?

Tillman rzucił na stół następane dziesięć tysięcy.

–Trzydzieści kawałków. I żadnych pytań.

–Ile tam jeszcze tego masz?

–Powiedziałem: żadnych pytań – warknął Tillman.

–Musi tego trochę być, skoro rzucasz lekką rączką trzydzieści kawałków. Niech będzie pięćdziesiąt plus koszty paliwa. Stoi?

–Stoi – odparł zwięźle Tillman.

–Jak możesz płacić pieniędzmi, które nie są twoje? – odezwał się nagle Varese, stając w progu. W dłoni ścisnął automat Heckler Koch z założonym tłumikiem.

–Coś ty za jeden? – zapytał Miller zdejmując nogi z biurka.

Varese zmierzył Millera pogardliwym spojrzeniem, po czym

podniósł broń i nacisnął spust. Miller upadł, a Tillman zatoczył się pod ścianę i przywarł do niej plecami. Przyciskał mocno do piersi torbę, jakby chciał zasłonić się nią jak tarczą.

–Pięćdziesiąt kawałków za przerzut do Ameryki Środkowej? –

spytał Varese spoglądając na rozciągnięte na podłodze ciało Millera. – Chyba chciał cię wykorzystać.

–Możemy ubić interes, Varese – wykrztusił Tillman, wpychając z powrotem do torby trzydzieści tysięcy dolarów. – Możesz powiedzieć, że mnie nie znalazłeś. Dzięki temu zatrzymasz sobie całą forszę. Pół miliona. To kupa szmalu. Ja nie puszcę pary z gęby. Przecież wiesz. Tkwię w tym równie głęboko jak ty. Nie chcę spędzić reszty życia w więziennej celi. Zabierz forszę i pozwól mi odejść.

–Wiem, że władzom rzeczywiście istotnie nic byś nie wyśpiewał, ale gdyby dorwali cię Kolumbijczycy? Wzięliby cię na tortury, podczas których powiedziałbyś im o panu Navarro.

A wówczas oni zemściliby się na rodzinie. Wtedy my również, nie chcąc stracić twarzy, musielibyśmy odpowiedzieć zemstą. Sprawy mogłyby się bardzo paskudnie skomplikować.

–Nie puszcę farby, choćby mnie torturowali – zapewnił Tillman ocierając mankietem pot z czoła.

–Kolumbijczycy to mistrzowie tortur. Dobrze wiem, że sam pierwszy zacząłbym sypać, żeby oszczędzić sobie cierpień. I ty tak samo. Wyśpiewałbyś im wszystko. – Varese skierował lufę automatu na głowę Tillmana. – Jeśli cię zabiję, nie będzie żadnych nieporozumień. A tobie oszczędzona zostanie powolna śmierć w łapach Kolumbijczyków.

Tillman uderzył Varesego torbą w twarz. Pocisk utkwił w ścianie za biurkiem.

Tillman śmignął do otwartych drzwi i wypadł przez próg. Varese, klnąc wściekle, rzucił się za nim. Tillman pędził w kierunku hangaru oddalonego kilkaset jardów od biura.

Varese podniósł automat i pociągnął za spust. Kula trafiła Tillmana w nogę. Potknął się i runął jak długi na ziemię. Obejrzał się z przerażeniem i próbował się zerwać, ale nogę przeszył ostry ból. Zaciśnął desperacko zęby i zdołał w końcu stanąć na zdrowej nodze, lecz po kilku niezdarnych krokach stracił równowagę i runął z powrotem na ziemię. Zaczął się czołgać ku hangarowi. Varese zrównał się z nim, wycelował z automatu w potylicę i nacisnął spust. Potem stopą przewrócił Tillmana na wznak. Upewniwszy się, że nie żyje, podniósł torbę i pomaszerował z powrotem do taksówki zaparkowanej na tyłach hangaru. Kazał kierowcy zawieźć się do West Side Electronics. Zamierzał osobiście przekazać wiadomość Navarro. Ich kłopoty się skończyły...

Kolczyński wystukał na panelu kod, po czym otworzył drzwi i wkroczył do pokoju. Za biurkiem nie było Sarah, a rozsuwane drzwi prowadzące do gabinetu dyrektora stały otworem. Chociaż sekretarka miała dostęp do zapasowego miniaturowego nadajnika, który spoczywał w ściennym sejfie za jej biurkiem, wiedziała, że może go używać tylko w nagłych przypadkach, pod nieobecność jego lub Whitlocka. Takie były przepisy. Dlaczego więc tam weszła? Czyżby właśnie zaistniał taki przypadek? Znowu jakiś kryzys? Wszedł do gabinetu i stanął jak wryty na widok siedzącego za biurkiem Malcolma Philpotta.

– Witaj, Siergiej – rzucił na powitanie Philpott i odwrócił się do stojącej przed biurkiem Sarah. – Dziękuję za wykonanie tych fotokopii.

Odpowiedziała mu uśmiechem i opuściła gabinet.

Philpott za pomocą miniaturowego pilota zamknął za nią drzwi.

– Siadaj i mów, co się dzieje.

– Usiadłbym, ale przecież ty zajmujesz mój fotel.

– To fotel dyrektora. – Philpott wyjął z kieszeni kopertę zawierającą podanie Kolczyńskiego o dymisję i położył ją na biurku. – Zdaje się, że wręczyłeś to dziś rano sekretarzowi generalnemu?

Kolczyński, nie odrywając wzroku od twarzy Philpotta, usiadł powoli na jednej z obitych czarną skórą sof.

– To mi pachnie rosadą w dobrym sowieckim stylu. Jeszcze nie przysechł atrament na moim podaniu, a biurokraci już zdążyli mnie odstawić.

– Wcale cię nie odstawili, Siergiej. – Philpott wziął fajkę

i zaczął obracać ją w zadumie w dłoniach. Nie palił jej od początku roku, kiedy przebył zawał serca. Teraz była tylko pamiątką. Odłożył ją z powrotem na biurko. – Sekretarz generalny zadzwonił do mnie zaraz po tym, jak złożyłeś podanie o dymisję, i poprosił, bym rozważył swój powrót do UNACO. Spadło to na mnie jak grom z jasnego nieba, ale nie trzeba mnie było długo przekonywać. O mało nie sfiksowałem z nudów. Jednak nie wróciłem do UNACO w charakterze likwidatora. Wprost przeciwnie: zamierzam zębami i pazurami walczyć o jej przetrwanie. Prawie przez cały ranek ślęczałem nad raportami o sprawie Scoby'ego. Nie mamy się co oszukiwać. UNACO jest w nie lada tarapatach, niemniej istnieją sposoby, żeby z nich

wybrnąć. A ja zamierzam wyprowadzić UNACO z powrotem na prostą. Mam nadzieję, stary, że mnie w tym wesprzesz. Oczywiście teraz wsiądą na ciebie politycy. Tylko patrzeć, jak się zacznie nagonka. Ale to wcale nie oznacza, że jesteś winny temu, co się wydarzyło, bo zdarzyłoby się również wtedy, gdybym ja był na twoim miejscu. Nikt z nas nie jest nieomylny. W tej chwili jednak najbardziej niepokoi mnie myśl, że w UNACO może dojść do podziałów na górze. Dlatego proszę cię, byś jeszcze raz rozważył swoją decyzję. Jeśli staniemy murem, oponentom znacznie trudniej będzie sobie z nami poradzić. Rozmawiałem już z C.W. Zaznaczył, iż pozostanie w UNACO pod warunkiem, że będzie mógł powrócić do pracy operacyjnej. Ja osobiście nie widzę żadnych przeszkód. Jest jednym z najlepszych agentów operacyjnych, jakich kiedykolwiek mieliśmy. Na kierowniczym stanowisku najwyraźniej nie czuje się dobrze. – Philpott podniósł kopertę. – Zawsze byliśmy wobec siebie uczciwi, Siergiej. Jeśli obstajesz przy swojej decyzji, nie będę naciskał. To zależy wyłącznie od ciebie.

Kolczyński wpatrywał się przez chwilę w dywan, po czym opadł na oparcie sofy i splótł dłonie na udach.

–To, co mówisz, ma ręce i nogi. UNACO rzeczywiście potrzebuje teraz jedności. Może trochę się pośpieszyłem z tą rezygnacją. Ale kiedy to wszystko ucichnie, zamierzam podtrzymać swoją decyzję.

–No to na razie odłożymy twoje podanie – zdecydował Philpott, chowając kopertę do szuflady biurka.

–Dlaczego sekretarz generalny nie powiadomił mnie o twoim powrocie? Siedziałem u niego trzy godziny – zapytał Kolczyński.

–Prosiłem go, żeby nic nie mówił. Uważałem, że najlepiej będzie, jeśli sam ci to zakomunikuję.

–Dobrze mieć cię znowu tutaj, Malcolm – powiedział Kolczyński. – Szkoda tylko, że w takich okolicznościach.

–Karty zostały rozdane. Teraz naszym zadaniem jest zagrać jak najlepiej tymi, które dostaliśmy do ręki.

–Nie za bardzo jest w co wyjść – stwierdził Kolczyński.

–Mamy jeszcze w zanadrzu asa – oznajmił Philpott, postukując palcem w leżącą przed nim teczkę. – Jack Scoby polecił żonie, aby w razie, gdyby przytrafiło mu się coś podczas pobytu w Irlandii, przekazała C.W. pewną kopertę. Kiedy byłeś na konferencji z sekretarzem generalnym, Whitlock przesłał faksem jej treść do naszego biura. Ciarki człowieka przechodzą, gdy to czyta. Pozostaje teraz kwestia, jak najlepiej tym zagrać.

–Co takiego było w tej kopercie? – spytał Kolczyński.

Philpott streścił pokrótce pięć stron odręcznego tekstu, w którym Scoby objaśniał ze szczegółami układ zawarty z Kolumbijczykami, dotyczący importu kokainy do Stanów Zjednoczonych poprzez stan Nowy Jork, do którego później podstępem podłączyła się mafia.

–Teraz, kiedy Scoby nie żyje, kluczem do rozwikłania sprawy jest Tillman – stwierdził Kolczynski. – Czy został już aresztowany?

–Jak tylko dowiedział się o śmierci Scoby'ego, w te pędy zwał z hotelu w Londynie. Zanim to się wydało, był już w Nowym Jorku. Agencja Antynarkotykowa obserwuje jego mieszkanie, a jego fotografie rozesłano na wszystkie przejścia graniczne, ale jak dotąd go nie znaleźli. Przepadł jak kamień w wodę.

–Nie ma się co dziwić. Musi zdawać sobie sprawę, że prędzej czy później dorwą go Kolumbijczycy albo mafia. Tylko po co tu przyjechał? Na jego miejscu wiałbym byle dalej od Stanów.

–Dowiemy się tego, gdy go aresztujemy – odparł Philpott.

–Czy Scoby podał jakiś powód złożenia tak druzgocącego wyznania?

–Chciał chronić żonę. Kolumbijczycy lub mafia mogliby wziąć ją na cel, gdyby zaczęli podejrzewać, że razem ze Scobym maczała palce w tym interesie. Scoby w swoim oświadczeniu podkreśla wielokrotnie, że o niczym nie wiedziała.

–Gdyby to oświadczenie dotarło do prasy, wizerunek Partii Republikańskiej doznałby poważnego uszczerbku – zauważył Kolczynski. – Z takim trupem w szafie przepadliby z kretesem w następnych wyborach.

–Dlatego też prezydent przysłała tu jutro z Waszyngtonu jednego ze swoich najbardziej zaufanych doradców. Ja zaś zamierzam jak najlepiej wykorzystać tę sytuację.

–Czyżbyś miał zamiar szantażować prezydenta? – spytał Kolczynski.

–Broń Boże – zaprzeczył Philpott. – Powiedzmy, że zamierzam wynegocjować pewien układ.

–Jaki układ?

–Niebawem się dowiesz – odparł Philpott. – A teraz opowiedz mi o spotkaniu z sekretarzem generalnym.

Whitlock uregulował rachunek za hotel, po czym wszyscy troje pojechali taksówką na lotnisko Heathrow. Tam potwierdzili rezerwację na lot do Nowego Jorku i przeszli do kawiarni na kawę.

–Chciałabym być już w domu – westchnęła Sabrina, kiedy zajęli miejsca przy stoliku.

–Ja też – przyznał Graham dolewając sobie mleka do kawy. – Jutro wieczorem na Meadowlands grają Giantsi. Zapowiada się wspaniały mecz.

–Z kim grają? – spytała Sabrina.

–Z Washington Redskins. Ależ to będzie zażarta walka.

Przypuszczam, że o wyniku może rozstrzygnąć nawet jedno przyłożenie. Może się ze mną wybierzesz? – zaproponował. – Mogłabyś

się czegoś nauczyć. Mam w klubie znajomości. Nawet teraz mógłbym załatwić jeszcze jeden bilet.

–Przecież wiesz, Mike, że o futbolu nie mam najmniejszego pojęcia – odparła. – Szkoda pieniędzy.

–W takim razie zawrzemy pewien układ. Za cenę taniego podręcznika nauczę cię podczas podróży podstaw gry. Jeśli do czasu, kiedy wylądujemy na JFK, nie połapiesz się w jej regułach, przyznam się do porażki. Mogę ci jednak zagwarantować, że sama zechcesz pójść jutro wieczorem na Meadowlands. Zgoda?

Wzruszyła ramionami.

–I tak przez najbliższe parę godzin nie mam nic do roboty.

–Jeszcze zrobimy z ciebie kibica Giantsów.

–Nie mogę się doczekać – mruknęła krzywiąc się.

–A ty co na to, C.W.? – Graham spojrzał na Whitlocka i uśmiech spelzł mu z twarzy na widok jego skonsternowanej miny. – C.W.?

Wyrwany z zadumy Whitlock uśmiechnął się smutno do niego.

–Wybacz, Mike, byłem myślami daleko stąd. Co powiedziałeś?

–Nieważne. Wszystko w porządku?

–Jasne – odparł Whitlock. Wiedział jednak, że ich nie nabierze.

Westchnął głęboko i odchylił się na oparcie krzesła. –

Dzisiaj rano rozmawiałem przez telefon z pułkownikiem. Powiedziałem mu, że zamierzam wystąpić o przeniesienie do pracy operacyjnej. Że nie jestem stworzony do siedzenia za biurkiem. Bardzo mu się to spodobało. Ale nie mówiłem o tym jeszcze Carmen. Wpadnie w szal, kiedy się dowie.

–Nie osądzaj jej zbyt pochopnie, C.W.

–Daj spokój, Sabrina, przecież znasz jej zdanie na ten temat.

Chciała, żebym skończył z robotą operacyjną, bo bała się o moje bezpieczeństwo. Doszło już do tego, że zagroziła odejściem, bo nie mogła znieść niepokoju o moje życie, kiedy byłem na zleceniu.

Myślicie, że niby dlaczego przyjąłem to kierownicze stanowisko?

Była to dla mnie jedyna szansa na uratowanie naszego małżeństwa.

I jakoś to się ciągnęło. Aż do tej pory. – Whitlock wskazał

na siedzącego obok Grahama. – W czasie weekendu przedyskutowaliśmy tę sprawę z Mike'em. To było rozwiązanie na krótką

metę. Nie mogę być szczęśliwy w domu, będąc nieszczęśliwy

w pracy. Prędzej czy później coś musiałoby puścić. Przez ostatnie

dni czułem narastające napięcie. Wy byliście w kulminacyjnym

punkcie akcji, a ja siedziałem przykuty do telefonu i pisałem Bóg

wie ile raportów. Nie jestem stworzony do papierkowej roboty

i nie potrafię dłużej udawać, że wszystko jest w porządku. Ale

jak przekonać Carmen?

–Powiedz jej dokładnie to samo, co nam – poradził Graham. –
Jestem pewien, że zrozumie. Próbowałaś działać w kierownictwie,
ale to nie było zajęcie dla ciebie. A zrobiłaś to dla niej.
Czegóż więcej może od ciebie wymagać? Że uśmiechniesz się
i pociągniesz to dalej w imię utrzymania waszego małżeństwa? Nie
tak wygląda przepis na udane pożycie. Musisz być z nią szczery,
C.W. To jedyny sposób. Carrie i ja też przez coś takiego przechodziliśmy.
Też naciskała, bym zrezygnował z pracy operacyjnej,
kiedy byłem jeszcze w Delcie. I za każdym razem, kiedy poruszała
ten temat, nawet nie podejmowałem dyskusji. Uważałem po prostu,
że nie ma o czym gadać. To było moje życie. I prędeż by mnie
diabli wzięli, niż dałbym się namówić do machania przez resztę
życia piórem. No i nadszedł w końcu moment, kiedy musieliśmy
powiedzieć sobie wprost, co nam leży na sercu, i zrobiliśmy to.
Tego dnia dowiedzieliśmy się o sobie więcej niż podczas czterech
lat małżeństwa. To oczyściło atmosferę i ocaliło nasz związek.
–Dziękuję – powiedział Whitlock. – Jakoś mi lżej na duszy,
kiedy o tym pogadaliśmy.
–Dziękuję nic nie kosztuje – uśmiechnął się Graham.
Sabrina zobaczyła nagle stojącego w progu kawiarni Marsha.
–Nie oglądajcie się – uprzedziła cicho Grahama i Whitlocka. –
Mamy towarzystwo.
Marsh przywitał się z nimi, przysunął sobie krzesło i usiadł.
–Trzeba było złapać mnie w Yardzie, to bym was tutaj podrzucił.
–Chyba i tak dość już sprawiliśmy kłopotów – odparł Whitlock. –
Doszliśmy do wniosku, że najlepiej będzie, jak wymkniemy
się bez rozgłosu i wrócimy do Stanów.
–Cieszę się, że was złapałem. Chciałem podziękować za to,
co dla mnie zrobiliście.
–Nie ma za co – odparł Whitlock. – To Eastman oczyścił
cię z zarzutów.
–Co tam słyszeć u tego sukinsyna? – zainteresował się
Graham.
–Trzymają go cały czas w Brixton Remand, ale chyba zostanie
zwolniony, zwłaszcza iż wyszło na jaw, że Scoby babrał się
w narkotykach.
–Jest coś nowego o Bradym? – spytał Whitlock.
Marsh pokręcił głową.
–Odkąd opuścił hotel, ani widu, ani słychu.
–Zatem niewykluczone, że IRA go ukatrupiła, a ciało wrzuciła
do jakiejś dziury – zasugerował Graham.
–Owszem, istnieje taka możliwość. Zdaje mi się jednak, że
Keith nie docenił poparcia, jakie Brady miał w Radzie Armii.

Jasne, że cała ta operacja zniszczyła wizerunek IRA za granicą, a pozyskanie na nowo dawnych sprzymierzeńców, zwłaszcza tych z Ameryki, będzie kosztowało Radę Armii sporo wysiłku, ale nie jest to dla niej wcale śmiertelny cios, jak utrzymują gazety. IRA odbije się od dna. Zawsze im się to udaje. Możliwe, że Brady również wyjdzie z tego bez szwanku. Jeśli jednak został zabity, byłbym skłonny przypuszczać, że rozkaz wyszedł od pewnych zbuntowanych członków Rady. Z czasem powinno się to wyjaśnić.

Przez głośniki zapowiedziano ich lot. Wymienili z Marshem uściski dłoni, dźwignęli swoje walizki i ruszyli do kontroli celnej. Marsh odczekał, aż znikną mu z oczu, i skierował się z powrotem przez środek hali do głównego wejścia. Jego zadanie jeszcze się nie skończyło...

Seamus Finnegan od przeszło dwudziestu pięciu lat był właścicielem lokalu w Carrickfergus. Był zatwardziałym republikaninem, a do swych bliskich przyjaciół zaliczał prominentnych doradców Seana Feina i wysoko postawionych członków IRA. Chociaż w pubie urządzano regularnie spotkania republikanów i przechowywano ludzi poszukiwanych przez władze, nigdy nie udowodniono mu poważniejszego wykroczenia niż prowadzenie samochodu z nadmierną prędkością. RUC przeprowadzał regularnie naloty na lokal, powołując się na anonimowe informacje, jakoby znajdowali w nim schronienie ludzie ścigani przez prawo. Policjanci uparczywie wybierali sobie na te kontrole sobotnie noce, kiedy pub pękał w szwach. Wczorajszy wieczór nie należał do wyjątków, ale tak jak i poprzednimi razy policjanci musieli odejść z kwitkiem.

W niedzielne poranki było zawsze spokojnie. Stali bywalcy zejdą się dopiero po lunchu. Finnegan obejrzał się na wiszący za nim zegar ścienny. Minie dobre pół godziny, zanim zaczną tu ścigać. Teraz w lokalu znajdowało się tylko czterech gości. Siedzieli przy barze i oglądali w telewizji retransmisję meczu piłkarskiego. Pięć minut wcześniej żona krzyknęła do Finnegana, że lunch jest gotowy. Zamierzał pójść na górę i przynieść sobie talerz, zanim jedzenie ostygnie. Kiedy odwracał się od ekranu, drzwi otworzyły się i do lokalu wkroczył jakiś mężczyzna. Głowę skrywał w ramionach, chroniąc ją przed deszczem, który od wczesnego rana chłostał Carrickfergus. Zamknął za sobą drzwi i podniósł powoli wzrok na Finnegana.

–Matko Święta – wymamrotał Finnegan.

Kevin Brady opuścił kołnierz skórzanej kurtki i podszedł do drugiego końca lady, skąd nie mogli go słyszeć pozostali goście.

–Dobrze cię widzieć, Seamus – powiedział bezbarwnym głosem.

Finnegan energicznie potrząsnął jego ręką.

–Ciebie też, stary. Jak tam?

–Jakoś się trzymam – odparł Brady, przeczesując palcami czuprynę.

–Od wczoraj, kiedy zamordowano w Dugaill tego amerykańskiego senatora, telefon się urywa. Szukała cię Rada Armii. Założyli

chyba, że skoro stąd pochodzisz, to prawdopodobnie prędzej czy później się tu pojawisz. Lepiej się z nimi skontaktuj.

Uspokój ich.

–Tak zrobię – zapewnił Finnegan Brady.

–Może wejdiesz na górę? Na stole czeka gorący posiłek.

Chyba dobrze by ci zrobił.

–Nie, dzięki. Wystarczy kufel guinnessa i ser z papryką. Muszę pozbierać myśli przed rozmową z Radą Armii.

Finnegan napełnił kufel guinnessem i postawił go na ladzie.

–W naszych stronach chodzą słuchy, że byłeś zamieszany w tę wczorajszą strzelaninę. To chyba nieprawda, stary?

–Nieprawda.

–Tak też mówiłem. – Finnegan wyjął z koszyka pod ladą plaster sera i podał go Brady'emu. – Wciąż nie mogę uwierzyć, że to Fiona pociągnęła za spust. Pamiętam, ileż razy wpadała tu z Seanem na parę drinków. Myślałem, że jest jedną z nas.

–Wszyscy tak myśleliśmy.

–Na pewno nie zjesz nic gorącego, stary? Mogę ci przynieść talerz tu na dół.

Brady potrząsnął przecząco głową. Podeszedł do stolika w kącie i zajął przy nim miejsce. Zawsze szczyił się umiejętnością działania w pojedynkę, ale nigdy dotąd nie czuł się tak odizolowany i osamotniony. Mało, że Kane został aresztowany, to jeszcze obrócił się przeciw niemu jego własny plan zdyskredytowania Brytyjczyków w oczach opinii publicznej. Mieli teraz taśmy, ale to i tak nic w porównaniu z udanym zamachem na Jacka Scoby'ego. Fiona, jako dowódca komórki, podlegała teoretycznie jemu, więc każda gazeta właśnie w nim upatrywała inspiratora zabójstwa senatora. Zdawał sobie sprawę, że władze będą go szukać aż do skutku, bo tylko jego odnalezienie mogłoby wyciszyć międzynarodową wrzawę. Bardziej niepokoiło go, jak zareaguje Rada Armii. Poprą go, czy uczynią z niego kozła ofiarnego, by uspokoić rozgniewanych sprzymierzeńców za granicą? Wiedział, że w łonie Rady cieszy się poparciem. Ale czy dostatecznym, by ocaliło mu to skórę? Nie mógł dłużej uciekać.

Słyszając otwierające się drzwi, podniósł wzrok i od razu rozpoznał wysoką, szczupłą sylwetkę Kierana O'Connella, swojego najzagorzalszego oponenta w Radzie Armii. O'Connell odgarnął z czoła zmierzwione przez wiatr włosy i przeszedł przez salę do jego stolika.

–Przyszedłeś, żeby odstawić mnie przed rozgniewane oblicze Rady Armii? – spytał Brady, wytrzymując przenikliwy wzrok O'Connella.

–Rada Armii większością głosów postanowiła zostawić cię w spokoju aż do zakończenia wewnętrznego śledztwa. A mnie czeka wydalenie z Rady Armii z powodu przyjaźni z Fioną. Nie ma już przede mną żadnej przyszłości.

Brady czuł zawsze niechęć do O'Connella z powodu jego liberalnych przekonań. Ilekroć to raz veto O'Connella wstrzymywało jego operacje. Widocznie Rada Armii zamierzała w przyszłości zająć bardziej twarde stanowisko. A Brady wiedział, że jest idealnym kandydatem do objęcia dowództwa szykującej się kampanii. Zemsta będzie słodka.

O'Connell cofnął się nagle i wyszarpnął z kieszeni płaszcza browninga Mk2. Brady odrzucił kopniakiem krzesło i rozejrzał się gorączkowo, wypatrując jakiejś drogi ucieczki. O'Connell pociągnął za spust. Pocisk trafił Brady'ego w żołądek, a siła uderzenia cisnęła go plecami o ścianę. Ściskając się rękami za brzuch, patrzył z przerażeniem na przeciekającą mu pomiędzy palcami krew. Podniósł wzrok na O'Connella, ale kiedy próbował otworzyć usta, tamten wpakował w niego trzy następne kule. Z kącików ust Brady'ego popłynęła ciurkiem krew i runął twarzą do przodu na stolik. Stolik przewrócił się na bok, a ciało zsunęło się bezwładnie na podłogę.

Zaalarmowany hukem pierwszego wystrzału Finnegan złapał rewolwer i zbiegł po schodach, ale kiedy wypadł przez drzwi za ladą, Brady już nie żył. Na widok O'Connella Finnegan stanął jak wryty. Następny stały gość. Następny przyjaciel.

–Rzuć broń, Kieran – rozkazał, mierząc z rewolweru do O'Connella.

O'Connell obrócił powoli głowę i spojrzał na Finnegana, a potem wsunął sobie lufę w usta i pociągnął za spust.

W poniedziałek o dziewiątej rano Whitlock podjechał do West Side Electronics i zatrzymał samochód za białym fordem zaparkowanym przecznicę dalej. Ledwie zdążył zgasić silnik, drzwiczki forda od strony pasażera otworzyły się i z wozu wysiadł mężczyzna. Trzydziestoosmioletni Frank Grecco był jednym z najlepszych tajnych agentów Agencji Antynarkotykowej DEA i działał w Nowym Jorku przez ponad dwanaście lat, dopóki pewien gorliwy dziennikarz goniący za sensacją nie spalił go. Franka trzeba było wycofać z terenu i przenieść za biurko. Po stażu w Los Angeles na stanowisku zastępcy szefa wydziału wrócił do Nowego Jorku jako najmłodszy szef wydziału w całej historii agencji.

Whitlock zamknął samochód i uśmiechnął się do podchodzącego Grecco. Pracował z nim podczas kilku połączonych operacji DEA-UNACO i trudno mu było uwierzyć, że to ten sam człowiek. Po włosach do ramion, szczecinie kilkudniowego zarostu i wyświechtanych dżinsach pozostało już tylko wspomnienie. Teraz Grecco miał krótką fryzurę, nosił starannie przystrzyżony czarny wąsik i miał na sobie elegancką dwurzędową marynarkę od Armaniego.

–Cześć, stary. Kopę lat – powiedział z szerokim uśmiechem, potrząsając wylewnie ręką Whitlocka. – Jak leci?

To był ten sam poczciwy Frank Grecco. Żadnego krygowania się, żadnego zadzierania nosa. Właśnie dlatego przed dwoma miesiącami jego dawni koledzy tak entuzjastycznie powitali go z powrotem w Nowym Jorku.

–Doskonale, Frankie. Jak ci idzie w nowej pracy?

–Dla dni takich jak ten warto się pomęczyć – odparł

Grecco. – Wciąż nie mogę uwierzyć, że w końcu trafiła nam się szansa przyszpilenia Navarro. Tyle lat nie udawało się go podejść. Ileż to razy ściągaliśmy go na przesłuchanie i nie mogliśmy przypiąć mu żadnej łatki. Mówię ci, taki podminowany nie czułem się od czasu, kiedy Scott Norwood na osiem sekund przed końcowym gwizdkiem przestrzelił z pola w meczu, o Superpuchar z Billsami. To był sądny wieczór dla Giantsów.

–Mike też mi wciąż o tym przypomina.

–Co u tego postrzeleńca?

–Po staremu – odparł Whitlock.

–A co u mojej ulubionej tajniaczki? – zapytał Grecco z porozumiewawczym uśmiechem.

–U Sabriny? Wszystko w porządku. Pozdrawiają cię oboje.

–Dzięki. Gdzie są?

–Złatwiają pewną sprawę poza miastem.

–Przekaż Mike'owi, że niedługo do niego przedzwonię. Dawno nie byłem z nim na żadnym meczu. – Grecco zabębnił palcami

w tylną szybę forda i pokazał czekającym w środku ludziom

uniesiony w górę kciuk. Dwaj siedzący z tyłu mężczyźni wysiedli.

Otworzyły się tylne drzwiczki drugiego białego forda stojącego

przed wozem Grecco i wysiadło z niego również dwóch mężczyzn

po cywilnemu. Grecco zwrócił się znowu do Whitlocka: – Lepiej nie ryzykować, kiedy ma się do czynienia z takim piskorzem jak Navarro. Zabrałem wsparcie na wypadek, gdyby próbował jakichś sztuczek.

Dziewczyna o czarnych włosach oderwała oczy od ekranu komputera i uśmiechnęła się ciepło do Whitlocka i Grecco wchodzących do pokoju.

–Dzień dobry. Czym mogę służyć?

–Chcemy się widzieć z Martinem Navarro – oznajmił Grecco.

–Są panowie umówieni? – spytała, wystukując na klawiaturze kod wywołujący na ekran listę osób mających się spotkać tego dnia z Navarro.

–Nie znajdziesz tam naszych nazwisk, kochana – powiedział Grecco pokazując legitymację. – Jesteśmy z DEA. Staramy się nie zapowiadać swoich wizyt. Dzięki temu możemy brać szumowiny przez zaskoczenie.

–Pan Navarro będzie dopiero późnym popołudniem.

–Twoja lojalność jest wzruszająca, kochana, ale widzieliśmy go, jak wchodził tu przed półgodziną z tym swoim siepaczem Varese – powiedział Grecco. – Nie kłopotz się, sami trafimy.

Whitlock otworzył drzwi i wkroczył do przestronnego gabinetu. Navarro spojrział na niego gniewnie zza biurka. Za Whitlockiem wszedł Grecco.

Recepcjonistka zatrzymała się niepewnie w progu.

–Przepraszam, panie Navarro, próbowałam zatrzymać tych panów.

–W porządku, Martha.

Skinęła nerwowo głową, wycofała się i zamknęła za sobą drzwi.

–To agent specjalny. Przyjechał z naszej waszyngtońskiej centrali -poinformował Navarra Grecco, wskazując na stojącego za nim Whitlocka.

Whitlock okazał fałszywą legitymację DEA, którą wyrobił sobie tego ranka. Varese wstał z sofy, wziął dokument, obejrzał go dokładnie i oddał Whitlockowi.

–Męczy mnie to ustawiczne nachodzenie przez DEA, Grecco – powiedział Navarro. – Twoi ludzie wszędzie za mną łażą.

Mój dom jest pod ciągłą obserwacją. Nie wspominając już o tym, że w samym tylko zeszłym roku pięciokrotnie wzywano mnie na przesłuchania, i za każdym razem puszczano nie postawiwszy żadnego zarzutu.

–Być może koncentrujemy się na niewłaściwej osobie – odparł Grecco i zwrócił się do Varesego: – Wiem, że jesteś uzbrojony, Tony. Wyciągnij powoli pukawkę i rzuć mi ją pod nogi. Na twoim miejscu nie robiłbym żadnych kawałów. Whitlock nie chybia z tej odległości.

Varese błyskawicznie przeniósł wzrok na automat w dłoni Whitlocka, ale nie wypełnił polecenia Grecco.

–Mam podejść i sam ci zabrać broń, Tony? – spytał Grecco.

–Spróbuj tylko – syknął Varese, zaciskając opuszczone pięści.

–Rób, co ci każe! – warknął Navarro.

Varese spiorunował Navarro wzrokiem, wydobył heckler kocha P9S z kabury pod pachą i cisnął broń na podłogę przed Grecco.

Grecco przesunął długopis przez osłonę spustu i włożył pistolet do plastikowej torebki, którą wyciągnął z kieszeni.

–Zakładam, że to ten sam heckler koch, z którego zastrześliłeś Judda Millera i Raya Tillmana?

–O czym ty gadasz? – warknął Varese.

–Zaprzeczasz, że wczoraj po południu odwiedziłeś Paramus Flying School?

–Nigdy nie słyszałem o żadnej Paramus Flying School – zachnął się Varese. – Całe popołudnie spędziłem tutaj. Pan Navarro może to potwierdzić.

–Możesz? – zwrócił się Grecco do Navarro.

–Wyglądasz na bardzo pewnego siebie, Grecco – odparł Navarro. – Co masz na Tony'ego?

–Judd Miller, właściciel Paramus Flying School, zainstalował ostatnio na terenie szkoły system kamer video, żeby nakryć wandalów, którzy w zeszłym miesiącu dwukrotnie włamali się do hangaru i majstrowali przy samolotach – poinformował go Grecco. – Zabójstwo Tillmana zostało zarejestrowane na taśmie video. Jeśli chcesz, mogę ci powiedzieć z dokładnością co do sekundy, kiedy Varese pociągnął za spust.

Whitlock otworzył dyplomatkę i rzucił na biurko brązową kopertę.

–To tylko parę klitek, które skopiowaliśmy z filmu. Na każdej z nich można w zabójcy rozpoznać Varesego.

Navarro wyjął fotografie z koperty. Wystarczył mu tylko rzut oka na pierwszą z nich. Przedstawiała Varesego stojącego nad Tillmanem i mierzącego do niego z heckler kocha. Już za samo to dostałby dwadzieścia lat.

–Dzwonię do mojego adwokata.

–Powiedz mu, że może się z wami spotkać w centrali DEA – poradził mu Grecco.

Varese rzucił się nagle na Whitlocka, odepchnął go i pobiegł do drzwi. Grecco odpiął od paska krótkofalówkę i uprzedził swoich ludzi pilnujących korytarza. Varese nie miał szans na ucieczkę: pochwycili go w momencie, kiedy wypadł z biura. Przewrócili go na podłogę, skuli mu ręce kajdankami i wprowadzili z powrotem do gabinetu Navarro.

Navarro porozumiał się z prawnikiem rodziny, Edwardem Brasco. Popatrzył na

leżącego na sofie Varesego, któremu po brodzie ściekała strużka krwi.

–Nasz adwokat jedzie już do centrali DEA. Nic nie mów, dopóki z nim nie porozmawiasz.

–Zadzwońeś już, więc teraz wstawaj. – Grecco dał znak głową jednemu ze swoich ludzi. – Skuć go, odczytać przysługujące mu prawa i wyprowadzić

–A niby o co jestem oskarżony? – zapytał Navarro.

–O współudział w morderstwie oraz o nielegalny import i rozprowadzanie narkotyków – poinformował go Grecco.

–Co u diabła mają z tym wszystkim wspólnego narkotyki? – zachnął się Navarro.

–Senator Scoby pozostawił szczegółowy opis interesu, jaki ubił z Kolumbijczykami, a także tego, który zamierzał ubić dzisiaj z tobą, po powrocie do Nowego Jorku. Samo to mogłoby sądowi nie wystarczyć, ale zabijając Tillmana przyznałeś się do winy. Chyba że zamierzasz zaprzeczyć, iż masz cokolwiek wspólnego z tym morderstwem...

Navarro wiedział, do czego zmierza Grecco. Popatrzył na Varesego.

–Tony, Grecco będzie próbował zaproponować ci nietykalność w zamian za zeznawanie przeciwko mnie. To nęcąca propozycja. Nie pójdziesz siedzieć. Tobie i twojej rodzinie nadadzą nową tożsamość. Zaczniecie nowe życie. Ale nie wierz im. Oni nie dotrzymują słowa. Nigdy go nie dotrzymują. Wykorzystają cię, a potem, kiedy dostaną już to, czego chcą, rzucą cię lwom na pożarcie. Nie daj się skusić. Porozmawiaj z Brasco. On się tobą zajmie. Obiecuj mi, że nie powiesz nic, dopóki nie porozmawiasz z Brasco, Tony. Obiecuj.

W oczach Varesego czaiła się niepewność. Wbił wzrok w dywan.

–Tony, spójrz na mnie! Tony!

–Zabierzcie go – warknął z pogardą Grecco.

Dwaj ludzie Grecco wyprowadzili Navarro z gabinetu. Whitlock zamknął za nimi drzwi.

–Czeka cię proces o morderstwo, Tony – powiedział Grecco, siadając obok Varesego. – Takie jest życie. Będziesz miał szczęście, jeśli wykręcisz się dwudziestoma latami. Ale bardziej prawdopodobne, że będzie to dwadzieścia pięć lat. Navarro o tym wie.

Jak myślisz, dlaczego nie wstawił się za tobą, kiedy tu jeszcze był?

Dwa razy naprowadzałem go na ten temat i dwa razy wykręcił się od udzielenia odpowiedzi. Dlaczego? Bo wie, że może się wywinąć twierdząc, że nic nie wiedział o śmierci Tillmana. Brasco robi, co w jego mocy, żeby go z tego wyciągnąć. Ty jesteś w rodzinie osobą mniej znaczącą. Jego rodzina potrzebuje, ciebie nie. Ludzi od mokrej roboty łatwo zastąpić. A Navarro jest mózgiem, który kieruje

działalnością rodziny w Nowym Jorku. Jest przygotowywany do zajęcia pewnego dnia miejsca po Carmine Germino. Naprawdę sądzisz, że Germino z twojego powodu zaryzykuje utratę na najbliższe dwadzieścia lat swojego najlepszego porucznika?

–Nie mogę sypać Martina – mruknął Varese nie odrywając oczu od dywanu.

–Nie możesz czy nie chcesz? – spytał Whitlock.

Varese milczał.

–Słyszałem, że zostałeś niedawno ojcem, Tony – odezwał się Grecco. – Ile ma teraz twoja córeczka? Miesiąc? Dwa? Jeśli powędrujesz za kratki, nie będziesz mógł patrzeć, jak dorasta. To najlepsze lata twojego życia. Wiem to, bo sam mam syna. Potrafisz żyć ze świadomością, że nie widziałeś, jak stawia pierwsze kroczki? Albo nie słyszałeś, jak wypowiada pierwsze słowo? Albo że będziesz ją widywał tylko w weekendy, kiedy twoja żona przyprowadzi ją na widzenie? A kto zaręczy, że będzie cię chciała nadal odwiedzać, kiedy dorośnie i dowie się, że odsiadujesz wyrok za morderstwo? Musisz wybierać, Tony. Która rodzina jest dla ciebie ważniejsza? Żona i córeczka czy mafia?

Do wpatrującego się wciąż w dywan Varesego zaczynała docierać powaga sytuacji. Podniósł wzrok na Grecco.

–A dacie mi ochronę, jeśli zgodzę się zeznawać przeciwko rodzinie?

–Obejmie cię Program Ochrony Świadców Koronnych. Nowe tożsamości. Nowe życia. Będziecie bezpieczni.

–Czy przedtem pójdę do więzienia? – spytał Varese.

–To będzie zależało od tego, co dasz prokuratorowi. Im więcej mu powiesz, tym łagodniej cię potraktuje.

–Mogę wam wystawić samego Carmine Germino. Wiem o nim wystarczająco dużo, żeby posadzić go do końca życia.

I o jego porucznikach też. Od pięciu lat biorę udział w spotkaniach, na których omawiają strategię działań. Mogę wam podać numery kont bankowych na całym świecie, które rodzina Germino wykorzystuje do prania swoich pieniędzy z handlu narkotykami.

Mogę wam też podać nazwiska polityków, których Germino ma w kieszeni. Ale Martina nie sypnę. Nie bezpośrednio. Wyciągniecie wystarczająco dużo dowodów przeciwko niemu z tego, co powiem

o Germino i jego porucznikach. Zanim jednak powiem cokolwiek

waszemu prokuratorowi, chcę dostać gwarancję, że nie będę trzymany w

więzieniu. Wiem, że nie wyszedłbym stamtąd żywy. Dopadliby mnie nawet w pojedynce. Taki jest mój warunek.

–Skąd ta twoja lojalność wobec Navarro? – spytał Whitlock.

–Są spokrewnieni – wyjaśnił Grecco.

Varese skinął głową.

–Martin jest moim przyrodnim bratem. Jesteśmy z tej samej matki. Ja byłem ten twardy, a Martin miał głowę. Zawsze próbował wyciągać nas z kłopotów negocjacjami, i dopiero kiedy nie dawały rezultatu, wkraczałem ja, z pięściami. Opiekowałem się Martinem, kiedy dorastaliśmy, ale wszystko się zmieniło, gdy weszliśmy do rodziny. Wtedy on zaczął się opiekować mną. Zostałem jego prawą ręką. Germino chciał mu zrobić przyjemność, więc się zgodził. Rodzinna lojalność wiele znaczy dla Włochów, panie Grecco. Kto jak kto, ale pan powinien to wiedzieć.

–Wiem.

Varese przeniósł wzrok z Grecco na Whitlocka.

–Znacie moje warunki. Przekażcie je prokuratorowi, kiedy dostaniecie odpowiedź, łatwo mnie znajdziecie.

Po wyprowadzeniu Varesego Grecco zwrócił się do Whitlocka:

–Muszę teraz przekonać moich zwierzchników i prokuratora, żeby się na to zgodzili. Spójrzmy faktom w oczy: wolność Varesego to niewielka cena za przymknięcie przywódców rodziny Germino. Ale podejrzewam, że ostateczna decyzja będzie należała do polityków.

–Zawsze tak było i będzie – odparł Whitlock wychodząc za Grecco z gabinetu.

Graham i Sabrina polecili do Milford helikopterem. Na miejscu oczekiwał ich Jim Kingsland, absolwent akademii FBI, którego nowojorska centrala biura wysłała tam wczesnym rankiem, żeby nawiązał kontakt z miejscowym departamentem policji. Powiedziano mu tylko tyle, że Graham i Sabrina zostali im "przydzieleni" i że ma z nimi współpracować.

Pojechali we trójkę do doków. Graham i Sabrina byli zdecydowani przymknąć Killena i jego ludzi za zamordowanie Billy'ego Petersona i usiłowanie zabójstwa ich kolegi. A jeśli przy okazji uda im się odkryć, co łączy "Venturę" z IRA, to tym lepiej. Przed bramą główną czekały już na nich dwa wozy patrolowe. Jeden

z nich wjechał za nimi na teren portu i zaparkował przed budynkiem kapitanatu.

–Kingsland, ty i dwaj mundurowi bierzecie Woodsa i Natchetta – zarządził Graham wysiadając z samochodu. – Jessem Killenem zajmiemy się z Sabriną sami.

Podeszli do drzwi biura Killena, Graham zapukał i nie czekając na zaproszenie wkroczył do środka. Killen siedział z nogami na biurku i rozmawiał przez telefon. Skinął Grahamowi głową, po czym przeniósł wzrok na wchodzącą za nim Sabrinę i oblizał łakomie wargi.

Graham wyciągnął rękę i wyrwał Killenowi słuchawkę z dłoni.

–Zadzwoń do ciebie za dwadzieścia lat. – Rzucił słuchawkę z powrotem na widełki.

–Co jest, u diabła? Wchodźcie sobie tak po prostu i...

–Agenci specjalni Graham i Carver – przerwał mu Graham.

Pokazał swoją legitymację, a potem wyciągnął nakaz aresztowania i położył go na biurku. – Jesse Killen, jesteś zatrzymany pod zarzutem zamordowania Williama Petersona. Cokolwiek...

–Oszczędź sobie tego wykładu – warknął Killen. – Chcę rozmawiać z moim adwokatem.

Graham położył dłoń na słuchawce telefonu, wyrecytował do końca przysługujące Killenowi prawa, a potem powiedział:

–Wstawaj, Killen. Ręce na ścianę, nogi szeroko.

–Myślicie, że mam przy sobie broń? – zapytał z niedowierzaniem Killen. – Jestem brygadzystą doku, nie jakimś rewolwerowcem.

–Rób, co mówię! – syknął Graham.

Killen zaklął gniewnie, ale wstał i podszedł do ściany. Graham przeszukał go szybko. Był czysty.

–No i co, zadowolony? – burknął Killen. – A w ogóle, to kto to jest ten William Peterson?

–Pracował tutaj, nie pamiętasz? – odezwała się Sabrina. – Potem pewnej nocy po prostu zniknął. Od tamtego czasu nikt o nim nie słyszał ani go nie widział.

–A co ja mam z tym wspólnego?

–Zabiłeś go. Najpierw pobiliśmy go do nieprzytomności, a potem wpakowałeś mu kulkę w tył głowy – powiedział Graham.

–Macie świadka, który by to potwierdził?

–Oczywiście, że mamy – odparła Sabrina wyjmując z kieszeni fotografię i podsuwając ją Killenowi pod nos. – Fabio Paluzzi. Od nas. Poznałeś go jako Pasconiego, włoskiego dziennikarza.

–Nie utonął, kiedy razem ze swoimi osiłkami zepchnąłeś samochód do wody – wtrącił Graham. – Nasi koledzy odczytują w tej chwili Woodsowi i Natchettowi przysługujące im prawa.

No, teraz możesz dzwonić do adwokata.

Killen podniósł słuchawkę i niespodziewanie cisnął nią w Grahama, trafiając go w policzek. Graham zatoczył się na Sabrinę wytrącając jej pistolet z dłoni. Broń poleciała pod biurko. Killen przemknął obok nich i zniknął za drzwiami. Sabrina schyliła się pod biurko, żeby podnieść pistolet. Leżał poza zasięgiem jej ręki, zrezygnowała więc z jego odzyskania i puściła się w pogoń.

Graham pozbierał się z podłogi i ostrożnie dotknął policzka. Miał przeciętą skórę w kąciu prawego oka. Zaklął ze złością i wybiegł na zewnątrz, ale nie zobaczył ani Killena, ani Sabriny. Rozejrzał się dookoła, zastanawiając, w którą stronę by uciekał na miejscu tamtego. Do magazynu? Na tyły magazynu? Tak, prawdopodobnie schował się za magazynem. Pieniło się tam wybujałe zielsko. Można było biec przez nie w ogóle nie będąc widzianym. Wyrwał z kabury berettę i już miał puścić się biegiem w tamtą stronę, kiedy kątem oka dostrzegł jakieś poruszenie z boku. Odwrócił się na pięcie unosząc pistolet.

Killen wysuwał się powoli z magazynu, obejmując Sabrinę ramieniem za szyję. Do

gardła przystawiał jej trzymany w ręku śrubokręt.

–Dobra, glino, rzuć tę zabawkę – powiedział.

Graham mierzył nadal z beretty do Killena, ale nie mógł ryzykować strzału.

–Puść ją, Killen!

–Powiedziałem, rzuć tę zabawkę! – warknął tamten.

–Nie słuchaj go, Mike – wymamrotała Sabrina.

–Zamknij się! – syknął Killen, mocniej przyciskając do jej gardła ostrze śrubokręta. Przecięło skórę i na koszulkę Sabriny spłynęła strużka krwi. Killen przełknął nerwowo ślinę. – Teraz podstawicie mi tu samochód. Wybierzemy się z panienką na przejażdżkę. Kiedy będziemy już daleko, puszcze ją.

–Panienska nigdzie z tobą nie pojedzie – powiedziała spokojnie Sabrina – więc lepiej od razu mnie zabij.

W tym momencie za plecami Killena pojawili się Kingsland i jeden z mundurowych policjantów z gotową do strzału bronią.

–Rzuć to! – polecił Kingsland.

Killen obejrzał się zaskoczony przez ramię.

–Spokojnie, Killen! – krzyknął Graham podnosząc rękę.

Kingsland zbliżył się do Killena.

–Odłóż ten śrubokręt. Bardzo powoli.

–Cofnij się, gówniarzu! – syknął z furią Graham. – No, cofnij się!

Kingsland zerknął na Grahama.

–Jestem wyszkolonym...

–Cofnij się! – wrzasnął Graham i skierował na niego berettę. – Jeszcze jeden krok, a położę cię trupem.

Kingsland znieruchomiał.

Graham zwrócił się z powrotem do Killena:

–Nie pojechałaby z tobą, nawet gdybym dał ci samochód.

I co byś wtedy zrobił? Zabił ją? Spróbuj tylko, a wygarnę do ciebie cały magazynek. I obiecuję ci, że zginiesz dopiero od ostatniego pocisku.

–Zabiję ją, glino, przysięgam, że ją zabiję.

–No to zabij – odparował Graham. – A może brakuje ci odwagi?

–Zaczekaj! – krzyknął Kingsland, patrząc z niedowierzaniem na Grahama. – Killen, damy ci wszystko, czego zażadasz. Tylko nie rób tej dziewczynie krzywdy.

–Ten gówniarz niczego ci nie da, bo nie ma tu nic do gadania. – Graham zaczął powoli podnosić berettę, aż jej lufa znalazła się w jednej linii z głową Killena. – Policzę do pięciu. Jeśli do tego czasu jej nie puścisz, zabiję cię. Wybór należy do ciebie.

–Spróbuj tylko, a ona zginie – odparł Killen. Po twarzy

spływał mu pot.

–Raz.

Killen przełknął nerwowo ślinę wpatrując się w wylot lufy beretty.

–Dwa.

–Nie zrobisz tego – wykrztusił Killen, poprawiając chwyt na rękojeści śrubokręta. – Ona jest twoją partnerką. Nie narażał byś jej życia.

–Trzy.

Graham nacisnął spust. Pocisk ugodził Killena w czoło. Padając, przejechał śrubokrętem po boku szyi Sabriny. Odtrąciła jego rękę i odskoczyła do tyłu. Krwawiła z rozcięcia na szyi. Przykucnęła szybko, wyciągnęła z kieszeni chusteczkę i przycisnęła ją do rany. Kingsland schował pistolet do kabury i podbiegł do niej, ale nawet na niego nie spojrzała, kiedy chciał jej pomóc wstać.

–Zostaw ją – warknął Graham i podszedł do policjanta, który pochylał się nad Killenem, szukając jakichkolwiek oznak życia.

Policjant pokręcił głową, wstał i zaczął rozpędzać gapiów, których przyciągnął huk wystrzału.

–Kingsland, wezwij przez radio karetkę – rzucił Graham.

Kingsland spojrzał na niego z wściekłością, ale wołał z nim nie dyskutować. Oddalił się biegiem w stronę nie oznakowanego wozu policyjnego.

Graham przykucnął przy Sabrinie, przechylił jej delikatnie głowę i odjął chusteczkę od szyi.

–Nie jest tak źle, jak wygląda. Ale na wszelki wypadek zawieziemy cię do szpitala.

–Niezły strzał – powiedziała i skrzywiła się, przyciskając znowu chusteczkę do rany.

–Tak, niezły – burknął Graham, pomagając jej wstać. – O mało cię nie zabiłem.

–Zabiłbyś mnie, gdybyś doliczył do pięciu. Killen był zdesperowany. Czułam to. – Położyła Grahamowi rękę na ramieniu. –

Ale żyję, prawda? Czyli że strzał był niezły.

Wrócił zdyszany Kingsland.

–Karetka jest już w drodze.

–To dobrze – odparł Graham.

–Chciałbym jeszcze dodać, panie Graham, że nie tylko wykazał się pan karygodnym lekceważeniem życia partnerki, ale też groził mi bronią, kiedy próbowałem negocjować z Killenem.

A potem nie dał pan Killenowi szansy na poddanie się. Zastrzelił go pan bez ostrzeżenia. Wszystko to znajdzie się w moim raporcie.

–Jestem tego pewien – burknął pogardliwie Graham.

–I mam świadka, który potwierdzi prawdziwość mojej relacji. –

Kingsland zwrócił się do policjanta: – Byliście tutaj.

Wszystko widzieliście.

–Widziałem, jak pan Graham uratował swojej partnerce życie.

–Powiedział Killenowi, że będzie liczył do pięciu. Nie dał mu szansy poddania się.

Policjant wzruszył ramionami.

–Nie słyszałem żadnego liczenia.

–Co ty wygadujesz? – obruszył się Kingsland.

–Może i skończył pan jakąś tam szkołę, ale ja mam już za sobą dwadzieścia lat służby – odparł chłodno policjant. – To rzeczywistość, a nie jakieś symulacje z waszych podręczników.

Zmądrzej, chłopcze, bo nie pociągniesz długo w tym fachu.

Kingsland popatrzył na niego wrogo, a potem oddalił się.

–Dzięki za wsparcie, kolego – powiedział Graham do policjanta.

–Musiał pan podjąć decyzję w ułamku sekundy. I o to przecież chodzi w tej grze, prawda? – Policjant rozejrzał się. Z magazynu wychodziło coraz więcej robotników, żeby popatrzeć na trupa Killena. – Przepraszam. Lepiej przykryję czymś ciało.

Graham podszedł do drewnianej skrzyni, na której, przyciskając wciąż do szyi przesiąkniętą krwią chusteczkę, przysiadła Sabrina. Usiadł obok niej.

–No i jak?

–Mogło być gorzej – odparła, patrząc jak policjant narzuca brezentową płachtę na zwłoki Killena.

Graham zerknął na zegarek.

–Chyba nie zdążymy na odprawę u pułkownika. Zadzwonię do niego ze szpitala i powiem, że się trochę spóźnimy.

–To na pewno wprawi go w wyśmienity nastrój. Wiesz, jak nie cierpi czekać.

–Wciąż nie mogę uwierzyć, że jest z powrotem u steru. Może i wyłazi z niego czasami upierdliwy stary zrzęda, ale to w tej chwili jedyna osoba, która jest w stanie ocalić organizację.

–Jeśli nie jest już za późno.

Graham i Sabrina przybyli na odprawę czterdzieści pięć minut po wyznaczonym terminie.

–Przepraszamy za spóźnienie, sir – powiedział Graham. – Mam nadzieję, że dotarła do pana moja wiadomość. Zanim wylecieliśmy z Milford, trzeba było udzielić Sabrinie pomocy medycznej.

–Tak, słyszałem o zajściu w dokach – odparł Philpott i spojrzał na Sabrinę. – Co z twoją szyją?

Ręka Sabriny powędrowała odruchowo do opatrunku.

–To nic poważnego, sir. Parę szwów.

–Skąd pan się o tym dowiedział? – spytał Graham.

–Zadzwoił do mnie przedstawiciel miejscowego FBI. Powiedział, że groziliście bronią jego człowiekowi i że zastrzeliliście bez ostrzeżenia podejrzanego.

–Przysłali gołowąsa świeżo po akademii, sir – wtrąciła się Sabrina, zanim Graham zdążył powiedzieć coś na swoją obronę. – Rozgrywał to według podręcznika. Gdyby Mike w porę nie zainterweniował, Killen pewnie by mnie dźgnął. Mike ocalił mi życie, sir. Nie sądzę, żeby musiał się z tego tłumaczyć. Philpott pokiwał powoli głową.

–Nie, nie musi. Rozmawiałem już z sierżantem Kellym z departamentu policji w Milford. – Spojrzał na Grahama. – Bardzo pochlebnie się o tobie wyrażał, Mike. Jak zrozumiałem, podjąłeś decyzję, kiedy życie Sabriny znalazło się w niebezpieczeństwie. Sabrina żyje, więc jeśli o mnie chodzi, sprawa jest wyjaśniona. A teraz siadajcie oboje.

Graham i Sabrina wymienili podejrzliwe spojrzenia i usiedli na kanapie. Philpott był dziwnie wyrozumiały, nie przypominał w ogóle dawnego dyktatorskiego Philpotta. Czyżby atak serca tak go zmiękczył?

–Coś nie tak? – spytał Philpott.

–Nie, sir – odparł Graham, uśmiechając się pod nosem.

Philpott otworzył leżącą przed nim teczkę.

–W ciągu ostatniej godziny otrzymałem dwie wiadomości: dobrą i złą – zaczął. – Najpierw zła wiadomość. W Londynie zadecydowano, że Eastman nie stanie przed sądem.

–A więc jednak puszczą tego sukinsyna – syknął gniewnie Graham.

–Nie mieli innego wyjścia. Wyobraźcie sobie, jak zareagowałyby prasa, gdyby wyszło na jaw, że za zabójstwem Scoby'ego stoi starszy oficer brygady antyterrorystycznej. Podkopałoby to zaufanie do całej policji brytyjskiej.

–I co z nim będzie? – spytała Sabrina.

–Został już zdegradowany i wydalony z policji. Nie wiadomo, co go czeka w przyszłości, ale jeśli IRA wywęszy kiedyś, co się w rzeczywistości wydarzyło, każe go zabić. I z tą świadomością będzie musiał teraz żyć. Nie chciałbym być na jego miejscu.

–A ta dobra wiadomość?

–Spotkałem się dzisiaj z jednym ze starszych doradców prezydenta.

Przedstawiłem mu naszą sytuację i poprosiłem, żeby zreferował ją prezydentowi. Prezydent zatelefonował do mnie i zapewnił, że UNACO będzie działała jak do tej pory, pod egidą ONZ. Nie musicie więc przygotowywać podań o dymisję.

–Jak udało się panu przeciągnąć go na swoją stronę, sir? – spytał Whitlock.

–Doszliśmy jakoś do porozumienia. Prezydentowi zależało

na zatuszowaniu afery Scoby'ego. A mnie chodziło o gwarancję, że UNACO nie zostanie poświęcona za to, co się stało w Irlandii. Oznacza to jednak, że ani Scoby, ani Tillman nie zawierali nigdy z Kolumbijczykami kontraktu na import do kraju kokainy. Nie miało też miejsca spotkanie Tillmana z Navarro. Nawet Melissa Scoby nie może poznać prawdy. Tego chce prezydent, a ponieważ ani gram narkotyków nie przekroczył granicy, sądzę, że dobrze na tym układzie wyjdziemy.

–A co z Navarro i Varese? Pozostaną na wolności?

–Tony Varese zawarł układ z naszym starym znajomym, Frankiem Grecco – wyjaśnił Whitlock. – DEA przekonała prokuratora, żeby odstąpił od oskarżenia Varesego w zamian za jego zeznania przeciwko rodzinie Germino. Carmine Germino i jego czterech starszych poruczników już aresztowano. Varese postawił tylko jeden warunek: odmówił zeznawania przeciwko Navarro. To sprawa osobista. Ale DEA jest przekonana, że mając dowody przeciwko pozostałym, zdoła wytoczyć proces również Navarro.

–A morderstwo Tillmana? – spytał Graham.

–Powiększy liczbę spraw nie rozwiązanych w statystykach nowojorskiej policji – odparł Philpott. – Po złożeniu zeznań przez Varesego taśma wideo zostanie zniszczona, a on dostanie nową tożsamość w ramach Programu Ochrony Świadców Koronnych.

–Jest jeszcze jeden interesujący aspekt tej sprawy – odezwał się Kolczynski. – Dziś rano nadszedł faks od naszego kontaktu z Medellin. Wczoraj, późnym wieczorem, w wyniku wybuchu samochodu-pułapki zginął Miguel Cabrera, wtyczka Navarro w kartelu z Medellin. Zamordowano go prawdopodobnie na zlecenie Navarro, żeby zamknąć mu usta, kiedy okazało się, że nie dojdzie do realizacji kontraktu. Nie sądzę, żeby kazał go zabić ojciec, odkrywszy, że pracuje dla Navarro.

–W takim przypadku nie zginąłby w wybuchu samochodu-pułapki – zauważył Graham. – Umarłby wtedy powolną, męczeńską śmiercią. Kolumbijczycy nie darzą informatorów sympatią.

Philpott przesunął palcem po leżącej przed nim liście.

–Mamy tu jeszcze jedną sprawę, która cofa nas do punktu wyjścia, czyli do broni znalezionej w zeszłym tygodniu na plaży na Nantucket Island. Varese powiedział już Grecco, że rodzina Germino była jednym z głównych dostawców broni dla IRA. Ładunek karabinów Armalite na pokładzie "Ventury" przeznaczony był dla Seana Farrella. Scotland Yard ma więc teraz dowód, który pozwoli przytknąć Farrella pod zarzutem przemytu broni. Ale Farrell i tak jest już spalony. Związek z Fioną Gallagher nie

tylko zniszczył jego wiarygodność, lecz również jego przyszłość w IRA. Podzieli chyba los Brady'ego.

–Dobrze by było – mruknął Whitlock.

Philpott przerzucał leżące przed nim papiery, aż znalazł kartkę, której szukał.

–Przejdźmy teraz do obsadzenia miejsca zwolnionego przez Fabio...

–Sądziłem, że C.W. wraca do pracy operacyjnej – mruknął Graham zerkając na Whitlocka.

–Wraca – potwierdził Philpott. – Ale kiedy zabierzemy się do odbudowywania Siódmego Zespołu Operacyjnego, będzie mi potrzebny lider. A C.W. jest idealnym kandydatem na to stanowisko.

–Myślałem, że znowu będę pracował z Mike'em i Sabriną – powiedział zaskoczony Whitlock.

–Może o tym zapomniałeś, ale kiedy przeszedłeś za biurko, liderem zespołu mianowany został Mike – przypomniał mu Philpott. – W jednym zespole nie może być dwóch liderów.

–Skoro tak, to ja zrzekam się tego stanowiska – zadeklarował się Graham. – Razem z Sabriną chcemy mieć C.W. z powrotem w Trzecim Zespole Operacyjnym. Jeśli mamy odzyskać wiarygodność u innych służb wywiadowczych z całego świata, w ciągu kilku najbliższych miesięcy UNACO musi wspiąć się na wyżyny swych możliwości.

–Mike ma rację, sir – dorzuciła Sabrina. – W takich okolicznościach szaleństwem byłoby rozbijać zgrany zespół. Musimy umocnić naszą pozycję w środowisku wywiadowczym, a nie zdołamy tego dokonać zmieniając skład zespołu.

–Skończyliście już ten wykład z zasad dobrego zarządzania? – spytał Philpott. Graham i Sabrina pokiwali głowami.

–Najwyraźniej dobrze się czujecie w tym temacie. Ale w tym, co mówicie, jest nawet pewien sens – dodał Philpott. – C.W., mianuję cię z powrotem liderem Trzeciego Zespołu Operacyjnego.

–Dziękuję, sir – rozpromienił się Whitlock.

–Tylko niech się wam nie wydaje, że przechytrzyliście starego zrzędę – mruknął Philpott, patrząc wymownie na Grahama.

–Nie przypuszcza pan chyba, że nazywam pana... – Graham urwał, wzruszając bezradnie ramionami. Spojrzał na Sabrinę, ale ona wpatrywała się w czubki swoich butów i siłą woli powstrzymała od wybuchnięcia śmiechem.

–Jestem przekonany, że to z sympatii – powiedział Philpott z porozumiewawczym uśmiechem. Zamknął teczkę. – To wszystko, dziękuję wam. Macie wolne do końca tygodnia, ale na wszelki wypadek noście przy sobie pagery. A ty, Mike, nie zapomnij zabrać go dzisiaj ze sobą na mecz.

–Ma się rozumieć – odparł Graham. – Ale skąd pan wie, że wybieram się dzisiaj na mecz?

–Giantsi kontra Redskinsi na Meadowlands? Przecież wiem, że za żadne skarby nie przepuściłbyś takiego spotkania.

–Pewnie, że nie – uśmiechnął się Graham.

–Mimo to chcę zobaczyć z samego rana na biurku te zaległe raporty. Nie mogę dłużej zwodzić sekretarza generalnego.

–Będzie pan je miał, sir – zapewnił Graham.

Philpott otworzył pilotem rozsuwane drzwi, po czym zagłębił się w lekturze zawartości jednej z leżących na biurku teczek.

Whitlock, odwracając się do wyjścia, położył dłoń na ramieniu Grahama.

–Frankie kazał ci przekazać, że zadzwoni do ciebie, żeby się umówić na jakiś mecz.

–Frankie zawsze mówi, że do mnie zadzwoni, żeby umówić się na mecz – burknął Graham. – Ale nigdy tego nie robi.

–Więc może sam do niego zadzwonisz i spytasz, czy nie wybrałby się z tobą dzisiaj? – podpowiedziała Grahamowi Sabrina. – Moglibyśmy pójść we trójkę.

–A czemu ty nie zadzwonisz? – spytał Graham. – Przecież jesteś z nim dużo bliżej niż ja.

–Co to ma znaczyć?

–Nie jest żadną tajemnicą, że umawiałaś się z nim po jego rozwodzie.

–Owszem. Ale nigdy nie wyszło to poza ramy czysto platonicznej przyjaźni.

–Frankie mówił co innego – odparł Graham.

–W takim razie jest cholernym kłamcą – warknęła ze złością Sabrina. – Możesz mu to powtórzyć wieczorem na meczu. Szkoda by było zmarnować ten dodatkowy bilet, zważywszy na trud, jaki sobie zadałeś, żeby go zdobyć – rzuciła i zanim Graham zdążył cokolwiek odpowiedzieć, wybiegła z pokoju.

–Miło widzieć, że pod moją nieobecność nie straciłeś nic ze swego wrodzonego taktu, Mike – stwierdził Philpott podnosząc wzrok znad papierów. – Wciąż można ci pozazdrościć subtelności.

–Rzeczywiście przesadziłeś – dodał Whitlock. – Znasz Frankiego i jego bujną wyobraźnię. Myślę, że winien jesteś Sabrinie przeprosiny.

–No dobra – bąknął zmieszany Graham i wybiegł z pokoju.

Dopadł Sabrinę przy windach, kiedy zamierzała już nacisnąć guzik. –

Hej, zaczekaj! – zawołał. – Trochę się zagalopowałem.

Przepraszam.

Zastygła z palcem wycelowanym w przycisk. Po chwili westchnęła i opuściła rękę.

–Frankie był świetnym tajniakiem. Jednym z najlepszych.

Ale po pracy stawał się zupełnie innym człowiekiem. W kontaktach

z kobietami zawsze wyłaził z niego macho. Mnie to nie odpowiadało, więc przestałam się z nim widywać, i już. A teraz słyszę, że rozpowiada, jakoby coś między nami było. To naprawdę smutne, że taki facet jak Frankie musi się dowartościowywać pleceniem podobnych bredni.

–Fakt. Ale co mi w końcu do tego, jak układało się między tobą a Frankiem. Powinienem uważać, co mówię. Przepraszam. – Graham spojrział na nią niepewnie. – Nadal chcesz się ze mną wybrać na ten mecz?

–A zabierasz Frankiego?

–Mowy nie ma – zapewnił.

–No to idę. Głupio by było nie obejrzeć meczu po trzech bitych godzinach studiowania nad Atlantykiem wszystkich zawiłości tej gry.

–Będziesz miała wspaniałą rozrywkę, zobaczysz.

Z biura UNACO wyszedł Whitlock i zbliżył się do nich.

–Rozejm?

–Chwilowy – odparła Sabrina.

–Skoro o rozejmach mowa, przeprowadziłeś już negocjacje z Carmen na temat zmiany charakteru pracy? – spytał Graham.

–Zeszłego wieczoru delikatnie jej o tym napomknąłem. Bardzo delikatnie.

–I co ona na to? – zainteresowała się Sabrina.

–Cóż, nie powiem, żeby skakała z radości, ale w końcu nie spakowała się i nie wyprowadziła. Dzisiaj wieczorem zabieram ją do jej ulubionej restauracji, Le Chantily. Jestem pewien, że będzie miała na ten temat coś do powiedzenia.

–Na pewno będzie miała – zaśmiała się Sabrina.

–Dzięki za moralne wsparcie. – Whitlock nacisnął guzik windy. – Kto idzie ze mną na piwko do McFeely'ego?

–Ty stawiasz? – zapytał Graham, kiedy rozsuwały się drzwi windy.

–Czemu nie? – odparł Whitlock i wszedł razem z nimi do kabiny.

Epilog

Eastman nie miał wątpliwości, jakie miejsce miał na myśli Marsh, umawiając się z nim na spotkanie "tam, gdzie zwykle"

o drugiej po południu. Była to polana w lesie niedaleko Chadwell Heath, na której w przeszłości spotykali się z informatorami.

Wiedział doskonale, dlaczego Marsh chce się z nim zobaczyć...

Kiedy stawiał się o umówionej godzinie na spotkanie, sportowa toyota MR2 Marsha już tam stała. Eastman zaparkował za nią swojego rovera i wysiadł. Odkąd wyszedł z domu, wiatr przybrał znacznie na sile. Zasuważąc pod samą szyję suwak bluzy spojrzał na niebo. Zanosiło się na deszcz.

–John?! – krzyknął.

Z bukowego zagajnika wyłonił się Marsh. Miał na sobie dżinsy i obszerną skórzaną kurtkę o niemodnym kroju. Uśmiechnął się chłodno do Eastmana.

–Miło cię widzieć, Keith. Dzięki, że przyszedłeś.

–Powiedziałem przecież przez telefon, że sam zamierzałem się z tobą skontaktować.

Marsh wskazał na drzewa za sobą.

–Chodźmy – powiedział.

–Chodźmy – zgodził się Eastman ruszając za nim. – Odwiesili cię już?

–Wczoraj. Ale wątpię, czy Palmer kiedykolwiek obdarzy mnie znowu pełnym zaufaniem. Myślę, Keith, że jesteś mi winien wyjaśnienie...

–Co powiedział ci na mój temat Palmer? – spytał Eastman.

–Nic. A jednostkę poinformowano, że zostałeś pozbawiony dowództwa i nie jesteś już członkiem policji. Wszyscy nabrali w tej sprawie wody w usta.

–Pewnie wiesz, co się stało, bo inaczej byś tu nie przyszedł, prawda? – spytał Eastman przystając na skraju lasu i spoglądając przed siebie na rzeczkę..

Marsh zszedł nad sam jej brzeg, po czym odwrócił się i spojrzał na Eastmana.

–Co to ma niby znaczyć? Wiem tyle, że zostałeś aresztowany w Dugaill, byłeś przesłuchiwany przez UNACO, a potem wylali cię z policji. Ponieważ wrobiłeś mnie w tę aferę, mnie również to dotyczy. Możesz mi przynajmniej powiedzieć, co się naprawdę wydarzyło?

–Po co? Żebyś zameldował o tym swoim przełożonym? – prychnął pogardliwie Eastman.

–Moi przełożeni doskonale wiedzą, co jest grane – odparował Marsh, podnosząc z ziemi kamyk i puszczając nim kaczkę na wodzie.

–Nie o tych przełożonych mówię. Mam na myśli twoich płatników z IRA.

–Słucham...? – zapytał Marsh i wsunął dłoń do kieszeni.

–Ani się waż, John – ostrzegł Eastman wyszarpując z kabury

browninga.

Marsh przełknął nerwowo ślinę i cofnął powoli rękę.

–Jak się dowiedziałeś?

–Fiona to odkryła – odparł Eastman. Widząc na twarzy Marsha zdziwienie, pokiwał potakująco głową. – Oczywiście wiem, że fakt zwerbowania ciebie miał być ściśle strzeżoną tajemnicą znaną tylko wysoko postawionym członkom Rady Armii, ale Kieran O'Connell popełnił fatalny błąd i wygadał się przed Farrellem. A Fiona miała Farrella owiniętego wokół małego palca. Wszystko jej powiedział.

–Od jak dawna wiedziałeś, że pracuję dla Provo?

–Odkąd Fiona odkryła, że to ty wydałeś Pata Gormana. Nie widziałeś, co Brady zrobił z Patem, zanim go zabił, prawda? Okropne barbarzyństwo. Dlaczego do nich przeszedłeś?

–Byłem zadłużony po uszy. Z policyjnej pensyjki nie mogłem spłacić długów, zostałem więc informatorem.

–A ile tego długu spłaciłeś za zdradzenie Pata Gormana?

Marsh nic na to nie odpowiedział.

–Mam nadzieję, Johnny, że warto było – powiedział Eastman. – Naprawdę mam taką nadzieję.

–Skoro od samego początku o tym wiedziałeś, to czemu nie pozwoliłeś mi po prostu zgnieć w więzieniu?

–Rozważałem taką możliwość – odparł Eastman. – Fiona miała na ciebie tyle, że poszedłbyś siedzieć do końca życia. I zamierzała wskazać cię podczas rozprawy. Ale skoro jej zabrakło, sprawa została pewnie umorzona. A ja wolałem nie ryzykować. Powiedziałem więc Whitlockowi, że byłeś kozłem ofiarnym. Dlatego musieli cię wypuścić.

–Żebyś mógł mnie zabić? – warknął Marsh.

–Przysiągłem sobie, że pomszczę śmierć Pata. Brady już nieżyje. Jesteś ostatnim elementem tej układanki, Johnny.

–Wiedziałeś, że zamierzam cię dzisiaj zabić, prawda?

–Zdawałem sobie sprawę, że władze nigdy nie puszczą mnie wolno. Za dużo wiem. Czyż był lepszy sposób na uciszenie mnie, niż nasłanie Provo, który odwali za nich mokrą robotę? Wystarczył jeden anonimowy telefon do Rady Armii, żeby mnie wystawić. Prawdopodobnie tą drogą się o mnie dowiedzieli.

Marsh przytaknął ruchem głowy.

–Ile wiedzą? – zapytał Eastman.

–Wystarczająco dużo, żeby wydać na ciebie wyrok – odparł Marsh.

–Najwidoczniej nie tyle, by można mnie powiązać z Patem lub Fioną – rzekł Eastman. – A więc opinia publiczna odpowiedzialnością za morderstwo Scoby'ego będzie obciążać

IRA. Sprytnie.

–Ale zabicie mnie niczego nie rozwiąże. Po prostu wyślą za tobą kogoś innego. Nie spoczną, dopóki cię nie dorwą. Jestem dla ciebie jedyną szansą, byś uszedł z tego z życiem. Jeśli zamelduję im, że cię zabiłem, będą uważali kontrakt za wypełniony. Potrzebujesz mnie, Keith, chyba to rozumiesz?

–Miałem plan wydostania Fiony z kraju. Cóż, teraz sam z niego skorzystam. Mam wszystkie niezbędne kontakty. Wszystkie szczegóły zostały już dograne. Mogę ci zagwarantować, że IRA nigdy mnie nie odnajdzie. Tak więc, jak widzisz, wcale cię nie potrzebuję.

Marsh sięgnął po tkwiącego w kaburze browninga. Eastman wpakował w niego trzy kule. Marsh wykonał w powietrzu groteskowy piruet i runął do rzeki. Eastman patrzył przez chwilę beznamiętnie na plecy kołyszącego się na wodzie trupa, po czym wsunął browninga do kieszeni i pobiegł do samochodu.

Wypadłszy na polanę ujrzał za toyotą Marsha dwa czerwone motocykle. Obok samochodu stały dwie postacie ubrane w czarne skóry. Twarze zakrywały im kaski. Uzbrojone były w karabiny Armalite. Wiedział już, że zaraz zginie.

Zastrzelili go, kiedy sięgał po swojego browninga.

ALISTAIR MACLEAN ALASTAIR MACNEILL: Czerwony alarm

Grupa terrorystyczna przeprowadza akcję na tajne laboratorium chemiczne w pobliżu Rzymu; ich łupem pada fiołka zawierająca śmiertcionośny wirus, zdolny zabić miliony ludzi. Przywódca grupy rząda stu milionów funtów i spełnienia warunków politycznych, grożąc wypuszczeniem zabójczej substancji do atmosfery. Agenci UNACO mają zaledwie kilkanaście godzin, by zapobiec katastrofie o niewyobrażalnych rozmiarach. Tymczasem tropem terrorystów podąża jeszcze ktoś, likwidując jednego po drugim...

ALISTAIR MACLEAN ALASTAIR MACNEILL: Czas zabójców

Bejrut: Mike Graham natrafia na ślad Jacquesa Bernarda, terrorysty od dawna uważanego za zmarłego, człowieka, który kiedyś zamordował jego rodzinę. Ignorując rozkazy przełożonych rusza jego tropem, nie zdając sobie sprawy, że jest tylko pionkiem w znacznie poważniejszej grze, której celem jest przejęcie władzy w jednym z krajów Afryki. Tymczasem do Nowego Jorku przybywa grupa zabójców, by dokonać zamachu na głowę państwa...

UNACO i CIA muszą odnaleźć Grahama i powstrzymać go przed realizacją osobistej wendety – tylko Bernard dysponuje bowiem informacjami, które pozwolą udaremnić planowany zamach. Czasu pozostało bardzo niewiele...

ALISTAIR MACLEAN SIMON GANDOLFI: Złota Dziewczyna

Agent brytyjski. Trent. przybywa swoim luksusowym katamaranem Złota Dziewczyna do Republiki Belpan – niewielkiego państewka położonego w samym sercu Karaibów. W Belpan dzieją się dziwne rzeczy: rozbijają samoloty z ładunkami kokainy, giną ludzie, podstawione osoby przejmują miejscową prasę. Czyżby Belpan miało stać się głównym centrum przerzutowym narkotyków do Stanów

Zjednoczonych?

Pewnej nocy Trent zostaje porwany wraz ze swoim jachtem przez grupę zawodowych zabójców, którzy planują zamach stanu. Do Belpan zbliża się tymczasem huragan... Czy bohaterowi uda się pokonać połączone siły kolumbijskiego kartelu narkotykowego, nikaraguańskich Contras, skorumpowanych funkcjonariuszy CIA i Agencji do Walki z Narkotykami? Czy zdoła ocalić Belpan? Za sojusznika ma jedynie piękną wnuczkę prezydenta – Marianę...

ALISTAIR MACLEAN SIMON GANDOLFI: Złota sieć

Na zlecenie amerykańskiej Agencji do Walki z Narkotykami Trent pływający Złotą Dziewczyną po Morzu Karaibskim, angażuje się w podwodne poszukiwania zaginionego jachtu Beau Belle. który zatonął w tajemniczych okolicznościach na kubańskich wodach terytorialnych. Gra toczy się o wysoką stawkę – ładunek Beau Belle wart jest bowiem kilkanaście milionów dolarów...Trent musi stawić czoło licznym zagrożeniom. Czyha ją na niego zawodowi mordercy, a także nie mniej groźne podwodne niebezpieczeństwa, jak np. rekiny. Jego przeciwnicy, amerykańska mafia i agenci kubańskiej tajnej służby DGI, są zdecydowani na wszystko, by zdobyć ładunek.

ALISTAIR MACLEAN SIMON GANDOLFI: Złota zemsta

Trent otrzymuje nowe zadanie: wydostać piękną córkę miliardera z Hongkongu z rąk bezwzględnych porwaczy. On i jego jacht Złota Dziewczyna znajdą się znowu w śmiertelnym niebezpieczeństwie...

**This file was created with BookDesigner program
bookdesigner@the-ebook.org
2010-11-12**

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/